

Jean-Christophe Grangé

Kamienny Krąg

(Le Concile de Pierre)

Przekład: Wiktor Dłuski

Część I

Pierwsze znaki

1

Diana Thiberge miała na wszystko czterdzieści osiem godzin i ani chwili więcej.

Z lotniska w Bangkoku linią krajową do Phuket, a potem prosto na północ, do Ban Takua, nad Morzem Andamańskim. Tam krótka noc w hotelu, o piątej rano dalej, wciąż w tym samym kierunku. W ten sposób w południe byłaby w Ranongu, na granicy birmańskiej, gdzie zaczynały się namorzyny i gdzie miała odebrać to, co było celem jej podróży. Potem czekałaby ją już tylko ta sama droga w przeciwnym kierunku i następnego dnia wieczorem złapałaby lot do Paryża. Różnica czasu działała na jej korzyść – zyskiwała pięć godzin w stosunku do czasu paryskiego. W robocie mogłaby być w poniedziałek rano, 6 września 1999 roku. Nic prostszego.

Ale jak na złość samolotu do Phuket wciąż nie było.

I nic nie toczyło się według planu.

Diana pobiegła do toalety. Żołądek miała zaciśnięty jak węzeł żeglarski. Czuła, że biorą ją mdłości, i pomyślała: „To tylko różnica czasu. To nie ma nic wspólnego ze sprawą”. Po chwili wymiotowała już tak, że wnętrzności podchodziły jej do gardła. Krew pulsowała w żyłach, czoło miała lodowate, serce biło gdzieś tam, wszędzie, w całym ciele. Przyjrzała się sobie w lustrach. Była sina. W tym kraju drobnych, gładkogłowych czarnulek jej jasne, wijące się loki robiły dziwaczne wrażenie, a wzrost – ten ogromny wzrost, który od dzieciństwa przyprawiał ją o kompleksy – zupełnie wariackie.

Zwilżyła twarz, przeczyściła złoty kolczyk tkwiący w prawym nozdrzu, poprawiła swoje małe, hipisowskie okulary. Wróciła do sali lotów tranzytowych. Trykotowa koszulka wisiała na niej jak na drągu. W klimatyzowanym wnętrzu poczuła się jak na mrozie.

Przyjrzała się jeszcze raz ekranowi z wykazem odlotów. Żadnej wiadomości o Phuket. Zrobiła parę kroków. W oczy rzuciły jej się ostrzegawcze tablice: teksty głosiły po tajsku i po angielsku, że każda osoba przyłapana na posiadaniu twardych narkotyków na terenie Tajlandii będzie skazana na śmierć przez rozstrzelanie. W tej samej chwili za jej plecami przemaszerowało dwóch gliniarzy. Mundury khaki. Karabiny z karbowanymi kolbami. Przygryzła wargi: wszystko wydawało jej się wrogiem na tym pieprzonym lotnisku.

Usiadła i spróbowała opanować dygot. Tysięczny raz tego ranka przypomniała sobie ze szczegółami całą trasę. Musi się udać. To był jej własny wybór. Jej życie. Nie wróci do Paryża z pustymi rękami.

Wreszcie o czternastej samolot Bangkok – Phuket – Bangkok wystartował. Diana straciła pięć i pół godziny.

Dopiero w Phuket trafiła w prawdziwe tropiki. Poczwała ulgę. Sinawe chmury ciągnęły się hen, daleko, srebrzyste błyski rozświetlały niebo. Na skraju pasa startowego kołysały się blade drzewa. Niepokojące korkociągi pyłu wirowały w powietrzu. No i zapach. Zapach monsunu, palący, duszny, przesycony wonią owoców, deszczu, zgnilizny. Szaleństwo życia, które przekracza własne granice, przechodzi w rozkład. Diana przymknęła oczy z zachwytu i omal nie wyłożyła się na trapie, przysuniętym do samolotu.

Szesnasta.

Pobiegła do agencji najmu samochodów, wyrwała kluczyki z ręki hostessy i popędziła do swojego wozu. Na szosie złapał ją deszcz. Najpierw kilka kropel, potem całe wiadra. Waliły w maskę jak werble, z ogłuszającym łoskotem. Wycieraczki nie radziły sobie z różowawym błockiem. Diana prowadziła z twarzą przyciśniętą do przedniej szyby, ściskając kurczowo kierownicę.

Osiemnasta. Tuż przed nocą ulewa ustała. O zmierzchu pejzaż się rozświetlił. Lśniące ryżowiska, brunatne domki na palach, złote bawoły o kręconych rogach. Gdzieniedzie cyzelowane świątynie o podwiniętych dachach... I wszędzie niebo, przecinane błyskawicami, podbite czernią, z prawej zalane teraz mdłą czerwienią.

Do Ban Takua dojechała o ósmej wieczorem. Odprężyła się wreszcie. Mimo opóźnienia, mimo paniki – zdążyła na czas.

Znalazła hotel w centrum miasta, w pobliżu wysokiej wieży ciśnień, i zjadła kolację na werandzie. Czuła się o wiele lepiej. Deszcz, który zaczął padać na nowo, osnuwał ją mgiełką przyjemnej świeżości.

Wtedy zjawily się one. Dziewczynki zbyt jaskrawo umalowane, wciśnięte w minispódniczki ze skaju, wystrojone w maleńkie trykotowe bluzeczki. Diana przyglądała im się. Dziesięć, dwanaście lat, nie więcej. Wcielone pokusy na wysokich obcasach. Na drugim końcu sali blond dryblasy już trącały się łokciami. Niemcy albo Australijczycy, opaśli jak polcie wołowe. Nagle Diana wyczuła z ich strony jakąś wrogość, jakby jej obecność naruszała więzy łączące całe to towarzystwo.

Żółć podeszła jej do gardła. Jeszcze teraz, kiedy zbliżała się do trzydziestki, na samą myśl o seksie robiło jej się niedobrze, chwytaly ją ciężkie mdłości. Uciekła do pokoju, nie oglądając

się, nie czując cienia współczucia dla tych dzieci wydanych na pastwę samczej pożądlivosti.

Leżąc pod moskitierą, pomyślała jeszcze raz o celu swej podróży. Na chwilę przed zaśnięciem znów zobaczyła w myślach ostrzegawcze tablice na lotnisku, mundury glin, kolby ich broni. Wydało jej się, że gdzieś w dali słyszy zgrzytanie rygli, a jeszcze dalej – warkot śmigłowców...

O piątej rano już była na nogach. Niepokój przeszedł. Było słonecznie. Okno wychodziło na szaleństwo zieleni, niczym luk statku otwarty na roślinną burzę. Diana była w takim nastroju, że gdyby było trzeba, mogłaby przekopać całą dżunglę.

Ruszyła w drogę i dotarła do Ranongu niedługo przed południem. Dokładnie tak, jak planowała. Zobaczyła morze: raczej długą nić bagien, wdzierających się z wahaniem w płataninę drzew rosnących na powierzchni wody. Gdzieś w głębi tego wodnego labiryntu kryła się granica birmańska. Jakiś rybak, bez słowa, zgodził się ją zawieźć. Natychmiast znaleźli się na czarnej toni. Upał, światło, uciekające w tył ściany zieleni. Diana łykała kolejne wrażenia ze stoicyzmem. Gardło miała wyschnięte, skórę rozgrzaną do białości.

Godzinę później dopłynęli do piaszczystego półwyspu, na którym wznosiły się betonowe budynki. Postawiła stopę na piasku z dziecinnym poczuciem triumfu: dojechała. Nigdzie, na całej planecie, nie było miejsca, do którego nie zdołałaby dotrzeć...

Przed przytułkiem hałasowały dzieci, obojętne na południowy skwar. Diana przyglądała się czarnym czuprynkom, ciemnym oczom pod lekkimi palmami rzęs. Weszła do głównego budynku i spytała o Teresę Maxwell. Była mokra od potu. Miała wrażenie, że przechodzi na drugą stronę lustra. Lustro, które sobie wyśniła.

Weszła stara kobieta w granatowym swetrze, spod którego wyzierał szeroki biały kołnierz. Model „łopatka do ciastek”. Szeroka, dobrodusznna twarz pod krótkimi, siwymi włosami wydawała się zastygła w niezmiennym wyrazie nieufności. Diana przedstawiła się. Pani Maxwell zaprowadziła ją na koniec ażurowej galerii, do biura, którego całe umeblowanie stanowiły koślawy stół i dwa krzesła.

Diana wyjęła swoje papiery, tylko te najważniejsze. Teresa zapytała podejrzliwie:

– Przyjechała pani bez męża?

– Nie jestem zamężna.

Na twarzy odbiło się napięcie. Kobieta przyglądała się złotemu kolczykowi w nozdrzu

Diany.

- Ile ma pani lat?
- Niedługo kończę trzydzieści.
- Jest pani bezpłodna?
- Nie sędzę.

Teresa kartkowała dokumenty. Mruknęła pod nosem: „Nie wiem, gdzie oni mają głowy, w tym Paryżu...”. Potem powiedziała głośniej, wbijając wzrok w oczy Diany:

– Pani naprawdę nie spełnia warunków, moja panno. Jest pani młoda, ładna, wolna. Co pani tu robi?

Diana wyprostowała się, zelektryzowana. Głos miała zachrypnięty – nie rozmawiała od dwóch dni:

– Proszę pani, dotarcie tutaj zajęło mi prawie dwa lata. Musiałam wypełnić stopy papierów, chodzić na przesłuchania. Grzebano w mojej przeszłości, moich dochodach, moim życiu prywatnym. Musiałam nawet poddać się badaniom lekarskim, testom psychologicznym. Musiałam opłacić nowe ubezpieczenia, dwa razy lecieć do Bangkoku, wydałam majątek. Dziś moje *dossier* jest zupełnie w porządku, całkowicie zgodne z prawem. Dopiero co przejechałam dwanaście tysięcy kilometrów, a pojutrze wracam do roboty. Bardzo zatem proszę, żebyśmy przeszły do rzeczy.

W pokoju o ścianach z gołego betonu zapadła pałaca cisza. Nagle lekki uśmiezek przełamał rysy starej kobiety:

- Proszę za mną.

Minęły salę z wentylatorami obracającymi się pod sufitem. Zaslony okienne chwiały się, w powietrzu, niesiony falami gorąca, rozchodził się zapach fenolu. Między rzędami metalowych łóżek krzyczały, bawiły się, biegały dzieci w najrozmaitszym wieku, a ich opiekunki próbowały zapanować nad sytuacją. Zdawało się, że dziecięca energia toczy tu walkę z czułością, sanatoryjną atmosferą. Po chwili Diana zaczęła zauważać przerażające szczegóły. Kalectwa. Atrofie. Blizny. Zobaczyła niemowlę bez stóp i rąk. Teresa Maxwell wyjaśniła:

– Z południowych Indii, z przeciwległego brzegu Morza Andamańskiego. Hinduistyczni fanatycy okaleczyli je, pozabijawszy uprzednio rodziców. Byli muzułmanami.

Dianie znów zrobiło się słabo. Jednocześnie przyszła jej do głowy absurdalna myśl: jak ta kobieta w taki upał może wytrzymać w swetrze? Teresa szła dalej. Znalazły się w następnej sali.

Znowu łóżka. I kolorowe baloniki, unoszące się w powietrzu. Kobieta wskazała grupkę młodych dziewcząt, leżących razem na jednym łóżku:

– Karenki. Rodzice spalili się żywcem w obozie uchodźców, zeszłego roku. Ci rodzice...

Diana ścisnęła swą przewodniczkę za ramię tak mocno, że zbieleły jej kostki palców.

– Proszę pani – szepnęła. – Chcę go zobaczyć. Zaraz.

Dyrektorka uśmiechnęła się niewesoło:

– Przecież jest tutaj.

Diana odwróciła głowę i zobaczyła w kącie sali przedmiot walki całego swego życia: chłopczyk bawił się pasemkami krepiny. Poznała go od razu – przysłano jej przecież polaroidy. Ramionka miał tak wątle, że zdawało się – to wiatr utrzymuje na nim trykotową koszulkę. Jego twarz, o wiele bledsza od pozostałych, wyrażała intensywne, napięte skupienie, niemal aż zbyt nerwowe.

Teresa Maxwell skrzyżowała ramiona.

– Ma prawdopodobnie sześć-siedem lat. Skąd to wiedzieć? Nic o nim nie wiadomo: nie znamy ani jego pochodzenia, ani historii. Pewnie uratował się z jakiegoś obozu. Albo jest dzieckiem prostytutki. Znalaziono go w Ranongu, wśród żebraków. Bełkocze jakimś wolapikiem, którego tu nikt nie rozumie. Zdołaliśmy uchwycić dwie sylaby, zawsze te same: "Lu" i „Sian”. Nazwaliśmy go więc „Lu Sian”.

Diana próbowała się uśmiechnąć, ale wargi miała jak skamieniałe. Zapomniała o upale, wentylatorach, mdłościach. Odpędziła baloniki, które wciąż polatywały wokoło, uklękła koło dziecka i tak została, wpatrując się w nie z zachwytem. Wymamrotała:

– Lu Sian, co? No to będziesz się nazywał Lucjan.

2

Diana Thiberge była kiedyś zwyczajną małą dziewczynką.

Dzieckiem ciekawym wszystkiego, które cokolwiek robiło – robiło starannie, w skupieniu, gorliwie. Kiedy bawiła się z pochylonym czołem, to z taką powagą, że dorośli nie śmieli jej przeszkadzać. Kiedy oglądała telewizję, to tak uważnie, jakby chciała na zawsze zatrzymać widziane obrazy w głębi oczu. Nawet jej sen sprawiał wrażenie aktu woli, solennego zobowiązania, jakby przysięgła sobie wyskoczyć rano z łańd swojej kołderki żywsza i bardziej promienna niż kiedykolwiek.

Diana rosła jako dziecko ufne. Pozwalała się ukołysać bajkami, które szepce się dzieciom z nadejściem wieczoru. Spoglądała w przyszłość poprzez kolorowe i zwodnicze filtry filmów rysunkowych, pastelowych malunków, teatrzyków marionetek. Żyła z lekkim sercem, a jej myśli trzymały się, niczym kwietniowy śnieg na gałązkach, na kilku radosnych i niezachwianych przekonaniach. Wiedziała, że kiedy nadejdzie godzina balu, zawsze znajdzie się jakiś księżę, by ją zabrać ze sobą, i jakaś chrzestna matka, żeby ją ubrać w świetlistą sukienkę. Wszystko było gdzieś zapisane. Wystarczyło czekać.

Czekała więc.

Ale porwały ją inne siły.

Kiedy miała dwanaście lat, poczuła, jak budzą się w niej jakieś dziwne pragnienia. Miała wrażenie, że jej ciało się rozrasta, wypełnia niepokojem. Nie były to już niewinne zachcianki, ale jakieś ciemne, budzące lęk popędy, wywołujące w piersi tajemnicze bóle. Opowiedziała o tym przyjaciółkom. Dziewczęta chichotały, wzruszały ramionami, ale Diana zrozumiała, że przeżywały dokładnie to samo. Tyle że wołały się kryć za nieudolnym makijażem lub za dymem pierwszych papierosów. Dianie takie strategie nie odpowiadały. Wołała patrzeć rzeczywistości, jakakolwiek by była, prosto w twarz.

Zresztą nad wszystkim wzięła w niej teraz górę jakaś niczym niezmacona przenikliwość. Wśród osób, z którymi miała do czynienia, potrafiła natychmiast wykryć każde kłamstwo, każdą nierzetelność. Piedestał, na którym wznosił się świat dorosłych, rozsypywał się. Mężczyźni i kobiety, stawiani jej za wzór, okazywali się w jej oczach istotami uległymi, bezwonnymi, obłudnymi, podstępными.

A przede wszystkim – matka.

Pewnego pięknego dnia Diana uznała, że kobieta, z którą żyła sama od urodzenia, nie kocha jej, nigdy nie kochała. Sybilla Thiberge mogła sobie mówić czy robić, co chciała, dziewczyna nie wierzyła już jej pozom wzorowej matki. Przeciwnie, ufała jej coraz mniej. Sybilla była zbyt blond. Zbyt piękna. Zbyt zmysłowa. Diana stale obracała w myślach różne drobne szczegóły, które w jej oczach były przejawami sztuczności tej kobiety, całkowicie skupionej na sobie i na swych uwodzicielskich talentach. Ten szczególny sposób, w jaki wdzięczyła się, ilekroć jakiś mężczyzna zalecał się do niej zbyt obcesowo. Ten ekstrawagancki śmiech, kiedy jakiś samiec krążył w pobliżu. Wszystko w niej było lipne, wyrachowane, udawane. Była jedną wielką bryłą kłamstwa, a ich wspólne życie – oszustwem.

Ostateczny dowód uzyskała w lutym 1983 roku, kiedy zdarzył się wypadek. Diana wracała wtedy sama ze ślubu Izabeli Ybert, swojej matki chrzestnej. Sybilla wołała wyjść bez niej, wsparta na ramieniu nowego kochanka. „Wypadek”. Termin nie był ścisły, ale tak właśnie Diana nazywała w myślach to, co przydarzyło się jej na jednej z uliczek Nogent-sur-Marne. Do dziś nie chciała wracać do tego myślami. Był to ledwie maleńki odłamek czasu, odbijały się w nim liście wierzb, dalekie światła, słycać było sapanie dochodzące zza kominiarki... A kiedy już zaczynała wątpić, czy przydarzyło się to naprawdę, wystarczyło jej dotknąć skóry, nabrzmiałej na drobnych bliznach, ukrytych pod włosami łonowymi.

Nie rozumiała, jak taki koszmar mógł zdarzyć się w rzeczywistości. Ale jednego była pewna: wszystko stało się z winy matki. Przez jej egoizm, przez tę jej zupełną obojętność na wszystko, poza własnymi jędrnymi pośladkami i łapczywą pożądlivością kochanków, którzy tworzyli wokół niej coś na kształt zakłętego kręgu. Przecież tylko dlatego pozwoliła swej córce wracać samej! Przecież po prostu o niej zapomniała! Dla Diany ten napad był dowodem rzeczowym. I decydującym.

Miała wtedy niecałe czternaście lat. Nie powiedziała nic Sybilli. Uważała, że jej zemsta będzie doskonalsza, pełniejsza, jeśli matka nie dowie się o dramacie. Leczyła się sama, a na swym nieszczęściu położyła pieczęć tajemnicy. Ale zażądała, by od nowego roku szkolnego matka umieściła ją w internacie. Sybilla opierała się trochę, dla pozorów, ale przystała na prośbę córki, z pewnością aż nazbyt szczęśliwa, że pozbędzie się z domu tej długiej, milkliwej gidii, która zaczynała jej wchodzić w paradę w sferze podbojów.

Milkliwa Diana była, to fakt – bo rozmyślała. Wyciągała wnioski z tego, co przeżyła. A więc

światem, tym prawdziwym, rządzi samowładnie przemoc, zdrada, zła wola. Podstawą bytu jest niepowstrzymana siła, twarde jądro nienawiści, czające się w każdej istocie ludzkiej, by przy pierwszej okazji wybuchnąć. Diana powiedziała sobie, że będzie badać tę siłę. Chciała pojąć strukturalną przemoc świata, obserwować ją, analizować.

Podjęła dwa postanowienia.

Pierwsze: po maturze będzie studiować biologię i etologię – naukę o zachowaniach zwierząt. Wybrała już sobie specjalność: drapieżniki. A zwłaszcza techniki łowów i walki, pozwalające dzikim zwierzętom, gadom, nawet owadom panować na swoich terytoriach i – dzięki umiejętności niszczenia – trwać. Tą drogą chciała dotrzeć do samej istoty przemocy. Przemocy naturalnej, wolnej od wszelkiej świadomości, od jakiegokolwiek motywacji poza czystą logiką życia. Być może, umieszczając swój wypadek w ramach szerszej, bardziej uniwersalnej logiki, usiłowała nadać mu jakiś sens, złagodzić nieco jego potworność.

Tyle dla głowy.

Dla ciała Diana wybrała wing-tsun.

Dosłownie: „wieczysta wiosna”. Wing-tsun to najszybsza, najskuteczniejsza ze szkół walki shaolin. Technika, która stawia przede wszystkim na walkę z bliska, wynaleziona podobno przez jakąś mniszkę buddyjską. Z początkiem roku szkolnego 1983/1984 Diana zapisała się do wyspecjalizowanego klubu, niedaleko swojego internatu w okolicach Fontainebleau. Od razu pierwszego roku wykazała nieprzeciętne zdolności. Mierzyła wtedy już ponad metr siedemdziesiąt pięć, a ważyła zaledwie pięćdziesiąt kilo. Mimo swej bocianiej sylwetki wykazywała akrobatyczną zwinność i wyjątkową siłę mięśni.

Jej nauczyciele zauważyli to i zaproponowali jej głębsze studia, których elementem było wtajemniczenie w wu-te (cnota, dyscyplina walki). Diana odmówiła. Nie chciała słyszeć ani o filozofii, ani o energii kosmicznej. Chciała po prostu zahartować swe ciało jak broń, żeby nigdy już nie być dziewczyną, którą można wziąć z zaskoczenia.

Jej nauczycieli – mądrych i surowych Azjatów – zbijały z tropu te agresywne odpowiedzi. Ale mieli w Dianie mistrzynię, wiedzieli, że takie okazje są zbyt rzadkie, i machnęli ręką na filozofię.

Zaczęto ją trenować intensywniej. Jeździła na zawody. W roku 1986 uczennica Thiberge była mistrzynią Francji juniorów. W 1987 na mistrzostwach Europy zdobyła srebrny pas, potem, w 1988, złoty. Zwyciężała błyskawicznie. Sędziowie dziwili się, publiczność była nieco

rozczarowana. Zawsze w zwarciu, zawsze pochylona, Diana, ze wzrokiem wlepionym w ręce swych przeciwniczek, nie dawała im chwili wytchnienia. Dziewczyny jeszcze zastanawiały się, od czego zacząć, a już leżały, z ramionami przyciśniętymi do maty.

Zdawało się, że nic nie zatrzyma rozwoju młodej sportswomenki. Mimo to w roku 1989 Diana zrezygnowała ze startów. Miała blisko dwadzieścia lat i jakimś cudem jej twarz pozostała nietknięta, nigdy też nie odniosła poważniejszej kontuzji. Wcześniej czy później szczęście musiało się odwrócić, a zresztą – swój cel już osiągnęła.

Została tym, czym postanowiła zostać.

Dziewczyną pod każdym względem niebezpieczną, do której lepiej się nie zbliżać.

3

Diana Thiberge słuchała wówczas, z maleńkiego walkmana o bardzo mocnych basach, Frankie Goes to Hollywood. Przepadała za tą kapelą. Jej muzyka była krzyżówką wielu stylów, pozornie sprzecznych, a przecież stapiających się w jakąś szczególną magię.

Przede wszystkim „Frankie” była grupą twardzieli, łobuzów prosto z Liverpoolu, grupą post-disco o dużym wyczuciu rytmu, *groove*, zniewalającego każdego bywalca dyskotek. Na dodatek „Frankie” była kapelą gejowską. I to było najbardziej zwariowane: ta lawina ryków, barbarzyńskich konwulsji, podżegających hasel, była dziełem bandy wariatek, jakby żywcem przeniesionych z dworu Ludwika XIII. Muzyków „Frankie” cechowała oszłamiająca lekkość, ruchliwość, zwinność. Na przykład piąty członek grupy nie grał na żadnym instrumencie. Ledwo, ledwo śpiewał... Po prostu tańczył, był „człowiekiem w ruchu”, ubrany w skórę, miotał się gdzieś w tyle, za resztą zespołu. Diana dostawała od tego dreszczy: tak, naprawdę, „Frankie” była grupą zaczarowaną.

Na walkmanie kończyły się dla niej szaleństwa studenckich nocy. Nigdzie nie wychodziła, nie tańczyła, nie spotykała się z nikim. Tonęła w książkach etologicznych, czytała w kółko dzieła Lorenza i Von Uexkulla, zażerała się hamburgerami w swojej kawalerce w dzielnicy Cardinal-Lemoine.

Tamtego wieczoru postanowiła się jednak pokazać.

Natalia, mała cholera z biologii, w której pazurki dostawali się wszyscy najbardziej apetyczni faceci z sekcji, organizowała imprezkę i Diana postanowiła pójść.

Teraz albo nigdy.

Musiała wreszcie wiedzieć.

Często wspominała później tę decydującą noc. Swoje przybycie do budynku z ciosanego kamienia przy bulwarze Saint-Michel, ciszę na wielkich, wyłożonych aksamitem schodach. Potem spływające z wyższych pięter głębokie dudnienie, w którym słychać było same niskie tony. Próbowwała opanować bicie serca, które tłukło się niezgodnie z rytmem muzyki, i zaciskała palce na lodowatej butelce szampana, kupionej na tę okazję. Łomot za wielkimi drzwiami z lakierowanego drewna był tak potężny, że zdawał się wysadzać je z zawiasów. Nigdy mnie nie usłyszą, pomyślała, naciskając guzik dzwonka.

Drzwi otworzyły się niemal od razu i wywalił się z nich wodospad muzyki. Poznała natychmiast głos Holly Johnsona, wokalisty „Frankie”. Ryczał: „RELAX! DON'T DO IT!”. Dobra wróżba: jej ukochana kapela będzie z nią w tej próbie. Na progu wyginała się rytmicznie brunetka o kościstej twarzy, błyszcząca od jaskrawego makijażu. Natalia – Gorgona we własnej osobie.

– Diana? – wrzasnęła gospodyni. – Super, że przyszłaś...

Diana uśmiechnęła się na to kłamstwo. Tamta oglądała ją dokładnie od stóp do głów. Diana miała na sobie czarną kamizelkę z perłowymi guziczkami i długie rajtuzy z ciemnego moltonu, materiału wówczas obowiązkowego wśród młodych dziewcząt. Narzuciła na to obszerny pikowany płaszcz, także czarny.

– Zabrałaś ze sobą pizamę i pierzynkę? – spytała Natalia ironicznie.

Diana uszczypnęła dwoma palcami jej suknię z czarnej tafty.

– Dziś wieczór przebieranka, co?

Natalia parsknęła śmiechem. Wyjęła z rąk Diany butelkę szampana i wrzasnęła:

– Włóż. Połóż, co tam masz, w pokoju w głębi.

W środku zabawa szła na całego. Diana odłożyła płaszcz i stanęła przy bufecie, przystani tych, co nikogo nie znają. Przysięgła, że nie tknie alkoholu, żeby zachować, cokolwiek by się miało stać, całkowitą przytomność. Mimo to, po godzinie nudów, była już przy trzecim kieliszku. Piła drobnymi łyżkami, rzucając krótkie spojrzenia w stronę tańczących.

Zegar robił swoje.

Diana nie miała wprawdzie większego doświadczenia z bywaniem na imprezkach, ale знаła ich rytualne cykle. O północy zaczynały się działania przygotowawcze. Dziewczyny tańczyły, okręcały się, przybierały wyzywające pozy, coraz mocniej potrzasały fryzurami i poruszały biodrami, faceci natomiast przeciwnie, trochę wyhamowywali: czułe spojrzenia, przelotne uśmiešky, żarciki dla nawiązania kontaktu...

O drugiej nad ranem zaczynał się okres gorączki. Muzyka robiła się głośniejsza. Alkohol przełamywał opory. Wszystkie nadzieje stawały się realne. Chłopcy przechodzili do czynów, wrzeszczeli nad głowami tańczących, dopadali swych ofiar. I znowu „Frankie” doprowadziła towarzystwo do szaleństwa. *Two Tribes*. Pieśń buntu przeciwko wojnie i jej dziki rytm: Diana znała każdą jej nutę, każdą frazę.

Tym razem dała się ponieść muzyce. Rzuciła się w tłum, starając się jak się dało pomieścić

gdzieś swoje łapska chudzielca. Zauważyła kilka spojrzeń skierowanych w jej stronę. Dianie aż trudno było w to uwierzyć. Była potwornie nieśmiała, ale wiedziała, że sama onieśmiela jeszcze bardziej. Jej uroda, jej kędzierzawa grzywa i ogromny wzrost najczęściej trzymały chętnych na dystans. Ale tego wieczoru było inaczej: kilku śmiazków odezwało się do niej.

Czuła teraz, jak jej ciało rozluźnia się, jak szybuje ponad rytmem, krąży wśród tańczących. I wtedy jeden z chłopaków złapał ją za rękę, chciał tańczyć z nią rocka. Na wszystkich parkietach świata znajdzie się zawsze jakiś facet, który upiera się tańczyć skomplikowane figury, nie zważając na rytm. Diana od razu się cofnęła. Tamten nie dawał za wygraną. Dziewczyna podniosła ostrzegawczo obie dłonie. Nie. Nie tańczy rocka. Nie. Jej się nie chwyta za rękę. Nikt nigdy i za nic jej nie chwyta. Młodziak roześmiał się i zniknął w tłumie.

Przez chwilę stała nieruchomo, przyglądając się swej ręce, jakby to dotknięcie ją sparzyło. Zachwiała się, cofnęła, wreszcie osunęła się przy ścianie. Po omacku znalazła pozostawiony na podłodze napoczęty kieliszek. Wypiła go jednym haustem i zastygła, ściskając go kurczowo. Zalał ją smutek. Ta scena przypomniła jej okrutną prawdę: nie znosiła najmniejszego dotknięcia cudzej skóry. Żadnej pieśczoły, żadnego muśnięcia. Cierpiała na fobię ciała.

O trzeciej nad ranem rozległa się muzyka bardziej ezoteryczna: *O Superman*, Laurie Anderson. Dziwna kołysanka, przerywana śpiewnymi westchnieniami. To była godzina ostatniej szansy. W półmroku w rytmie powolnej melodii poruszało się tylko kilka osamotnionych widm. Uparci łowcy. I parę nieszczęsnych dziewczyn, niepogodzonych z myślą o porażce.

Diana przyglądała się wymiętym twarzom, chwiejącym się sylwetkom. Miała wrażenie, że patrzy na pole bitwy, pokryte rannymi i umierającymi. Postanowiła poszukać płaszcza, potem przeszła dyskretnie wzdłuż bufetu zastawionego pustymi butelkami. Myślami była już na zewnątrz. Wyobrażała sobie lodowate powietrze, które ją otrzeźwi i pozwoli w pełni ocenić niepowodzenie.

I właśnie w tej chwili poczuła, jak czyjeś ręce obejmują ją w talii.

Obróciła się gwałtownie, oparta o bufet, napięta jak luk.

Otaczało ją trzech facetów, ziali alkoholem.

– Hej, chłopaki: wieczór się jeszcze nie skończył...

Jeden z natrętów znów próbował pchać się z łapami. Diana ruchem bioder uniknęła dotknięcia i odwróciła się do stołu. Wypuściła z ręki płaszcz, znalazła nowy kieliszek i udała, że pije. Przez chwilę myślała, że sobie poszli, ale poczuła na szyi cuchnący alkoholem oddech.

Kieliszek trzasnął jej w palcach. Jeden odłamek miał na sobie ślad szminki do ust. Położyła na nim rękę i poczuła, jak szkło wrzyna jej się w ciało.

– Odwalcie się ode mnie – wymamrotała.

Faceci za jej plecami chichotali:

– O, ho, ho, bawimy się w niedotykałką?

Gorące łzy spływały jej spod okularów w rogowej oprawie. Usłyszała, jak coś w jej głowie powiedziało wyraźnie; „Nie rób tego”. Ale jeden z pijanych wydawał teraz tuż przy jej uchu jakieś mlaszczące dźwięki, mamrotał coś o futerku, ciepelku, kuciapce. Nie rób tego, powiedziała do siebie jeszcze raz. Ale zdjęła okulary i zwinęła włosy w kok. Przez ten czas jeden z facetów wsunął jej ręce pod kamizelkę. Poczowała ciepło palców muskających piersi i usłyszała głos, szepczący szyderczo:

– Nie kuś mnie, koteczku, zobaczysz...

Odgłos pękającej szczęki zagłuszył melodię *Art of Noise*.

Chłopak poleciał pod kominek i rąbnął twarzą w marmurową krawędź. Diana strzeliła go z łokcia. Jeszcze raz pomyślała „NIE”, ale jej ręka, ułożona w „byczą szczękę”, sama z siebie huknęła drugiego przeciwnika w żebra, łamiąc je z chrzęstem. Wbił się w bufet, który rozpadł się na tysiąc szklanych kawałków.

Diana stała bez ruchu. Zasadą wing-tsun jest maksymalna oszczędność ruchu i oddechu. Ostatni z natrętów znikł. Dopiero wtedy zauważyła wokół siebie przerażone twarze, usłyszała bezradne pomruki. Założyła okulary. Była zdumiona. Zdumiała ją nie gwałtowność sceny ani sam skandal, tylko własny spokój.

Gdzieś z prawej dobiegł roztrzęsiony głos Natalii:

– Jesteś... jesteś... chora jesteś czy jak?

Diana odwróciła się powoli do czarnulki i powiedziała:

– Bardzo mi przykro.

Przeszła przez pokój i przez ramię krzyknęła jeszcze raz:

– Bardzo mi przykro!

Bulwar Saint-Michel był właśnie taki, jaki sobie wymarzyła.

Pusty. Lodowaty. Rozświetlony.

Diana szła, zalewając się łzami, zmartwiła i wyzwolona jednocześnie. Miała dowód, na który czekała. Dowód, że jej życie zawsze będzie właśnie takie: bez bliskich, z dala od ludzi.

I pomyślała jeszcze raz o wydarzeniu, które było początkiem wszystkiego. O tej okrutnej scenie, która zniszczyła w niej najnaturalniejszy popęd i otoczyła ją więziennym murem: przezroczystym, niezrozumiałym – i nieprzekraczalnym.

Znów zobaczyła wierzby, światła.

Poczuła trawę w ustach, usłyszała sapanie spod kaptura.

W przyplywie nienawiści stanęła też przed nią twarz matki. Na wargach Diany zaigrał znużony uśmiech: tego wieczoru nie miała już dość sił, by kogokolwiek nienawidzić. Doszła do placu Rostanda. Fontanna spływała światłem, po lewej przyjaźnie wychylało się ku niej listowie Ogrodu Luksemburskiego. W nagłym odruchu podskoczyła i dotknęła palcami liści drzew, wystających nad czarno-złotym ogrodzeniem.

Czuła się niezwykle lekka, zdawało jej się, że już nigdy nie opadnie na ziemię.

Działo się to wszystko 18 listopada 1989 roku. Diana Thiberge właśnie skończyła dwadzieścia lat, ale wiedziała: właśnie pogrzebała na zawsze swoje życie młodej dziewczyny.

4

– Niczego pani nie trzeba?

– Nie.

– Na pewno?

Diana podniosła wzrok. Stewardesa – niebieski kostium i purpurowy uśmiech – obejmowała ją współczującym wzrokiem. Wzrokiem, który rozzłościł ją na dobre. Mordowała się, usiłując pokrajać racuszki z „menu dla milusińskich”, które podano chłopcu tuż po starcie z Bangkoku. Plastikowe sztucce wyginały jej się w palcach, jedzenie rozgniatało od zbyt gwałtownych ruchów. Miała wrażenie, że wszyscy się na nią gapią, widzą jej niezręczność i zdenerwowanie.

Stewardesa odeszła. Diana podsunęła chłopcu jeszcze jeden kęs. Nie chciał otworzyć ust. Poczerwieniała z bezradności. Jeszcze raz wyobraziła sobie, jak ją widzą: z rozognioną twarzą, potarganymi włosami i małym czarnookim chłopczykiem. Ile razy stewardesy oglądały takie sceny? Białe kobiety, bezradne, drżące, wiozące bagaż swojego przeznaczenia?

Niebieska sylwetka ponowiła atak. „Może cukierki?”. Diana usiłowała się uśmiechnąć. „Nie, naprawdę, wszystko w porządku”. Na próżno próbowała podać mu jeszcze jedną czy dwie łyżeczki. Chłopczyk miał oczy wlepione w ekran, na którym leciał film animowany. Przekonywała sama siebie, że niezjedzony posiłek nie jest sprawą wagi państwowej. Odsunęła tacę, założyła Lucjanowi słuchawki, potem zawahała się. Nastawić je na angielski? Na francuski? Może po prostu na muzykę? Każdy drobiazg pogrążał ją w niepewności. Zdecydowała się na program muzyczny i uważnie wyregulowała głośność.

Atmosfera w samolocie zelżała. Stewardesy zebrały tace po posiłkach, światła przygasły. Lucjan już drzemał. Diana ułożyła go na dwóch wolnych siedzeniach po swojej prawej ręce i sama ułożyła się wygodniej, przykryta firmowym pledem linii lotniczych. Podczas długich lotów tę godzinę lubiła najbardziej: kabina pogrążona w mroku, daleko przed nią – świetlisty ekran, pasażerowie znieruchomiali, zwinięci jak kokony pod kocami, ze słuchawkami na uszach... W takiej chwili wszystko wydaje się unosić w powietrzu, szybować między snem a wysokością, gdzieś ponad chmurami.

Diana złożyła głowę na oparciu fotela i starała się nie ruszać. Stopniowo mięśnie rozluźniły się, ramiona opadły. Poczwała, jak spokój na nowo wypełnia jej żyły. Zamknąwszy oczy,

pozwalala, by na czarnym ekranie powiek rozwijały się kolejne etapy jej życia, które doprowadziły ją aż tu – do tego kapitalnego zwrotu.

Sukcesy sportowe i towarzyskie wyczyny miała już dawno za sobą. Doktorat z etologii uzyskała z wyróżnieniem w roku 1992. Temat: „Strategie myśliwskie i organizacja terenów łowieckich u wielkich mięsożernych Masajskiego Parku Narodowego Mara, w Kenii”. Od razu zaczęła pracować dla kilku prywatnych fundacji, przeznaczających poważne sumy na badanie i ochronę przyrody. Podróżowała do Afryki Subsaharyjskiej, do Azji Południowo-Wschodniej, do Indii, zwłaszcza do Bengal, w ramach programu zachowania tygrysów z Sundar Banu. Uwagę zwróciły też prowadzone przez nią badania nad obyczajami wilków kanadyjskich, które śledziła i obserwowała samotnie na dalekich kresach Terytorium Północno-Zachodniego, w najdalej na północ wysuniętej części kraju.

Na jej obecne życie, koczownicze i samotne jednocześnie, wpływające w bezpośrednim kontakcie z naturą i w końcu dość zgodne z tym, co sobie wymarzyła w dzieciństwie, składały się głównie badania i podróże. Na przekór wszystkiemu, mimo swych traumatyzmów i tajemnych skaz, Diana dorobiła się czegoś w rodzaju szczęścia na własną miarę i – siłą swej niezależności – ukształtowała samą siebie.

A przecież owego roku 1997 spostrzegła, że dociera do nowej granicy.

Wkrótce będzie miała trzydzieści lat.

Samo w sobie to nic nie znaczyło. Zwłaszcza dla takiej dziewczyny jak ona: jej sylwetka długiej łodygi i życie na wolnym powietrzu chroniły ją znakomicie od skutków upływu czasu. Ale z biologicznego punktu widzenia cyfra 3 oznaczała pewien etap. Jej specjalność była jedną z nauk o życiu, wiedziała więc, że u kobiet w tym właśnie wieku macica niepostrzeżenie zaczyna się deformować. Prawdę mówiąc, wbrew obyczajom obowiązującym współcześnie w krajach uprzemysłowionych, kobiece organy rodne są stworzone tak, by zacząć działać bardzo wcześnie – jak u tych młodziutkich, ledwie piętnastoletnich mamuszy afrykańskich, które Diana tak często spotykała. Bliskość trzydziestki symbolicznie przypominała jej jedną z najgłębiej tkwiących w niej prawd: nigdy nie będzie miała dzieci. Z tego najprostszego w świecie i oczywistego powodu, że nie będzie miała nigdy kochanka.

Nie chciała godzić się na kolejne wyrzeczenie. Zaczęła szukać jakiegoś sposobu. Nakupowała specjalistycznych dzieł i ze ściśniętym gardłem zagłębiła się w czarną noc technik

rozrodczości wspomaganej. Najpierw przeczytała o sztucznym zapłodnieniu. W jej wypadku warto było pomyśleć o wariacie „zapłodnienie przez nieznanego dawcę”. Spermę uzyskaną ze specjalnego banku wstrzykuje się bądź na poziomie wewnętrznego otworu szyjki, bądź do jamy macicy w najbardziej sprzyjającej zapłodnieniu fazie cyklu menstruacyjnego. A więc lekarze ze swymi spiczastymi, haczykowatymi, lodowatymi instrumentami wedrą się jej do wnętrza. Substancja jakiegoś nieznanego mężczyzny wsączy się jej do brzucha, rozleje po mechanizmach jej fizjologii. Wyobraziła sobie, jak jej organy – jama macicy, jajowody, jajniki... – reagują, poruszają się w zetknięciu z „tamtym”. Nie. Nigdy. Dla niej byłoby to coś w rodzaju klinicznego gwałtu.

Zainteresowała się inną techniką: zapłodnieniem *in vitro*. Polegało to na punkcji niezapłodnionych jajeczek i sztucznym zapłodnieniu ich w laboratorium. Podobała jej się idea takiej operacji na dystans, w lodowatej mgiełce sterylnej sali. Czytała dalej: umieszcza się następnie jeden lub więcej zarodków w macicy kobiety drogą waginalną. Diana przerwała lekturę i kolejny raz zdała sobie sprawę ze swej głupoty. Co sobie właściwie wyobrażała? Że ciąża przebiegnie w probówce, za mleczną szybą? Że będzie się przyglądała, jak zarodek formuje się powoli drogą jakiejś bezcielesnej przemiany?

Jej nieprzewycięzione fobie wznosiły mur, nieprzekraczalną ścianę między nią a każdym zamiarem urodzenia dziecka. Jej ciało, jej macica, nigdy nie będą miały nic wspólnego z tym upragnionym celem, z tą cudowną przemianą. Diana popadła w głęboką depresję. Spędziła pewien czas w sanatorium, potem schroniła się w willi Charles’a Helikiana, męża swej matki, na zboczach Ventoux w masywie Luberon.

To tam, kąpiąc się w łagodnym słońcu przy wtórce cykania świerszczy, powzięła nowe postanowienie. Jeśli żaden wariant organiczny nie wchodzi w grę, trzeba wybrać inną drogę: adopcję. W ostatecznym rachunku Diana wolała taki sposób, który wymagał prawdziwego zaangażowania moralnego, a nie był nieudolną próbą naśladowania natury. W jej sytuacji była to decyzja najlogiczniejsza i najszczerza. Wobec niej samej. Wobec dziecka, z którym będzie dzieliła życie.

Jesienią 1997 roku rozpoczęła pierwsze starania. Najpierw próbowano ją na wszelkie sposoby zniechęcić. Na papierze – osoby samotne miały w pełni otwartą drogę do adopcji. W rzeczywistości było bardzo trudno uzyskać zgodę służb Ministerstwa Zdrowia i Spraw Socjalnych w sytuacji, która mogła nasuwać podejrzenie o skłonności homoseksualne. Diana nie

dała się zbyć i wypełniła odpowiednie formularze. Zaczęły się długie miesiące spotkań, podań, badań, które zdawały się tworzyć błędne koło prowadzące donikąd.

Prawie półtora roku po pierwszym podaniu sprawa dalej była w toku. Wtedy jej ojczym zaproponował, że zainterweniuje w ministerstwie. Mógł – wyjaśniał – popchnąć papiery. Diana odmówiła kategorycznie. Takie poparcie oznaczałoby pośrednią wprawdzie, ale przecież ingerencję matki w jej własny los. Potem namyśliła się. Jej obsesje i gniew nie powinny mieć wpływu na projekt tak doniosły. Nigdy się nie dowiedziała, co zrobił Charles Helikian, ale miesiąc później miała w ręku zgodę właściwych władz.

Jeszcze trzeba było znaleźć sierociniec, który zaproponuje dziecko – Diana zawsze wyobrażała sobie, że to będzie chłopczyk i że z jakiegoś dalekiego kraju. Dowiadywała się w wielu organizacjach opiekujących się po całym świecie schroniskami dla dzieci i znowu czuła się kompletnie zagubiona. Również tym razem wdał się w sprawę Charles. Bawił się w mecenasa i co roku zasilał poważnymi środkami fundację Boria-Mundi, finansującą kilka sierocińców w Azji Południowo-Wschodniej. Gdyby Diana zgodziła się skorzystać z usług tej fundacji, końcowe starania mogłyby pójść bardzo szybko.

Trzy miesiące później, po dwóch kolejnych podróżach do Bangkoku dla załatwienia formalności administracyjnych, jechała do sierocińca w Ranongu. Charles nadzorował wybór dziecka i wziął pod uwagę fakt, że w przeciwieństwie do większości przybranych matek Diana chciała wziąć chłopczyka ponad pięcioletniego. Kobiety wołały na ogół noworodki, bo uważały, że łatwiej im będzie się przystosować. Dianę odrzucało takie myślenie, oburzało ją nawet: myśl, że niektóre sieroty, pozbawione wszystkiego, miały na dobitkę tego pecha, że wyrosły za wcześnie albo zostały za późno porzucone, skłaniała ją w sposób naturalny do zainteresowania się tymi niechcianymi...

Nagle chłopczyk koło niej wzdrygnął się. Diana otworzyła oczy, zobaczyła zalaną słońcem kabinę samolotu. Zrozumiała, że lądują. W panice przytuliła do siebie dziecko i poczuła, jak podwozie styka się z betonem. To nie opony grzały pas startowy, to jej własne sny ocierały się teraz o rzeczywistość.

5

Wśród wielu innych postanowień Diana powzięła i to, by od samego początku przestrzegać swoich godzin pracy. Chciała jak najszybciej przyzwycząić Lucjana do rytmu ich codziennego życia. Otóż była w tym czasie pochłonięta pracą nad sprawozdaniem na temat „rytmu dobowego wielkich mięsożernych w parku narodowym Wankie w Zimbabwe”. Musiała pilnie skończyć ten dokument, żeby uzyskać nowe fundusze od WWF International, która już przedtem dofinansowywała jej badania w Afryce Południowej. Dlatego co rano udawała się do pracowni etologii uniwersytetu w Orsay, gdzie przydzielono jej mały gabinet w sąsiedztwie biblioteki, żeby mogła sprawdzać cytaty z prac naukowych.

Do opieki nad dzieckiem zatrudniła młodą dziewczynę z Tajlandii, studentkę Sorbony, która doskonale mówiła po francusku i robiła wrażenie wcielonej łagodności i czułości. Przez pierwszy tydzień Diana dotrzymywała danej sobie obietnicy. Wychodziła z domu o dziewiątej rano, wracała o szóstej po południu. Ale od drugiego poniedziałku plan zaczął się sypać. Każdego ranka wyruszała nieco później. Co wieczór wracała trochę wcześniej. Mimo swego postanowienia coraz dłużej przebywała w domu – tak jak na wiosnę z każdym dniem coraz dłużej jest jasno.

Przeżywała szczęście absolutne.

Jej niepokoje przybranej matki ustępowały, w miarę jak chłopiec uśmiechał się, a robił to coraz częściej, gdyż jego dziecięca żywość brała górę nad początkowymi lękami. Umiał się wypowiadać wyrazistymi gestami, uśmiechami, minami i zdawał się bez trudności wchodzić w swoją nową skórę mieszkańca miasta. Diana potakiwała, odpowiadała mu po francusku i próbowała, jak mogła najlepiej, ukryć swoje zdumienie.

Tyle razy wyobrażała sobie tę małą istotkę, że w końcu ukształtowała sobie jej obraz wedle własnych marzeń. Ale dziś dziecko było tutaj, z nią, i okazało się, że wszystko jest inne niż w jej fantazjach. Był to rzeczywisty chłopiec o rzeczywistej twarzy, rzeczywistym temperamentem. Widziała, jak każde z jej wyobrażeń rozsypuje się w proch wobec tej obecności. Wszystko działało się tak, jakby Lucjan bez trudu wydobywał się z urojonej gliny, w której ona go wyrzeźbiła, a w zamian dawał jej całą pełnię, całą różnorodność swej istoty, nieoczekiwanej, zaskakującej i zawsze dokładnie takiej, jak być powinna – bo nieskończenie prawdziwej.

Pora kąpieli była samym oczarowaniem. Diana mogła w nieskończoność przyglądać się temu drobnemu ciałku, białym plecom, ptasiemu kośćcowi, dźwigającemu na sobie tyle energii i delikatności. Podziwiała mleczną skórę, nieskazitelną, tak różną od ciał innych dzieci widzianych w sierocińcu, okrywającą drżące błękitne żyłki i całe lekkie wnętrze. Kojarzył jej się z kurczątkiem, którego pełna życia sylwetka prześwituje pod cienką skorupką.

Inną chwilą czystej kontemplacji była pora układania do snu, kiedy w półmroku sypialni Diana opowiadała dziecku jakąś bajkę. Lucjan zasypiał szybko, a potem ją z kolei usypiały ledwie dostrzegalne wrażenia, które wyczuwała palcami. Niemal nieuchwytny rytm oddechu. I jego włosy, tak cieniutkie, tak delikatne, że zdawały się wymagać szczególnie uważnych palców, jakiegoś tajemnego daru dotyku. Skąd mogły się wziąć takie włosy? Z jakiego gąszczu genów? Gdzieś tam. W ciemnościach jej wargi zawsze wyszeptywały to słowo. Gdzieś tam. Każdy rys, każdy szczegół tego ciała przypominał odległe pochodzenie dziecka, a przecież zdawał się je do niej przybliżać, łączyć małego z jej paryską samotnością.

Osobowość Lucjana ujawniała się niczym gmach ze szkła, z upływem dni odsłaniający swą budowę, zakamarki, poddasza. Diana wyobrażała sobie zawsze, że Lucjan będzie kimś niespokojnym, ruchliwym, nieprzewidywalnym. Przeciwnie – był zaskakująco łagodny, wdzięczny. Mimo swych manier dzikusa – jadł palcami, mył się niechętnie, uciekał i chował się przy pojawieniu się każdego gościa – w głębi zdradzał stale wrażliwość, intuicję, zachwycające młodą matkę. Czemu ukrywać? Lucjan był pod każdym bez wyjątku względem takim chłopcem, jakiego chciałaby urodzić sama.

Wszystkie powody do zachwyty jednocześnie Diana odnajdowała z okazji czynności, której domagała się tak często, jak mogła: w pokazach tańca i śpiewu Lucjana. Przybrany syn z zamiłowania, dla zabawy, z racji naturalnego daru, wypowiadał się tą drogą przy każdej okazji. Kiedy wykryła tę pasję, kupiła mu jaskrawoczerwony magnetofon kasetowy z cytrynowo-żółtym mikrofonem. Dziecko za każdym razem nagrywało swoje popisy, bijąc przy okazji w jakieś improwizowane bębenki. Gwoździem przedstawienia był oryginalny balet. Chłopczyk nagle podnosił nogę pod kątem prostym, jego palce poruszały jakąś urojoną zasłonę, a potem obracał się całym ciałem i zaczynał śpiewać w innej tonacji. Dotąd skulone, przygarbione, napięte – małe ciało otwierało się jak skrzydełka skarabeusza i zaczynało falować w rytmie melodii.

Kiedyś, właśnie oglądając jeden z tych zwariowanych numerów, Diana ośmieliła się pogratulować sobie. Nigdy nie umiałaby wyobrazić sobie pełniejszego szczęścia. W trzy

tygodnie dostąpiła spokoju, równowagi, jakich spodziewała się po latach. Po raz pierwszy w jej życiu osobistym coś się układało.

I w tej właśnie chwili dostrzegła czerwone cyfry daty na cyferblacie swego kwarcowego budzika.

Poniedziałek, 20 września.

Wszystko układało się jak najlepiej, ale nie sposób już było odsuwać straszliwego terminu.

Kolacji u matki.

6

Zza obitych blachą drzwi ukazała się jej krucha sylwetka.

Światło przedpokoju tworzyło wokół jej koka, tuż nad karkiem, złocisto-brązową poświatę. Diana stała przed nią w progu, prosta i sztywna jak świeca. W ramionach trzymała śpiącego Lucjana. Sylwia Thiberge szepnęła:

– Śpi? Wchodź. Pokaż go.

Diana zrobiła krok do przodu, ale natychmiast się zatrzymała. Z salonu dobiegał szmer głosów.

– Jest jeszcze ktoś oprócz ciebie i Charles'a?

Matka odpowiedziała, zmieszana:

– Charles zaplanował na dziś wieczór ważną kolację i...

Diana odwróciła się raptownie w kierunku schodów. Sybilla chwyciła ją za ramię, władczo i łagodnie zarazem, tak jak lubiła.

– Co robisz? Oszalałaś?

– Powiedziałaś: kolacja w rodzinnym gronie.

– Bywają zobowiązania, od których trudno się uwolnić. Wchodź, nie wyglupiaj się.

Mimo półmroku Diana wyraźnie widziała sylwetkę matki. Pięćdziesiąt pięć lat i wciąż te same rysy słowiańskiej laleczki: jasne brwi, złociste włosy, powiewające jak na sowieckim plakacie propagandowym. Miała na sobie chińską suknię – ptaki z mory naszyte na czarne tło – ściśle obejmującą jej zgrabną, krągłą talię. Głębokie wycięcie odsłaniało nieskazitelne piersi. Niepoprawiane (Diana to wiedziała). Zmysłowym czarem pięćdziesięciopięcioletnie stworzenie nie ustępowało nikomu. Diana poczuła się nagle chudsza i bardziej niezgrabna niż kiedykolwiek.

Wzruszyła ramionami i pozwoliła poprowadzić się do środka, ale mruknęła, wskazując podbródkiem Lucjana:

– Powiesz o nim przy stole choć słówko, to cię znokautuję.

Matka kiwnęła głową potakująco, nawet nie zwracając uwagi na brutalny język córki. Diana szła za nią przez bardzo długi korytarz. Nie oglądając się, mijała wielkie, znane na pamięć pokoje. Egzotyczne meble rzucały cienie na kilimy, rozsnute niczym połacie nieba. Nowoczesne obrazy ożywiały swym barwnym zuchwalstwem nieskazitelnie białe ściany. A tu i ówdzie, wśród

kątówek i niskich stolików, stały dyskretnie, jak eleganccy wartownicy, małe, niepozorne lampki.

Sybilla przyszykowała drewniane, malowane łóżeczko w oświetlonym pokoju, pełnym jedwabiu i tiulu. Diana zaniepokoiła się nagle, że jej matka za bardzo przejmie się rolą babci. Zdecydowała się jednak na zawieszenie broni. Pochwaliła wystrój pokoju i ostrożnie położyła Lucjana w łóżeczku. Przez chwilę obie kobiety zgodnie podziwiały dziecko.

Kiedy wychodziły, Sybilla od razu zaczęła swoją zwykłą paplaninę: towarzyskie ploteczki i ostrzeżenia związane z kolacją. Diana nie słuchała. Na progu salonu kobiątka odwróciła się i obrzuciła badawczym wzrokiem strój córki. Wyglądała na lekko spłoszoną.

– Co? – spytała Diana.

Miała na sobie króciutki sweterek, obszerny, płócienny spodnie przepasane na biodrach, kurtkę z czarnych sztucznych piór.

– Co? – powtórzyła. – O co chodzi?

– O nic. Po prostu mówiłam ci, że będziesz siedziała naprzeciw ministra. Urzędującego.

Diana wzruszyła ramionami.

– Politykę mam gdzieś.

Sybilla uśmiechnęła się wyrozumiale, otwierając drzwi salonu:

– Bądź wyzywająca, zabawna, głupia. Bądź, czym tylko chcesz. Tylko nie zrób skandalu.

Goście sączyli mieniące się ochrowo i rudo alkohole, siedząc w fotelach tej samej barwy. Mężczyźni byli siwi, starzy, hałaśliwi. W tle małżonki toczyły bezgłośnie walki, szacując dzielące ich różnice wieku, jakby obliczały głębokość fos pełnych krokodyli. Diana westchnęła: zapowiadały się śmiertelne nudy.

Zarazem odnajdywała jednak dobrze znajome i raczej zabawne upodobania matki. A więc gdzieś w głębi szemrała muzyka Led Zeppelin – matka, od czasu swej szalonej młodości, słuchała tylko hard rocka i free jazzu. Dostrzegła też na nakrytym stole dziwne sztuce ze szklanego włókna – Sybilla miała alergię na metal. Co do menu, to wiedziała, że będzie się składało głównie z jakiegoś słono-słodkiego dania na miodzie, substancji, którą jej matka przyprawiała wszystkie potrawy swojej roboty.

– Moje maleństwo! Chodź się ze mną przywitać.

Diana z uśmiechem na ustach podeszła do ojczyma, który wyciągał do niej rękę. Charles Helikian, mały, krępy, przypominał perskiego króla. Miał matową cerę i rozłożystą brodę wokół twarzy.

Jego kędzierzawe włosy tworzyły nad czaszką aureolę i przypominały chmury burzowe; dziwnie harmonizowały z nimi ciemne oczy. „Moje maleństwo” – upierał się tak ją nazywać. Dlaczego „maleństwo”, skoro Diana miała prawie trzydzieści lat? I dlaczego „moje”, skoro Charles ją poznał jako czternastoletnią dziewczynę? Tajemnica. Nie próbowała rozszyfrowywać jego żarcików językowych i pomachała mu przyjaźnie ręką, nie nachylając się ku niemu. Charles nie nalegał: wiedział, że pasierbica nie lubi demonstrować uczuć.

Siedli do stołu. Jak zawsze – Charles elokwentnie kierował rozmową. Diana od początku przepadała za tym entym już towarzyszem swej matki, który szybko został jej oficjalnym ojczymem. W życiu zawodowym był znakomitością. Najpierw założył kilka gabinetów psychologii przedsiębiorstw, potem przerzucił się na doradztwo, znacznie dyskretniejsze, dla wielkich przedsiębiorców i osobistości politycznych. Jakie rady? Czego dotyczące? Diana nigdy nic nie rozumiała z tej jego roboty. Nie wiedziała, czy Charles dobiera tylko swym klientom kolory garniturów, czy kieruje ich przedsiębiorstwami.

Po prawdzie – nie obchodziła jej ani ta praca, ani ten sukces. Podziwiała Charles’a dla jego ludzkich zalet: za wspaniałomyślność, za humanitarne przekonania. Ten był gozysta sam pokpiwał ze sprzeczności, związanych z jego majątkiem i pozycją społeczną. Mieszkając w zbyt kownym apartamencie, nadal głosił altruistyczne hasła, opowiadał się za władzą ludu i równością społeczną. Nie wahał się sławić „społeczeństwa bezklasowego” czy „dyktatury proletariatu”, które skądinąd spowodowały większość ludobójstw i dyktatur XX wieku. W ustach Charlesa Helikiana te wyklęte słowa odzyskiwały całą swą moc. Nie tylko dlatego, że wspaniale mówił, ale też dlatego, że zachował w głębi serca wiarę, szczerość, świeżość – wciąż nieskalane.

Diana odczuwała tajemną nostalgię za tymi ideałami, których sama nie wyznawała, a którymi żyło pokolenie jej matki. Przypominała pod tym względem kogoś, kto nigdy nie tknął papierosa, ale docenia wyrafinowany zapach tytoniu. Mimo masakr, ucisku, niesprawiedliwości nigdy nie umiała się wyzbyć dziwnego zafascynowania utopią rewolucyjną. A kiedy Charles porównywał czerwony socjalizm do inkwizycji, kiedy tłumaczył jej, że ludzie przechwycili najpiękniejszą z nadziei i przekształcili ją w kult bezwzględnej siły, ona słuchała go z szeroko otwartymi oczyma, niczym mała, poważna dziewczynka, którą kiedyś była.

Tego wieczoru rozmowa obracała się wokół ogromnych, świetlanych, nieskończonych perspektyw, jakie otwierał system komunikacji przez Internet. Charles nie zgadzał się z tym: pod blichtrzem nowej technologii dostrzegał nowy sposób alienacji, zmierzający do tego, by skłonić

wszystkich do większej konsumpcji, by jeszcze trochę bardziej utracili kontakt z rzeczywistością i wartościami ludzkimi.

Biesiadnicy przy stole potakiwali. Diana przyglądała im się. Ci szefowie firm, ci politycy z pewnością mieli gdzieś Internet i jego ewentualne skutki alienacyjne. Byli tu dla przyjemności – przyjemności wysłuchania niebanalnych poglądów wypowiedzianych z zapałem, przyszli, by dać się oczarować temu znawcy cygar. Przypominał im ich młodzieńcze zapały, jakie teraz mogli już tylko udawać.

Nagle minister zwrócił się wprost do niej:

– Pani matka mówiła mi, że jest pani etologiem.

Miał krzywy uśmiezek, garbaty nos i oczy poruszające się jak japońskie algi. Diana wyszeptała:

– To prawda.

Polityk uśmiechnął się do pozostałych gości, jakby prosił ich o wyrozumiałość.

– Muszę przyznać, że nie wiem, co to jest – powiedział.

Diana przymknęła oczy. Czowała, że się czerwieni. Jej ramię spoczywało skośnie na rogu stołu.

Wyjaśniła obojętnym tonem:

– Etologia to nauka o zachowaniu się zwierząt.

– Jakie zwierzęta pani bada?

– Dzikie. Gady. Drapieżne. Ptaki, ale zwłaszcza ssaki.

– To nie jest świat zbyt... kobiecy.

Podniosła oczy. Wszystkie spojrzenia były skierowane na nią.

– To zależy. Wśród lwów tylko samica poluje. Samiec zostaje przy małych, żeby ich bronić przed atakami innych klanów. Lwica jest z całą pewnością najbardziej morderczym stworzeniem w dżungli.

– To dosyć ponure...

Diana wypła kieliszek szampana.

– Przeciwnie. To jedna ze stron życia.

Minister roześmiał się dobrodusznie:

– Odwieczny komunał: życie karmi się śmiercią...

– Ten komunał, tak jak inne, potwierdza się przy każdej okazji.

Zapadło milczenie. Sybilla roześmiała się w panice:

– To nie powinno wam przeszkodzić w spróbowaniu mojego deseru!

Diana zerknęła na nią kpiąco i zauważyła na twarzy matki nerwowy tik. Podano talerzyki i łyżeczki.

Ale polityk podniósł rękę:

– Tylko jedno pytanie.

Obecni natychmiast znieruchomieli. Diana zrozumiała, że dla pozostałych gości ten człowiek przez cały czas kolacji nie przestał ani na chwilę być ministrem. Wpatrując się w nią uważnie, zapytał:

– A po co ten złoty kolczyk w nosie?

Diana rozłożyła ręce, jakby chciała podkreślić, że mówi rzecz oczywistą. Jej pierścionki z kutego srebra odbijały płomienie świec.

– Żeby roztopić się w masie, jak sądzę.

Małżonka ministra, siedząca po jego prawej ręce, przechyliła się ku niej między dwiema świecami i powiedziała:

– Chyba nie należymy do tej samej masy.

Diana opróżniła swój kielich. Dopiero w tej chwili poczuła, że wypita za dużo. Powiedziała, zwracając się do polityka:

– Ze wszystkich gatunków zebr tylko niektóre można jeszcze spotykać. Wie pan jakie?

– Nie, oczywiście.

– Zebry, których ciało jest całe pokryte pręgami. Inne znikły. Ich kamuflaż nie był wystarczający, by powodować efekt stroboskopowy, kiedy biegły wśród traw.

Minister powiedział ze zdziwieniem:

– Co to ma wspólnego z pani kolczykiem? Jak to rozumieć?

– Chcę powiedzieć, że kamuflaż, jeśli ma zadziałać, musi być kompletny.

Wstała i pokazała swój pępek, także przekłuty złotą szpilą na której wisiał błyszczący kolczyk. Mężczyzna uśmiechnął się i poruszył na krześle. Jego małżonka cofnęła się w cień z kamienną twarzą. Wokół stołu rozległ się szmer zakłopotania.

Diana stała teraz w przedpokoju. Lucjan wciąż spał w jej ramionach, zawinięty w kołderkę z polaru.

– Wariatka jesteś. Po prostu wariatka.

Matka mówiła bardzo cicho. Diana otworzyła drzwi.

– Co ja takiego powiedziałam?

– To są poważni ludzie. Tolerują cię przy swoim stole i...

– Mylisz się, mamo. To ja ich tolerowałam. Obiecałaś mi kolację w rodzinnym gronie, nie?

Sybilla, zbita z tropu, zaprzeczyła ruchem głowy. Diana mówiła dalej:

– W każdym razie zastanawiam się, co byśmy sobie powiedzieli...

Matka potrząsała swymi blond włosami.

– Musimy się spotkać. Zjedźmy razem obiad.

– Właśnie. Zjedźmy obiad. Cześć.

Na podeście schodów oparła się o ścianę i chwilę stała w ciemności. Wreszcie odetchnęła. Czula ciepłe ciało dziecka i sam ten kontakt ją uspokajał. Powzięła nowe postanowienie. Musi koniecznie trzymać Lucjana z dala od tego sztucznego świata. A zwłaszcza – od swojego rozdrażnienia, jeszcze bardziej nedorzecznego niż te eleganckie kolacyjki.

– Mogę go zobaczyć?

Charles stał w oświetlonych drzwiach. Podeszedł bliżej, żeby obejrzeć uśmiechniętą twarzyczkę.

– Jest bardzo piękny.

Pachniał mężczyzną – mieszaniną wykwintnych perfum i zapachu cygar. Zaczynało jej się robić nieswojo. Charles pogłaskał Lucjana po włosach.

– Z czasem upodobni się do ciebie.

Zaczęła schodzić po schodach, mamrocąc:

– No, dobrze. Zejdę pieszo. Nie znoszę wind.

– Zaczekaj.

Charles przytrzymał ją nagle za ramię i przyciągnął jej twarz do swoich ust. Szarpnęła się w tył, ale za późno: wargi mężczyzny dotknęły jej warg. Natychmiast ogarnął ją niepowstrzymany wstręt.

Zeszła parę kroków tyłem, z wytrzeszczonymi oczami. Charles stał nieruchomo na podeście. Szepnął ledwie dosłyszalnie:

– Powodzenia, moje maleństwo.

Diana zbiegła po schodach, lżejsza od pająka.

Światła tunelu gnały z szybkością wodospadu.

Diana pomyślała o filmach SF. Pościgi w rozświetlonych neonami podziemiach. Pistolety strzelające oślepiającymi wiązkami światła. Jechała z gazem do dechy skrajnym lewym pasem bulwaru okrężnego. Opary alkoholu mąciły jeszcze jej myśli.

Jedyną więzią z rzeczywistością wydawała się trzymana w rękach kierownica. Prowadziła toyotę landcruiser. Terenówka z napędem na cztery koła, ogromna, którą odkupiła po jednej z afrykańskich wypraw. Diana była bardzo przywiązana do tego starego rzecha z kratowaną, opływową karoserią, niezdolnego przekroczyć stu dwudziestu na godzinę.

Wyskoczyła z tunelu w ulewny deszcz, tłukący z metalicznym szmerem. Odruchowo spojrziała na odbicie Lucjana w lusterku wstecznym – wyregulowała je tak, by mały znajdował się w polu widzenia. Dziecko spało spokojnie w foteliku.

Skupiła się na prowadzeniu. Jak zwykle wjechała na obwodnicę przy Porte d'Auteuil i zmierzała teraz ku Porte Maillot. W ten sposób nakładała trochę drogi, ale unikała labiryntu szesnastej dzielnicy. Ojczym tysiąc razy próbował jej wytłumaczyć dokładnie drogę, a ona tysiąc razy rezygnowała ze zrozumienia tych meandrów. Charles, widząc to, śmiał się głośno i też rezygnował.

Charles.

Co miał znaczyć ten pocałunek? Odpędziła to wspomnienie, jakby je wypluwała, i pochyliła się, żeby lepiej widzieć zalany deszczem bulwar. Dlaczego to zrobił? Czy to jeszcze jeden z jego ekscentrycznych postępów? Jedna z przyjętych póż? Nie: ten pocałunek nie był po prostu jego kokieterijnym żarcikiem. Ten gest miał jakieś inne znaczenie. Zresztą – po raz pierwszy objął ją w ten sposób.

Fale ulewy waliły gwałtownie w przednią szybę. Widoczność była bliska zeru. Diana spróbowała zwiększyć szybkość poruszania się wycieraczek. Na próżno. Zerknęła we wsteczne lusterko. Lucjan wciąż spał. Pomarańczowe błyski latarni sodowych przelatywały mu po twarzy. Ten obraz ją uspokoił. Chłopczyk ustawił jej los. Dał siłę, jakiej w sobie nie podejrzewała. Teraz w jej życiu nie liczyło się nic innego.

Kiedy wróciła wzrokiem na jezdnię, ogarnęło ją przerażenie.

Potężny tir sunął przez ogromne warkocze ulewy, zataczając się po czterech pasach jezdni, jakby nikt nim nie kierował.

Diana wyhamowała. Ciężarówka uderzyła w przedzielające jezdnię bariery zabezpieczające, wyrywając z głośnym łomotem metalowe szyny. Kabina kierowcy podskoczyła gwałtownie, podczas gdy naczepa sunęła w poprzek drugiej jezdni. Czoło maszyny obróciło się o trzy czwarte i zaczepiło o bariery, tym razem prawym bokiem. Wśród deszczu rozległ się metaliczny zgrzyt, trysnęły snopy iskier, a światła potwora omiały całą tę zawieruchę.

Diana chciała krzyczeć, ale głos uwiązł jej w gardle. Jeszcze mocniej wcisnęła hamulec, ale zamiast zwolnić – gwałtownie przyśpieszyła. Była jak sparaliżowana. Jej samochód sunął z maksymalną szybkością z zablokowanymi kołami, utraciłszy wszelką przyczepność. Ciężarówka w poślizgu obracała się wokół siebie całym swym ogromem.

Toyota była już tylko kilka metrów od potwora. Diana znów nacisnęła hamulec. Krótkimi ruchami pedału próbowała odzyskać przyczepność. Wszystko na nic: wciąż nabierała prędkości i miała wrażenie, że ten ułamek sekundy trwa już wieczność.

Nagle zdała sobie sprawę, że za chwilę uderzy w żelazny bok maszyny. Wrażenie było takie, jakby miała przelecieć przez zderzenie, przedrzeć się przez metal i wbić w głąb ciężarówki. Widziała się martwą, zmiażdżoną, pokawałkowaną, leżącą w błotnistej kałuży z krwi, ciała i żelaza.

Ryk wydarł jej się wreszcie z gardła. Skręciła gwałtownie kierownicę w lewo.

Samochód wbił się w rozdarte szyny bariery. Uderzenie odebrało jej oddech. Rozcięła sobie skórę głowy o lusterko. Pociemniało jej w oczach i w tej samej chwili gdzieś wewnątrz niej rozbłysło jaskrawe światło. Jeszcze chwila. Kulminacja – rozmazana, bez dalszego ciągu. Diana zakaszła, czknęła, wypluła krwawy śluz. Niejasno zrozumiała... jej ciało zrozumiało: żyje.

Otworzyła powieki. Przezroczysty kształt, który tkwił przed jej oczyma, to była po prostu przednia szyba, wypchnięta wskutek odkształcenia karoserii. Spróbowała poruszyć głową i wywołała szklany deszcz. Głowę miała ściśniętą przez przegrodę oddzielającą bagażnik, która wyrwana uderzeniem wylądowała na jej ramionach jak jarzmo. Poprzez ból Diana poczuła, jak rośnie w niej nowy lęk: przednia szyba była cała. Skąd odłamki szkła?

Pierwsza świadoma myśl dotyczyła Lucjana. Odwróciła głowę i zamarła w osłupieniu: dziecięcy fotelik był pusty.

Tylne siedzenie pokrywały tysiące przezroczystych odłamków i ślady krwi. Ulewa wdzierała

się przez rozbite okno i moczyła pokrycie fotelika, malowane w małe niedźwiadki. Rękoma odartymi ze skóry, po omacku, Diana znalazła okulary. Były usiane gwiazdzistymi pęknięciami, ale potwierdziły straszliwy fakt: dziecka w samochodzie nie było. Zderzenie wyrzuciło je przez boczną szybę.

Diana zdołała odpiąć pas. Napała ramieniem na drzwiczki i wydostała się na zewnątrz. Runęła od razu w kałużę, rozdzierając jednocześnie kurtkę o krawędź bariery. Mimo oszołomienia poczuła pod sobą wilgotny trawnik, smród spalonego oleju. Podniosła się i poszła chwiejnym krokiem ku jezdni.

Światła samochodów przecinały noc. Klaksony wyły. Niczego nie widziała wyraźnie. Tylko rozlane paliwo na jezdni, mieniące się w światłach jak kawałki tęczy.

Znów pokuśtykała, wychwytyjąc spojrzeniem to tu, to tam strzępy apokalipsy. Ciężarówkę, rozłożoną w kształt odwróconego V na całą szerokość bulwaru. Jaskrawe logo jej firmy wzdłuż trzaskającej pośród ulewy plandeki. Kierowcę, wypadającego z kabiny z głową osłoniętą rękami, z ramionami ociekającymi krwią. Ale nie widziała Lucjana. Ani śladu ciała dziecka.

Podeszła jeszcze bliżej do naczepy. Nagle zatrzymała się. Dostrzegła dziecinny bucik – czerwoną tenisówkę – a potem, parę metrów dalej, ten cień, którego wypatrywała. Był tutaj. Na samej granicy dwóch części tira, wcisnięty pod system mocujący przyczepę, omotany w wyrwane kable, osnuty obłokami pary. Widziała teraz każdy szczegół. Malutką główkę spoczywającą w ciemnej kałuży, ciało do połowy wsunięte pod żelastwo, bluzę z polaru nasączoną paliwem i deszczem... Diana zebrała resztkę sił i podeszła bliżej.

– Niech pani tam nie idzie...

Jakaś ręka ją zatrzymała.

– Proszę tam nie iść. Nie powinna pani tego oglądać.

Diana patrzyła na mężczyznę, nie rozumiejąc, co mówi.

Jakiś inny głos odezwał się z lewej:

– Nic już pani nie poradzi...

Dźwięki roztapiały się w szumie ulewy. Nie chwytала znaczenia słów. Jeszcze jeden głos:

– Wszystko widziałem... A niech to... Nie do wiary, że nic się pani nie stało... Pewnie pasy panią uratowały...

Tym razem zrozumiała, co do niej mówią. Wywinęła się z powstrzymujących ją rąk i wróciła do samochodu. Obeszła wóz, opierając się o rozpaloną karoserię i dotarła do prawych tylnych

drzwiczek toyoty. Szarpnęła ze wszystkich sił i zdołała je otworzyć. Obejrzała dokładnie fotelik dziecięcy. Był obsypany szklanym miałem.

Pas z polikarbonu leżał swobodnie obok siedzenia.

Nie zapięła pasa Lucjana.

Przez nieuwagę zabiła własne dziecko.

Gdzieś w środku niej rozpętała się burza. Zalśniła błyskawica. Zagrzmiął grom.

Ziemia uniosła się w górę: to ona padała na kolana.

Przestała myśleć, straciła świadomość, nie wiedziała nic. Słyszała tylko brzęk swych bransolet, a kiedy biła się pięściami po twarzy, czuła na niej krew zmieszaną z deszczem.

8

Salka reanimacyjna była otoczona trzema oszklonymi ściankami i wychodziła na korytarz, także obrzeżony przezroczystymi ściankami innych salek. Diana siedziała po ciemku w szpitalnej bluzie, czepku na głowie i w papierowej masce, zwrócona znieruchomiałą twarzą w kierunku chromowanego łóżeczka. I jakby w jego władzy. Unieruchomiona przez tę metalową, obwieszoną kablami i aparaturą kolebkę, w głębi której spoczywał Lucjan.

W usta dziecka wsunięta była rurka intubacyjna połączona z respiratorem. Dren od kroplówki prowadził wzdłuż jego prawej rączki do pompy infuzyjnej, pozwalającej, jak jej objaśniono, podawać lekarstwo przez dwadzieścia cztery godziny na dobę z dokładnością do mililitra i do minuty. Na lewym ramieniu cewnik mierzył chłopcu ciśnienie, a klips zaciśnięty na palcu, błyszczący w ciemnościach jak rubin, „nasylenie tlenem”.

Diana wiedziała, że gdzieś tam pod prześcieradłami są także elektrody kontrolujące bicie jego serca. Nie widziała też – i tym lepiej – drenów wsuniętych pod szeroki bandaż opasujący czaszkę. Jej oczy padły niemal odruchowo na ekran po lewej stronie łóżka. Widać na nim było świetlisto-zielone fale i cyfry, informujące bez przerwy o czynnościach życiowych pogrążonego w śpiączce dziecka.

Wszystko to kojarzyło się Dianie z kaplicą. Miejscem skupienia i żarliwej modlitwy, oświetlonym słabym blaskiem ikon, cyboriów, świec... Te lśniące krzywe, te kwarcowe cyfry, to były jej świece. Wotywnie płomyczki, w które złożyła swoje nadzieje, swoje modlitwy.

Obecnie niemal mieszkała w tym pokoiku oddziału neurochirurgii pediatricznej szpitala Neckera. Od czasu wypadku praktycznie nie spała ani nie jadła. Nie brała też żadnych środków uspokajających. Odtwarzała tylko w myślach, wciąż i wciąż, każde ze swych wspomnień – każdą minutę, każdy szczegół od chwili zderzenia.

Przyjazd pierwszej karetki pogotowia przerwał jej atak rozpacz.

Dopiero w tym momencie przestała walić się po twarzy i przyjrzała się ciężarówce, która włączywszy syrenę, przedzierała się przez chaos stojących samochodów. Czerwona. Chromowana. Obwieszona metalowymi narzędziami. Wyskoczyli z niej strażacy w kombinezonach, a po pasie awaryjnym już nadjeżdżał drugi pojazd, oznaczony logo policji

miejskiej. Policjanci skupili się na kierowaniu ruchem. Ubrani w odblaskowe pomarańczowe płaszcze nieprzemakalne, oznakowali jezdnię i skierowali falę samochodów na skrajny prawy pas, jedyny, którego nie blokowała przyczepa tira.

Diana stanęła koło toyoty. Strażacy odsunęli ją bez ceremonii i zaraz zaczęli oblewać jej samochód pianą. Spłoszona, czuła, jak zbiera się wokół coraz więcej kierowców, dochodził do niej szmer głosów, szum deszczu. Ale słyszała tylko własne słowa, rozlegające się miarowym rytmem w jej świadomości: „Zabiłam moje dziecko. Zabiłam moje dziecko...”.

Odwróciła się do ciężarówki i wśród zakapturzonych sylwetek poruszających się w świetłach tunelu zobaczyła jakiegoś człowieka w skórzanym płaszczu, który wycofywał się z tej właśnie strefy, gdzie pod szczątkami ciężarówki leżał jej chłopczyk. Instynktownie ruszyła w jego kierunku. Strażak wślizgnął się do swego samochodu i chwycił nadajnik radiowy. Kiedy Diana była w odległości kilku metrów od niego, dosłyszała, jak krzyczy do mikrofonu krótkofalówki:

– Tu jednostka interwencyjna straży pożarnej, Porte Passy... Co tam do cholery z ambulansem?

Diana szła wciąż pod cienkimi igiełkami deszczu. Mężczyzna ryczał do nadajnika:

– Jest jedna ofiara. Dzieciak. Tak... Oddycha, ale...

Nie dokończył zdania. Odrzucił mikrofon i pobiegł do ambulansu, który właśnie pojawił się pośród kolumn wody. Diana czytała błyszczące na karoserii litery: POGOTOWIE MEDYCZNE, POMOC DROGOWA Necker 01. Nagle wszystko się w niej odmieniło. Jeszcze sekundę wcześniej była nieprzytomna, odrętwiała, pusta, półmartwa. Teraz śledziła każdy szczegół, patrzyła z biciem serca, jak z wielkimi plecakami na ramionach nadbiegają ludzie z pogotowia. Nadzieja. Jest nadzieja.

Ruszyła za nimi i w ten sposób udało jej się przedostać przez szpaler policjantów. Przynurła się, jak mogła najbliżej, do kabiny ciężarówki. Wielka plama oleju i benzyny widniała na asfalcie. Nie mieszała się z wodą padającego deszczu. Refleksy pomarańczowej pary, rozchodzącej się od latami ulicznych, zabarwiały jej powierzchnię. Wszyscy mężczyźni byli nachyleni nad jednym miejscem. Diana nie widziała już swego dziecka.

Podeszła bliżej i zmusiła się, by przyjrzeć się scenie dokładniej. Drżała na całym ciele, ale jakaś ukryta energia trzymała ją w ryzach, zmuszała do obserwowania sytuacji. Wypatrzyła wreszcie kruchą sylwetkę. Nogi się pod nią ugięły, kiedy dojrzała zranioną czaszkę skąpaną w czarnej kałuży. Między wyrwanymi włosami zauważyła półksiężyc czerwonego mięsa,

nagiego, żywego. Opadła na kolana i dopiero z tej pozycji dostrzegła koło Lucjana mężczyznę skurczonego pod podwoziem ciężarówki. Ryczał do mikrofonu:

– OK. Stłuczenie mózgu. Pewnie obustronne. Tak. Pilnie potrzebny pediatra. Bardzo pilnie. Zanotowałeś?

Diana zacisnęła wargi. Usłyszane słowa wbijały jej się w ciało. Lekarz wydostał się z plątaniny metalu. Spod anoraka wyzierała mu biała bluza.

– Tak, śpiączka... W skali Glasgow...

Błyskawicznie otworzył oczy dziecka, dotknął jego szyi, pomacał nadgarstki:

– ...cztery.

Znowu uchylił powieki chłopca.

– Potwierdzam: w skali Glasgow cztery punkty. Pediatra jedzie? – Dodał, oglądając pośpiesznie prawe ramię Lucjana: – Mam też otwarte złamanie prawego łokcia. – Dotknął zakrwawionych włosów. – Rozcięta skóra głowy. Nic poważnego. Dalszy ciąg opisu za dziesięć minut.

Koło niego jeden pielęgniarz pośpiesznie rozrywał rzepy plecaka, drugi wsuwał zwinięte koce między dziecko a poskręcane blachy. Strażacy rozciągali plastikowe pokrowce, żeby osłonić ciało przed deszczem. Obecności Diany chyba nikt nie zauważał.

Teraz lekarz masował szczęki Lucjana, jednocześnie bardzo ostrożnie obnażając mu szyję. Jeden z pielęgniarzy wsunął mu pod kark kołnierz usztywniający. Lekarz zatrasnął go jednym ruchem.

– OK. Intubujemy.

W ręce pojawiła mu się przezroczysta rurka, którą natychmiast wsunął w półotwarte usta. Drugi pielęgniarz umieszczał już kaniulę w lewej ręce Lucjana. Ci ludzie działali szybko i pewnie, jakby kierowani odruchami warunkowymi.

– Czego pani tu szuka?

Diana podniosła wzrok. Lekarz nie dał jej czasu na odpowiedź, jakby przez deszcz odgadł wszystko z jej wzroku, jakby wyczytał rozpacz w złotych iskrach tęczówek.

– Ile ma lat?

Wybełkotała jakieś niezrozumiałe zdanie, potem powtórzyła mocniej, przekrzykując stukot deszczu o pokrowiec:

– Sześć albo siedem.

– Sześć albo siedem? – ryknął lekarz. – Jaja sobie pani robi?

– To jest dziecko adoptowane. Ja... ja dopiero co je adoptowałam. Kilka tygodni temu.

Lekarz znów otworzył usta, zawahał się, w końcu nie odpowiedział. Rozpiął kurteczkę Lucjana, podciągnął sweter. Diana poczuła coś jak uderzenie pięścią w brzuch. Tors małego był czarny. Dopiero po paru sekundach zrozumiała, że to nie krew, tylko olej. Lekarz kompresem wycierał mu klatkę piersiową. Nie podnosząc wzroku, zapytał:

– Czy ma jakieś obciążenia?

– Co?

Umocował przyssawki na nagiej piersi. Burknął:

– Jakies choroby? Problemy ze zdrowiem?

– Nie.

Wpiął w przyssawki elektrody.

– Szczepiony przeciw tężcowi?

– Tak. Dwa tygodnie temu.

Lekarz podał kable drugiemu pielęgniarzowi, a ten natychmiast podłączył je do tylnej ścianki skrzynki obciążonej czarnym płótnem. Lekarz już owijał ramię chłopca opaską ciśnieniomierza. Rozległ się sygnał dźwiękowy. Mężczyzna podawał pielęgniarzowi następne kable. Ten mocował je do jakiegoś innego aparatu.

Pod plandeką pojawił się jeden ze strażaków. Miał ogromne płócienne rękawice i ognioodporny kombinezon. Za nim powoli podjeżdżała na wstecznym biegu ciężarówka. Na jej boku ogromnymi literami było wypisane: SŁUŻBA RATOWNICZA. Zbliżały się jakieś nowe postaci, trzymając w rękach groźnie wyglądające narzędzia, połączone z kablami, pchając przed sobą na wózkach podnośniki hydrauliczne, podczas gdy inni, w ognioodpornych kombinezonach, ustawiali się łukiem, z węzami i gaśnicami w rękach. Szykowało się regularne natarcie.

– Zaczynamy?

Lekarz nie odpowiedział. Twarz miał zalaną potem. Znów rozległ się dźwięk rozdieranego rzepu. W rękach jednego z pielęgniarzy pojawił się monitor. Rozbłysły zielone światełka: linie, cyfry. Diana miała uczucie, że spełnia się coś niemożliwego. Na monitorze pulsował język życia.

Życia Lucjana.

Strażak ryknął:

– Zaczynamy czy nie, do ciężkiej cholery?

Doktor podniósł wzrok na opancerzonego strażaka:

– Nie, nie zaczynamy. Czekamy na pediatrę.

– Mowy nie ma. – Pokazał lśniący od benzyny asfalt. – Za minutę wszyscy...

– Jestem.

Pod plandekę wślizgnął się ktoś nowy. Potargany, posiniały z zimna, jeszcze bardziej rozmamłany niż pierwszy lekarz. Dwaj medycy zaczęli wymieniać jakieś niezrozumiałe uwagi, same skrót i liczby. Pediatra pochylił się nad Lucjanem i uniósł mu powieki.

– Cholera.

– Co?

– Rozszerzona źrenica.

Zapadło krótkie milczenie. Strażak zrobił w tył zwrot. Maszyny zbliżały się uparcie.

– OK – powiedział wreszcie nowy lekarz. – Coś uśmierającego. Pento Celo. Gdzie krótkofalówka?

Pierwszy lekarz uwijał się z pielęgniarkami przy chłopcu, drugi złapał tymczasem mikrofon. Teraz to on dla odmiany ryczał przez radio:

– Nowa diagnoza. Przygotujcie blok na neurologii. Podejrzenie krwaka nadtwardówkowego. Powtarzam: krwiak nadtwardówkowy! – Pauza. – Mamy jedno i drugie: uszkodzenie neurochirurgiczne i stłuczenie mózgu... – Znów pauza. – No przecież pojęcia nie mam! Jest rozszerzona źrenica, kropka. Gówno: to dzieciak. Niecałe siedem lat. Daguerre! Musimy mieć na bloku Daguerre'a! Koniecznie jego!

Znów pojawił się strażak. Lekarz pogotowia kiwnął głową na znak zgody. W kilka sekund zmieniło się wszystko. Pielęgniarki otulili dziecko filcowymi derkami, płóciennymi poduszkami. Nieco dalej szyny podnośników wsuwały się już pod podwozie ciężarówki.

– Musimy stąd iść – szepnął pierwszy lekarz do Diany.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc, potem, oszołomiona, przytaknęła. Ostatni obraz Lucjana, jaki pozostał jej w oczach, to była sylwetka leżąca na noszach, owinięta derkami, z oczami przykrytymi okularami z wacików.

W pokoju rozległ się przenikliwy świst. Diana wzdrygnęła się. Niemal natychmiast zjawiała się pielęgniarka. Nie spojrzawszy na siedzącą, zawiesiła na metalowym stelażu nową buteleczkę

z roztworem fizjologicznym i połączyła ją z kroplówką.

– Która godzina?

Pielęgniarka odwróciła się. Diana spytała ponownie:

– Która godzina?

– Dwudziesta pierwsza. Myślałam, że pani już wyszła.

Diana skinęła niepewnie głową i zamknęła oczy. Powieki niemal natychmiast zaczęły ją palić, jakby nie miała prawa do żadnego wypoczynku. Kiedy otworzyła oczy, pielęgniarki już nie było.

Wspomnienia znów wyrwały ją z teraźniejszości.

– Na pewno nie chce pani przejść do mojego gabinetu?

Diana popatrzyła na doktora Eryka Daguerre'a, który stał przy negatoskopie. Na świetlistym ekranie rysowały się zdjęcia rentgenowskie i skany czaszki Lucjana. Obrazy rzucały błyski na twarz chirurga.

Diana pokręciła przecząco głową i powiedziała bezbarwnym głosem:

– Jak poszło?

Operacja trwała ponad trzy godziny. Lekarz wbił ręce w kieszenie kitla.

– Zrobiliśmy, co się dało.

– Doktorze, proszę, niech mi pan odpowie konkretnie.

Daguerre nie spuszczał z niej oczu. Wszyscy mówili, że jest najlepszym neurochirurgiem szpitala Neckera. Wirtuozem, który już dziesiątki dzieci sprowadził znad nieprzekraczalnych granic śpiączki. Zaczął mówić:

– Pani dziecko miało prawostronny krwiałak nadtwardówkowy. – Wskazał miejsce na jednym ze zdjęć rentgenowskich. – Otworzyliśmy skroń, żeby dostać się do krwiała. Wyssaliśmy skrzepy i skoagulowaliśmy całą tę okolicę. To się nazywa hemostaza. Zamknęliśmy czaszkę, pozostawiając dren ssący, przez który wydostaną się resztki krwi. Z tego punktu widzenia wszystko udało się znakomicie.

– Z tego punktu widzenia?

Daguerre podszedł bliżej do oświetlonej szyby. Nie sposób było określić jego wieku – między trzydziestką a pięćdziesiątką. Jego twarz o ostrych rysach była niezwykle blada, ale nie chorobliwie. Przeciwnie: w tej bladości było jakieś światło, jasność bijąca z całego oblicza.

Postukał palcem w tomogramy mózgu.

– Lucjan doznał jeszcze jednego urazu. Obustronne stłuczenie mózgu, na które niewiele możemy poradzić.

– Czy jakieś części jego mózgu są uszkodzone?

Chirurg zrobił nieokreślony ruch.

– Po prostu nie wiadomo. Na razie mamy inny problem. Mózg, jak każda inna część ciała, ma skłonność do obrzęku pod wpływem uderzenia. Otóż czaszka jest zamknięta, na żadne rozszerzenie nie pozwala. Jeśli kości zbyt mocno ściskają narząd, nie może on spełniać swych żywotnych funkcji. Kończy się to śmiercią mózgu.

Diana oparła się o biurko. Niebieskawe odbicia zdjęć mieniły się na twarzy lekarza. Gorąco tej sali, wzmocnione promieniowaniem neonów, było nieznośne.

– Nic... Nic nie może pan zrobić?

– Założyliśmy pod czaszkę drugi dren, który pozwala stale śledzić ciśnienie wewnątrzczaszkowe. Jeśli jeszcze wzrośnie, zrobimy otwór odbarczający i wyprowadzimy kilka milimetrów płynu mózgowo-rdzeniowego. To jedyny sposób, by ulżyć mózgowi.

– Ale mózg nie będzie rozszerzał się w nieskończoność?

– Nie. Takie kryzysy będą coraz łagodniejsze, wreszcie zanikną. My musimy trzymać je pod kontrolą tak długo, aż wszystko wróci do normalnego stanu.

– Doktorze, proszę mi powiedzieć szczerze: Lucjan... no... czy wyjdzie z tego? Odzyska przytomność?

Nowy nieokreślony gest.

– Jeśli ciśnienie wewnątrzczaszkowe szybko spadnie, to wygraliśmy. Ale jeśli obrzęk mózgu będzie się powtarzał zbyt często, nic nie poradzimy. Śmierć mózgu będzie nieuchronna.

Chwila milczenia. Daguerre dokończył:

– Trzeba czekać.

Od dziewięciu dni Diana czekała.

Od dziewięciu dni co wieczór wracała w końcu do domu, zamieniając jedną samotność na inną, w swoim mieszkaniu przy ulicy la Valette, koło placu Panteonu, którego tumult przypominał jej o własnej bezradności.

Przeszła przez główny dziedziniec szpitala. Zespół szpitalny tworzył prawdziwe miasto,

z budynkami, sklepikami, kaplicą. W ciągu dnia panowało tu pozorne ożywienie, które pozwalało niemal zapominać o racji bytu budynków: o leczeniu, chorobach, walce ze śmiercią. Ale nocą, kiedy teren wypełniały już tylko cisza i samotność, budynki odzyskiwały swą posępną pychę i zdawało się, że czają się przy nich niepokój, choroby, śmierć. Diana poszła ostatnią aleją, prowadzącą do głównej bramy.

– Diana!

Zatrzymała się i zmrużyła oczy.

Od świetlistych kul światła na trawniku odcinał się cień jej matki.

9

– Jak on się czuje? – spytała Sybilla Thiberge. – Mogę wejść go zobaczyć?

– Rób, co chcesz.

Drobna sylwetka, jak zwykle w aureoli zbyt jasnych włosów, powiedziała łagodnie:

– O co chodzi? Spóźniłam się? Spodziewałaś się mnie wcześniej?

Diana wpatrywała się w jakiś nieokreślony punkt gdzieś bardzo daleko, za Sybillą. Powiedziała w końcu, spoglądając na matkę z całej wysokości swego wzrostu – była wyższa od niej o dobrych dwadzieścia centymetrów:

– Wiem, co ty myślisz.

– A niby co ja myślę?

Sybilla mimo woli podniosła nieco głos. Diana oznajmiła:

– Myślisz, że nie powinnam była adoptować tego dziecka.

– To ja ci doradziłam to rozwiązanie!

– Charles.

– Mówiliśmy o tym ze sobą.

– Mniejsza o to. Myślisz, że nie tylko nie byłabym zdolna wychować chłopca, uczynić go szczęśliwym, ale że go po prostu zabiłam.

– Nie mów takich rzeczy.

Diana nagle ryknęła:

– A może to nieprawda? Może nie zapomniałam zapiąć mu pasa? Może ktoś inny mnie wpieprzył w tę barierę?

– Szofer ciężarówki zasnął. Sam się przyznał. Ty tu nie zawiniłaś.

– A alkohol? Gdyby Charles nie zatuszował wyników testu alkoholowego, siedziałabym pewnie w pierdlu.

– Cholera, mów ciszej.

Diana pochyliła głowę i dotknęła bandaży, które pokrywały jej czoło i skronie. Czowała, że mdleje. Z głodu i zmęczenia traciła równowagę. Poszła w kierunku głównej bramy, nawet nie żegnając się z matką, ale nagle zawróciła i powiedziała:

– Chciałabym, żebyś wiedziała jedną rzecz.

– Co?

Obok nich przeszły dwie pielęgniarki, pchając łóżko na kółkach. Pod pledem rysowało się ciało podłączone do kroplówki.

– Chciałabym, żebyś wiedziała, że to wszystko z twojej winy.

Sybilla skrzyżowała ramiona, gotowa do starcia.

– Bardzo proste wyjaśnienie – powiedziała.

Diana podniosła głos jeszcze bardziej:

– Nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego jestem w takim stanie? Dlaczego moje życie jest taką katastrofą?

Sybilla odpowiedziała z ironią:

– Nie, jasne, że nie. Od piętnastu lat widzę, jak moja córka tonie, ale gwizdę na to beztrosko. Obwożę ją po wszystkich psychologach Paryża, ale oczywiście tylko dla zachowania pozorów. Usiłuję z nią rozmawiać, przełamać jej milczenie, ale tylko dla czystego sumienia! – Teraz już krzyczała. – Od lat próbuję się zorientować, co z tobą jest! Jak możesz mówić coś takiego?

Diana zaśmiała się szyderczo:

– To jak z tym żdźbłem w oku bliźniego.

– Co ty wygadujesz?

– Kamyk jest w twoim ogródku.

Znów zapadło milczenie. W ciemnościach szeleściły liście.

Sybilla wciąż poprawiała fryzurę, co było u niej wyraźną oznaką zaniepokojenia.

– Powiedziałaś już za dużo, moja droga – stwierdziła wreszcie. – Wyjaśnij, o co ci chodzi.

Dania aż zakręciło się w głowie. Przeszłość nareszcie objawi się w pełnym świetle.

– Jestem w takim stanie przez ciebie – wysapała. – Przez twój egoizm, twoją absolutną pogardę dla wszystkiego, co nie jest tobą...

– Jak możesz wygadywać takie rzeczy? Wychowałam cię sama i...

– Mówię o tym, co w tobie tkwi naprawdę. Nie o roli, jaką grasz na zewnątrz.

– Co ty możesz wiedzieć o tym, co we mnie tkwi naprawdę?

Dania miała wrażenie, że idzie gorącym tropem. Ciągnęła dalej:

– Mam dowód na to, co mówię...

Pauza. Chwila paniki. Głos Sybilli zadrżał:

– Do... dowód? Jaki dowód?

Diana starała się mówić powoli. Chciała, żeby do tamtej dotarła każda sylaba.

– Ślub Izabeli Ybert, czwarte tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku. To wtedy się wszystko zaczęło.

– Nic nie rozumiem. O czym ty mówisz?

– Nie pamiętasz? To mnie nie dziwi. Przygotowywałyśmy się przez miesiąc, o niczym innym nie mówiłyśmy. I potem, ledwie tam dotarliśmy, znikasz nie wiadomo gdzie. Zostawiasz mnie, tak jak stoję, w tej mojej sukieneczce, w pantofelkach, z moimi dziewczęcymi złudzeniami...

Sybilla przyglądała jej się z niedowierzaniem:

– Ledwie coś z tego pamiętam...

W Dianie coś pękło. Czowała, jak wzbierają w niej łzy, ale pohamowała je natychmiast.

– Zostawiłaś mnie, mamo. Poszłaś sobie z jakimś facetem...

– Z Charles'em. Właśnie tego wieczoru go poznałam. – Znów mówiła głośniej. – Uważasz, że miałam ciągle poświęcać dla ciebie życie osobiste? Diana powtarzała uparcie:

– Zostawiłaś mnie. Naj-zwy-czaj-niej w świe-cie mnie zos-ta-wi-łaś!

Sybilla jakby wahała się chwilę, po czym podeszła bliżej z otwartymi ramionami.

– Słuchaj – powiedziała już innym tonem. – Jeśli ta historia cię zraniła, to proszę cię o wybaczenie. Ja...

Diana odskoczyła w tył:

– Nie dotykaj mnie. Nikt mnie nie dotyka.

Już wiedziała, że nie opowie jej o tamtym wypadku. Ta prawda nie przejdzie linii jej warg. Powiedziała nakazującym tonem:

– Zapomnij o tym wszystkim.

Czowała się twardsza od stali, otoczona drobinami siły. To była jedyna korzyść z tego, co ją wtedy spotkało: rozpacz, lęk stopniowo przekształciły się w zimną wściekłość, w opanowanie. Ruchem głowy wskazała blok chirurgii dziecięcej i słabo oświetlone okna oddziału intensywnej terapii.

– Jeśli masz jeszcze łzy, zachowaj je dla niego.

Kiedy się odwróciła, wydało jej się, że szelest drzew owija ją jakimś złowróżbnym płaszczem.

10

Potem przyszły następne dni, następne noce.

Diana już ich nie liczyła. Tylko alarmy dochodzące z oddziału intensywnej terapii wyznaczały rytm jej codzienności. Od ostatniej kłótni z matką czterokrotnie doszło do rozszerzenia źrenic. Czterokrotnie źrenice dziecka nieruchomiały, zapowiadając bliski koniec. Za każdym razem lekarze odprowadzali, z pomocą drenów, parę mililitrów płynu mózgowo-rdzeniowego, by ulżyć mózgowi. W ten sposób udało im się zapobiec najgorszemu.

Diana żyła wpatrzona w wargi doktorów. Obracała w myślach każde ich słówko, najmniejszą zmianę intonacji, i miała do siebie ogromne pretensje o to uzależnienie. Tylko te pytania wypełniały jej umysł i dręczyły ją wciąż na nowo, niczym nieustająca tortura. Sypiała przerywanym snem, nieświadoma siebie do tego stopnia, że czasem nie wiedziała już, czy czuwa, czy śni. Jej zdrowie pogarszało się w zawrotnym tempie, ale wciąż nie chciała słyszeć o żadnych lekarskich. W gruncie rzeczy to samoudręczenie oszałamiało ją, ogłuszało jak jakiś trans religijny i pozwalało jej nie patrzeć prawdzie w oczy: nadziei już nie było. Życie Lucjana zależało teraz od pracy całej sfory maszyn, od bezdusznej techniki.

Żeby z nim skończyć, wystarczyłoby tylko nacisnąć wyłącznik elektryczny.

Tamtego dnia, około piętnastej, posłuszeństwa odmówiło jej własne ciało. Diana straciła przytomność na schodach oddziału pediatrycznego i zjechała całe piętro na plecach. Eryk Daguerre wstrzyknął jej dożylnie dawkę glukozy i kazał wracać na noc do domu. O dyskusji nie było mowy.

Mimo to około dziesiątej tego samego wieczoru Diana znów przekroczyła bramę szpitala, uparta, wściekła, chora – ale obecna. Dręczyło ją niejasne przeczucie: biją ostatnie godziny. Wydawało jej się, że każdy szczegół potwierdza tę prawdę. Duszna atmosfera gmachu szpitalnego. Źle działające lampy neonowe na parterze. Nieobecne spojrzenie napotkanego pielęgniara, które wydało jej się dwuznaczne. Każdy znak zapowiadał: śmierć jest tutaj, tuż tuż, u jej boku.

W holu drugiego piętra zobaczyła Daguerre'a i zrozumiała, że przeczucie jej nie myliło. Lekarz podszedł do niej. Diana zatrzymała się.

– Co się dzieje?

Chirurg, nie odpowiadając, wziął ją za ramię i pociągnął w stronę szeregu krzeseł przymocowanych do ściany.

– Niech pani siada.

Opadła na siedzenie, mamrocząc zmartwiałymi wargami:

– Co się dzieje? To... to jeszcze nie koniec, prawda?

Eryk Daguerre zgarbił się, żeby zrównać się z nią.

– Proszę się uspokoić.

Diana miała oczy otwarte, ale go nie widziała. Nie widziała nic, tylko pustkę. To nie była nawet wizja, to był brak wszelkiej wizji, jakiegokolwiek perspektywy. Pierwszy raz w życiu Diana nie umiała przejść myślą do następnej chwili, wyobrazić sobie dwóch następujących po sobie sekund. Już teraz należała, siłą bezwładu, do śmierci.

– Diano, niech pani na mnie spojrz.

Skupiła się na kościstej twarzy chirurga. Wciąż nic nie widziała. Jej świadomość nie analizowała już obrazów zarejestrowanych przez siatkówkę. Lekarz chwycił ją za nadgarstki. Pozwoliła mu na to – nie miała już siły na swoje fobie. Doktor powiedział cicho:

– Podczas pani nieobecności Lucjan miał dwa nowe rozszerzenia źrenic. W niecałe cztery godziny.

Diana była jak sparaliżowana. Wszystkie członki miała skrępowane, usztywnione przerażeniem. Po minucie milczenia chirurg dodał:

– Bardzo mi przykro.

Tym razem wpatrzyła się w medyka i hamując wściekłość, przyjrzała mu się.

– Jeszcze nie umarł, prawda?

– Pani mnie nie rozumie. Lucjan sześć razy zdradzał symptomy śmierci mózgu. Nie może już wrócić do stanu świadomości. A nawet gdyby wyobrazić sobie cud, gdyby nastąpiła jakaś poprawa, następstwa urazu byłyby nieodwracalne. Jego mózg jest, siłą rzeczy, uszkodzony, rozumie pani? Nie możemy sobie tego życzyć, on byłby jarzyną.

Diana przez kilka chwil patrzyła na Daguerre'a. Nagle uderzyła ją uroda lekarza. Jej głos aż warczał z wściekłości:

– Pan chce, żeby umarł, tak?

Lekarz wyprostował się. Drżał.

– Diano, pani nie ma prawa mówić mi takich rzeczy. Każdego dnia, każdej nocy, walczę,

żeby go z tego wydobyć. Jestem po stronie życia. – Pokazał ręką oszklony korytarz za przezroczystymi drzwiami. – Wszyscy jesteśmy po stronie życia! Niech pani nie sprowadza śmierci między nas.

Młoda kobieta odrzuciła głowę w tył i zamknęła oczy. Uderzyła czaszką w ścianę. Raz, drugi, trzeci. Dusila się z gorąca. Białe, świetliste rury poprzez powieki paliły jej tęczówki. Czuła, jak jej ciało zapada się w sobie, otwiera niczym czarna dziura i pociąga w tę otchłań świadomość.

Z najwyższym wysiłkiem zdołała jednak się podnieść. Bez słowa wzięła torebkę i poszła na oddział intensywnej terapii.

Oddział małych, nieruchomych ciałek.

Za drzwiami było zupełnie pusto.

Diana wślizgnęła się do pokoiku Lucjana, zdjęła okulary, padła na kolana. Z głową w prześcieradłach, u stóp łóżka, wybuchnęła płaczem. Gwałtownym, o jakim nie śmiała marzyć.

Pierwszy raz od wypadku ciało godziło się dać jej taką swobodę. Jej mięśnie rozkurczyły się, nerwy rozluźniły. Dusila się od szlochu, dławił ją smutek, ale czuła też, jak wlewa się w nią jakaś ulga, jakaś głucha radość, jakby jakiś złowróźbny kwiat zapowiadał ostateczne uspokojenie.

Wiedziała, że nie przeżyje śmierci Lucjana. To dziecko było dla niej ostatnią szansą. Gdyby znikło. Diana zrezygnowałaby z dalszego życia. Albo jej rozum rozpadłby się na kawałki. Tak czy inaczej – przekroczyłaby granicę.

Nagle poczuła czyjaś obecność. Podniosła oczy, bolesne od soli łez. Bez okularów nie widziała nic, ale była pewna, że ktoś stoi w ciemności.

I wtedy rozległ się cichy, tajemniczy głos:

– Mogę coś dla pani zrobić.

11

Diana otarła rękawem oczy i chwyciła okulary. O kilka metrów od niej stał mężczyzna. Zrozumiała, że był już w pokoju, kiedy ona weszła. Spróbowała wziąć się w garść.

Mężczyzna podszedł bliżej. Był to prawdziwy kolos, wzrostu blisko dwa metry, ubrany w biały kitel. Na potężnym karku miał równie wielką głowę, pokrytą białą grzywą. Słabe światło, dochodzące z korytarza, na chwilę oświetliło jego twarz. Miał czerwoną cerę, nieokreślone rysy zniszczonego przez czas popiersia. Emanowała z tej fizys jakaś dobrotliwość. Diana zauważyła długie, zakręcone do góry rzęsy. Powtórzył:

– Mogę coś zrobić dla pani. – Odwrócił się w stronę dziecka. – Dla niego.

Głos był spokojny, pasował do rysów twarzy. Czuło się w nim lekki akcent. Minęło jeszcze kilka sekund i Diana opanowała zaskoczenie. Zauważyła identyfikator przyszpilony do kitla.

– Pan... pan jest z tego oddziału? – zapytała. Podszedł o krok bliżej. Mimo swej masy poruszał się bezszelestnie.

– Nazywam się Rolf van Kaen. Jestem naczelnym anestezjologiem. Przybywam z Berlina. Ze szpitala dziecięcego Die Charite. Prowadzimy z doktorem Daguerre'em wspólny program francusko-niemiecki.

Mówił po francusku płynnie, francuszczyzną wygładzoną jak kamyk długo trzymany w kieszeni. Diana wstała i wzięła jedyne w pokoju krzesło. Usiadła na nim niezręcznie. W korytarzu nie było widać żadnej pielęgniarki. Zapytała znów:

– Co... co pan tu robi? Mam na myśli: w tym pokoju?

Lekarz zdawał się zastanawiać przez chwilę, ważyć każde swoje słowo.

– Poinformowano panią dzisiaj o zmianach w stanie zdrowia dziecka. Czytałem te wyniki.

Przerwał, po chwili dodał:

– Przypuszczam, że panią uprzedzono. Z punktu widzenia medycyny zachodniej nie ma już nadziei.

– Z punktu widzenia medycyny zachodniej?

Diana natychmiast pożałowała swego pytania. Zbyt skwapliwie rzuciła się na wygłoszoną przez mężczyznę uwagę. Niemiec mówił dalej:

– Możemy spróbować innej techniki.

– Jakiej techniki?

– Akupunktury.

Diana gwizdnęła przez zęby:

– Zabieraj się pan stąd. Aż taka łatwowierna nie jestem. Na Boga, spływaj pan, zanim sama pana wyrzucę.

Anestezjolog nie ruszył się. Jego sylwetka, potężna jak dolmen, odcinała się na tle refleksów świetlnych. Powiedział cicho:

– Jestem w trudnej sytuacji, proszę pani. Nie mam czasu, żeby panią przekonać. Ale pani syn ma jeszcze mniej czasu...

Diana wyczuła w tonie jego słów jakiś naturalny, spontaniczny akcent, który ją poruszył. Po raz pierwszy ktoś mówił bez zakłopotania, bez tonu wyższości o tym, że jest matką Lucjana. Doktor mówił dalej:

– Wie pani, na co cierpi pani dziecko, prawda?

Pochyliła głowę i wymamrotała:

– Przekrwienia, które...

– Dławią jego mózg, tak. Ale czy wie pani, skąd się biorą te przekrwienia?

– To uderzenie. Wstrząs podczas wypadku. Krwiak wywołuje to zjawisko i...

– Tak. Ale w głębszym sensie? Czy pani wie, co powoduje ten ruch krwi? Jaka siła pcha hemoglobinę do mózgu?

Milczała. Lekarz pochylił się.

– Gdybym powiedział, że umiem oddziaływać na sam ten ruch? Że mogę go spowolnić?

Diana starała się mówić spokojnie. Chciała szybciej z tym skończyć:

– Proszę posłuchać. Pańskie pobudki są z pewnością jak najszlachetniejsze, ale mojego syna leczyli tutaj najlepsi lekarze. Nie rozumiem, co...

– Eryk Daguerre zajmuje się mechanicznymi przejawami życia. Ja mogę oddziaływać na tę drugą stronę, na energię, która porusza te mechanizmy. Mogę osłabić siłę, która toczy krew pani syna i stopniowo go zabija.

– Opowiada pan nie wiadomo co.

– Proszę mnie wysłuchać!

Diana wzdrygnęła się. Lekarz niemal wykrzyczał te słowa. Zerknęła w kierunku korytarza. Nikogo. Piętro nigdy nie wydało jej się tak puste, tak ciche. Zaczynała odczuwać niejasny lęk.

Niemiec mówił dalej, już ciszej:

– Kiedy patrzy pani na rzekę, widzi pani wodę, pianę, zielsko unoszące się wśród fal, ale nie widzi pani najważniejszego: prądu, ruchu, życia strumienia wód... Kto śmie utrzymywać, że z ciałem ludzkim nie jest podobnie? Kto śmie powiedzieć, że za tym skomplikowanym procesem krążenia krwi, pulsowania serca, wydzielania nie kryje się jeden prąd, który tym wszystkim porusza: energia życiowa?

Diana znów poruszyła przecząco głową. Mężczyzna był już tylko o kilka centymetrów od niej. Ich dialog nabierał tonu spowiedzi:

– Rzeki mają swoje źródła, swoje korytarze podziemne, z zewnątrz niewidzialne. Życie ludzkie też ma swoje tajemne początki, swoje wody gruntowe. Całą głębinową geografiją, która wymyka się nowoczesnej nauce, ale istnieje wewnątrz naszego ciała.

Diana siedziała nieruchomo, z twarzą pogrążoną w mroku.

Mężczyzna nie wiedział jednego – że ona знаła te wywody: ileż razy słyszała, jak jej nauczyciele wing-tsun rozprawiali o chi, o energii życiowej, o yin, o yang i wszystkich tych sztuczkach! Ale po niej to wszystko służyło. Przeciwnie, jej zwycięstwa na matach dowodziły, według niej, bezpodstawności tych tez: można być mistrzynią boks shaolin i gwizdać na te wszystkie wartości. Ale głos wniknął w jej świadomość:

– Akupunktura to jeden z elementów tradycyjnej medycyny chińskiej. Medycyny liczącej wiele tysięcy lat, opierającej się nie na wierzeniach, ale na wynikach. Jest to medycyna z całą pewnością najbardziej empiryczna ze wszystkich, bo nikt nigdy nie zdołał wyjaśnić przyczyn jej skuteczności. Akupunktura działa bezpośrednio na sieci naszego życiowego strumienia, na to, co nazywamy meridianami. Proszę pani, błagam, by mi pani zaufała: mogę zahamować u pani dziecka skutki urazu. Mogę ograniczyć te przekrwienia, które je stopniowo zabijają!

Diana popatrzyła na ciało Lucjana. Mała sylwetka skrzepowana bandażami, plastrami, kablami, wydawała się teraz zmiażdżona, opanowana przez wrogą maszynę, już teraz pochowana w jakimś skomplikowanym, futurystycznym sarkofagu. Van Kaen wciąż szeptał:

– Czas nagli! Jeśli nie ma pani zaufania do mnie, to proszę zaufać ludzkiemu ciału. – Wyprostował się i zwrócił w kierunku Lucjana. – Niech mu pani da wszystko, co możliwe. Kto wie, jak zareaguje?

Diana wsunęła palce we włosy – były wilgotne od potu. Jej punkty odniesienia, przekonania rozsypywały jej się pod czaszką jak kryształowe kielichy na dźwięk jakiegoś zdradzieckiego

tonu.

W pokoju rozległo się gardłowe chrypienie. Diana dopiero po ułamku sekundy zorientowała się, że to jej własny głos:

– Do diabła, niech będzie. Spróbuj pan tego swojego numeru. Niech pan sprawi, żeby on wrócił!

12

Przy pierwszym dzwonku telefonu Diana zrozumiała, że śni. Widziała niemieckiego lekarza, jak odsuwa prześcieradła, potem odwija opatrunki Lucjana. Odłącza kable, elektrody, wydobywa ramię z gipsowego nałokietnika. Dziecko było teraz nagie. Tylko opatrunek na głowie i kroplówka łączyły je jeszcze z medycyną zachodnią.

Drugi dzwonek ją obudził.

W ciszy, która nastąpiła po elektronicznym trelu, olśniło ją nagle. Jej sen nie był snem. A przynajmniej był oparty na faktach. Znów widziała wyraźnie sylwetkę Rolfa van Kaena, który klepał, masował, gładził każdą część ciała Lucjana. Na jego twarzy, nachylonej nad dzieckiem, malowało się skupienie. Diana miała w tym momencie poczucie, że akupunkturzysta „czyta” drobne, blade ciało. Rozszyfrowuje je, jakby znał jakiś kod, nieznanymi innym lekarzom. Między tym olbrzymem o białych włosach a małym chłopcem, nieprzytomnym, prawie martwym, który jednak, zdawało się, jest w stanie wyszeptać komuś świadomemu rzeczy jakieś tajemnice, nawiązywał się milczący dialog.

Van Kaen wyciągnął swoje igły i rozmieścił je na ciele Lucjana. W miarę jak je wbijał w tors, ramiona, nogi dziecka, te punkty zdawały się rozświecić, nasycić zielonym światłem ekranu kontrolnego górującego nad tą sceną. Diana siedziała w nogach łóżka i patrzyła urzeczona. To ciało tak wątłe, kredowobiałe, najeżone igłami błyszczącymi w szklanej ciemności jak robaczki świętojańskie...

Trzeci dzwonek.

Diana zobaczyła w półmroku reprodukcje zdobiące jej pokój: pastelowe kwadraty Paula Klee, jeszcze precyzyjniejsze symetrie Pieta Mondriana. Przeniosła wzrok na nocny stolik. Na budziku była 03:44. Znów ogarnęła ją pewność. Pięć godzin wcześniej tajemniczy lekarz poddał jej syna zabiegowi akupunktury. Nim wyszedł, powiedział po prostu: „To pierwszy etap. Wróć. To dziecko musi żyć, rozumie pani?”.

Czwarty dzwonek.

Diana namacała telefon i zdjęła słuchawkę.

– Halo?

– Pani Thiberge?

Rozpoznała głos jednej z pielęgniarek, pani Ferrer.

– Profesor Daguerre prosił, żebym się z panią skontaktowała.

Mówiła głosem absolutnie neutralnym, ale Diana wyczuła w głosie pielęgniarki wahanie.

Jęknęła:

– To koniec, tak?

Nastąpiło krótkie milczenie, a potem:

– Przeciwnie, proszę pani. Mamy oznaki poprawy.

Diana poczuła, jak ogarnia ją potężna fala miłości.

– Oznaki przebudzenia.

– Kiedy?

– Jakieś trzy godziny temu. Zauważyłam, że jego palce się poruszają. Wezwałam dyżurnych lekarzy, żeby sami to stwierdzili. Nie mają wątpliwości: Lucjan okazuje oznaki powrotu do świadomości. Wezwaliśmy profesora Daguerre’a. Pozwolił mi zawiadomić panią.

Diana spytała:

– Powiedziała to pani doktorowi van Kaenowi?

– Komu?

– Doktorowi Rolfowi van Kaenowi. Niemieckiemu lekarzowi, który współpracuje z Daguerre’em.

– Nie wiem, o kim pani mówi.

– Mniejsza o to. Jadę.

W pokoju Lucjana atmosfera przypominała czuwanie żałobne, ale jakby na odwrót. Wokół leżącego ciała rozmawiano po cichu, lecz były to szepty rozradowane. I choć wszystko było nadal pogrążone w półmroku, twarze rozświetlał prawdziwy zapał. Wokół chłopca uwijało się pięciu lekarzy i trzy pielęgniarki. Nikt nie nosił maski i w zamęciu spowodowanym sytuacją lekarze ledwie pomyśleli o nałożeniu kitli.

Diana była mimo to rozczarowana. Dziecko leżało wciąż w tej samej pozycji, nieruchome, zagłębione w łóżku. Z przejęcia spodziewała się niemal, że zobaczy go siedzącego, z otwartymi oczami. Ale lekarze uspokoili ją. Oznaki, które odnotowali, wzbudzały w nich entuzjazm, nie ukrywali już, że wstąpiła w nich nadzieja.

Patrzyła na swojego syna i myślała o tajemniczym olbrzymie. Zauważyła, że bandaże były

znowu na swoich miejscach, podobnie jak gips na łokciu, elektrody i czujniki. Nikt by nie przypuścił, że Niemiec obnażył to małe ciało, że prowadził z nim wewnętrzny dialog. Znowu zobaczyła zielone punkciki, pulsujące w rytmie oddechu Lucjana, mocne palce obracające igły w ciele.

– Muszę go zobaczyć – powiedziała.

– Kogo?

– Anestezjologa z Berlina, który z wami współpracuje. Lekarze wymienili zdumione spojrzenia, milczeli zakłopotani. Jeden z nich podszedł do niej i powiedział z uśmiechem:

– Daguerre chciałby się z panią widzieć.

– Diano, niech pani pamięta, co pani mówiłem. Żadnych przedwczesnych nadziei. Może się zdarzyć, że Lucjan ocknie się zupełnie ze śpiączki, ale uszkodzenia jego mózgu okażą się nieodwracalne...

Gabinet chirurga był jednolicie biały, jakby nasycony światłem. Nawet cienie wydawały się jaśniejsze, lżejsze niż gdzie indziej. Diana siedziała naprzeciw lekarza.

– To cud. Niewiarygodny cud – odpowiedziała.

Daguerre bawił się bez przerwy ołówkiem, jednostajnym ruchem, który zdawał się kanalizować całą jego nerwowość. Odezwał się znowu:

– Diano, jestem bardzo szczęśliwy z powodu pani dziecka. To, co się dzieje, to po prostu... nadzwyczajne, to prawda. Ale powtarzam jeszcze raz: nie trzeba się cieszyć za wcześnie. Powrót do świadomości może ujawnić również ciężkie urazy. I ten powrót też nie jest całkiem pewny.

– Cud. Van Kaen uratował Lucjana.

Daguerre westchnął:

– Niech mi pani opowie o tym człowieku. Co, dokładnie, pani powiedział?

– Że przyjechał z Berlina i współpracuje tu z panem.

– Nigdy o nim nie słyszałem. – Daguerre był zdenerwowany. – Jak pielęgniarki mogły pozwolić obcemu facetowi dostać się na oddział intensywnej terapii?

– Nie było pielęgniarek.

Chirurg zdawał się coraz bardziej przejęty. Stukot gumki przy ołówku rozlegał się regularnie.

– I co on właściwie zrobił Lucjanowi? Typowy zabieg akupunktury?

– Nie umiem powiedzieć. Nigdy przedtem nie widziałam takiego zabiegu. Zdjął mu

opatrunki i powbijał igielki w różne części ciała.

Chirurg mimo woli roześmiał się szyderczo. Diana spojrzała mu w oczy:

– Nie powinien pan się śmiać. Powtarzam panu: ten człowiek uratował moje dziecko.

Uśmiech znikł z twarzy lekarza. Zaczął mówić na wpół spokojnie, na wpół strofująco, tak jak się mówi, by przemówić do rozumu dziecku:

– Diano, wie pani, kim jestem. Z neurobiologicznego punktu widzenia znam mózg ludzki jak może dziesięciu specjalistów na świecie.

– Nie kwestionuję pańskiego doświadczenia.

– Proszę mnie posłuchać: system mózgowy jest niesłychanie skomplikowany. Wie pani, ile zawiera neuronów?

Mówił dalej, nie czekając na odpowiedź:

– Sto miliardów, powiązanych ze sobą miriadami połączeń. Jeśli taka machina znowu ruszyła, to znaczy, że miała działać. To organizm pani syna o tym zdecydował, rozumie pani?

– Teraz łatwo to powiedzieć.

– Zapomina pani, że operowałem jej dziecko.

– Przepraszam.

Diana zwróciła się do niego znowu, łagodniej:

– Doktorze, proszę mi wybaczyć. Ale jestem przekonana, że ten lekarz przyczynił się jakoś do poprawy stanu Lucjana.

Daguerre rzucił wreszcie swój ołówek i splótł ręce. Dostosował swój głos do tonu rozmówcy:

– Proszę posłuchać. Nie jestem tępym konowalem. Praktykowałem nawet w Wietnamie.

Uśmiechnął się jakby do samego siebie – do swej przeszłości, do swych dawnych marzeń.

– Po odbyciu stażu pracowałem przez pewien czas dla organizacji humanitarnych. Wtedy interesowałem się trochę akupunkturą. Wie pani, na czym polega ta technika? Co to właściwie są te sławetne punkty, które trzeba podrażnić?

– On mówił coś o meridianach...

– Te meridiany, wie pani, czym one są fizycznie?

Milczała. Starła się przypomnieć sobie słowa Niemca.

Daguerre odpowiedział za nią:

– Niczym. Z fizjologicznego punktu widzenia meridiany nie istnieją. Szukano ich z pomocą

analiz, rentgenów, skanerów. Nigdy nic z tego nie wyszło. Punkty akupunktury nie odpowiadają nawet żadnym szczególnym strefom skóry, wbrew temu, co się opowiada. Z punktu widzenia nowoczesnej fizjologii, akupunkturzysta kłuje, gdzie popadnie. To lipa. Kit.

Przypomniał jej się wywód niemieckiego lekarza. Przerwała mu:

– Van Kaen mówił mi o energii życiowej, która krąży w naszych ciałach i...

– I ta energia ma być dostępna ot tak – pstryknął palcami – na powierzchni skóry? I tylko chińska medycyna rozpoznała geografie tej sieci? To groteskowe.

Zastukano do drzwi gabinetu. Weszła pani Ferrer. Oznajmiła, z lekka zasapana:

– Doktorze, znaleźliśmy mężczyznę, który dostał się na oddział.

Diana pojaśniała. Odwróciła się, z ręką na oparciu krzesła:

– Opowiedziała mu pani o Lucjanie? Co on na to?

Pani Ferrer zignorowała pytanie i zwróciła się znów do lekarza.

– Mamy problem, panie doktorze.

Chirurg znów chwycił swój ołówek i zaczął go okręcać wokół palca wskazującego, jak mażoretka swoją pałkę. Próbował zażartować:

– Tylko jeden, na pewno?

Pielęgniarka nawet się nie uśmiechnęła.

– Panie doktorze, on nie żyje.

13

Diana czekała teraz na drugim piętrze bloku imienia Lavoisiera. Sądząc z wywieszek, znajdowała się na korytarzu oddziału badań genetycznych. Dlaczego ją tu przyprowadzono? Dlaczego genetycznych? Tajemnica. Stała przy ścianie ze splecionymi dłońmi, stale miotana to przypływami radości z poprawy stanu synka, to zdumieniem z powodu śmierci van Kaena. Była piąta trzydzieści z rana i nikt jej jeszcze nic nie powiedział. Ani cienia informacji o okolicznościach zgonu. Ani słówka o tym, jak znaleziono ciało.

– Pani Diana Thiberge?

Odwróciła się na dźwięk głosu. Mężczyzna, który zbliżał się do niej, miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt pięć. Przypomniał jej się niemiecki olbrzym. W końcu było jej dość miło, że jest otoczona ludźmi jej wzrostu. Przybysz przedstawił się od razu:

– Patryk Langlois, porucznik policji.

Miał chyba około czterdziestki. Sucha, pomarszczona twarz, nieogolony. Ubrany cały na czarno – płaszcz, marynarka, półgolf, dzinsy. Włosy i zaczątek brody miał siwe i potargane – po prostu stalowe wióry. Jeśli jeszcze dodać czerwone obwódki wokół oczu – wychodziło z tego coś w rodzaju obrazu o lodowatych barwach. Obraz Mondriana – czerń, szarość, czerwień – wcielony w wychudzoną sylwetkę i przebiegły uśmiezek.

Dodał: „Brygada kryminalna”. Diana zadrżała. Głina podniósł rękę uspokajająco.

– Bez paniki. Jestem tu przez pomyłkę.

Diana chciała zachować milczenie, pokazać, że kontroluje sytuację, ale zapytała mimo woli:

– Co znaczy „przez pomyłkę”?

– Proszę posłuchać. – Złożył razem dłonie, jak do modlitwy. – Wszystko po kolei, dobrze? Najpierw powie mi pani, co dokładnie zdarzyło się tej nocy.

W kilku zdaniach Diana streściła ostatnie godziny, które przeżyła. Policjant notował jej odpowiedzi w małym notesiku, wysuwając koniuszek języka z boku ust. Nadawało to temu szorstkiemu obliczu wyraz tak zabawny, że Diana pomyślała, iż on robi taką minę specjalnie, że to jakiś parodystyczny grymas. Ale język znikł, kiedy tylko mężczyzna przestał notować.

– To jakieś wariactwo! – zawołał policjant.

Nie wypuszczając z ręki notesika, zaczął naśladować dłońmi dwie szale urojonej wagi

i powiedział głosem komandora:

– Z jednej strony – powracające życie, z drugiej – śmierć, która zwala się nagle i...

Diana spojrzała na niego ze zdumieniem. Policjant uśmiechnął się zniewalająco, jakby radość tylko czekała okazji, by pojawić się na jego obliczu.

– Może nie powinienem używać wielkich słów...

– W każdym razie nie ze mną.

Langlois wzruszył okrytymi płaszczem ramionami.

– No dobrze. Powiedzmy więc po prostu, że jestem bardzo szczęśliwy z powodu pani dziecka.

– Mogłabym się dowiedzieć, jak znaleziono van Kaena?

Wyglądało na to, że się wahał. Poczochrał się po zjeżonych włosach, obejrzał się na dwie strony korytarza, potem rozkazał, idąc w stronę wind:

– Proszę za mną.

Wyszli w chłód świtu, okrążyli budynek i skierowali się do następnego bloku. Miasteczko Neckera zaczynało się ożywiać.

Diana zauważyła wielkie ciężarówki, stojące wzdłuż centralnej alei; wyładowywano z nich ogromne wózki, na których leżały, ułożone w stosy, owinięte w folię aluminiową setki tacek z gotowymi posiłkami. Nie przypuszczała, że szpital sprowadza posiłki z zewnątrz.

Porucznik zmierzał w kierunku nowego budynku. Tylko okna sutereny były oświetlone. Weszli przez główne drzwi, minęli po drodze kilku policjantów w mundurach. Tu zamiast zwykłych oparów chemicznych roztaczały się zapachy jedzenia. Langlois wyjaśnił:

– Kuchnie szpitalne.

Wskazał ręką uchylone drzwi i przeszedł przez nie. Diana podążała za nim. Zeszli po wąskich schodach i znaleźli się w suterenie, w obszernej sali o ścianach pomalowanych na niebiesko. Po obu stronach pustej przestrzeni ciągnęły się urządzenia klimatyzacyjne. Policjant odezwał się, nie przystając:

– Jak na razie, możemy sobie wyobrazić, co następuje: około dwudziestej trzeciej trzydzieści człowiek, który przedstawił się pani jako van Kaen, odprowadza panią do drzwi budynku oddziału neurochirurgicznego. Następnie okrąży go, przemierza dziedziniec i wślizguje się tu, do gmachu kuchni. O tej porze jest tu dość pusto. Nikt go nie zauważa.

Langlois wciąż szedł naprzód. Energicznym gestem odsunął zasłonę z plastikowych pasków.

– Mija tę salę...

Tu dla odmiany cementowe ściany były pomalowane na pomarańczowo. Potężne piece, nad którymi zwieszały się niezwyklej rozmiarów wyciągi wentylacyjne, połyskiwały srebrzyście. Policjant odsunął kolejną zasłonę.

– ...i dociera do sal z chłodniami.

Przed nimi ciągnął się zielony korytarz, wzdłuż którego rozmieszczone były chromowane drzwi. Było coraz zimniej. Neonowe świetlówki na suficie wyglądały jak poziome stalaktyty. Pomieszczenie, otoczone gołymi, kolorowymi ścianami, przypominało komplet klocków o rozmiarach bunkra.

Śledczy zatrzymał się przy drzwiach zamocowanych na żelaznej szynie. Nad nimi, po prawej, napis głosił: PRODUKTY ŚWIEŻE. Dwóch gliniarzy w regulaminowych kurtkach pełniło straż. Srebrzyste szlaczki otaczały otoki ich mundurowych czapek. Diana rozumiała coraz mniej. Langlois zerwał żółtą taśmę, która przecinała metalowe drzwi.

Wyciągnął z kieszeni klucz i wsunął w dziurkę górnego zamka.

– Van Kaen wybrał tę chłodnię.

– Miał... Miał klucz?

– Miał właśnie ten. Na pewno skradł go z pokoju szefa oddziału.

Diana była zgnębiona. Wciąż nie zadała najważniejszego pytania: jak umarł ten człowiek? Głina odciągnął stalowy rygiel. W chwili, kiedy otwierał drzwi, odwrócił się do niej i oparł o stalową powierzchnię.

– Muszę panią uprzedzić: to nie jest przyjemny widok. Ale to nie jest krew.

– Co pan ma na myśli?

Porucznik chwycił pionową rączkę, napiął się i przesunął drzwi po szynie. Nowy podmuch zimna uderzył ich w twarze. Powtórzył:

– Niech pani pamięta tylko to jedno: to nie jest krew.

Gestem nakazał jej iść za sobą. Diana zrobiła krok naprzód i stanęła jak wryta. Naprzeciw pojemników z szarego plastiku biała cementowa ściana była zbryzgana na czerwono. Purpurowe łupiny kleiły się do siebie, szkarłatne pręgi przecinały powierzchnię ściany, brązowe bryzgi pokrywały nagą podłogę aż po próg sali. Pokój liczący pięć metrów na pięć, pełen plastikowych skrzynek, robił wrażenie, jakby był terenem prawdziwej masakry. Najdziwniejszy jednak – i najobrzydliwszy – był unoszący się w zimnym powietrzu potężny odór owoców.

Patryk Langlois chwycił leżącą na kolumnie pudeł zgrzewkę z przezroczystej folii i podał ją Dianie.

– Borówki. – Udał, że odczytuje etykietę o warunkach przechowywania. – Czerwone owoce. Import z Turcji. Po zabiegu van Kaen przyszedł tutaj i urządził sobie jagodową orgię.

Diana weszła w głąb pokoju, starając się przekonać samą siebie, że dygocze z powodu zimna.

– Co to... Co to znaczy?

Glina uśmiechnął się przepaszająco.

– Nic poza tym, co powiedziałem. Dla van Kaena po jego małym seansie akupunktury najważniejszą sprawą było nie zmyć się stąd, tylko przyjść tutaj zażerać się całymi pakami borówek. – Rozejrzał się dookoła. – I żarł je w najbardziej barbarzyński sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Diana wybełkotała:

– Ale... na co umarł?

Langlois rzucił oklejoną plastikiem paczkę na jeden ze stosów.

– Pewnie z niestrawności.

Spojrzał na swoją towarzyszkę i powiedział:

– Przepraszam. Głupi dowcip. W rzeczywistości nie znamy jeszcze przyczyny zgonu. Ale nie ulega wątpliwości, że była to śmierć naturalna. W każdym razie ja to nazywam naturalną. Wedle naszych pierwszych obserwacji na ciele nie ma żadnych śladów zranienia. Van Kaen zmarł może na atak serca, pęknięcie tętniaka albo jakąś chorobę, nie wiadomo na co.

Langlois wskazał uchylone drzwi.

– Rozumie pani, dlaczego zamknięto kuchnię. Proszę sobie wyobrazić, jakie skutki mogłaby mieć obecność trupa, może po chorobie, w samym sercu takich pomieszczeń. W końcu to tu przygotowuje się posiłki dla dzieci. Umierając w tej sali, nasz Niemiec narobił w szpitalu Neckera cholernego zamieszania.

Diana oparła się o jeden z pojemników. Od zapachu owoców i cukru kręciło jej się w głowie.

– Wyjdźmy – wymamrotała. – Naprawdę... już nie mogę...

Poranny wiatr orzeźwił ją trochę, ale dopiero po kilku minutach odzyskała zdolność mówienia. Zapytała wreszcie:

– Dlaczego pan mi to wszystko opowiada?

Langlois podniósł brwi ze zdziwieniem.

– Bo pani jest w samym środku tej historii! Może nie było morderstwa, ale mamy nielegalne wykonywanie zawodu lekarza, wtargnięcie na teren szpitala, zapewne podszywanie się pod fałszywą tożsamość... – Podniósł do góry palec wskazujący. – W tej sytuacji pani jest naszą poszkodowaną.

Diana poczuła się teraz spokojniejsza. Znalazła w sobie siłę, żeby oświadczyć:

– Poruczniku, nic pan nie rozumie. Ten człowiek, bez względu na to, kim był i jakie były motywy jego postępowania, uratował życie mojemu synowi. Przy okazji uratował również moje. Wobec tego mało mnie obchodzi, jakiej użył metody. Obecnie martwi mnie tylko jedno: że nie mogę mu podziękować, kapuje pan? I nie sądzę, żeby pańskie śledztwo mogło tu wiele pomóc.

Langlois zrobił zblazowaną minę.

– Wie pani bardzo dobrze, co chcę powiedzieć. W tej sprawie kryje się niejedna tajemnica. Moim zdaniem ta historia dopiero się zaczyna. Zresztą ja...

Rozległ się przenikliwy dźwięk pagera. Porucznik odpiął od paska małą tarczę i przeczytał wiadomość. Podał przedmiot Dianie i mruknął:

– A co, nie mówiłem?

14

Diana wiedziała, że to wszystko dzieje się naprawdę, ale obserwowała wydarzenia z niedowierzaniem i dzięki temu mogła odnosić się do nich z dystansem, nie przyjmować w pełni do wiadomości ich obłąkanej treści. Później uporządkuje sobie to wszystko. Spróbuje wytropić w tym jakąś logikę. Na razie chwytiała każdy fakt, każdą informację z rezerwą i bezsilnością kogoś, kto śni.

Langlois zaprowadził ją znowu do budynku imienia Lavoisiera. Tym razem zostali na parterze. Diana rozpoznała od razu salę, ku której zmierzali: pracownię tomografii komputerowej, tę samą, w której Lucjanowi zrobiono pierwsze badania.

Na progu Diana zawahała się, czy ma wchodzić – wydało jej się, że wewnątrz opadną ją rozdzierające wspomnienia. Ale policjant władczym ruchem popchnął ją naprzód i zamknął za nimi drzwi. Lęki, których się obawiała, nie pojawiły się po prostu dlatego, że atmosfera sali zmieniła się całkowicie.

Panowało tu osobliwe poruszenie. Przed konsolą sterującą monitorami i negatoskopami dwóch mężczyzn stukano w klawiaturę komputera, na ekranach ukazywały się jakieś barwne kształty. Po drugiej stronie szyby, w przyćmionym świetle, snuły się tam i z powrotem różne postaci, kręcąc potężnym kołem skanera, manipulując jakimiś chromowanymi urządzeniami. Inni odłączali leżące na podłodze kable, wygaszali zawieszony monitory, porządkowali 0117 i jakieś dziwne przyrządy optyczne. Najwyraźniej usuwali ślady swego pobytu.

Żaden z nich nie miał na sobie białego kitla.

Diana zauważyła inne anomalie. Wszyscy mężczyźni wyglądali na mniej niż trzydzieści lat, a większość z nich nosiła przy pasie pistolety automatyczne w kaburach zapinanych na rzepy.

Gliny.

Zrozumiała, dlaczego kazano jej czekać na drugim piętrze tego budynku: policjanci założyli tu swoją kwaterę główną. I na kilka godzin zagarnęli dla siebie cały sprzęt do diagnostyki obrazowej. Langlois spytał ją nagle:

– Paleopatologia: wie pani, co to jest?

Diana spojrzała na policjanta. Odpowiedziała znużonym głosem:

– Technika stosowana w archeologii. Bada się mumie albo jakieś inne szczątki organiczne za

pomocą skanera, rezonansu magnetycznego albo jakiegokolwiek innego aparatu, pozwalającego uzyskiwać obrazy, i analizuje wnętrze badanego przedmiotu, nie niszcząc go. Dzięki temu można zrobić wirtualną autopsję ciała kogoś zmarłego tysiące lat temu.

Langlois uśmiechnął się:

– Pani jest fantastyczna.

– Jestem naukowcem. Czytam czasopisma naukowe. Ale nie rozumiem...

– W naszym dziale medycyny sądowej mamy asa w tej dziedzinie. Mały geniusz, który potrafi wysondować mumię, nie odwijając nawet jednego zwoju.

Diana spojrzała z lękiem przez szybę. Zobaczyła jakiś kształt wyciągnięty pod prześcieradłem, leżący wewnątrz maszyny. Wymamrotała ze wzrokiem wlepionym w całun:

– Chce pan powiedzieć, że zeskanowaliście ciało...

– Mieliliśmy sprzęt pod ręką. – Policjant uśmiechnął się znów. – Nie ma to jak odkryć trupa w szpitalu.

– Pan oszalał.

– Raczej się śpieszę. Dzięki temu urządzeniu mogliśmy przeprowadzić wirtualną autopsję van Kaena. Teraz przekazemy go do zakładu medycyny sądowej. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

– Jakiego rodzaju gliną pan jest właściwie?

Langlois miał odpowiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi, dzielące dwie kabiny.

– Rąbnęliśmy się.

Porucznik odwrócił się w kierunku młodego człowieka, który właśnie wszedł. Kręcone blond włosy, szara cera, przygasłe spojrzenie. Przypominał wypalone cygaro. Powtórzył:

– Rąbnęliśmy się, Langlois.

– Co?

– To morderstwo. Zdumiewające morderstwo.

Policjant zerknął na Dianę. Wydało jej się, że czyta w jego myślach, i powiedziała:

– Uznał pan za stosowne wszędzie mnie ze sobą targać. Niech więc pan będzie konsekwentny. Nie wyjdę z tej sali.

Rysy policjanta po raz pierwszy napięły się, ale po chwili rozluźniły. Przeciągnął obiema dłońmi po twarzy, jakby chciał przywrócić jej przebiegły wyraz.

– Ma pani rację. – Zwrócił się znów do lekarza sądowego. – Mów.

– Kiedy zaczęliśmy robić tomografię, spodziewaliśmy się wykryć w okolicy klatki piersiowej obszar martwicy albo inne objawy zawału...

– Nie truj. Co znalazłeś?

Twarz medyka jakby sflaczała. A jednocześnie było w niej coś twardego, nieprzejednanego. Zmrużył oczy i wreszcie rzucił swoją bombę:

– Serce tego faceta rozleciało się. Zebrało się tam tyle krwi, że rozerwała tkankę.

Langlois ryknął, zdradzając tym razem swoją prawdziwą naturę myśliwego:

– Kurczę blade, mówiłeś, że nie ma żadnej rany!

Lekarz opuścił głowę. Cień uśmiechu przemknął pod jego jasnymi lokami.

– No i nie ma. Wszystko dokonało się wewnątrz. Wewnątrz ciała. – Wskazał ręką komputer.

– Musisz zobaczyć obraz.

Porucznik rozkazał pozostałym glinom, nawet nie patrząc na nich:

– Zjeżdżać stąd. WSZYSCY!

Kabina opustoszała. Lekarz sądowy włączył program komputera, następnie podał plastikowe ciemne okulary Dianie i porucznikowi.

– Musicie to założyć. To jest program trójwymiarowy.

Diana w ślad za obu mężczyznami założyła okulary na własne szkła i zobaczyła okropny widok, malujący się na głównym ekranie.

Był to wypukły obraz Rolfa van Kaena, z nagim torsem, bez zarostu, przecięty na wysokości pępka. Lekarz usiadł przed monitorem i zaczął wykład:

– To jest trójwymiarowa rekonstrukcja ofiary.

Na ekranie popiersie obróciło się wokół własnej osi, po czym znalazło się w początkowej pozycji, niczym podczas pokazu grafiki komputerowej.

– Jak powiedziałem – powtórzył – zajęliśmy się najpierw sercem. Czterdzieści sekund tomografii wystarczyło, żeby odtworzyć rzeźbę...

– Dobra, dobra. Zasuważ.

Doktor wystukał coś na swojej klawiaturze.

– Oto co wykryliśmy...

Od ramion w dół wirtualna skóra znikła w jednej chwili. Najpierw pojawiły się arterie, potem cały blok organów i włókien, różowawa masa i pajęczyna splątanych niebieskich naczyń. Wszystko to obracało się wciąż na kształt jakiejś ohydnej karuzeli. Diana przyglądała się

z obrzydzeniem i fascynacją.

W sekundę zorientowała się, co chciał im pokazać lekarz: serce wyglądało jak znieruchomiła eksplozja krwi i tkanek.

Czarna plama rozlana pośród labiryntu żył i pęcherzyków płucnych. Lekarz powiedział:

– Mogę je wyizolować.

Dotknął kolejnego klawisza i za jednym zamachem usunął wszystko prócz resztek organu. Na ekranie pojawiło się, precyzyjnie wykrojone, rozsadzone serce. Przypominało rafę koralową, z brunatnymi gałązkami i ich skamieniałymi odgałęzieniami. Krzew czystej przemocy.

Langlois spytał chrypliwym głosem:

– Jak mu to zrobiono?

Głos lekarza się zmienił, jakby dochodził z daleka, z głębin jakiejś zimnej analizy:

– Z fizjologicznego punktu widzenia to dość proste. Wystarczy nie pozwolić, żeby krew wydostała się z serca, i w tym celu zagiąć aortę, tak jak wąż do polewania ogrodu, na przykład. Po czym krew, napływająca z żył głównych i żył płucnych, będzie się wlewała do serca tak długo, aż je całkowicie wypełni.

Znów przebiegł palcami po klawiaturze komputera. Na ekranie pojawiły się nowe organy i naczynia krwionośne.

– Wyraźnie widzimy zagięcie tutaj. – Kliknął i wskazał miejsce kursorem. – I tutaj – nowe kliknięcie.

Langlois spytał z niedowierzaniem:

– Jak można dotrzeć do tej arterii, do wnętrza ciała?

Lekarz przerwał i odwrócił się do niego, krzyżując ramiona, jakby chciał zagrozić drogę grożącym mu mdłościom i strachowi.

– To jest najbardziej wariackie: zabójca wsadził rękę we wnętrzności ofiary tak głęboko, że dosięgnął aorty.

Lekarz obrócił się znów do monitora i uruchomił nową funkcję. Odtworzył tors van Kaena; wnętrzności skryły się pod szarą, błyszczącą skórą. Obraz skupił się na osi mostka, u szczytu jamy brzusznej. Pojawiło się cieniutkie nacięcie.

– To jest rana – mówił dalej głos lekarza. – Jest tak drobna, że podczas badania zewnętrznego nie zauważyliśmy jej wśród owłosienia.

– I przez nią morderca wsunął rękę?

– Nie ma żadnej wątpliwości. Rana ma najwyżej dziesięć centymetrów szerokości. Jeśli wziąć pod uwagę elastyczność skóry, to całkiem wystarczy, by wsunąć ramię. Pod warunkiem, że robi to człowiek niewielkiego wzrostu. Myślę, że około metra sześćdziesięciu.

– Van Kaen był olbrzymem!

– No to było ich kilku. Albo ofiara była wpływem narkotyków. Nie wiem.

Langlois, nachylony ku ekranowi, spytał jeszcze:

– A kiedy go patroszyli, facet wciąż żył?

– Był żywy i świadomy rzeczy, tak. Dowodzi tego rozsadzenie organu. Kiedy tamten sukinsyn grzebał we wnętrznościach, serce spanikowało i popędziło swój mechanizm pompujący. Wypełniło się krwią szybko i bardzo gwałtownie.

Porucznik wymamrotał:

– Spodziewałem się kłopotów, ale żeby taki numer...

Obaj mężczyźni jakby jednocześnie przypomnieli sobie o młodej kobiecie. Odwrócili się do niej jednakowym ruchem. Langlois powiedział:

– Diano, przykro mi. Naprawdę, my... Diano? Źle się pani czuje?

Ona, wpatrując się przez ciemne szkła w monitor, była jak sparalizowana. Powiedziała bezbarwnym głosem:

– Mój syn. Chcę zobaczyć mojego syna.

15

Znała ten ogród jak własne sny. Jako dziecko spędzała przy tej fontannie, w tych tonących w zieleni alejach, wszystkie popołudnia. A przecież nie odczuwała żadnej szczególnej nostalgii za Ogrodem Luksemburskim. Wydawało jej się, że ten park po prostu ją uspokaja.

Minęło przeszło czterdzieści osiem godzin, od kiedy zdarzył się cud. U Lucjana oznaki poprawy utrzymywały się. Wczoraj dziecko kilkakrotnie poruszyło palcem wskazującym i środkowym prawej ręki. Diana przysięgłaby nawet, że w jej obecności uniósł lekko prawy nadgarstek. Badania lekarskie dowiodły, że objawy stłuczenia mózgu cofają się. I funkcje fizjologiczne wracały do normy. Nawet doktor Daguerre zdawał się przyznawać, że dziecko jest teraz na drodze do prawdziwego przebudzenia. Wspominał o możliwości usunięcia drenów w najbliższych dniach.

Diana powinna była być w pełni szczęśliwa. Ale myślała wciąż o tym morderstwie, o tej niesłychanej przemocy, obrazach na ekranie skanera, które uderzyły w nią jak grom. Jak możliwe jest takie okrucieństwo? Dlaczego człowiek, który uratował jej syna, musiał umrzeć w podobnych okolicznościach ledwie kilka godzin po dokonaniu zabiegu?

– Mogę usiąść?

Diana podniosła wzrok. Porucznik Langlois stał przed nią.

Wyglądał tak jak przedwczoraj. Czarny płaszcz, czarne dżinsy, czarny T-shirt. Domyśliła się, że ma kilka kompletów tej zbroi, jak trupów w szafie. Zresztą nie upajał zapachem wody toaletowej, lecz raczej osobliwą wonią pralni chemicznej. Zamiast odpowiedzi wstała:

– Może raczej się przejdziemy, co?

Glina przytaknęła. Diana poszła w kierunku wysokich drzew posadzonych w szachownicy. Trzy trawiaste aleje wznosiły się łagodnie. Langlois skomentował jowialnym tonem:

– Dobry pomysł, randka w tym miejscu.

– Lubię je. Mieszkam w pobliżu.

Weszli po kamiennych schodkach. Dzień był pochmurny, ścieżki prawie puste. Drzewa zdawały się z ostentacją przyjmować chłodny wiatr w swoje liście, niczym kobieta nadstawiająca spódnicę na powiew idący od kratownic metra. Policjant westchnął głęboko i oświadczył:

– Myślałem, że to mi się nigdy nie przydarzy.

– Co?

– Że poderwę dziewczynę na którejś z tych ławek.

– Ho, ho, ho... – Diana przyjęła to z miną ni to rozbawioną, ni to obrażoną.

Cały niepokój, całe poczucie zagrożenia znikło z ich serc, zarówno jej, jak jego. Pomyślała z pewną niechęcią o nieuleczalnym egoizmie żywych wobec martwych. Teraz jedyną ich terażniejszością, wobec której wspomnienie o van Kaenie niewiele znaczyło, były lśniące liście, świeżość wiatru, odległe okrzyki dzieci. Porucznik opowiadał:

– Kiedy mieszkałem w internacie, w szkole inspektorów, wymykałem się co weekend na Sorbonę na wykłady filozofii. Wieczorami przychodziłem tu, do Luksemburskiego. W tym czasie wydawało mi się, że uniknąłem klęski żywiołowej: bezrobocia. Ale miałem już do czynienia z inną katastrofą, jeszcze gorszą.

– Jaką?

Rozłożył dłonie na znak, że rzecz jest oczywista.

– Obojętnością paryżanek. Przechadzałem się tutaj, przyglądałem im się spod oka, jak siedziały na tych żelaznych krzesłach, czytały książki, zgrywały niedostępne szczyty. I mówiłem sobie: „Co mógłbym im powiedzieć? Jak je zaczepić?”. Diana uśmiechnęła się. Ruchem warg delikatnym jak powiew wiatru.

– No i?

– Nigdy nie znalazłem odpowiedzi.

Przechyliła głowę na bok i powiedziała poufnym tonem:

– Teraz może pan zawsze wyciągnąć swoją trójkolorową kartę.

– Właśnie. Albo przyjechać z patrolem i zgarnąć całe towarzystwo.

Diana roześmiała się. Szli ku bramie wychodzącej na ulicę Augusta Comte'a. Za nią widać było inne ogrody, mniejsze, lepiej ukryte. Langlois odezwał się:

– Jak się ma Lucjan?

– Jest coraz lepiej. Stwierdzono wyczuwalne tętno we wszystkich kończynach. To fantastyczne, naprawdę.

Przerwała mu:

– Życie. Śmierć. Już mi pan to mówił.

Langlois uśmiechnął się lekko. Jego przebiegła mina nadawała mu dziecięcy wdzięk. Mówił dalej poważnym głosem:

– Chciałem pani opowiedzieć nowiny. Zidentyfikowaliśmy tajemniczego doktora. Van Kaen to prawdziwe nazwisko.

Diana starała się pohamować zniecierpliwienie:

– No więc, kim był?

– Powiedział pani prawdę: kierował zakładem anestezjologii oddziału chirurgii pediatrycznej szpitala Die Charite. Ogromna machina, coś w rodzaju szpitala Neckera. Miał też katedrę neurobiologii na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie. Van Kaen organizował sympozja na temat neurostymulacji i jej związków z akupunkturą. Prawdziwa gwiazda, zdaje się.

Diana znów ujrzała w myślach białowłosego kolosa, stojącego w półmroku pokoju, jego ręce okręcające igły w ciele dziecka. Spytała:

– Gdzie się nauczył akupunktury?

– Nie wiem dokładnie. Ale prawie całe lata osiemdziesiąte spędził w Wietnamie.

Porucznik, nie przystając, wyjął z kieszeni kartonową teczkę, do której od czasu do czasu zaglądał.

– Van Kaen był Niemcem ze Wschodu. Pochodził z Lipska. Dlatego mógł przebywać w Wietnamie, kraju całkowicie zamkniętym.

– Chce pan powiedzieć, że mógł tam przebywać jako komunista?

– Właśnie. W tamtych czasach Niemcowi z NRD było o wiele łatwiej zamieszkać w Mieście Ho Szi Mina niż pojechać na zakupy do Berlina Zachodniego.

Patryk Langlois przerzucał jeszcze swoje karteczki.

– Na razie mamy tylko jedną białą plamę w przebiegu jego kariery: lata tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć-tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dwa. Nikt nie wie, gdzie był w tym czasie. Po obaleniu muru wrócił do Niemiec i osiadł w Berlinie Zachodnim. Szybko dowiódł swojej kompetencji, toteż inteligencja dawnej RFN uznała go za swego.

Diana wróciła do terażniejszości.

– Nie ma żadnego tropu w sprawie morderstwa?

– W każdym razie nie ma motywu. Wszyscy podziwiali jego dobroduszość. Był tylko trochę dziwny.

– Dziwny w jakim sensie?

– Był strasznym podrywaczem. Każdej wiosny uwodził swoje pielęgniarki w najdziwniejszy sposób.

– Jak?

– Śpiewem. Śpiewał arie operowe. Czarował swoim śpiewem cały damski personel szpitala. Prawdziwy Casanovą. Ale nie myślę, żeby to zazdrość była motywem...

– A co pan myśli?

– Porachunki. Jacyś facyci z zachodnich Niemiec mszczący się za swe rodziny, które pozostały we wschodnich, coś z tych rzeczy... Prawdę mówiąc, van Kaen nie miał już z tym nic wspólnego, bo siedział w Wietnamie. Inic nie dowodzi, że był zbliżony do władz komunistycznych. Ale jeszcze tam węszyć.

Minęli wysoką bramę od ulicy Augusta Comte'a, potem weszli do parku przy Obserwatorium. Wciśnięty ciasno między domy, osłonięty liśćmi, wydawał się skurczony w cieniu i chłodzie.

– Po prawdzie – powiedział policjant po kilku chwilach milczenia – jest coś, co interesuje mnie tak samo jak morderstwo, mianowicie, dlaczego ten człowiek przyjechał uleczyć pani syna.

Diana zadrżała.

– Uważa pan, że istnieje związek między morderstwem a Lucjanem?

– Dziwi się pani? Jego interwencja jest częścią tajemnicy... I może nam pomóc lepiej poznać człowieka.

– Nie rozumiem, w jaki sposób.

Langlois zaczął mówić tonem kogoś objaśniającego prostą prawdę:

– Sławny lekarz, znakomitość w swoim kraju, zostawia znienacka swój oddział, pędzi na lotnisko w Berlinie, łapie pierwszy lepszy lot do Paryża – udało nam się odtworzyć wszystkie etapy jego podróży. Wylądowawszy na Roissy, gna do Neckera, sprawia sobie fałszywy identyfikator, kradnie klucze, zadaje sobie trud i sprowadza pielęgniarki na piętro doktora Daguerre'a, żeby łatwiej dostać się na oddział intensywnej terapii...

Diana przypomniała sobie ciszę na korytarzu: a więc van Kaen się zabezpieczył. Porucznik ciągnął dalej:

– I wszystko po co? Żeby jak najszybciej zastosować swoją tajemniczą metodę do przypadku Lucjana. To wygląda na akcję ratunkową Diano. I to akcję podjętą wyłącznie z myślą o pani małym.

Słuchała w milczeniu. Pytania Langlois'a przypominały jej własne wątpliwości. Dlaczego ten Niemiec zainteresował się Lucjanem? Kto go uprzedził o krytycznym stanie chłopca? Czy

pomagał mu ktoś ze szpitala?

Porucznik zapytał, jakby czytał w myślach Diany:

– Czy nikt z pani otoczenia nie mógł zwrócić się do niego?

Diana zaprzeczyła bez namysłu. Policjant spojrział na nią z aprobatą. Pomyślała, że pewnie już sam to sprawdził. Znow zaczął mówić, skręcając w następną alejkę parku:

– Przesłuchujemy personel Neckera. Lekarzy, pielęgniarki. Może ktoś go znał. Osobiście albo po prostu o nim słyszał. Niemieccy gliniarze z kolei sprawdzają wszystkie jego rozmowy telefoniczne, całą pocztę. Jedno jest pewne: został zawiadomiony tuż po ostatnim ataku Lucjana, kiedy francuskim lekarzom opadły ręce.

Szli wciąż w obojętnym cieniu drzew. Ciche skrzypienie żwiru pod stopami znaczyło rytm ich kroków. Diana spytała:

– Wiadomo coś nowego o technice zbrodni?

– Nie. Sekcja, ta prawdziwa, potwierdziła wyniki naszego badania wirtualnego. Morderstwa dokonano ze zdumiewającym okrucieństwem. To wygląda na jakiś akt... ofiarny, coś z tych rzeczy. Sprawdziliśmy, czy zdarzały się takie przypadki we Francji. Oczywiście nigdy. Poza tym żadnej wskazówki, żadnego śladu, nic. Jediną nową rzeczą, którą ujawniła sekcja, było to, że van Kaen cierpiał na dziwną chorobę.

– Jaką?

– Atrofię żołądka. Zanim przełknął jedzenie, musiał je długo przeżuwać. Stąd się wzięły ślady na ścianach pomieszczenia-chłodni. Kiedy został napadnięty, zrzucił wszystkie czerwone owoce, które miał w przelyku.

Dianie wydało się, że słowa Langlois'a wnikają wprost do jej wnętrza, pod skórę, niczym drobniutkie kryształki strachu. Jakaś tajemna rzeczywistość wkraczała w jej istotę, przybierając stopniowo kształt czystego koszmaru.

Doszli tymczasem do fontanny przy Obserwatorium: osiem kamiennych koni stało dęba pod rozszalałymi kaskadami. Ilekroć tu bywała w chwilach, kiedy drzewa otwierały się na wiatr, a powietrze nasycalo kropelkami wody, ogarniał ją ten sam smutek i ta sama pustka. Ale dziś to uczucie było szczególnie mocne.

Langlois podszedł do niej bliżej, by przekrzyczeć szum fontanny:

– Diano, mam ostatnie pytanie: czy pani przybrany syn może być z pochodzenia Wietnamczykiem?

Odwróciła się ku niemu powoli i zobaczyła go jakby z bardzo daleka, przez zasłonę z łez. Nie była ani rozczarowana, ani zszokowana. Odkrywała po prostu powód tej porannej przechadzki. Nie odpowiedziała od razu. Langlois wydawał się poirytowany tym milczeniem i może – własnym pytaniem. Powiedział głośniejszym głosem:

– Van Kaen spędził dziesięć lat w Wietnamie. Nie mogę odrzucić tej możliwości! Lucjan należy może do rodziny, którą on znał. Nie wiem.

Diana była teraz jak z lodu. On powtórzył rozkazującym tonem.

– Diano, proszę odpowiedzieć: czy Lucjan może pochodzić z Wietnamu?

Znów popatrzyła na spływające wodą konie. Krople kłuły ją w twarz, drobna mżawka kładła się na jej okularach.

– Nic nie wiem. Wszystko możliwe.

Policjant powiedział już ciszej:

– Mogłaby pani się dowiedzieć? Wypytać ludzi z sierocińca?

Diana patrzyła daleko przed siebie. Za bulwarem Port-Royal po burzliwym niebie wędrowały monotonne pochody chmur. Zatęskniła do chmur monsunowych, które w jej pamięci rozbłyskiwały płomieniami rtęci.

– Zatelefonuję – powiedziała wreszcie. – Poszukam. Pomogę panu.

16

W drodze powrotnej Dianie przychodziły do głowy najbardziej fantastyczne przypuszczenia. Przy bulwarze Port-Royal była przekonana, że Lucjan jest rzeczywiście Wietnamczykiem. Przy ulicy Barbusse'a doszła do wniosku, że nie był dzieckiem anonimowym. Rolf van Kaen znał kiedyś jego rodzinę. Chłopczyk został porzucony w jakichś tajemniczych okolicznościach i w jeszcze bardziej tajemniczy sposób poinformowano niemieckiego lekarza o jego obecności we Francji. Przy ulicy Saint-Jacques wyobraziła sobie, że dziecko jest ukrywanym synem jakiejś ważnej osobistości, która pilnie skontaktowała się z akupunkturzystą. Ostatecznie wyrwał ją z tych majaczeń domofon jej kamienicy: musiała wystukać kod.

W mieszkaniu odzyskała spokój. Znajome wrażenia, zrosnięte z małym, trzypokojowym mieszkankiem, uspokoiły ją. Niespiesznie przyglądała się białym ścianom, mahoniowej podłodze, długim, nieskazitelnie białym zasłonom, które w deszczowe dni zdawały się przechowywać w pamięci słońce. Długo wdychała zapach wosku i środków czyszczących, unoszący się w powietrzu, od kiedy dokładnie wysprzątała dom. Bo nazajutrz po nocy cudu Diana wszystko wyczyściła, usunęła najmniejszy ślad, który mógłby przypominać jej smutek i przygnębienie ostatnich dwóch tygodni. Ten zapach czystości ukoił ją i umocnił w jej postanowieniu.

Spojrzała na zegarek i obliczyła różnicę czasu w stosunku do Tajlandii. W Paryżu południe. W Ranongu siedemnasta. Wyciągnęła teczkę z napisem „Adopcja”, potem przeszła do sypialni i usiadła na podłodze oparta plecami o łóżko. Żeby opanować wzruszenie, skupiła oddech bardzo nisko w ciele, kilka centymetrów nad pępkiem – była to klasyczna technika odprężania się, stosowana w wing-tsun. Kiedy powietrze już rozpuściło się we krwi i zbiegło całe ku temu tajemniczemu miejscu, kiedy spokój wypełnił ją na kształt wielkiej, kojącej pustki, wiedziała, że jest gotowa.

Zdjęła słuchawkę i wykręciła numer sierocińca fundacji Boria Mundi. Po kilku drżących sygnałach odpowiedział jej jakiś nosowy głos. Diana poprosiła Teresę Maxwell. Czekala dobre dwie minuty, zanim odezwało się „halo”, suche jak odgłos drzwi przycinających palce. Diana spytała, głośniejszym głosem niż miała zamiar:

– Pani Maxwell?

– To ja. Kto przy telefonie?

Na linii słycać było zakłócenia, a głos dyrektorki nie był przyjemny.

– Jestem Diana Thiberge – zaczęła. – Widziałyśmy się mniej więcej miesiąc temu.

Przyjechałam do pani ośrodka 4 września. Jestem tą osobą, która...

– Złoty kolczyk?

– Właśnie.

– O co chodzi? Jakież kłopoty?

Diana miała w pamięci dobroduszną twarz i inkwizytorskie spojrzenie. Skłamała bez wahania:

– Wszystko w porządku.

– Jak się ma dziecko?

– Bardzo dobrze.

– Dzwoni więc pani, żeby mi podać wiadomości?

– Tak... Właściwie niezupełnie. Chciałam zadać pani kilka pytań.

Z drugiego końca linii dochodziły tylko trzaski. Diana mówiła dalej:

– Kiedy się spotkałyśmy, powiedziała mi pani, że nie wie, skąd dziecko pochodzi.

– Zgadza się.

– Nie zna pani jego rodziny?

– Nie.

– Nigdy nawet nie widziała pani jego matki’?

– Nie.

– I nie ma pani żadnego pojęcia, jakiej jest narodowości? Ani dlaczego go porzucono’?

Po każdym pytaniu Teresa Maxwell przez chwilę wrogo milczała. Wreszcie sama z kolei spytała:

– Po co te wszystkie pytania?

– No bo... Jestem jego przybraną matką. Mam prawo wiedzieć, żeby lepiej rozumieć mojego syna.

– Jest jakiś problem. Pani coś przede mną ukrywa.

Diana znów zobaczyła w myślach małą istotkę, zabandażowaną, obstawioną maszynami, rurkami kropłówek. Znalazła w sobie siłę, żeby wyrzucić przez zdławione gardło:

– Niczego przed panią nie ukrywam! Chcę po prostu wiedzieć trochę więcej o moim

chłopczyku i...

Teresa Maxwell westchnęła i odezwała się nieco mniej agresywnie:

– Powiedziałam pani wszystko przy naszym pierwszym spotkaniu. Dzieci błąkają się po ulicach Ranongu, bez rodziców, bez opieki. Kiedy z którymś jest naprawdę źle, bierzemy je do siebie, to wszystko. Lu-Sian był jednym z nich.

– Co mu było?

– Cierpiał na odwodnienie. I niedożywienie.

– Od jak dawna był w sierocińcu?

– Około dwóch miesięcy.

– I niczego więcej pani się o nim nie dowiedziała?

– Nie prowadzimy takich badań.

– Nigdy go nikt nie odwiedził?

Zakłócenia nasiliły się. Diana miała wrażenie, że ktoś ją odrywa od rozmówczyni, nie chce pozwolić, by dowiedziała się czegokolwiek. Ale głos zazgrzytał znowu:

– Diano, niech się pani strzeże.

Diana zadrżała. Głos nagle wydał jej się znacznie bliższy. Wybełkotała:

– Cze... czego?

– Samej siebie – zasyczała dyrektorka. – Proszę się strzec tego pragnienia, by wiedzieć więcej, tej pokusy tropienia przeszłości Lu-Siana. Ten berbeć jest teraz pani dzieckiem. Pani jest jego jedynym przodkiem. Niech pani nie szuka dalej.

– Ale... dlaczego?

– Bo to prowadzi donikąd. To jest po prostu choroba przybranych rodziców. Zawsze nadchodzi chwila, kiedy chcą wiedzieć więcej, zaczynają szukać, myszkować. Jakby chcieli odzyskać ten tajemniczy czas, który do nich nie należał. Ale te dzieci mają przeszłość, nic się na to nie poradzi. To jest ich strefa cienia.

Diana nie umiała nic na to powiedzieć. Gardło miała zbyt zaschnięte. Teresa zaczęła mówić znowu:

– Wie pani, co to jest palimpsest?

– Eee... Chyba... tak...

Teresa mimo to zaczęła jej tłumaczyć:

– To są starożytne pergaminy, z których średniowieczni mnisi zdrapywali tekst, by wpisać

nowy. Dokumenty były pokryte nowymi zapisami, ale zachowywały zawsze, pod spodem, dawne przesłanie. Przybrane dziecko jest w takiej samej sytuacji. Pani będzie je wychowywać, nauczy je masy rzeczy, wpoi mu pani swoją kulturę, narzuci swoją osobowość... Ale pod spodem będzie zawsze inny rękopis. Dziecko będzie zawsze miało własne korzenie. Dziedzictwo genetyczne swoich rodziców, swego kraju. Kilka lat przeżytych w rodzinnym środowisku... Musi pani nauczyć się żyć z tą tajemnicą. Niech pani ją uszanuje. Tylko w ten sposób może pani naprawdę kochać swego syna.

Szorstki głos Teresy zabarwił się łagodnością. Diana wyobraziła sobie sierociniec. Czowała jego zapachy, jego ciepło, ten nastrój miejsca, gdzie się wychodzi z choroby. Dyrektorka miała rację. Ale nie miała pojęcia, co się za tym wszystkim kryje. Diana chciała koniecznie poznać konkretne odpowiedzi na swoje pytania:

– Proszę mi powiedzieć tylko jedną rzecz – powiedziała jeszcze. – Czy pani zdaniem Lucjan... czy Lu-Sian może być Wietnamczykiem?

– Wietnamczykiem? Mój Boże, dlaczego Wietnamczykiem?

– No cóż... Wietnam nie jest daleko i...

– Nie. To niemożliwe. Zresztą znam ten język. Mowa Lu-Siana nie ma nic wspólnego z wietnamskim.

Diana wymamrotała:

– Dziękuję pani. Ja... ja jeszcze zadzwonię.

Odłożyła słuchawkę i wsłuchiwała się w rozbrzmiewające w niej samej, niczym w zimnej nawie kościelnej, słowa dyrektorki.

Wtedy dopiero powróciło do niej odległe wspomnienie.

To było w Hiszpanii, z okazji wyprawy rozpoznawczej do Asturii. W wolnej chwili Diana zwiedzała pewien klasztor. Była to budowla surowa, szara, nadal żyjąca rytmem godzin medytacji i szeptanych modlitw. W bibliotece trafiła na coś, co ją zafascynowało. Na ścianie wisiał na stalowych linkach zabezpieczony szybą pergamin. Jego szorstka powierzchnia, różowawy kolor nadawały mu charakter rzeczy organicznej, niemal żywej. Był gęsto pokryty linijkami starannego, gotyckiego pisma, a tu i ówdzie – delikatnymi iluminacjami.

Ale najbardziej uderzyło ją co innego.

Nad pergaminem umieszczony był neon ze światłem ultrafioletowym, który, zapalając się w regularnych odstępach czasu, wydobywał spod czarnych liter inne, czerwone, luźno pisane.

Ślady dawnego tekstu, pochodzącego ze starożytności. Niczym odcisk pozostawiony pod powierzchnią pergaminu.

Diana rozumiała teraz, że jeśli jej dziecko jest palimpsestem, jeśli jego przeszłość jest swoistym, na wpół zatartym tekstem, to ona jest w posiadaniu jego strzępów. Lu. Sian. I kilka innych słów, które powtarzał stale przez te trzy tygodnie, które spędził przy niej w Paryżu. Te słowa, których Teresa Maxwell nie rozumiała.

Jeden z oddziałów Krajowego Instytutu Języków i Cywilizacji Wschodu mieścił się przy ulicy de Lille, tuż za muzeum Orsay. Był to wielki budynek, posępny i pyszny, naznaczony tym majestatem, który miały dla Diany piękne gmachy siódmej dzielnicy.

Minęła marmurowy hol, po czym zagłębiła się w labirynt schodów i sal wykładowych. Na pierwszym piętrze wypatrzyła pracownię języków Azji Południowo-Wschodniej. Wyjaśniła z grubsza jakiejś sekretarce, że jest dziennikarką i przygotowuje reportaż na temat narodowości Złotego Trójkąta. Czy może się zobaczyć z Izabelą Condroyer? Trafiła na jej nazwisko w poświęconym etnologii tomie wydawnictwa Plejady: ta uczona była podobno najlepszym specjalistą od ludów interesującego ją regionu.

Sekretarka uśmiechnęła się w odpowiedzi. Diana ma szczęście: pani Condroyer właśnie jest tutaj i kończy wykład. Niech Diana zaczeka w sali 138, na parterze, pani profesor zostanie zawiadomiona.

Diana od razu zeszła do wskazanej sali. Był to mały pokój w suterenie, okienka z matowego szkła wychodziły tuż nad poziomem ziemi na jeden z wewnętrznych dziedzińców. Małe, ciasno ustawione stoliki, czarna tablica, zapach polakierowanego drewna przypomniały Dianie czasy studenckie. Usiadła w głębi sali, wiedzioną starym odruchem studenta-samotnika, potem zanurzyła się, właściwie mimo woli, we wspomnieniach ze studiów.

Kiedy wspominała ten okres swego życia, nie myślała o godzinach spędzonych w sali wykładowej, ale raczej o wyprawach naukowych, które odbywała już w ostatnich latach studiów doktoranckich. Nie była nigdy pilną uczennicą. Nie była też umysłem rozmiłowanym w analizach i teorii. Tylko praca w terenie ją pasjonowała. Morfologia funkcjonalna. Autekologia. Topografia przestrzeni życiowych. Dynamika populacji... Te terminy i te dyscypliny były dla niej wyłącznie pretekstem do wyjazdów, okazją by śledzić, obserwować, poznawać dzikie życie.

Od pierwszej podróży naukowej Dianę zajmowała tylko jedna rzecz: zrozumieć barbarzyństwo łowów, okrucieństwo drapieżników. Miała obsesję na punkcie tej tajemnicy, której symbolem były szczęki wżerające się w żywe ciało. Ale może nie było tam nic do rozumienia, może trzeba było tylko tego doświadczyć? Kiedy podglądała wielkie drapieżniki na

czatach, ukryte w buszu, znieruchomiały tak, że zlewały się z roślinnością, wkopywały się, wtapiały w gęstość chwili, nabierała pewności, że sama kiedyś skupi się tak dalece, że stanie się tym drapieżnikiem, tym czatowaniem, tą chwilą. Nie chodziło już o to, by zrozumieć instynkt zwierzęcia, lecz żeby wdrzeć się w jego wnętrze. Samej stać się ślepym popędem, ruchem zniszczenia, który nie zna innej logiki poza własną...

Drzwi otworzyły się zniecacka. Izabela Condroyer obnosiła swoje wystające kości policzkowe tak, jak się nosi wysokie obcasy. Pod krótko obciętych włosami szatynki miała z lekka skośne oczy o tęczęwkach barwy zielonej herbaty. Po prostu migdały, świeże, prosto z krzaka. Kropla jakiegoś azjatyckiego eliksiru musiała się rozpuścić we krwi tej kobiety i nadała jej nie wdzięk azjatyckiej laleczki, lecz raczej twardość skały, szorstkość obszarów wysokogórskich. Diana wstała. Uczona oświadczyła z miejsca:

– Moja sekretarka powiedziała mi, że pani jest reporterem. Dla jakiej gazety pani pracuje?

Diana zauważyła, że pani etnolog nosi przyciasną czerwoną bluzkę. Tkanina rozchodziła się, tworząc małe, niedyskretne szparki. Postarała się uśmiechnąć:

– Właściwie to... Powiedziałam tak głównie po to, by się z panią spotkać.

– Przepraszam?

– Potrzebuję pewnej wiadomości. To bardzo pilne...

– Pani żartuje? Wyobraża sobie, że ja nie mam nic lepszego do roboty?

Przez krótką chwilę Diana miała ochotę odpowiedzieć jej tym samym tonem, ale się powstrzymała. Jedną z technik walki polega na tym, żeby użyć siły bezwładu przeciwnika przeciwko niemu. Postanowiła zagrać na czulej strunie, żeby osłabić agresywność pani profesor.

– Niedawno adoptowałam dziecko – wyjaśniła. – W Tajlandii, w okolicach Ranongu. Pani na pewno zna ten region. Dziecko ma sześć, siedem lat.

– No więc?

– Wymawia tylko parę strzępów zdań. Chciałabym wiedzieć, jakim językiem mówi, jaki jest jego rodzinny dialekt.

Pani profesor położyła teczkę na biurku, stojącym naprzeciw stolików studenckich. Skrzyżowała ramiona. Szparki w bluzce otworzyły się wyraźniej, pozwalając dostrzec nieskazitelną biel biustonosza. Diana mówiła dalej z niezmałym spokojem:

– Mielśmy niedawno wypadek samochodowy. Dziecko omal nie umarło. Nie odzyskało jeszcze przytomności, ale lekarze sądzą, że się ocknie.

Kobieta patrzyła teraz na Dianę innym wzrokiem. Wyglądało na to, że się zastanawia, czy trafiła na wariatkę, czy przeciwnie, taka historia mogła się wydarzyć. W głowie Diany samo uformowało się jasne i ściśle kłamstwo:

– I mam taki problem: lekarze sądzą, że kiedy dziecko odzyska przytomność, byłoby dobrze, żeby usłyszało swój ojczysty język. Jest w Paryżu dopiero od kilku tygodni, rozumie pani?

Brzmiało to tak sensownie, że Diana nagle zastanowiła się, czy rzeczywiście tak nie jest, czy nie powinna o tym naprawdę pomyśleć. Pani profesor powiedziała łagodniejszym tonem:

– Ta historia jest... W końcu... W jakim jest teraz stanie?

– Kilka dni temu zdawało się, że w beznadziejnym. Ale dziś lekarze są usposobieni optymistycznie. Wiele oznak zdaje się świadczyć, że ocknie się ze śpiączki. Jest jeszcze problem następstw.

Izabela Condroyer usiadła. Jej twarz była wciąż tak samo surowa, ale zniknął z niej wyraz wrogości. Powiedziała cicho, z powagą:

– Ale jeśli on nie mówi, to jak ja mam...

– Powtarza wciąż te same słowa. Zwłaszcza dwie sylaby. Lu, Sian...

– Nic pani nie wie o jego pochodzeniu?

– Nic. Tylko te dwie sylaby...

Etnolożka patrzyła długo na swoją rozmówczynię. Diana miała na sobie wcięty płaszcz w kolorze surowego płótna, naszyjnik z kryształów kwarcu, srebrna szpila przytrzymywała węzeł jej włosów. Uczona odezwała się wreszcie. Znow była wyniosła i chłodna.

– Wie pani, iloma językami i dialektami mówi się w regionie Wybrzeża Andamańskiego?

– Niezupełnie.

– Co najmniej dwunastoma.

– Mówię o bardzo ograniczonym regionie. Punkcik na mapie. Sierociniec jest w Ranongu i...

– Wobec ruchów ludności, spowodowanych starciami w Birmie, wojnami gangów narkotykowych, migracjami ludności napływającej ze Złotego Trójkąta i z Indii, liczba języków używanych na tamtym terenie urasta do dwudziestu. Może nawet trzydziestu.

– Mówię pani, że znam tylko te dwie sylaby. Ale pani z pewnością zna specjalistów od każdego z tych dialektów. Mogę...

W tonie uczoney słyhać było zniecierpliwienie.

– Kilka sylab nic nam nie da! Zwłaszcza wymówionych przez panią. Na przykład w języku

tajskim to samo słowo może mieć kilka różnych znaczeń, zależnie od tego, czy akcent pada na tę, czy na inną sylabę i czy sam wyraz znajduje się na początku, czy na końcu zdania...

Na zewnątrz zapadał już zmierzch. Okno z matowego szkła świeciło intensywną czerwienią. Gniew kobiety zdawał się promieniować na szybę. Zakończyła zdecydowanym tonem:

– Przykro mi. Bez prawidłowej wymowy prośba jest absurdalna. Nic dla pani nie mogę zrobić.

Diana uśmiechnęła się szeroko.

– Byłam pewna, że pani to powie.

Wyjęła z torebki jaskrawoczerwony magnetofon. Służył Lucjanowi do karaoke, nagrywał na nim swoje piosenki. Diana wiedziała, że nie można zidentyfikować żadnego dialektu, jeśli nie słyszy się akcentu ani wymowy. Ale przypomniała sobie o głosie zarejestrowanym na tej kasecie.

Nacisnęła na klawisz „Play” i nagle w salce rozległ się nosowy głos Lucjana. Urywane sylaby, z lekka gardłowe, unosiły się w ciszy wieczoru niczym banieczki dzieciństwa. Izabela Condroyer wyglądała na oszołomioną.

Diana wygrała. Ale nie rozkoszowała się zwycięstwem. Ten głos zaskoczył ją samą. Nie przeszłuchiwała kasety od dnia wypadku. Rozlegający się z niej głos nagle zajął całą przestrzeń, wypełnił ją obecnością Lucjana, jego twarzą jego ptasimi gestami. Było to dla niej jak cios sztyletem. W jednej chwili rozpacz wyzwoliła się, napłynęła do oczu jak płomień.

Opuściła głowę, zasłoniła czoło dłonią. Nie chciała płakać. Skuliła się, a głos unosił się wciąż w sali zalanej purpurą.

Nagle zapadła cisza.

Diana podniosła wzrok. Uczona zrozumiała, co się z nią dzieje, i wyłączyła magnetofon. Diana otworzyła usta, ale pani profesor już wstała i położyła jej dłoń na ramieniu. Jej głos, kilka chwil wcześniej jeszcze tak twardy, szorstki, wyszeptał:

– Proszę mi zostawić kasetę. Zobaczę, co się da zrobić.

18

Złożone ręce.

To była technika wing-tsun, w której Diana była najlepsza, najszybsza. Technika, w której przeciwnik był tak blisko, że trzeba było nacierać i unikać ataków w nieustannym z nim kontakcie. Ciosy pięścią. Ciosy łokciem. Ciosy kantem dłoni. Ulewa przemocy spadała tak gwałtownie, że nie można było ani uchylić się, ani cofnąć, jakby się było na stałe przyspawanym do wroga.

Dianę właściwie powinny były odrzucać te nieustanne dotknięcia, ale w tym wypadku chodziło o walkę, a w takim kontekście sygnał jej fobii nie włączał się. Przeciwnie: kontakt budził w niej jakąś głuchą rozkosz. Jakby w głębi ducha smakowała to odwrócenie znaczenia gestu: zamianę pieszczoty w cios.

Poza tym Diana знаła pewną tajemnicę. Jeśli była tak doskonała w walce w zwarciu, to przez swoją krótkowzroczność; największą szansę zwycięstwa miała wtedy, kiedy była bardzo blisko, kiedy mogła widzieć każdy szczegół. Zamieniła swój niedostatek w siłę, nauczyła się walczyć z najbliższej odległości, stawiając wszystko na szybkość, idąc na takie ryzyko, że zbijała z tropu przeciwniczki.

Tego samego wieczoru trening w ośrodku przy Maubert-Mutualite stał się dla niej doskonałym ujściem dla wzruszeń, które przeżyła w ciągu dnia. Po telefonie do Teresy, po spotkaniu z etnologą, Diana poszła wprost do szpitala. Lucjan był na badaniach i nie pozwolono jej go zobaczyć. Najpierw wściekła się, potem zrozumiała, że doktor Daguerre chce usunąć dreny już nazajutrz rano.

Mimo to, wróciwszy do siebie, Diana nie potrafiła cieszyć się w pełni. Morderstwo van Kaena przesłaniało wszystko inne – nawet wyzdrowienie syna. Nie mogła przestać myśleć o tym okrucieństwie. O ręce, która grzebała we wnętrznościach. O zlepionych borówkach na ścianach. O błyszczącym ekranie, który obnażył zbezczeszczone trzewia akupunkturzysty. Wszystko razem zlewało jej się w głowie. Nie umiała już oddzielić w myślach morderstwa od poprawy zdrowia swego dziecka.

Zresztą budynku pediatrii pilnowali teraz policjanci w mundurach. Kiedy spytała panią Ferrer o ich obecność, tamta odpowiedziała jej tylko: „bezpieczeństwo”. Jakie bezpieczeństwo?

O jakie zagrożenie chodzi? Czy zabójca nadal krąży w korytarzach szpitala? Zamiast zadreć się bez przerwy tymi pytaniami, wołała wrócić do zapachu potu i ciosów ośrodka treningowego. Złożone ręce. Sposób taki dobry jak każdy inny, by wypocić z siebie niepokoje...

W domu Diana wzięła gorący prysznic, potem odsłuchiwała sekretarkę automatyczną. Wciąż to samo – sakramentalna lista przyjaciół i znajomych, wypytujących o nowiny i wygłaszających słowa pocieszenia. Były też telefony od matki. Ale ilekroć rozpoznawała niecierpiany głos, naciskała klawisz „Next”.

Przeszła do kuchni. Z ociekającymi wodą włosami i rozpalonymi policzkami, zaparzyła sobie bardzo czarną darjeeling i ustawiła na tacy imbryk, miseczkę z kruchymi ciasteczkami i jogurty – żywiła się niemal wyłącznie herbatnikami i nabiałem. Potem ulokowała się w sypialni z książkami, kupionymi tego popołudnia.

Miała do zbadania jeszcze jeden ślad. Ślad niepewny, pośredni, który jednak głęboko ją niepokoił: akupunktura. Chciała spróbować zrozumieć, w jaki sposób van Kaen oddziaływał na ciało Lucjana. Domyślała się niejasno, że ta technika ma jakiś związek z innymi wydarzeniami niezwyklej nocy.

Godzina lektury wystarczyła, by stwierdzić kilka faktów.

Przede wszystkim – Daguerre miał rację. Z fizjologicznego punktu widzenia akupunkturzysta nie nakłuwał żadnego szczególnego punktu. Ani nerwów, ani mięśni, ani nawet bardziej wrażliwych miejsc pigmentowych – w każdym razie nie zawsze. Nigdy nie zdołano wyraźnie, fizycznie stwierdzić istnienia meridianów w ludzkim ciele. Badania dowiodły tylko, że igła uwalniała niekiedy endorfiny – hormony mające właściwości znieczulające. Inne badania wykazały elektryczne własności niektórych punktów. Ale żadna z tych obserwacji nie dawała się uogólnić i na tle cudownych wyników uzyskanych przez van Kaena stanowiły one tylko epifenomeny.

Niemiecki lekarz też mówił prawdę: akupunktura, wedle chińskiej medycyny, dotyczyła pewnego tajemniczego elementu, który stosujący ją uzdrowiciele nazywali „energią życiową” i który anestezjolog porównał do czegoś w rodzaju pierwotnego popędu, praźródła. W końcu – czemu nie? Mimo swego mocno ugruntowanego racjonalizmu, mimo swego biologicznego wykształcenia, Diana, wobec tego, co się przydarzyło z Lucjanem, gotowa była zgodzić się na wszystko. Było oczywiste, że akupunkturzysta wpłynął na jego mechanizmy fizjologiczne na

poziomie, do którego medycyna konwencjonalna nie umiała dotrzeć.

Diana czytała dalej. Teraz interesowała ją geografia tych tajemniczych sił. Niemiec mówił o „wodach gruntowych” i dawał do zrozumienia, że ta energia życiowa posiada w obrębie ludzkiego ciała swe „strumienie”: meridiany, układające się w podziemną topografię. Przez wiele godzin Diana studiowała te skomplikowane obiegi i grę ich oddziaływań.

Najbardziej zdumiewające było to, że ta energia zdawała się mieścić zarazem wewnątrz ciała i na zewnątrz niego. Chodziło nie tylko o to, by rozgrzać, uspokoić, podrażnić ten czy inny meridian, ale zwłaszcza – żeby zrównoważyć ten prąd z siłami zewnętrznymi. W ostatecznym rachunku igły działały jak mikroskopijne stacje łączności skierowane na wszechświat i służące do „harmonizowania” organizmu z jakąś hipotetyczną potęgą kosmiczną. Diana przerwała lekturę: te pojęcia i ten język wprawiły ją w zakłopotanie – wszystko to przypominało jej żargon spirytualistów i gadaninę skierowaną do zagubionych dusz poszukujących guru. Mimo to pamiętała jednak te igły, zielone, żywe, które usiały skórę jej dziecka. Sama porównała je wtedy do kładek, stacji przesiadkowych, łączących z tajemniczymi, wymykającymi się opisowi siłami.

Diana zgasła światło i zamyśliła się. Te książki o medycynie chińskiej nic jej nie dały, podsunęły jej tylko jedną myśl: może to dziecko, ze względu na swe dziedzictwo kulturalne, jest bardziej od innych wrażliwe na akupunkturę? Może istnieje jakiś zespół cech genetycznych, pozwalający jego ciału lepiej reagować na tę technikę? Ale co w gruncie wiedziała o prawach rządzących atawizmem? Czy nie była to całkiem dowolna hipoteza? W każdym razie nie przynosząca żadnej konkretnej informacji o okolicznościach narodzin Lucjana.

Znów odtworzyła w myślach z najdrobniejszymi szczegółami zabieg dokonany przez van Kaena. Przypomniało jej się jedno zdanie. Zdanie, na które nie zwróciła uwagi w zamęcie tamtej nocy, ale które dziś wieczór nabierało szczególnego znaczenia. Lekarz, zanim wyszedł, powiedział: „To dziecko musi żyć, rozumie pani?”. Wtedy wydało jej się, że ta uwaga wyraża tylko determinację akupunkturzysty. Ale mogła też znaczyć, że Lucjan, z nieznanego jej powodu, ma przeżyć za wszelką cenę.

Niemiec mówił jak człowiek, który zna jakąś tajemnicę, jakiś fakt dotyczący dziecka. Może jakieś wyjątkowe pochodzenie, jak wyobrażała sobie Diana dzisiejszego popołudnia. Albo jakąś osobliwość fizjologiczną. Albo jakąś misję, dzieło, do którego dokonania, kiedy będzie starszy, powołany jest Lucjan...

Znów zaczynała ogarniać ją choroba absurdalnych teorii.

Zarazem słyszała jeszcze, niczym echo, intonację, z jaką mówił lekarz. Wyczuwała krańcowe napięcie, utajony lęk, które starał się ukrywać podczas zabiegu. Doktor coś wiedział. Lucjan nie był zwykłym dzieckiem. I Langlois wyczuł to swym węchem gliny. Dlatego tak interesował się chłopcem i jego pochodzeniem.

Jedno wariactwo jest tyle warte co inne, więc Diana wyobraziła sobie inną możliwość.

Tak nieodparty powód do ratowania dziecka mógł równie dobrze stanowić pobudkę do jego usunięcia... A jeśli van Kaen został zamordowany właśnie dlatego, że przywrócił chłopca do życia?

A jeśli coś grozi Lucjanowi?

Zamarła. To ostatnie przypuszczenie ją przeraziło.

A jeśli ta groźba została już wprowadzona w życie?

A jeśli wypadek na obwodnicy nie był wypadkiem?

CZEŚĆ II

Strażnicy

19

Poniedziałek, 11 października.

Diana krąży po zboczach Mont Valerien, w Suresnes.

Minęła najeżony białymi krzyżami cmentarz amerykański, potem zielone wzgórza wznoszące się nad Laskiem Bulońskim. To nie była właściwa droga, gdzieś w okolicach mostu Saint-Cloud musiała się pomylić. Teraz wypożyczonym z agencji samochodem zjeżdżała ulicą Bas-Rogers, gdzie znów powitała ją szarzyzna miasta. W deszczu odnajdywała monotonną nudę przedmieścia, smutne aleje, zimne uliczki. Nudę, od której ludzie nie mogą uciec.

Diana wzięła się do śledztwa na dobre. Wykorzystała weekend, żeby zbadać niektóre sprawy, ale teraz dopiero miała dotrzeć do sedna swych wątpliwości. Przejechała pod granitowym akweduktem, okrążyła rondo, dumnie zapowiadające wjazd do dzielnicy Belvedere, potem zobaczyła po prawej ulicę Gambetty. Arteria, wzdłuż której ciągnął się nasyp kolei, była zabudowana stojącymi ciasno jeden przy drugim domkami, wyglądającymi, jakby trwały tam od wieków.

Pod numerem 58 stał dom dwupiętrowy, brudny, odrapany, wyłożony cegłą i ozdobiony balkonami z czarnego żeliwa. Diana zaparkowała bez trudu i weszła do środka. Trafiła na prastare drzwi, zasmolone skrzynki na listy, schody wypacykowane na brunatno. Nawet odór pojemników na śmieci pasował do reszty obrazu – było z tego wszystkiego jakieś warkliwe i zapiekłe rozgoryczenie, skryte pod schodami i jakby zawierające w sobie całą historię domu.

Przekręciła wyłącznik i stwierdziła, że światła nie ma i nie będzie go nigdy. Na tablicy ze zbutwiałej tektury wisiała lista lokatorów, w świetle dochodzącym z ulicy znalazła potrzebne jej nazwisko, to, które zdołała wydusić z Patryka Langlois, kiedy zadzwoniła do niego poprzedniego wieczoru.

Skrzypiące stopnie schodów, lepka poręcz: spodziewała się tego wszystkiego. Diana miała na sobie długi, jasnoniebieski płaszcz przeciwdeszczowy, szeleszczący przy każdym kroku. Na ramionach perliły jej się kropelki deszczu i obecność tych płynnych drobiny uspokajała ją. Doszła do drugiego piętra i zadzwoniła do drzwi po lewej.

Żadnej odpowiedzi.

Zadzwoniła jeszcze raz.

Minęła kolejna minuta. Już chciała zawrócić, kiedy rozległ się szum spuszczonej wody.

Drzwi otworzyły się wreszcie.

Na progu stał młody człowiek. Miał na sobie kurtkę od dresu z kapturem, bez kształtu ni koloru. W półmroku Diana nie widziała dobrze jego twarzy. Zauważyła tylko, że jest młodszy, niż go zapamiętała. Najwyżej trzydziestka. I szczuplejszy. Zwróciła zwłaszcza uwagę na dochodzący zza uchylonych drzwi zapach konopi. Chłopak właśnie dawał sobie w żyłę. Stąd hałas w ubikacji. Spytała:

– Pan Marc Vulovic?

Skryta w półmroku gęba nie poruszyła się. Potem rozległ się nosowy głos:

– Co jest?

Diana poprawiła sobie okulary. Ten zakatarzony głos potwierdzał najgorsze przypuszczenia – facet raczył się czymś mocniejszym od haszu.

– Nazywam się Diana Thiberge.

Milczenie. Dodała:

– Wie pan, kim jestem, nie?

– Nie.

– Wypadek... to ja prowadziłam tamtej nocy terenówkę.

Vulovic nie odpowiedział. Przeszła minuta. A może tylko kilka sekund. W swoim zdenerwowaniu Diana nie była pewna niczego. Mężczyzna powiedział:

– Niech pani wejdzie.

Diana minęła ciasny przedpokój wytapetowany płytami CD i kasetami wideo, potem zobaczyła po prawej kuchnię wyłożoną linoleum i laminatem. Gospodarz gestem zachęcił ją do wejścia.

Przez szarawe zasłony sączyło się mętne światło. Zlew, płytka kuchenna: dwie sine płamy zawalone brudnymi statkami. I zatrujący powietrze smród narkotyku. Na wprost uchylonego okna stało krzesło. Diana szybko usiadła i z płaszcza spłynęły kropelki deszczu.

Mężczyzna przysunął sobie taboret i usiadł po drugiej stronie stołu. Jego długa i sucha gęba wyłaniała się spod opuszczonego kaptura niczym żółtawa bulwa. Blond włosy były zaczesane w kaczy kuper, a kędzierzawa bródka przypominała włókna kukurydzy. Nie miał już na sobie opatrunków. Tylko kilka brązowych strupów na czole i łukach brwiowych. Wymamrotał z opuszczoną głową:

– Chciałem przyjść do szpitala, ale...

Zamilkł i podniósł twarz. Jego zielone oczy przypominały okrągłe okienka okrętowe wychodzące na skute lodem morze. Zapytał:

– On... Znaczy się, dziecko... jest...

Diana domyśliła się, że nikt mu nic nie powiedział. Wyszepiała:

– Ma się lepiej. To cud, ale wychodzi z tego. A więc nie mówmy o nim, OK?

Vulovic niejasno kiwnął głową, przyglądając się jej niepewnie. Siedział przekrzywiony, z opadłymi ramionami. Narkoman, w niewoli wstydlivej choroby. Zapytał:

– Czego pani chce?

– Wrócić razem z panem do okoliczności wypadku. Chcę wiedzieć, co się z panem stało przy kierownicy.

Kierowca skrzywił się. Spojrzał nieufnie. Diana nie dała mu czasu się odezwać:

– Powiedział pan, że tego wieczoru jechał pan z parkingu przy alei Porte d'Auteuil. Co pan tam robił? Odpoczywał?

Facet uśmiechnął się mimo woli. Obleśny błysk wyjrzał mu z oczu.

– Nigdy pani tam nie była? Myślę: wieczorem.

Diana wyobraziła sobie anonimową aleję, wciśniętą między bulwar okrężny a korty Rolanda Garrosa, prowadzącą wprost do Lasku Bulońskiego. Nagle ujrzała w myślach to samo miejsce nocą i zrozumiała to, na co dotąd nie wpadła: kurwy. Ten gość po prostu poszedł sobie na kurwy.

Pokiwał głową, jakby odgadł jej myśli.

– Normalny numer przed trasą. Miałem lecieć do Holandii. Hilversum. Tam i z powrotem. Dwadzieścia cztery godziny jazdy.

Diana ciągnęła dalej:

– Dobra. Ale czytałam statystyki na temat obniżonej sprawności psychofizycznej u kierowców. Osiemdziesiąt procent wypadków ciężarówek spowodowanych zaśnięciem za kierownicą przypada na czas między dwudziestą trzecią a pierwszą nad ranem. Wedle tych samych danych do takich wypadków nie dochodzi nigdy na obwodnicy. Z natury rzeczy bliskość stolicy „budzi” kierowców. Jeśli pan wyjeżdżał z...

– Prowadzi pani śledztwo? – nagle przerwał jej agresywnie.

– Po prostu chcę zrozumieć. Zrozumieć, jak mógł pan zasnąć o północy, skoro dopiero co był pan z prostytutką i szykował się do dwudziestoczworgodzinnego kursu.

Vulovic zgarbił się jeszcze mocniej. Ręce dygotały mu nad stołem. Diana opanowała nerwy

i zmieniła znienacka kierunek:

– Co pan bierze, żeby nie zasnąć?

– Kawę. Mamy termosy.

Diana poruszyła nozdrzami – niema aluzja do zapachu panującego w tej brudnej kuchni.

– Pali pan też, prawda?

– Jak wszyscy.

– Mam na myśli hasz.

Facet nie odpowiedział. Mówiła dalej:

– Nigdy pan nie pomyślał, że to może pana całkiem załatwić? Uśpić?

Vulovic wyciągnął szyję. Pod skórą pulsowała mu siateczka żył.

– Wszyscy kierowcy się ładują, żeby wytrzymać. Każdy ma swoje sposoby. Jasne?

Diana pochyliła się nad stołem. Te twarde gadki nie robiły na niej wrażenia. Przeszła na „ty”:

– Nie bierzesz nic innego? – Szofer nadął się w milczeniu. Diana naciskała: – Amfa, koka, hera?

Tamten spojrzał na nią z ukosa. Pod spuszczonej powiekami tkwiły jak pociski dwie żelazne kulki. Na ustach z wolna wykwitał uśmieszek.

– Rozumiem. Pani mnie chce wrobić w gówno. Wywalili mnie. Odebrali prawko. Grozi mi pudło, ale pani to za mało. Chce pani, żebym poszedł do pierdła od razu. Na lata.

Diana powstrzymała go gestem.

– Szukam prawdy, to wszystko.

Vulovic ryknął:

– Prawda jest w raportach gliniarzy! Czarno na białym! Zrobili mi test alkoholowy. Badali w szpitalu. Nic nie znaleźli. Byłem, kurwa, *clean!* Przysięgam, w czasie wypadku byłem *clean!*

Mówił prawdę. Widziała wyniki tych badań.

– OK – powiedziała nieco ciszej. – To dlaczego zasnąłeś?

– Nie wiem. Nic nie pamiętam.

Diana wyprostowała się.

– Jak to?

Mężczyzna wahał się. Grube krople potu spływały mu z czoła. Wymamrotał:

– Przysięgam pani. Łamię sobie głowę i nic, od Porte d'Auteuil dziura w pamięci... Nawet nie wiem, czy wrzuciłem sobie. Musiałem być całkiem skonany. Nie wiem. Nie pamiętam nic aż do

zderzenia...

Diana czuła, że dociera do jakiejś ukrytej prawdy. Do czegoś przerażającego, czegoś, co podejrzewała i co na jej oczach nabierało rzeczywistego kształtu. Zapytała:

- Nikt nie ruszał twojej kawy?
- Zwariowała pani czy jak? Niby po co?
- Rozmawiałeś z kimś na parkingu?

Zaprzeczył ruchem głowy. Kaptur miał mokry od potu.

– Kręcimy się w kółko. Nic nie pamiętam. Gównno. To był wypadek. Nie ma co w tym grzebać, nawet jeśli sam czuję w tym coś dziwnego.

Diana przysunęła się z krzesłem i pochyliła. Mimo mokrych włosów, mimo karku mokrego od deszczu czuła, że pali ją całe ciało.

- Nie rozumiesz, jakie to dla mnie ważne? Spróbuj sobie przypomnieć.

Vulovic otworzył szufladę kuchennego stołu. Wyciągnął z niej komplet do robienia skrętów: papieros, bibułkę, tabliczkę haszu zawiniętą w folię aluminiową, wziął w palce dwa papierki do skręcania i powiedział:

- Drzwi są za panią.

Diana wierzchem dłoni zmiotła wszystko ze stołu na podłogę. Facet zerwał się jednym skokiem, z uniesioną pięścią.

- Uważaj, raszplo jedna.

Diana pchnęła go na ścianę. Była wyższa od niego. I tysiąc razy bardziej niebezpieczna. Czuła, jak coś w środku niej się śmieje. Właściwie – wołała to. Wołała, żeby ten facet był zdolny dać jej w twarz, rąbnąć ją. Wołała, żeby do zabicia jej dziecka użyto sukinsyna. Powiedziała powoli i wyraźnie:

– Słuchaj mnie uważnie, zasańcu. Przez dziewięć dni mózg mojego syna stale puchnął, dusił się własną krwią. Przez dziewięć dni patrzyłam, jak śmierć to zbliża się do niego, to oddala. Dziś wciąż nie wiadomo, co z nim będzie, kiedy odzyska przytomność. Może będzie normalny. Albo może trochę powolniejszy od innych. Albo może będzie po prostu jarzyną. Wyobraź sobie troszeczkę, jakie życie nas czeka, jego i mnie.

Kierowca opuścił głowę. Wyraźnie wymiękał. Pozwoliła mu opaść na stołek. Pochyliła się i mówiła dalej, wciąż bardzo spokojnie:

- Wobec tego, jeśli myślisz, że było cokolwiek podejrzanego przed wypadkiem, jeśli masz

w głębi duszy choćby najmniejsze podejrzenie, to teraz, kurwa, jest czas, żeby to powiedzieć.

Z pochyloną twarzą, spływając potem i łzami, mężczyzna wyszeptał:

– Nie wiem... Nie wiem... Mam wrażenie, że mi zrobili jakiś numer...

– Jaki numer?

– Nie wiem. Zasnąłem znieczuleni... Jakby...

– Jakby co?

– Jakby na komendę... Takie miałem wrażenie...

Diana wstrzymała oddech. Zobaczyła przed sobą czarną przepaść, a jednocześnie jakieś światelko. Uderzyła ją myśl, jasna, coraz wyraźniejsza: w ten czy inny sposób gość został zmanipulowany. Pomyślała o hipnozie. Nie wiedziała, czy manipulacja na taką skalę jest możliwa, ale jeśli tak, to potrzebny był sygnał, który by uruchomił zaprogramowane zachowanie.

– Słuchałeś radia?

– Nie.

– Masz walkmana?

– Nie!

– Widziałeś coś w pobliżu jezdnii?

– No nie!

Diana odezwała się łagodniej. Wycofać się, żeby zdobyć przewagę...

– Mówiłeś o tym glinom?

– Nie. Niczego nie jestem pewien. Dlaczego by mi mieli to zrobić? Dlaczego ktoś miałby mi zrobić taki numer?

Vulovic nie mówił wszystkiego. Gdzieś głęboko pulsowało w nim jądro strachu. Wymamrotał wreszcie:

– Teraz, kiedy myślę o tym wszystkim, widzę tylko jedną rzecz.

– Jaką?

– Zielone.

– Kolor?

– Zieleń khaki. Jak... jak sukno wojskowe.

Diana zastanowiła się. Nie wiedziała, jak wykorzystać tę poszlakę, ale czuła, że jest to zaczątek prawdy. Mężczyzna szlochał, ściskając rękoma skronie.

– Mój Boże... Pani berbec, myślę o nim codziennie... Niech mi pani wybaczy. Kurwa, proszę,

niech mi pani wybaczy!

Diana, znieruchomiała, powiedziała po prostu:

– Nie mam ci co wybaczać.

– Jestem prawosławny – mówił dalej facet. – Modłę się za niego do świętego Sawy, ja...

– Mówię ci, że nie mam ci czego wybaczać. Na pewno nie masz z tym nic wspólnego.

Kierowca podniósł oczy. Łzy mąciły mu wzrok.

– Co... co pani mówi?

Diana mruknęła:

– Nie wiem, co mówię. Jeszcze nie wiem.

20

W porze przedpołudniowej parking przy alei Porte-d'Auteuil nie wyróżniał się niczym. Zabudowania stadionu Rolanda Garrosa przypominały mury zakazanego miasta. W dole huczał bulwar okrężny, ale zza kamiennej bariery otaczającej parking nie było go widać. Kiedy Diana zatrzymała się tutaj tuż przed południem, wyobraziła sobie od razu tę mętną atmosferę, jaka musiała tu panować nocą. Ciała oświetlone reflektorami, krążące w mroku samochody, wnętrza wozów zaparkowanych na uboczu, ciemne, zamknięte, kryjące w sobie spuszczone ze smyczy instynkty. Wzdrygnęła się. Wydało jej się, że czuje te nocne pożądania, że widzi, jak szybują, splatają się nad asfaltem niczym jakieś zgarbione, groźne bestie...

Zdjęła z ręki zegarek, umocowała go na kierownicy, włączyła funkcję „stoper” i ruszyła. Pojechała aleją w górę i skręciła na prawo. Przejechała wzdłuż Skweru Poetów, minęła szklarnie Auteuil i dotarła do Porte Molitor. Jechała z umiarkowaną szybkością, jak tir późną nocą. Na obwodnicy obrała kierunek Porte Maillot – autostrada na Rouen.

Minęły dwie minuty dwadzieścia.

Przyśpieszyła, trzymając się prawego pasa. Na szczęście na bulwarze nie było tłoku, ruch był podobny jak tamtego wieczoru. Dziewięćdziesiąt na godzinę. Pierwszy raz od wypadku jechała bulwarem okrężnym. Zaciśnęła mocno ręce na kierownicy: nie chciała dać ponieść się nerwom.

Porte-de-Passy. Trzy minuty dziesięć. Przyśpieszyła jeszcze. Sto na godzinę. Ciężarówka Vulovica nie mogła przekraczać tej prędkości. Cztery minuty dwadzieścia. Wjechała do tunelu przy Porte de la Muette.

Przypominała sobie kaskady świateł, swoje myśli zmacone szampanem.

Znów wyjechała na powierzchnię.

Siedemset metrów dalej wjechała w kolejny tunel.

Pięć minut dziesięć.

Kiedy Diana zobaczyła ostatni tunel przed Porte Dauphine, wiedziała, że przekracza granicę innej rzeczywistości. I że może tkwiące w niej poczucie winy ma jej do wyszeptania jakąś tajemnicę...

Sto metrów za betonową jaskinią zamknęła oczy i skręciła gwałtownie na skrajny lewy pas. Słyszała piszczące opony, ryki klaksonów. Otworzyła oczy w ostatniej chwili, akurat tak, by

zahamować przy metalowej barierze rozdzielającej dwie jezdnie obwodnicy.

Jednym ruchem zatrzymała stoper.

Pięć minut trzydzieści siedem sekund.

Była dokładnie na miejscu wypadku. Szyny zabezpieczające już zmieniono, ale rysy w kamieniu przy wjeździe do tunelu, tam gdzie uderzyła przyczepa ciężarówki, były jeszcze widoczne.

Pięć minut trzydzieści siedem sekund.

To była pierwsza część prawdy.

Włączyła się znowu do ruchu, dotarła do Porte Maillot i tam wydostała się z północnej jezdni obwodnicy, przejechała szybko przez plac i ruszyła w przeciwnym kierunku. Tak dotarła do Porte Molitor. Znowu zjechała z obwodnicy i pojechała bulwarem Sucheta. Zwolniła przy numerze 72, pod domem swej matki. Spodziewała się nowego ataku niepokoju, nowej fali wspomnień. Ale nic takiego się nie stało. Szukała w pamięci, gdzie zaparkowała samochód tamtego wieczoru. Po chwili przypomniała sobie: aleja Marszałka Franchet-d'Esperey, wzdłuż toru wyścigowego w Auteuil.

Ruszyła w kierunku alei, zatrzymała się w okolicach miejsca, które sobie przypomniała, i znowu uruchomiła stoper. Natychmiast wjechała w zadrzewioną aleję, po czym kilometr dalej skręciła w prawo na plac Porte-de-Passy. Dokładnie tak samo, jak tamtego fatalnego wieczoru. Tu wjechała na obwodnicę.

Zerknęła na zegarek: dwie minuty trzydzieści trzy.

Pilnowała, żeby jechać ze średnią szybkością toyoty landcruiser. Sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Porte de la Muette. Cztery minuty.

Nad murem ciągnącym się wzdłuż bulwaru okrężnego dostrzegła długie ściany ambasady Federacji Rosyjskiej.

Cztery minuty pięćdziesiąt.

Budynki uniwersytetu Paryż IX.

Pięć minut dziesięć...

Wreszcie wjazd do fatalnego tunelu. Diana zatrzymała się tym razem po prawej, na awaryjnym pasie, i włączyła światła alarmowe. Bez hałasu, bez gwałtownego hamowania. Ale kiedy sięgnęła po zegarek, ręka jej drżała: pięć minut trzydzieści pięć.

Nie mogła sobie wyobrazić precyzyjniejszej synchronizacji. Czy to z parkingu przy alei

Porte-d'Auteuil, czy to z alei Marszałka Franchet-d'Esperey, potrzeba było pięciu minut i trzydziestu pięciu sekund, żeby znaleźć się dokładnie na miejscu wypadku. Wystarczyło więc, żeby Vulovic, w jakiś sposób „zaprogramowany”, ruszył w chwili, gdy Diana z synem wsiadali do swego samochodu, a oba pojazdy musiały spotkać się przy wjeździe do ostatniego tunelu przed Porte Dauphine.

Diana na serio zaczęła się zastanawiać nad hipotezą pułapki. Pułapki, na którą składałaby się senność kierowcy, deszcz i rozpędzony tir. Taka zasadzka wymagała czujki pod domem przy bulwarze Sucheta, kogoś, kto by pilnował godziny jej wyjazdu, podczas gdy ktoś drugi, z pomocą hipnozy lub jakiejś innej techniki, którą trzeba by dopiero wykryć, „uruchomiłby” Marka Vulovica. Wystarczyłoby, żeby ci dwaj mieli ze sobą łączność przez krótkofalówkę albo po prostu telefon komórkowy. Jak dotąd – nic niemożliwego.

Był jeszcze problem uśpienia kierowcy. Musiało to nastąpić dokładnie w tej chwili, kiedy toyota mijała się z ciężarówką. I taka pułapka zdawała się możliwa: jeśli Diana miała rację, to zabójcy mogli wyliczyć punkt spotkania i przygotować gdzieś w pobliżu sygnał, który by uśpił szofera...

Diana przymknęła oczy. Słyszała wściekły ryk samochodów pędzących obwodnicą. Może zupełnie zwariowała, może całkiem na darmo traciła czas, ale wiedziała teraz, że gdzieś na samej granicy prawdopodobieństwa taka zasadzka była do pomyślenia.

Pozostawał szczegół, bez którego nic nie było możliwe. Szczegół, który od samego początku się nie zgadzał. Diana dała znak kierunkowskazem i ponownie włączyła się do ruchu.

Przerzuciła szybko biegi i ruszyła w kierunku Porte Champerret.

21

– Paniusiu, jak pani chce komuś zawracać dupę, to trzeba poczekać na szefa.

Przez szybę biura Diana widziała wewnątrz warsztatu. Ściany były tak czarne, że zdawały się wchłaniać światło plafonier. Gdzieś daleko szczękały metalowe narzędzia. Zatluszczone podnośniki piszczały wszędzie jak torturowane płuca. Zawsze odczuwała niejasną awersję do warsztatów samochodowych. Do tych przeciągów przenikających ciało do kości. Tych oparów smaru, wciskających się w nos. Do tych umorusanych rąk, poruszających ostrymi i zimnym przedmiotami. Do miejsc tak odpychających i ciemnych, że ręce trzeba było myć nie wodą, lecz piaskiem.

Grubas w kombinezonie powtarzał zza kontuaru w kółko ten sam refren:

– Zezwolenia to nie moja działka. Trzeba czekać na szefa.

– Kiedy wróci?

– Poszedł na obiad. Będzie za godzinę.

Diana udała głębokie zmartwienie. W rzeczywistości, nim tu przyszła, wyczekała cierpliwie południa, w nadziei, że o tej porze trafi na jakiegoś podpomagiera w rodzaju tego, z którym właśnie rozmawiała. Była to dla niej jedyna szansa dojścia do swego samochodu, którego kontreksperytyzy wciąż jeszcze nie zrobiono. Westchnęła:

– Niech pan posłucha. Mój syn jest w szpitalu. Ciężko ranny. Muszę koniecznie być przy nim, ale przedtem muszę zabrać świadectwo techniczne, które mam w samochodzie!

Mechanik przestępował z nogi na nogę. Wyglądało na to, że nie wie, jak wybrnąć z sytuacji.

– Przykro mi. Dopóki nie przyjdzie rzeczoznawca, nikt nie ma prawa wejść do bryki. Chodzi o ubezpieczenie.

– Kiedy to właśnie moja firma ubezpieczeniowa chce, żebym dostarczyła ten dokument!

Facet wahał się jeszcze. Ciężarówka, holująca samochód po wypadku, z rykiem zjechała z pochylni o kilka metrów od biura. Diana czuła, że rozterka mechanika narasta. W końcu mruknął:

– Kluczyki?

Zabręczała nimi w kieszeni.

– Numer pięćdziesiąt osiem. Drugi poziom. Parking w głębi. Tylko raz-dwa. Jak szef

nadejście, kiedy pani tam będzie, to zrobi...

Prześlizgnęła się między samochodami, potem przeszła przez warsztat. Szła pod ciemnymi, betonowymi ścianami, przeskakiwała kałuże oleju, mijała kanały naprawcze. W panującym we wnętrzu półmroku neonowe światło zdawało się kryć w sobie jakieś tajemne, ezoteryczne znaczenie, przeciwieństwo jasności dnia.

Zeszła po pochylni i dotarła na kolejny parking. Samochody stały tam niczym zimne potwory, śpiące żelaznym snem. Dianie robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie. Tłuste oleje oblepiały jej podeszwy. Odór spalin wlaził do gardła. Widziała przed sobą na ziemi zatarte numery. Na samą myśl, że zobaczy swoją zmiażdżoną toyotę, ścisnęła ją w brzuchu. Ale jeden szczegół musiała sprawdzić.

Tym szczegółem był pas bezpieczeństwa.

Dziecko zostało wyrzucone z siedzenia, bo pas nie był zapięty. Zabójcy, jeśli istnieli, musieli czuć się pod tym względem maksymalnie zabezpieczeni. Jak mogli być pewni, że Diana nie przypnie dziecka, że nie zrobi tego odruchowego gestu?

O kilka metrów od siebie zobaczyła toyotę landcruiser. Dostrzegła wgniecioną maskę, rozbita przednią szybę, lewy bok cały w głębokich wgnieceniach. Musiała oprzeć się o kolumnę. Zgięła się w pół i omal nie zwymiotowała, ale stopniowo krew napłynęła jej do przechylonej głowy, przynosząc jaką taką równowagę, niespodziewaną chwilę spokoju. Zebrała siły, podeszła do samochodu i stanęła przy prawych tylnych drzwiczkach.

Wygrzebała z torebki latarkę halogenową, zaświeciła i otworzyła drzwiczki. Znów szok. Czarna, zaschnięta krew na dziecięcym foteliku. Perełki szkła rozrzucone na tylnym siedzeniu.

W myślach nałożyły jej się na siebie dwa sprzeczne obrazy.

Widziała plecionkę pasa i metalową klamrę leżącą koło fotelika Lucjana. Pas, który najwyraźniej nie był zapięty. Ale widziała również siebie, jak zapina dziecko w foteliku. Nie było w tym nic nowego. Z upływem dni jej przekonanie nasilało się, robiło się wyraźniejsze mimo dowodów, że było przeciwnie: utwierdziła się w przekonaniu, że zapięła pas. Teraz, widząc wnętrze samochodu, nie miała już żadnej wątpliwości.

Jak te dwie prawdy mogły ze sobą współistnieć? Chwyciła latarkę w zęby i wślizgnęła się do środka. Obejrzała starannie zapięcie. Myślała o jakimś sabotażu: nadcięty pas, podpłowany nit... Ale nie: wszystko było nietknięte. Przesunęła się w głąb tylnego siedzenia. Leżał na nim stos kartonowych teczek z fotokopiami jej prac, plastikowe pudełka ze spinaczami, śpiwór khaki,

zwisający aż na podłogę. Wszystkie te przedmioty obity się o oparcie siedzenia w chwili zderzenia. Oglądała je, podnosiła, odkładała. Nie znalazła nic.

Szperała dalej. Z kolanem na siedzeniu przechyliła się nad oparciem w kierunku bagażnika. Siła zderzenia wyrwała przegrodę. Diana przypomniała sobie, że oberwała tą plastikową płytą po karku. Pochylona nad otwartym bagażnikiem, omiatała go wiązką światła latarki: znów tekturowe teczki, stara płócienna torba, sportowe buciki, nasączony benzyną anorak. Nic niezwykłego, nic podejrzanego.

Powoli jednak w jej świadomości kształtowała się pewna myśl. Hipoteza niemożliwa, której jednak nie potrafiła od siebie odpędzić. Zgasła latarkę i przyłgnęła plecami do oparcia przedniego siedzenia. Żeby zweryfikować to przypuszczenie, trzeba by wypytać jedyne go świadka zdarzenia.

Ją samą.

Powinna ożywić własne wspomnienia, żeby przekonać się na dobre, czy traci rozum, czy nie, lub czy ta afera wykracza poza granice możliwości.

Tylko jedna technika pozwalała dać takiego nurka w głąb siebie.

I tylko jeden człowiek mógł jej pomóc.

22

Za marmurowym holem wchodziło się do wielkiej, wyłożonej ciemnym aksamitem sali restauracyjnej z białymi kolumnami. Kilka stołów kryło się w rozmieszczonych łukiem alkowach. Lakier fortepianu lśnił w półmroku, obrazy z widokami zmierzchu rzucały złotawe błyski, a przez długie, wielkie szyby okienne ogrody Pól Elizejskich odpowiadały na luksus wnętrza delikatnym kontrapunktem listowia i jasnych fasad. Dziś z przedburzowego nieba spływało światło gładkie, perłowe, cudownie harmonizujące z ciepłem sali, przez którą przelatywały łagodne błyski. Tej oszczędności koloru i światła towarzyszyła szczególnego gatunku cisza: lekki szmer przerywany brzękiem kryształu, szczękiem sreber, wybuchami powściągliwego śmiechu.

Diana szła za kierownikiem sali. Przechodząc, czuła na sobie od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia. Większość gości stanowili mężczyźni, wszyscy w ciemnych garniturach, powściągliwie uśmiechnięci. Nie była naiwna: za tą łagodną atmosferą i spokojnymi twarzami biło w utajeniu serce władzy. Ta restauracja była jednym z prestiżowych miejsc, gdzie przy stolikach toczyła się gra o polityczne i gospodarcze losy kraju.

Maitre d'hôtel wycofał się, zostawiając ją przed najdalszą z alków, tuż przy wielkich oknach. Siedział tam Charles Helikian. Nie czytał gazety. Nie rozmawiał z innym biznesmenem, siedzącym przy sąsiednim stole. Czekał na nią. To zdawało mu się w pełni wystarczać. Diana była mu wdzięczna za tę dyskretną oznakę szacunku.

Po wyjściu z warsztatu zadzwoniła do ojczyma na jego telefon komórkowy – pewnie nie więcej niż dziesięć osób w Paryżu znało ten numer. Poprosiła o spotkanie możliwie najszybciej. Charles w odpowiedzi roześmiał się, jakby ulegał kaprysowi dziecka, i zaproponował, żeby spotkać się tu, gdzie był umówiony na obiad z jednym ze swoich klientów. Diana ledwie miała czas zająć do siebie, usunąć z włosów zapach haszyszu i smaru i pojawić się tutaj swobodna i rozluźniona.

Charles wstał i wskazał jej biegnącą łukiem wzdłuż ściany ławeczkę. Diana zdjęła płaszcz nieprzemakalny. Miała pod nim suknię bez rękawów z czarnego elastycznego materiału, tak prostą, że zdawała się nie mieć ani jednego szwu. Tylko naszyjnik z błyszczących pereł, podobnych jak dwie krople wody do jej kolczyków, pysznił się jej na ramionach. Jak już, to już,

to był styl Diany.

– Jesteś...

– Wspaniała?

Charles uśmiechnął się. Diana podsunęła:

– Cudowna?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jego nieskazitelnie białe zęby kontrastowały ze śniadą cerą.

Zasugerowała znowu:

– Zniewalająca? Seksowna? Czarowna?

– Wszystko naraz.

Westchnęła i spłótła pod brodkiem swoje długie palce.

– No to dlaczego muszę być tą jedyną, która uważa siebie za długą, niezgrabną gidę?

Charles Helikian wyciągnął z wewnętrznej kieszeni cygaro.

– W każdym razie to nie wina twojej matki.

– Czy ja to powiedziałam?

Brunatne liście trzeszczały mu w palcach.

– Mówiła mi o waszej... rozmówce.

– Nie powinna była.

– Nie mamy przed sobą tajemnic. Od czasu wypadku ona dzwoni do ciebie, zostawia ci wiadomości i...

– Nie chcę z nią rozmawiać.

Spojrzał na nią z powagą.

– Zachowujesz się nedorzecznie. Najpierw odrzuciłaś wszelkie współczucie z jej strony.

Teraz, kiedy Lucjan ma się lepiej, pograżasz się jeszcze głębiej w milczeniu i...

– Daj mi spokój, dobrze? Nie przyszłam tutaj, żeby mówić o niej.

Charles podniósł do góry otwartą dłoń, niczym białą flagę. Potem zawołał kelnera i złożył zamówienie. Dla niego kawa. Dla niej herbata. Odezwał się swoim chrypliwym głosem:

– Chciałaś się ze mną widzieć i wyglądało, że to pilne. O co chodzi?

Diana spojrzała na niego spode łba. Na sercu wciąż leżało jej wspomnienie pocałunku. Poczula, jak ogarnia ją niepokój, gorąco oblewa rumieńcem policzki. Skupiła się na tym, co miała powiedzieć, żeby odepchnąć od siebie zakłopotanie.

– Mówiłeś kiedyś przy mnie o hipnozie. Opowiadałeś, że stosujesz czasem tę technikę, żeby

pomóc swoim klientom.

– To prawda. Kiedy mają kłopoty z tremą, z wymową. No i?

– Powiedziałeś, że hipnoza otwiera niemal nieograniczone możliwości, kiedy trzeba szukać w pamięci.

Charles zrobił ironiczną minę.

– Czasem zabawiam się w specjalistę.

– Pamiętam to doskonale. Tłumaczyłeś, że dzięki hipnozie można używać swej pamięci tak jak kamery skierowanej na własne wspomnienia. Dodałeś, że sami o tym nie wiedząc, zachowujemy w podświadomości najdrobniejsze szczegóły scen, które przeżywamy. Szczegóły, które nie pojawiły się nigdy w naszej świadomości, ale pozostały tu – dotknęła skroni palcem wskazującym – wpisane w naszą głowę.

– Musiałem być w formie.

– Nie żartuj. Według ciebie hipnoza potrafi umożliwić przeżywanie na nowo scen z przeszłości, pozwala zatrzymać się na tej lub innej chwili, skupić się na tym czy innym szczególe, używać swego umysłu jak magnetowidu. Zatrzymywać kadr, przybliżać ten czy inny fragment obrazu... Charles przestał się uśmiechać i spytał:

– Do czego zmierzasz?

Diana zignorowała pytanie.

– Mówiłeś też o pewnym psychiatrze – powiedziała. – Twoim zdaniem, najlepszym hipnologu w Paryżu. Specjaliście od tego rodzaju zabiegów.

Powtórzył nieco głośniej:

– Do czego zmierzasz?

– Chciałabym mieć jego namiary.

Kelner położył na stole ciężką srebrną tacę. Czarny blask kawy. Ruda słodycz earl greya. Kolory harmonizowały ze sobą subtelnie, zapachy osnuwały delikatny rytuał obsługi. Człowiek w bieli wycofał się. Charles zapytał od razu:

– Po co?

Diana oznajmiła spokojnie:

– Chcę przeżyć jeszcze raz, pod hipnozą, scenę wypadku.

– Oszalałaś.

– Jesteś pod wpływem mojej matki. To jej ulubiona formuła na mój temat.

– Czego szukasz?

Pomyślała o bezradnym spojrzeniu Marka Vulovica i o swoich wyliczeniach czasu. Pomyślała jeszcze raz o swojej hipotezie: usiłowanie morderstwa, podjęte przez kilka osób, i upozorowane jako wypadek drogowy. Powiedziała po prostu:

– W tym wypadku są fakty, które nie pasują do siebie.

– Jakie fakty?

Powiedziała:

– Pas bezpieczeństwa. Jestem pewna, że go zapięłam.

Charles wyglądał niemal, jakby poczuł ulgę. Powiedział uspokajająco:

– Słuchaj, rozumiem, że ta historia nie daje ci spokoju, ale...

– Nie. To ty słuchaj.

Diana oparła łokcie na stole i pochyliła się.

– Mów serio: uważasz, że jestem kopnięta?

– Nigdy w życiu.

– Wiesz, że leczono mnie parę razy w związku z kłopotami tego rodzaju. To ty pomogłeś mi ukryć moje pobyty w klinice w dokumentach dołączonych do prośby o adopcję. Chcę wiedzieć, co teraz o mnie myślisz. Czy twoim zdaniem jestem całkowicie wyleczona?

– Tak.

Ton odpowiedzi zdradzał jakieś wahanie.

– Ale?

– Pozostałaś... oryginalna.

– Oczekuję od ciebie jasnej odpowiedzi. Myślisz, że zostały we mnie jakieś następstwa zaburzeń? Czy przeciwnie, naprawdę odzyskałam równowagę?

Charles przez chwilę wydychał dym cygara.

– Tak – podjął wreszcie. – Jesteś całkiem wyleczona. Doskonale zrównoważona. Jesteś przeciwieństwem ekscentryczki, lunatyczki. Stąpasz twardo po ziemi. Jesteś pragmatyczna. Nawet nieco maniackalna w swym zamiłowaniu do tego, żeby wszystko było w idealnym porządku. Jesteś naukowcem z prawdziwego zdarzenia.

Diana pierwszy raz uśmiechnęła się. Wiedziała, że ojczym mówi zupełnie szczerze. Odpowiedziała:

– No to jak wyjaśnisz, że zapomniałam zapiąć pas małego?

– Sporo wypiliśmy, było późno, wszyscy...

Diana uderzyła pięścią w stół. Zabrzęczały filiżanki. Ostatni goście restauracji obejrżeli się na nich.

– Lucjan to sposób na całe moje życie – zawołała. – Jest tym, co zrobiłam najlepszego, od kiedy mogę samodzielnie podejmować decyzje. I przez parę kieliszków szampana miałabym zapomnieć o najbardziej podstawowym geście ostrożności? Miałabym go położyć z tyłu samochodu jak jakiś plecak?

Charles zacisnął palce na cygarze.

– Niepotrzebnie bez przerwy to wszystko rozpamiętujesz. Powinnaś to uznać za zamknięty rozdział. Powinnaś...

Diana chwyciła płaszcz.

– OK. Myślałam, że mogę na ciebie liczyć, myliłam się. Znajdę bez trudu w książce telefonicznej jakiegoś...

– Nazywa się Paul Sacher.

Charles wyciągnął grube wieczne pióro z zakrętką z kości słoniowej i zapisał dane na odwrocie swojej wizytówki.

– Jest bardzo zajęty, ale jeśli zadzwonisz i powołasz się na mnie, przyjmie cię od razu. Ale uważaj, to podrywacz. Kiedy był nauczycielem, zawsze brał sobie najładniejszą dziewczynę z całej klasy. Jej koledzy nie mieli szans. Prawdziwy przywódca watahy.

Diana wsunęła wizytówkę do kieszeni. Nie podziękowała. Nawet się nie uśmiechnęła. Zamiast tego oznajmiła:

– Była jeszcze jedna rzecz, która mogła tamtego wieczoru wytrącić mnie z równowagi.

– Co?

– To, że mnie pocałowałaś na schodach.

Brwi uniosły się niepewnie. Charles Helikian pogładził swoją kolistą brodę.

– Ach, to... – wymamrotał.

Diana nie spuszczała z niego wzroku.

– Dlaczego mnie pocałowałaś?

Biznesmen w swoim luksusowym garniturze poruszył się niespokojnie.

– Nie wiem. To było... spontaniczne.

– Niech Charles Helikian, wielki doradca do spraw psychologii, spróbuje wymyślić coś

lepszego.

Wydawał się coraz bardziej zażenowany.

– Nie, naprawdę, to był chwilowy odruch. Śpiące dziecko... Ty, wyprostowana w półmroku, stoicka jak zawsze... I ten wieczór, kiedy byłaś taka inna. Taka... wolna. Chciałem ci życzyć powodzenia, to wszystko.

Diana wzięła torebkę i wstała. – No, to dobrze zrobiłeś – stwierdziła. – Czuję, że będę go potrzebowała.

Odwróciła się raptownie i zostawiła perskiego króla w jego alkowie. Kilkoma krokami przeszła przez salę. Restauracja była teraz pusta. Tylko obrazy w złotych ramach i zalane deszczem szyby błyskały w półmroku.

– Diana!

Była już w marmurowym westybulu. Odwróciła się. Charles nadbiegał.

– Do diabła, o co ci chodzi? Nie powiedziałaś mi wszystkiego.

Zaczekała, aż do niej podejdzie, i powtórzyła:

– Po prostu chcę wiedzieć. Wyjaśnić sprawę pasa.

– Nie – odpowiedział. – Ty chcesz przeżyć na nowo ten wypadek, bo myślisz, że to nie był wypadek.

Diana nagle poczuła podziw dla psychologa. Odczytał, co w niej tkwiło, jakby miała na sobie suknię z przezroczystej bibułki. Podążył za jej myślami nawet poza granice racjonalności. Potwierdziła:

– Zgadza się. Myślę, że to zderzenie ma związek z zamordowaniem van Kaena. Jak tego nie kojarzyć? To nie może być przypadek. Jestem przekonana, że Lucjan tkwi w samym środku jakiejś sprawy, której jeszcze nie rozumiem.

Charles jęknął:

– Mój Boże...

– I nie mów, że zwariowałam.

Człowiek o kędzierzawych włosach poblądł.

– Ten wypadek miałby być... próbą zabójstwa?

– Nie zgromadziłam jeszcze wszystkich poszlak.

– Jakich poszlak?

– Cierpliwości.

Diana odwróciła się. Chwycił ją za ramię. Jego powieki trzepotały jak skrzydełka motyla.

– Posłuchaj mnie. Znamy się szesnaście lat, ty mnie, ja ciebie. Nigdy nie wtrącałem się do twego wychowania. Nigdy nie mieszałem się do twoich stosunków z matką. Ale tym razem nie pozwolę ci się wygłupić. Nie do tego stopnia.

Uśmiechnęła się zuchwale, uśmiechem złośliwego smarkacza.

– Jeśli to wszystko mi się tylko przyśniło, to nie masz się czego bać.

– Idiotko nieszczęsna! Może igrasz z ogniem i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy!

Wykrzyczał te słowa. Diana czuła z lewej wzrok znieruchomiałych kelnerów; z pewnością pierwszy raz widzieli Charles'a Helikiana w takim stanie.

– Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robisz – powiedział nieco ciszej. – Nawet jeśli przyjmujemy... mówię wyraźnie: jeśli nawet przyjmujemy, że masz rację, nie możesz się w to pakować. To sprawa policji.

Zapytał, nie dając jej dojść do słowa:

– A ten pas? W jakim sensie mógłby być poszlaką czegokolwiek? Nie był zapięty, raport rzeczoznawców stwierdza to stanowczo. W takim razie, co ty...

– Jestem pewna, że go zapięłam.

Twarz Charles'a zachmurzyła się i pociemniała:

– No to jak? Czy to Lucjan?...

– Lucjan spał jak suseł. Patrzyłam na niego w lusterku wstecznym.

– No więc jak to sobie wyobrażasz? Otworzył się sam?

Diana podeszła bliżej. Charles sięgał jej tylko do ramion.

Szepnęła tonem zwierzenia:

– Znasz to powiedzenie: kiedy wyczerpało się wszystkie możliwości, co zostaje? Niemożliwość.

Charles przypatrywał jej się uważnie, czoło miał błyszczące od potu, spojrzenie czarne.

– Jaka niemożliwość?

Diana pochyliła się jeszcze bardziej. Znów zobaczyła w myślach wnętrze samochodu: krew, szkło, ciemne miejsca, zmięty śpiwór. Jej głos był łagodny, omdlewający, a jednocześnie podszyty strachem:

– Niemożliwością jest to, że nie byłam w wozie sama z dzieckiem.

23

Na zewnątrz deszcz i światło zalewały skwery Pól Elizejskich. W ulewie jeszcze jaśniej świeciły przebłyski słońca, przebijające się tu i ówdzie przez chmury. Liście szeleściły na wietrze, uzupełniając smugi deszczu subtelnymi, zielonkawymi arabeskami. Diana założyła ciemne okulary i wahała się chwilę, stojąc na podjeździe restauracji.

Była wstrząśnięta tym, że na głos wypowiedziała swoją hipotezę. Tę o człowieku schowanym w jej samochodzie, pewnie pod śpiworem albo w bagażniku, który miał rozpiąć pas Lucjana podczas jazdy obwodnicą. Ktoś w rodzaju zamachowca samobójcy, gotowego umrzeć w metalowych kleszczach tylko po to, by chłopiec na pewno nie był niczym zabezpieczony.

To się, oczywiście, nie trzymało kupy. Kto by się narażał na takie ryzyko? Po co się poświęcać, zamykając się samemu w pułapce? Zresztą po wypadku nie znaleziono żadnego śladu innego pasażera. Mimo to Diana nie mogła się wyzbyć tego przekonania. Pojawił się parkingowy. Powiedział pośpiesznie:

– Pani samochód podjedzie za chwilę.

Dźwięk głosu, rysy twarzy wyrażały coś wręcz przeciwnego. Diana spytała:

– Co się dzieje?

Człowiek w liberii rzucił rozpaczliwe spojrzenie w kierunku parkingu.

– To pani przyjaciel. Powiedział, że sam się tym zajmie...

– Mój przyjaciel?

– Wysoki pan, który czekał na panią. Powiedział, że tu podjedzie, ale... – rzucał przerażone spojrzenia na prawo i lewo – ja... nie widzę...

Diana dojrzała swój samochód o dwadzieścia metrów dalej, pod lipą. Przeszła wielkimi krokami przez zwirowany podjazd. W zdeformowanych odbiciach przedniej szyby zobaczyła sylwetkę Partryka Langlois, który męczył się z kluczykiem od stacyjki. Zastukała w boczne okno. Glina drgnął, potem uśmiechnął się zmieszany. Zsunął szybę.

– Zapomniałem, że te wynajmowane bryki mają kod. Przykro mi. Chciałem pani zrobić niespodziankę...

Diana nie była pewna, czy się gniewa.

– Posuń się pan – powiedziała.

Wysoki mężczyzna z trudem przepchał się na siedzenie pasażera. Ona wślizgnęła się do środka i spytała:

– Co pan tu, do cholery, robi? Kazał mnie pan śledzić?

Policjant zrobił obrażoną minę.

– Wysłałem po panią człowieka, chciałem, żebyśmy zjedli razem obiad. Kiedy do pani dotarł, pani akurat wyjeżdżała. Nie oparł się pokusie. Jechał za panią aż tutaj i zadzwonił do mnie.

– Dlaczego pan nie wszedł do środka?

Pokazał palcem swój półgolf.

– Krawat. Nie pomyślałem...

Diana uśmiechnęła się. Nie, nie gniewała się. Policjant dodał od razu:

– Wiem: powinienem był wyciągnąć swoją legitymację. Próbować wejść przebojem.

Diana roześmiała się. W kontakcie z tym mężczyzną i jego pozorną beztroską czuła się lżejsza, jaśniejsza, jakby omyta ze swych lęków. Tymczasem Langlois spytał, wskazując na restaurację:

– Jest pani w dobrych stosunkach ze swoim ojczymem?

Ton pytania nie spodobał się Dianie.

– Co pan sobie wyobraża?

Mężczyzna postukał palcami po szybie od swojej strony, z roztargnieniem spoglądając na drzewa.

– Nic sobie nie wyobrażam. Widuję różne numery, to wszystko. – Oczy mu się śmiały. – W robocie, mam na myśli.

Teraz z kolei Diana zapatrzyła się na zieleń. Ulewa przepędziła przechodniów, matki z dziećmi, sprzedawców znaczków pocztowych. Został tylko błyszczący pejzaż, ożywiony odbiciami słońca. Nieruchome kałuże. Fale zieleni. Kamienne fasady zwilżone deszczem. Pomyślała o plaży podczas odpływu. Zatęskniła nagle za łagodnością, opieką słodyczami i miętowymi cukierkami. Spytała:

– Dlaczego chciał pan się ze mną widzieć?

W rękach gliniarza pojawiła się tekturowa teczuska.

– Chciałem podzielić się z panią wiadomościami. Powiedzieć o moich hipotezach.

Grzebał w swoich fiszkach. Zdawał się należeć do tej nowej szkoły, snobistycznej

i chodzącej własnymi drogami, która nie godziła się z zalewem technologii w życiu codziennym. Jeden z tych facetów, którzy mogą ni stąd, ni zowąd wygłosić pochwałę notesika na sprężynkach albo odmówić używania telefonu komórkowego. Zaczął mówić:

– W tej sprawie niedorzeczności sypią się jedna za drugą. Najpierw dzikie okrucieństwo zabójstwa. Jak się zdaje, siła zabójcy. Jednocześnie jego przypuszczalny wzrost: nie więcej niż metr sześćdziesiąt. Ale jest jeszcze jedna niewiadoma, czysto anatomiczna.

Langlois zamilkł. Deszcz wygrywał na dachu samochodu lekką sarabandę. Diana dała mu głową znak, żeby mówił dalej.

– Nie wiadomo, jak zabójca mógł znaleźć aortę, omackiem, pośród wnętrzości? Zdaniem naszych medyków sądowych nawet doświadczony chirurg by się w tym nie połapał... – Znów zastanowił się przez chwilę, po czym ciągnął dalej: – Za dużo tych nieprawdopodobieństw. Wobec tego zacząłem od pieca. Pomyślałem sobie, że może mamy do czynienia z jakimś rytuałem, techniką ofiarną stosowaną, na przykład, w Wietnamie.

– I co pan wykrył?

– Z początku nic konkretnego. W każdym razie w Azji Południowo-Wschodniej. – Ale pewien etnolog z Muzeum Człowieka zwrócił mi uwagę na Azję Środkową: Syberia, Mongolia, Tybet, północno-zachodnie Chiny... Odwiedziłem innych specjalistów. Zdaniem jednego z nich pewna technika, używana w tych dalekich krajach, mogłaby odpowiadać metodzie morderstwa.

– Co pan chce powiedzieć? Rodzaj ofiary?

– Nie. Praktyka znacznie bardziej prozaiczna. W ten sposób bije się bydło. Nacina się klatkę piersiową, wsuwa ramię do wnętrza zwierzęcia i zaciska aortę, gołą ręką.

Coś zaskoczyło w umyśle Diany. Te słowa obudziły w niej nagle niejasne wspomnienie. Langlois mówił dalej:

– Według tego etnologa takiej techniki używa się w Mongolii. To najlepszy sposób zabicia barana albo renifera bez rozlania choćby kropli krwi. To są zimne kraje, oszczędza się najmniejszą cząstkę energii zwierzęcia. Wydaje się, że gra rolę również lęk przed krwią. Tabu.

Diana spytała sceptycznym tonem:

– Zabójca miałby przybyć z Azji Środkowej?

– Może. Mógł też przebywać tam jakiś czas i poznać te obyczaje. Zdaniem mojego lekarza sądowego anatomicznie nie różni się zbyt od baranów.

– Wydaje mi się to dość mętne – szepnęła.

– Mnie też. Poza jednym drobiazgiem.

Odwróciła się do policjanta. Podał jej fotokopię jakiegoś formularza, wypełnionego niemieckim tekstem. Na górze widniała nazwa i adres biura podróży.

– Rolf van Kaen szykował się do wyjazdu do Mongolii.

– Co pan mówi?

– W Niemczech policja kontynuuje śledztwo. Sprawdzili wszystkie rozmowy telefoniczne lekarza. Van Kaen dowiadywał się o loty do Ułan Bator, stolicy...

– Mongolskiej Republiki Ludowej.

Glina spojrzął na Dianę ze zdziwieniem.

– Zna to pani?

– Tylko z nazwy.

– Akupunkturzysta dowiadywał się też o loty krajowe w kierunku małego miasta na północnych kresach... – Zajrzał do swoich notatek. – Cagaan Nur. Najwyraźniej jedyną rzeczą, której nie sprecyzował, była data wyjazdu. Krótko mówiąc, jeśli wziąć pod uwagę zastosowaną technikę, to mogłoby się jakoś wiązać. Słabo, ale jednak...

Langlois przerwał, po czym zapytał łagodnie:

– A pani? Ma pani dla mnie coś nowego?

Wzruszyła ramionami, znów wpatrzyła się w zieleń. Deszcz walił w przednią szybę falami kropelek.

– Nie. Telefonowałam do sierocińca. Nic nie wiedzą.

– Tylko tyle?

– Dałam specjalistom kasetę, na której Lucjan śpiewa w swoim ojczystym języku. Jest szansa, że rozpoznają ten dialekt.

– Dobry ruch. Nic więcej?

Diana pomyślała o swojej hipotezie ukartowanego wypadku, o swoim pomysle mordercy-kamikadze, ukrytego w samochodzie.

– Nie, nic więcej – odpowiedziała.

– Dlaczego prosiła mnie pani o namiary kierowcy ciężarówki? – spytał Langlois.

Diana zadrżała, ale postarała się nic po sobie nie pokazać.

– Chciałam z nim porozmawiać, to wszystko. Powiedzieć mu o Lucjanie.

Mężczyzna westchnął. Deszcz przerywał ciszę długimi, metalicznymi drganiami.

– Ludzie nigdy nie doceniają naszego doświadczenia.

Odwróciła się, zaskoczona.

– Dlaczego pan to mówi?

– Powiem pani, co myślę: pani prowadzi śledztwo na własną rękę.

– Przecież o to mnie pan prosił, nie?

– Niech pani nie udaje idiotki. Mówię o śledztwie w sprawie morderstwa van Kaena.

– Dlaczego miałabym to robić?

– Zaczynam panią trochę poznawać, Diano, i mówiąc szczerze, zastanawiam się raczej, dlaczego by pani miała tego nie robić...

Milczała. Gliniarz powiedział poważniejszym tonem:

– Niech pani uważa. Nie znamy nawet dziesięciu procent tej afery. To może nam w każdej chwili pieprznąć w rękach. Nawet nie wiadomo jak. Dlatego niech się pani nie bawi w Alicję w krainie detektywów.

Przytaknęła z miną dziecka obiecującego poprawę. Langlois otworzył drzwiczki po swojej stronie. Strumień deszczu wdarł się do wnętrza samochodu. Policjant powiedział:

– Następnym razem to ja zapraszam panią na obiad.

Wysiadł z wozu i dodał:

– Gliny znają najlepsze fast-foody w Paryżu. Nie wszystkie koktajle mleczne smakują tak samo, wie pani? To prawdziwa szkoła subtelności smaku.

Diana przybrała wesołą minę.

– Spróbuję stanąć na wysokości.

Langlois pochylił się jeszcze raz. Krople deszczu padały mu na plecy.

– I proszę pamiętać: żadnych nieostrożnych ruchów, żadnego dziecinnego bohaterstwa. Najmniejszy podejrzanym numer i dzwoni pani do mnie. Zrozumiano?

Diana przytaknęła, uśmiechając się ostatkiem sił, ale kiedy drzwiczki się zamknęły, słowa te zabrzmiały w jej uszach, jakby zatrzaśkiwało się wieko trumny.

24

Przyglądała mu się jak źródłu światła, ale poprzez zalegające w niej samej ciemności.

Zmieniono mu opatrunek. Był ciaśniejszy, cieńszy: opasywał mu czaszkę jak zwykły bandaż. Dreny usunięto z pewnością tego samego ranka. To był decydujący krok: Lucjanowi nie zagrażał już krwotok.

Przysunęła się bliżej z fotelem i końcem palca wskazującego pogłaskała czoło dziecka, skrzydełka nosa, łuk warg. Przypomniała sobie ich pierwsze wieczory, kiedy po cichu opowiadała mu różne historie, a jej ręka muskała w ciemnościach odprężone rysy twarzy, kształty tego bezwolnego ciała, unoszonego łagodnie falami oddechu. Czuła się znowu gotowa do podróży przez te maleńkie szczyty, tajemnicze dolinki... Z rozkoszą odgadywała, jak życie trzepoce się, uwyrażnia, krzepnie w tym zabandażowanym ciałku.

Ale jeden ból mógł przesłaniać inny. Teraz, kiedy śmiertelne zagrożenie minęło, Diana czuła, jak narastają w niej nowe niepokoje. Tak jak w ciele po zaleczeniu głównej kontuzji odzywają się nowe dolegliwości, ona odkrywała nowe poziomy swego smutku. Z gniewem i bezsilnością odczuwała w sobie każdą ranę, każdy siniak swojego dziecka. Poznawała po raz pierwszy nowy typ rozpaczy: zrodzonej z bólu per procura.

Zwłaszcza nie mogła wyzbyć się niezachwianego przekonania, że gdzieś wokół nich wisi groźba. Ta pewność stawała się jej obsesją. Nigdy nie będzie mogła myśleć o przyszłości, jeśli nie zrobi czegoś dla wyjaśnienia tych tajemnic. To dlatego była jeszcze bardziej zdecydowana. To dlatego umówiła się z hipnologiem Paulem Sacherem na dziś, na osiemnastą.

Nagle zauważyła przymocowaną z przodu do łóżka tabliczkę, na której zapisywano dawki lekarstw podawanych codziennie Lucjanowi oraz krzywą temperatury. Zerwała arkusz papieru milimetrowego. Narysowana ołówkiem linia wskazywała trzy skoki gorączki od dwudziestej trzeciej wczoraj wieczór do dziesiątej dziś rano. I to nie były jakie: wszystkie trzy przekraczały czterdzieści stopni.

Diana zdjęła słuchawkę telefonu zawieszoną na ścianie i wybrała numer Eryka Daguerre'a. Chirurg był na bloku operacyjnym. Poprosiła panią Ferrer. Minutę później za ostatnimi szybami korytarza ukazały się siwe włosy. Zanim Diana zdążyła otworzyć usta, pielęgniarka uprzedziła ją:

– Doktor Daguerre prosił, żebym pani o tym nie mówiła. Sądził, że nie warto pani niepokoić.

Diana wybuchła:

– Naprawdę?

– Te skoki trwały tylko kilka minut. To nieszkodliwa reakcja.

Diana pomachała diagramem.

– Nieszkodliwa? Czterdzieści jeden stopni?

– Doktor Daguerre uważa, że skoki gorączki spowodowane są szokiem przeżytym przez dziecko. Pośrednia oznaka, że jego metabolizm zaczyna wracać do normy.

Diana pochyliła się nerwowym gestem i poprawiła pościel na łóżku.

– Dobrze pani radzę uprzedzać mnie, jeśli się zdarzy najmniejszy problem. Mówię jasno?

– Oczywiście. Ale powtarzam pani, to nic groźnego.

Diana wygładzała prześcieradła, poprawiała papierową koszulkę. Nagle wybuchła jakimś agresywnym śmiechem, graniczącym z płaczem:

– Nic groźnego, co? Ale przypuszczam, że doktor Daguerre zechce jednak zobaczyć się ze mną?

– Kiedy tylko wyjdzie z sali operacyjnej.

– Diana, wszystko idzie dobrze, chcę to pani od razu powiedzieć.

Był to najgorszy wstęp do rozmowy, jaki kiedykolwiek zdarzyło jej się usłyszeć.

– A skoki gorączki? – odpowiedziała.

Eryk Daguerre beztróskim gestem ręki zbył pytanie. Stał za swoim biurkiem w białym kitlu.

– To w ogóle nic. Stan Lucjana stale się poprawia. Wszystkie znaki potwierdzają poprawę. Dziś rano zdjęliśmy dreny. Wkrótce przeniesiemy go na inny oddział.

W tym radosnym tonie coś zabrzmiało fałszywie. Diana przyjrzała się źrenicom, błyszczącym w głębi orbit. Rosyjscy dziewiętnastowieczni anarchiści, ci, co rzucali bomby pod powozy książąt, musieli mieć takie właśnie oczy. Spytała na chybił trafił:

– Co jeszcze chciał mi pan powiedzieć?

Lekarz wsadził ręce do kieszeni i zrobił parę kroków po gabinecie. Dniem i nocą był oświetlony równie intensywnie.

– Chciałem pani przedstawić Didiera Romansa – powiedział wreszcie. – Jest antropologiem.

Diana raczyła odwrócić głowę w kierunku trzeciej osoby obecnej w gabinecie. Do tej chwili

nie zwracała uwagi na tego człowieka. Był młodszy od Daguerre'a. Ciemnowłosy, szczupły, sztywny jak szkolna linijka, na kompletnie zamkniętej twarzy nosił okulary w czarnej lakierowanej oprawie. Patrząc na niego, myślało się o jakimś równaniu lub abstrakcyjnej formule. Doktor mówił dalej:

– Didier jest antropologiem w nowoczesnym sensie tego słowa, specjalistą od biometrii i genetyki populacji.

Mężczyzna o hermetycznych rysach kiwnął głową. Nieśmiały uśmiech usiłował się wślizgnąć na jego twarz, ale niemal natychmiast się wycofał. Daguerre spytał Diany:

– Wie pani, co to jest?

– Z grubsza tak.

Daguerre uśmiechnął się do uczonego.

– Mówiłem ci, jest niesamowita!

Radosny ton brzmiał coraz bardziej fałszywie. Doktor mówił dalej:

– Opowiedziałem Didierowi o Lucjanie. Prosiłem go o przeprowadzenie paru analiz.

Diana najeżyła się.

– Analiz? Mam nadzieję, że...

– Oczywiście nie chodzi o badania kliniczne. Po prostu porównaliśmy niektóre cechy fizjologiczne pani dziecka z innymi kryteriami, powiedzmy, bardziej ogólnymi.

– Nie rozumiem.

Tu wtrącił się antropolog:

– Proszę pani, moja specjalność to polimorfizm. Pracuję nad charakterystyką różnych populacji występujących na świecie. Każdy lud, każda narodowość ma pewne cechy, wyróżniające ją od innych. Nawet jeśli nie wszyscy członkowie danej wspólnoty mają te same cechy, istnieją zawsze jakieś średnie, pozwalające sporządzić ogólny portret danej rodziny etnicznej.

Lekarz usiadł i przejął pałeczkę:

– Uznaliśmy, że ciekawie będzie porównać parametry fizjologiczne Lucjana ze średnimi populacji zamieszkujących regiony, z których przybył. Być może ta metoda mogłaby nam powiedzieć coś... ściślej o jego pochodzeniu.

Wściekłość Diany nasiliła się o kilka stopni, ale była to wściekłość zwrócona przeciwko niej samej. Jak mogła wcześniej o tym nie pomyśleć? Skontaktowała się z sierocińcem. Podsunęła

specjalistce słowa wymawiane przez chłopca. Próbowwała zgłębić technikę, która go uratowała. Ale nie pomyślała o zbadaniu innego oczywistego znaku: jego ciała. Tego ciała, które być może zawierało w sobie cechy fizjologiczne, nawet słabo dostrzegalne, mogące charakteryzować narodowość, z której się wywodził.

Zwróciła się do Romansa i zapytała spokojniej:

– I co pan znalazł?

Antropolog wyciągnął z teczki plik arkuszy.

– Zaczniemy, jeśli pani pozwoli, od wzrostu. Kiedy przywieziono go do szpitala, podała pani, że Lucjan ma około sześciu, siedmiu lat. Otóż sprawdzając jego uzębienie, stwierdziliśmy, że ma jeszcze wszystkie zęby mleczne. Co oznacza, że raczej nie przekroczył pięciu lat.

Wyciągnął następny dokument. Diana rozpoznała formularz przyjęcia do szpitala, który wypełniła w nocy, kiedy zdarzył się wypadek.

– Wpisała pani tutaj, że Lucjan należy do którejś z narodowości wybrzeża Morza Andamańskiego.

Diana rozłożyła ręce w geście niepewności.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Wymawiał tylko kilka słów i według dyrektorki sierocińca nie były one tajskie ani birmańskie, ani nie należały do żadnego dialektu znanego w tym regionie.

Romans rzucił na nią krótkie spojrzenie sponad okularów, po czym powiedział cicho:

– Ale sądzi pani, że pochodzi z tej części świata, która jest zawarta, powiedzmy, między Birmą, Tajlandią, Laosem, Wietnamem i Malezją?

Diana powiedziała z wahaniem:

– Ja... oczywiście... Nie mam powodu sądzić inaczej.

Powieki antropologa opadły jak nóż gilotyny.

– Gdybyśmy ograniczyli się do regionów leżących wzdłuż wybrzeża Morza Andamańskiego – powiedział – a nawet gdybyśmy poszerzyli naszą strefę poszukiwań na Zatokę Tajlandzką i Morze Chińskie, znajdziemy tu tylko populacje tropikalne i puszczańskie.

Nowe ostre spojrzenie w kierunku Diany.

– Eryk mi mówił, że jest pani etologiem. Wie pani zatem, że naturalne środowisko w istotny sposób wpływa na wzrost jego mieszkańców. W puszczy ludzie i zwierzęta są znacznie drobniejsi niż w innych środowiskach, na przykład na równinach.

Odwzajemniła spojrzenie. Okulary przeciw okularom. Romans wpatrzył się w swoje notatki.

– Wzrost mieszkańców dżungli międzyzwrotnikowych Azji Południowo-Wschodniej mieści się obecnie w widełkach sto czterdzieści dwa – sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Możemy z tego wywnioskować, że w wieku pięciu lat dzieci z tych plemion mierzą około siedemdziesięciu centymetrów.

Nowe spojrzenie znad szkieł.

– Zna pani wzrost swego syna?

– Zdaje się, że ponad metr.

– Ściśle: metr dwanaście. Czterdzieści dwa centymetry powyżej średniej.

– Proszę mówić dalej.

Romans zaszeleścił kolejnym arkusikiem.

– Przejdźmy do pigmentacji skóry. Prowadzono wiele badań nad kolorem skóry różnych populacji, mimo że to kryterium jest trudne do zdefiniowania i niebezpieczne w użyciu, tego nie muszę pani tłumaczyć. Mówiąc ogólnie – mierzymy stopień jasności specjalną techniką: reflektometrią. Rzucamy promień światła na skórę danego osobnika i obliczamy, ile fotonów ta powierzchnia odbija. Im skóra jaśniejsza, tym więcej odbija światła.

Diana z trudem hamowała zniecierpliwienie. Zaczynała się domyślać, do czego zmierza Romans.

– Zastosowaliśmy ten test do Lucjana – ciągnął dalej antropolog. – Otrzymaliśmy wynik między siedemdziesięciu a siedemdziesięciu pięciu procentami odbitego światła. Skóra pani dziecka niemal całkowicie odbija promień światła. Jest olśniewająco biała. Różni się ogromnie od ciemnej karnacji ludzi strefy międzyzwrotnikowej. Dla porównania – średnia dla strefy Andamanów wynosi pięćdziesiąt pięć procent.

Diana zobaczyła w myślach niezwykłą białość chłopca, to przezroczyste ciało, pod którym rysowały się cieniutkie naczynka krwionośne, kiedy go kąpała. Czyż to, co budziło taki zachwyt, mogło być teraz źródłem niepokoju? Mężczyzna ciągnął dalej, przewracając kartki z wynikami:

– Oto inne badanie. Dotyczące mechanizmów fizjologicznych Lucjana. Ciśnienie tętnicze. Rytm serca. Poziom cukru we krwi. Pojemność oddechowa...

Diana przerwała mu:

– Macie dane statystyczne dla każdego z tych kryteriów?

Antropolog pozwolił sobie na uśmiech dumy.

– I jeszcze dla wielu innych.

– Porównał je pan z danymi mojego syna?

Romans kiwnął głową potakująco:

– Pod pewnym względem wyniki Lucjana są zdumiewające. Mimo że nie jest jeszcze w pełni zdrowy, mogliśmy zmierzyć jego wydolność oddechową. I mówiąc po prostu – ma niesamowitą klatkę. A jak pani z pewnością wie, wydolność oddechowa człowieka zależy bezpośrednio od wysokości jego miejsca zamieszkania. Mieszkańcy gór mają większą pojemność płuc i wyższy poziom hemoglobiny niż na przykład ludzie z dolin. Te cechy są elementem ich przystosowania do rodzimego środowiska.

– Do diabła, niech pan przejdzie do rzeczy.

Uczony kiwnął głową.

– We wszystkich tych dziedzinach Lucjan osiąga wskaźniki odpowiadające życiu na dużych wysokościach. Nie ma to nic wspólnego z liczbami dotyczącymi ludności wybrzeża i dżungli.

Milczenie pulsowało w skroniach Diany. Milczenie nieodwołalne, nie mogące rozpaść się w słowa czy przypuszczenia. Didier Romans mówił dalej swoim monotonnym głosem:

– Jeśli dodamy do siebie trzy wyniki: dotyczące jego wzrostu, pigmentacji i zdolności fizjologicznych, uzyskujemy równanie, którego składnikami są równiny, zimno i wysokość... Diana wymamrotała głuchym głosem:

– To wszystko?

Mężczyzna podniósł wszystkie arkusiki razem.

– Jest tego przeszło pięćdziesiąt stron. Zbadaliśmy wszystko: grupę krwi, zrobiliśmy typowanie tkankowe i typowanie genetyczne. Ani jeden wynik... mówię wyraźnie: ani jeden nie odpowiada średnim dla regionów Morza Andamańskiego.

Diana wyszeptała:

– I przypuszczam, że pańskie wyniki wskazują na jakieś inne pochodzenie...

– Turkomongolskie proszę pani. Dziecko posiada wszystkie cechy charakterystyczne dla ludności dalekowschodnich regionów Syberii. Lucjan nie jest dzieckiem tropików: jest chłopcem z tajgi. Nie ulega żadnej wątpliwości, że urodził się o kilka tysięcy kilometrów od miejsca, gdzie go pani adoptowała.

26

Diana potrzebowała przeszło dwudziestu minut, żeby odnaleźć swój samochód.

Przeszła przez ulicę Sevres i dotarła do ulicy Generała Bertranda. Dalej przez ulicę Duroca zapędziła się aż do Masseran i wreszcie znalazła się w alei Duquesne. Zadyszała się, serce waliło jej jak oszalałe. Próbowwała się zastanowić. Na próżno. Dużo pytań – i żadnej odpowiedzi. Jak turkomongolskie dziecko mogło się znaleźć w rozżarzonym pyłe Ranongu, nad granicą birmańską? Jak taki człowiek jak Rolf van Kaen mógł się dowiedzieć, że to dziecko jest w agonii, skoro sam najwidoczniej szykował się do wyjazdu w tamten rejon świata? I jak mały pięcioletni chłopiec, skądkolwiek by pochodził, mógł zostać stawką w takiej grze, wywołać złowrogie machinacje, których domyślała się Diana?

Zauważyła wreszcie swój samochód przy placu Breteuil. Wsunęła się do środka jak do schronu. Myśli galopowały jej w głowie. Głuche dudnienie, prowadzące donikąd.

A jednak za tą niepewnością dostrzegała jakieś światełko.

Przyszedł jej nagle do głowy sposób zbliżenia się do prawdy. Wróciło do niej wspomnienie hiszpańskiego klasztoru – promienie ultrafioletowe, które co parę chwil odsłaniały ukryte pismo palimpsestu. Ona też miała swoje promienie, dzięki którym mogła zobaczyć ukrytą twarz Lucjana. Wzięła do ręki telefon komórkowy i wybrała numer Izabeli Condroyer, którą prosiła o zidentyfikowanie dialektu syna. Uczona poznała ją od razu.

– Diana? Jest jeszcze o wiele za wcześnie, by coś wiedzieć. Nawiązałam kontakt z kilku badaczami Południowo-Wschodniej Azji. Zorganizujemy spotkanie, razem odsłuchamy kasetę i...

– Mam nowe informacje.

– Nowe informacje?

– Za długo musiałabym to pani objaśniać, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że Lucjan nie pochodzi z tego tropikalnego rejonu, gdzie go adoptowałam.

– Co pani mówi?

– Dziecko pochodzi zapewne z Azji Środkowej. Gdzieś z Syberii lub Mongolii.

Pani etnolog mruknęła:

– To zmienia całą sprawę... To w ogóle nie jest moja specjalność, ani moich współpracowników...

– Ale pewnie pani zna lingwistów zajmujących się tymi regionami?

– Ich pracownia znajduje się na uniwersytecie w Nanterre i...

– Może pani się z nimi skontaktować?

– Tak. Jednego zwłaszcza dobrze znam.

– Proszę to zrobić. Bardzo na panią liczę.

Diana odłożyła słuchawkę. Rytm jej myśli spowolniał nieco. Spojrzała na zegarek.

Siedemnasta trzydzieści. Już czas.

Czas, by zanurzyć się w głąb siebie.

By przeżyć jeszcze raz, w pełni i ze szczegółami, wypadek na obwodnicy.

27

Paul Sacher musiał mieć około sześćdziesięciu lat. Był długi, wychudzony i ubrany z wypracowaną, niemal wyzywającą elegancją. Miał na sobie szary garnitur z mory, połyskujący jak ostrze siekiery. Pod spodem, prawem kontrastu, rzucała się w oczy czarna koszula i mieniące się paski jedwabnego krawata. Twarz była odpowiednia do stroju: rysy pionowe, podkreślone zmarszczkami, ale wyrażające całą nonszalancję, całą pretensję wysokiej rasy. Oczy pod krzaczastymi brwiami były żywe, zielone, w czarnej oprawie i jakby przejrzyste. Najbardziej zdumiewający był kształt brody: mężczyzna nosił wzdłuż policzków wijące się bokobrody, jakby przeniesione prosto z XIX wieku, przedłużone o loczki na skroniach. Ten szczegół nadawał mu coś zwierzęcego, puszczańskiego, co pogłębiało niepokój i zdziwienie, jakie budziła sama jego obecność.

Diana czuła, jak wzbiera w niej niepowstrzymany śmiech. Mężczyzna stojący w drzwiach przypominał hipnotyzera z filmu grozy. Brakowało mu tylko opończy i laski ze srebrną gałką. Taki typ po prostu nie mógł być poważnym lekarzem, psychiatrą, do którego Charles wysyłał swoich najważniejszych klientów. Była tak zaskoczona, że nie dosłyszała jego pierwszego zdania.

– Przepraszam? – wyjąkała.

Mężczyzna uśmiechnął się. Pasma zarostu podjechały do góry.

– Prosiłem tylko, żeby pani weszła...

Na dodatek mówił ze słowiańskim akcentem. Jego „r” warczało niczym stary dorożkarz w mgłach nocy Walpurgii. Tym razem cofnęła się o krok.

– Nie – powiedziała. – Dziękuję. Właściwie nie czuję się w takiej formie, żebym...

Paul Sacher ujął ją za ramię. Łagodność głosu tuszowała brutalność gestu.

– Niech pani wejdzie. Proszę panią. Żeby nie odbyła pani tej podróży na próżno...

Podróż: Diana nie użyłaby tego słowa na określenie czterystu metrów, które dzieliły jej mieszkanie od gabinetu Sachera przy ulicy Pontoise, koło bulwaru Saint-Germain. Postarała się odzyskać powagę; nagle złękła się, że obrazi tego człowieka, który zgodził się ją przyjąć od razu tego samego dnia, kiedy do niego zadzwoniła.

Weszła do środka i nieco jej ulżyło. Nie było czarnych zasłon. Nie było egzotycznych

przedmiotów ani złowrogich posągów. Nie było woni kadzidła ani kurzu. Ściany nagie, barwy jasnego tytoniu, biała sztukateria, meble proste i nowoczesne. Przeszła za gospodarzem przez korytarz, minęła poczekalnię i weszła do gabinetu.

Pokój był zalany popołudniowym słońcem. Królowały tam szklane biurko i nieskazitelnie uporządkowana biblioteka. Teraz Diana potrafiła wyobrazić sobie polityków czy wielkich przemysłowców, jak siedzą tu, w nadziei na szybkie rozładowanie stresu.

Hipnolog usiadł i obdarzył ją kolejnym uśmiechem. Diana zaczynała się przyzwyczajać do tego srebrzystego stroju i oczu guru. Już nie chciało jej się śmiać. Czuła nawet pewien niepokój na myśl o zdolnościach Paula Sachera. Czy naprawdę może jej pomóc w przeszukaniu pamięci? Czy naprawdę ona ma mu powierzyć swój umysł? Doktor wypowiedział kilka sylab:

– Zdaje się, że ja panią bawię, proszę pani.

Diana przełknęła ślinę.

– To znaczy... Nie spodziewałam się...

– Kogoś tak malowniczego?

– No cóż... – W końcu uśmiechnęła się ze zmieszaniem. – Przykro mi. Miałam dziś taki dzień, że...

Głos jej zamarł. Lekarz wziął do ręki przycisk z czarnej żywicy i zaczął się nim bawić.

– Mój wygląd starego maga gra przeciwko mnie. Mimo to jestem racjonalistą. A nie ma nic bardziej racjonalnego niż technika hipnozy.

Dianie wydało się, że mówi mniej gardłowo, a może to ona przyzwyczaiła się do jego wymowy. Urok tego człowieka działał niczym kręgi na wodzie – rozchodzącymi się falami. Teraz Diana zauważyła rozwieszzone na ścianach ramki: grupowe zdjęcia, na których Sacher tronował w roli władczego nauczyciela. Na każdym najładniejsza z uczennic stała u jego boku, obejmując go spojrzeniem pełnym uwielbienia. Charles powiedział o nim: „Prawdziwy przywódca watahy”.

– Co mogę dla pani zrobić? – zapytał, kładąc ostrożnie przycisk na biurku. – Charles uprzedził mnie, że pani zadzwoni.

Diana zeszywniała.

– Co panu powiedział?

– Nic. Poza tym, że jest pani bliską mu osobą. Osobą, z którą trzeba... obchodzić się uważnie.

Powtarzam moje pytanie: co mogę dla pani zrobić?

– Chciałabym najpierw postawić panu pewne konkretne pytanie dotyczące hipnozy.

– Słucham.

– Czy można kogoś zaprogramować tak, by zrobił coś wbrew swojej woli?

Psychiatra oparł ręce o chromowane poręcze fotela. Na palcach miał kilka pierścionków: turkus, ametyst, rubin.

– Nie – odpowiedział. – Hipnoza nigdy nie jest gwałtem na świadomości. Wszystkie te historie o sterowanych zabójcach, uwiedzionych kobietach, to bajeczki. Pacjent zawsze może się oprzeć. Jego wola nie zostaje naruszona.

– Ale... uśpić kogoś? Czy może pan za pomocą tej techniki kogoś uśpić?

Sacher wysunął złożone wargi. Jego loczki poruszyły się razem z nimi.

– Uśpienie to inna sprawa. Chodzi o pewien stan uległości, bardzo podobny do transu hipnotycznego. To możemy spowodować.

– A na dystans? Może pan kogoś uśpić na dystans?

– Co znaczy „na dystans”?

– Czy może pan zaprogramować kogoś tak, żeby zasnął już w pańskiej nieobecności, jakiś czas po seansie, na którym poddano go sugestii?

Hipnotyzer przyznał:

– Tak, to jest możliwe. Wystarczyłoby powtórzyć sygnał umówiony podczas seansu.

– Jakiego rodzaju sygnał? – spytała Diana.

– Proszę pani, nie bardzo rozumiem pani pytania.

– Jakiego rodzaju sygnał?

– No cóż, może to być na przykład jakieś słowo-klucz. Podczas seansu składamy to słowo w głębi podświadomości osobnika i łączymy z nim myśl o zasypianiu. Potem wystarczy wymówić to słowo, by reaktywować uwarunkowanie.

Pamiętała słowa Vulovica: „Kiedy myślę o tym wszystkim, widzę tylko jedną rzecz... zielone... jak sukno wojskowe...”. Spytała:

– Sygnał może być wzrokowy?

– Jak najbardziej.

– Kolor?

– Z pewnością. Kolor, przedmiot, gest, wszystko jedno co.

– A co potem będzie pamiętał zainteresowany?

– To zależy od głębi pracy hipnotycznej podczas seansu.

– Czy może wszystko zapomnieć?

– Może, w wypadku hipnozy bardzo głębokiej. Ale pani mnie prowadzi do skrajnych przypadków w naszej działalności. Nasza deontologia jest bardzo surowa i...

Diana już nie słuchała. Każdą cząsteczką ciała czuła, że przybliżyła się do prawdy. A więc ktoś mógł zahipnotyzować Vulovica na parkingu przy alei Porte-d'Auteuil, a później jakimś znakiem spowodować uśpienie. Pomyślała też o Rolfie van Kaenie, kolosie w pełni sił, który nie stawiając oporu, pozwolił otworzyć sobie brzuch. Może był pod hipnozą? Psychiatra odezwał się znów:

– Charles mówił mi, że pani raczej chciała poddać się...

– Zgadza się. Chcę znaleźć się w stanie sugestii.

– W jakim kontekście? Pani pytania są dość dziwne. Na ogół moi pacjenci mają problemy z papierosami czy jakąś alergią i...

– Chcę przeżyć jeszcze raz pewien przypadek z mego życia.

Sacher uśmiechnął się. Wracał na grunt swojej wiedzy.

Rozsiadł się wygodniej w fotelu, przechylił głowę na bok – jak malarz, przyglądający się swemu modelowi – i zapytał:

– O co chodzi? Jakieś bardzo dawne wspomnienie?

– Nie. To się zdarzyło trochę więcej niż dwa tygodnie temu. Ale przypuszczam, że moja podświadomość skrywa pewne szczegóły. Charles wyjaśnił mi, że pan może mi pomóc przypomnieć sobie te fakty.

– To żaden problem. Proszę mi najpierw przedstawić okoliczności i...

– Chwileczkę.

Diana nagle zdała sobie sprawę, że myśl o otwarciu umysłu przed tym człowiekiem przeraża ją.

– Proszę mi najpierw wyjaśnić... Jak pan przeniknie do mojej pamięci?

– Niech się pani niczego nie obawia, to będzie nasza wspólna praca.

– Wspólna praca musi się opierać na zaufaniu. Chcę wiedzieć dokładnie, w jaki sposób dostanie się pan do mojej głowy?

Sacher skrzywił się:

– Obawiam się, że nie będę mógł tego pani wytłumaczyć.

– Dlaczego?

– Im więcej będzie pani wiedziała o zastosowanej metodzie, tym większy będzie pani stawiała opór.

– Przyszłam tu z własnej woli.

– Mówię o pani podświadomości. Tej podświadomości, która odmawia udzielenia pewnych informacji. Jeśli dostarczy jej pani narzędzi obrony, to proszę mi wierzyć, skorzysta z nich.

– Nie mogę... ot tak, po prostu, powierzyć panu mego mózgu...

Psychiatra milczał przez chwilę. Zdawał się sprawdzać, jakie znaczenie ma ta sprawa dla Diany. Znow wzięł do ręki przycisk, odłożył go, po czym powiedział cicho:

– Hipnoza jest niczym innym jak bardzo intensywną formą koncentracji. Będziemy razem mówić o wszystkich odczuciach fizycznych – na przykład o pani obiegu krwi – które stopniowo zajmą całą pani uwagę. Zapomni pani o wszystkim, z wyjątkiem tych odczuć. Będzie miała pani tylko bardzo niejasne pojęcie o swoim otoczeniu. Tego rodzaju „odłączenie” zdarza się czasem w życiu codziennym. Na przykład studiuje pani intensywnie jakieś materiały, ta praca całkowicie pochłania pani myśli. I wtedy kłuje panią jakiś owad: pani nawet tego nie czuje. Jest pani w stanie hipnozy, w transie. Tak właśnie dzieje się podczas pewnych obrzędów religijnych, połączonych z jakimiś próbami fizycznymi. Mózg przestaje „przyjmować” informacje o bólu.

– I wtedy może pan usunąć bariery postawione przez podświadomość?

– Tak: bo to nie podświadomość wznosi te szanse, tylko właśnie świadomość. Otóż osiągnąwszy pewien poziom koncentracji, przeskakujemy przystanek „rozum”. Wszystko jest już prywatną sprawą między hipnotyzerem a podświadomością pacjenta.

Diana pomyślała o wypadku, który przeżyła w młodości. Część życia poświęciła na zacieranie tego wspomnienia, na zamienianie swej pamięci w szafę pancerną. Spytała:

– Jak daleko można się w ten sposób cofnąć?

– Nie ma granicy. Byłaby pani zdziwiona, ilu pacjentów wchodzi tu, na tym fotelu, w swoją tożsamość niemowlęcą. Zaczynają gaworzyć. Ich wzrok traci synchroniczność, staje się taki jak wzrok kilkudniowego niemowlęcia. Można nawet cofnąć się jeszcze dalej.

– Jeszcze dalej?

– Aż do pamięci utajonej w nas głęboko. Do pamięci o naszych poprzednich istnieniach.

Diana próbowała się roześmiać.

– Przykro mi. Nie wierzę w reinkarnację.

– Nie mówię o wspomnieniach z konkretnych istnień. Mówię o tej naturalnej pamięci, której

my jesteśmy zbiornikami. Genetyka w pewnym sensie jest niczym innym jak pamięcią. Pamięcią naszej ewolucji, wszczepioną w nasze ciało.

– To tylko tak się mówi. Mówiliśmy o konkretnych wspomnieniach...

– To mogą być wspomnienia jak najbardziej konkretne! Niech pani weźmie pływające niemowlęta. Niemowlęta zanurzone w wodzie odruchowo zwierają struny głosowe. Skąd u nich ten odruch?

– Instynkt przetrwania.

– U kilkudniowych?

Diana zmrużyła oczy. Hipnolog ciągnął dalej:

– Ten odruch zachował się w nich od niepamiętnych czasów, kiedy człowiek nie był jeszcze człowiekiem, lecz stworzeniem ziemnowodnym. W zetknięciu z wodą dziecko przypomina sobie tamtą epokę. Dokładniej – jego ciało ją sobie przypomina bez udziału świadomości. Kto wie, czy hipnoza nie byłaby w stanie sprowadzić tego typu wspomnień aż do naszej świadomości?

Diana czuła, że ogarnia ją niepokój. Już wcale nie była pewna, czy chce tu zostać, dokonać tego wielkiego skoku. Dodatkowo dręczył ją jeszcze jeden szczegół: słońce zaszło i w gabinecie zrobiło się ciemno. Tymczasem oczy hipnologa błyszczały intensywnie jak nigdy. Wydało jej się nawet, że jego źrenice mają tę samą szczególną właściwość, co oczy niektórych zwierząt polujących w nocy, na przykład wilków, które między siatkówką a twardówką mają srebrzyste płytki, pozwalające im zwiększać siłę światła. Sacher miał takie samo srebrzyste spojrzenie... Już była zdecydowana wyjść, kiedy psychiatra zaproponował jej:

– A gdyby tak teraz opowiedziała mi pani zdarzenie, które chce pani przeżyć na nowo?

Diana wzięła się w garść. Znów zobaczyła siebie w pokoju szpitalnym, kilka godzin temu, w chwili podjęcia decyzji. Wtuliła się głębiej w fotel i powiedziała spokojnym głosem:

– W środę dwudziestego drugiego września, około północy, miałam razem ze swym przybranym synem wypadek samochodowy na bulwarze okrężnym, koło Porte Dauphine. Wysłam z niego bez szwanku, ale moje dziecko przez dwa tygodnie pozostawało między życiem a śmiercią. Myślę, że niebezpieczeństwo już minęło, ale...

Diana zawahała się.

– Chciałabym sobie przypomnieć minuty poprzedzające wypadek – powiedziała wreszcie. – Przeżyć na nowo każdy gest, każdy szczegół. Chcę być pewna, że nie popełniłam żadnego błędu.

– Błędu w prowadzeniu?

– Nie. Wypadek spowodowała ciężarówka, która przeleciała na drugą jezdnię. Nie było w tym żadnej mojej winy. Ale... trochę wypiałam. I chciałabym być pewna, że rzeczywiście zapięłam dziecku pas bezpieczeństwa.

Znów chwila wahania, a potem:

– Muszę wyjaśnić, że w chwili zderzenia pasy nie były zapięte.

Sacher splótł dłonie na błyszczącej powierzchni biurka i nachylił się ku Dianie. Światło odbijało się symetrycznie w jego tęczęwkach.

– Jeśli nie były zapięte, to znaczy, że pani ich nie zapięła, prawda?

– Wiem, że zapięłam te pasy. I chcę to sprawdzić tu, u pana, pod hipnozą.

Lekarz zdawał się zastanawiać. Był z pewnością tak samo zdumiony jak Charles Helikian.

– Przyjmijmy, że pamiętała pani o tym zabezpieczeniu – powiedział. – Jak pani objaśni, że pasy nie były zapięte podczas wypadku?

– Myślę, że zostały rozpięte podczas jazdy.

– Pani chłopczyk?

Musiała to powiedzieć. Musiała ujawnić swoją hipotezę. Powiedziała bardzo cicho:

– Myślę o jakimś człowieku. Pasażerze ukrytym w samochodzie. Myślę, że wypadek był przygotowany, zorganizowany, zrealizowany w każdym szczególe.

– Pani żartuje?

– Niech pan przyjmie, że żartuję, i mnie zahipnotyzuje.

– To absurdalne. Dlaczego miano by uknuć to wszystko?

– Proszę mnie zahipnotyzować.

– Kto zaryzykowałby przebywanie razem z panią w samochodzie w chwili wypadku?

Diana zrozumiała, że od psychiatry niczego nie uzyska. Zebrała swoje rzeczy i wstała.

– Proszę zaczekać – powiedział Paul Sacher stanowczym głosem.

Zrobił uprzejmy gest w kierunku fotela. Uśmiechał się przyjaźnie, ale Diana zdała sobie sprawę, że drży.

– Proszę siadać – powiedział. – Zaczniemy.

28

Najpierw było wrażenie wody.

Jej umysł unosił się w jakimś płynnym otoczeniu. Wyobraziła sobie tłumok pozostawiony w zalanej wodą ładowni statku. Pestkę owocu w rozmiękłym miększu. Teraz kołysała się we wnętrzu własnej czaszki.

Drugim wrażeniem było, że jest ich dwie.

Albo że ona sama jest podwójna.

Jakby jej świadomość została rozdzielona na dwie odrębne całości, mogące się wzajemnie obserwować. Śniła i mogła oglądać siebie śniącą. Skupiała się i mogła z dystansu obserwować, jak się skupia.

– Diano, słyszy mnie pani?

– Słyszę pana.

Zanurzyła się w stan hipnotyczny natychmiast. Paul Sacher poprosił ją najpierw, żeby skupiła się na namalowanej na ścianie czerwonej linii – potem, żeby wczuła się w ciężar swych członków. Diana popadła w stan intensywnej świadomości. Odczuwała bezwład swych rąk, swych stóp. Masę swych członków, które zdawały się robić z każdą sekundą cięższe, podczas gdy jej umysł przeciwnie – ulatywał w górę, wyzwalał się.

– Będziemy przypominać sobie wypadek. Wyprostowana, z rękoma na poręczach fotela, Diana przytaknęła skinieniem głowy.

– Wychodzi pani z domu swojej matki. Która jest godzina?

– Około północy.

– Gdzie pani teraz jest, Diano?

– Stoję w sieni domu numer siedemdziesiąt dwa przy bulwarze Sucheta.

Szum ulewy. Przezroczyste strumienie deszczu. Tysiące karbów na czarnej powierzchni jezdni. Wysokie, lśniące kamienne fasady. Niebieskawe latarnie, oddychające mgłą niczym zadyszane usta.

– Jak pani się czuje?

Diana nie odpowiada, uśmiecha się tylko z zamkniętymi oczyma.

Szampan w żyłach, niczym podziemne rzeki, które drwią sobie z ulewy na zewnątrz. Diana czuje, jak lekkie, twarde kropelki padają jej na kark. Jest jej dobrze. Zapomniała o swym gniewie podczas obiadu. O pocałunku Charles'a. Jest jakby wtulona w tę właśnie chwilę.

– Diano, jak pani czuje się teraz?

– Doskonale.

– Jest pani sama?

W jej ramionach rozlewa się ciepło dziecka. Jego ciepła szyja, miękkość jego ciała. Spokój jego snu, którego deszcz nie potrafi zakłócić.

– Jestem z Lucjanem, moim przybranym synem.

– Co pani teraz robi?

– Przechodzę na drugą stronę bulwaru.

– Jest ruch?

– Bulwar jest pusty.

– Pani samochód: gdzie go pani zaparkowała?

– Przy torze wyścigów konnych w Auteuil.

– Pamięta pani dokładnie to miejsce?

– Aleja Marszałka Franchet-d'Esperey.

– Proszę mi podać więcej szczegółów. Jakiej marki jest pani samochód?

– To samochód terenowy. Stary model. Toyota landcruiser z lat osiemdziesiątych.

– Widzi go pani teraz?

– Tak.

O kilka metrów stąd, pod ulewą, rysuje się kształt samochodu. Dianę ogarnia teraz niepokój. Odczuwa jakiś wyrzut sumienia, jakąś przykrość. Żałuje, że pila. Że uległa temu rytuałowi, którego nie cierpi. Chciałaby odzyskać, natychmiast, pełną jasność umysłu, moc przeżywać w pełni każdą sekundę.

W pokoju rozlega się głos Sachera, zarazem daleki i bliski:

- Co pani robi teraz?
- Otwieram drzwiczki.
- Które drzwiczki?
- Prawe tylne. Drzwiczki Lucjana.
- Następnie?

Zanim wypowiedziała swą myśl, jej ciało już daje odpowiedź – wrażenia są bardzo wyraźne, niemal za ostre.

Deszcz szalejący na jej plecach. Ciepło wydzielające się z wycięcia kurtki. Ciało nachylające się wraz z Lucjanem do wnętrza samochodu.

Głos hipnologa robi się głośniejszy:

- Co pani teraz robi, Diano?
- Umieszczam Lucjana w foteliku dziecięcym...
- Diano, ta chwila jest bardzo ważna. Proszę mi opisać dokładnie każdy swój gest.

W jej palcach rozlega się krótki trzask. „Kliknięcie” klamry pasa. Od razu odczuwa tę radość, nieśmiałą, tajemną, egoistyczną, która towarzyszy każdemu jej postępkowi, nawet najmniej znaczącemu, jeśli ma na celu ochronienie jej dziecka.

Znów mija kilka sekund. Wreszcie rozlega się głos Diany:

- Za... zapięłam pas bezpieczeństwa.
- Jest pani pewna?
- Absolutnie pewna.

Poważny głos Sachera wnika w nią:

– Proszę się teraz zatrzymać na tym wspomnieniu. Proszę uważnie obejrzeć wnętrze samochodu.

Świadoma część Diany rozumie, że jej mentalna kamera zaczyna teraz działać. Obiega spojrzeniem cały zapamiętany obraz.

Ciemna przestrzeń wnętrza samochodu. Wytarte siedzenia, na których leżą w nieładzie różne przedmioty. Zmięty, walający się na podłodze śpiwór khaki. Kłapa oddzielająca bagażnik, a na niej stare czasopisma. Blaszane drzwiczki, nieobłożone tapicerką ani płótnem...

Mogła, dosłownie, patrolować swoje wspomnienia, spacerować, krążyć po nich. Mogła przyglądać się uważnie szczegółom, których wtedy nie dostrzegła, ale które jej pamięć przechowała bez jej wiedzy.

– Co pani widzi, Diano?

– Nic, nic szczególnego.

W milczeniu Sachera znać napięcie. Diana czuje niejasno, że psychiatra wyęży uwagę.

I pyta:

– Idziemy dalej?

– Idziemy dalej.

Ton jest znów neutralny:

– Jedzie pani teraz obwodnicą?

Diana potakuje.

– Proszę odpowiadać na głos.

– Jadę bulwarem okrężnym.

– Co pani widzi?

– Światła. Całe szeregi świateł.

– Proszę mówić dokładniej. Co konkretnie pani widzi?

Po obu stronach głowy defilują latarnie osłonięte szklanymi tarczami. Diana mogłaby niemal widzieć ziarno matowych szkieł, rozświetlonych pomarańczowym pożarem sodu.

– Światła neonowe – mówi cicho. – Oślepiają mnie.

– Gdzie pani jest teraz?

– Mijam Porte de la Muette.

– Czy na bulwarze są jeszcze inne samochody?

– Bardzo mało.

– Którym pasem pani jedzie?

– Czwartym, lewym skrajnym.

– Z jaką szybkością?

– Nie wiem.

Kleszcze głosu zaciskają się jeszcze:

– Niech pani spojrzy na deskę rozdzielczą.

Diana we wnętrzu swego wspomnienia patrzy na szybkościomierz.

– Jadę sto dwadzieścia na godzinę.

– Bardzo dobrze. Czy na jezdni, wokół siebie, widzi pani coś szczególnego?

– Nie!

– Nie patrzy pani do tyłu, w kierunku syna?

– Ależ tak. Nawet uregulowałam wewnętrzne lusterko wsteczne tak, żeby mieć go w polu widzenia.

– Czy Lucjan śpi?

Nieprzejrzysta i lekka sylwetka w dzieciennym foteliku. Intensywność, głębokość snu. Czarne włosy wmieszane w ciemność. Prawdziwe zarośla, kolebka spokoju.

– Śpi głęboko.

– Nie rusza się?

– Nie.

– Nic nie rusza się z tyłu?

Diana obiega wzrokiem to, co widzi we wstecznym lusterku.

– Nie, nic.

– Proszę znów patrzeć na jezdnię. Gdzie pani jest?

– Dojeżdżam do Porte Dauphine.

– Czy już pani widzi tira?

Igła strachu pod skórą.

– Tak. Ja...

– Co się teraz dzieje?

W zamęcie ulewy bariery dzielące obwodnicę wyginają się. Nie, to nie bariery. To tir. Właśnie zjeżdża ze swego pasa – zdaje się ciągnąć za sobą całą jezdnię. Nie ma kierunkowskazu.

Żadnego sygnału. Przecina skosem smugi deszczu i światła...

Diana prostuje się w fotelu. Sacher pyta, nieco głośniejszym głosem:

- Co się dzieje?
- Ciężarówka... Ona... ona... znosi ją na lewo.
- Dalej? – pyta hipnolog.
- Wpada na czwarty pas...
- Co pani robi?
- Hamuję!
- I co dalej?
- Mam zablokowane koła. Wpadam w poślizg, próbuję...

Diana wrzeszczy. Potęga wspomnienia rozdziera ją.

Ciężarówka uderza w barierę. Obraca się w łoskocie żelastwa. Kabina okręca się, omiatając reflektorami przednią szybę samochodu Diany.

- Co pani widzi?
- Nic, już nic nie widzę! Otacza mnie wodna mgła. Ja... hamuję! Hamuję!

Tir chwieje się. Wściekłe sapnięcia powietrza w przewodach. Pisk hamulców. Z chaosu wylatują strzępy żelaza...

Diana czuje rękę zaciskającą się na jej ramieniu. Głos Sachera, bardzo blisko:

- Diano, a Lucjan? Nie patrzy pani na Lucjana?
- Ależ tak!

Wspomnienie powraca, czyste jak kryształ. Tuż przed zderzeniem, tuż przed uderzeniem z całym siłą w szynę bariery, odwróciła się do dziecka.

Krucha, uśpiona twarz. I nagle – otwierające się powieki. Boże, budzi się. Zobaczy, co się dzieje...

- Proszę powiedzieć, co pani widzi!

– On... on... on się budzi. Obudził się!

Teraz ryczy Sacher:

– Pas! Czy pas jest nadal zapięty?

Przestraszona twarz dziecka... jego szeroko rozwarte powieki... rozszerzone przerażeniem źrenice...

– Diano, niech pani patrzy na pasy! Czy Lucjan je odpina?

– NIE MOGĘ!

Diana nie może już odwrócić wzroku od Lucjana. Głos Sachera, wibrujący przerażeniem:

– Niech pani patrzy na jezdnię! Diano, co się dzieje na jezdni! Odruchowym gestem obraca się. Ryk wydiera jej się z gardła. Wrzask, którego siła wyrzuca ją z fotela:

– NIE!

Zaplątuje się w zasłony okienne. Sacher rzuca się ku niej.

– Diano, co pani widzi?

Ona krzyczy znowu:

– NIE!

– CO PANI WIDZI?

Diana nie może odpowiedzieć. Głos psychiatry zmienia rejestr. Spokojniej, ale zupełnie zimno, rozkazuje:

– Proszę się obudzić.

Diana drży, wstrząsana spazmami, zwinięta w kłębek pod zasłonami.

– PROSZĘ SIĘ OBUDZIĆ! ROZKAZUJĘ PANI!

Diana jest nagle w pełni świadoma. Mruga szybko oczami.

Żeberko żaluzji musiało ją skaleczyć: krew spływa z jej twarzy, miesza się ze łzami w łagodną rzekę. Sacher nachyla się nad nią.

– Diano, proszę się uspokoić. Jest pani tu, teraz, ze mną. Wszystko w porządku.

Diana próbuje się odezwać, ale struny głosowe odmawiają jej posłuszeństwa.

– Co pani widziała? – pyta lekarz.

Jej wargi drżą, ale nie wychodzi z nich żaden dźwięk. On pyta znów, tonem pełnym życzliwości:

– Czy w pani samochodzie ktoś był?

Ona zaprzecza, potrząsając grzywą:

– Nie, w samochodzie nie.

Rysy psychiatry wyrażają osłupienie. Diana próbuje mówić dalej, ale słowa więzną jej w gardle.

I wtedy powraca do niej ostatni obraz przed zderzeniem, podcinając pamięć jak batem.

Dokładnie w chwili, kiedy odwróciła się w kierunku jezdni, zobaczyła go: po prawej, o sto metrów od niej, wśród krzewów, przy bulwarze okrężnym, stał w deszczu jakiś mężczyzna. Ubrany w długi płaszcz koloru khaki, w kapturze obejmującym kościstą twarz, wyciągał palec wskazujący w kierunku ciężarówki, jakby samym tym gestem rozpętał szaleństwo wypadku.

Diana rozpoznała bez żadnej wątpliwości jego zielony płaszcz: rosyjski wojskowy kombinezon przeciw promienny.

29

– Tak?

Informatyk dorzucił do portretu pamięciowego wystające kości policzkowe. Diana przytaknęła. Była północ. Od blisko dwóch godzin pracowali razem z technikiem fizjonomistą z Quai des Orfèvres, głównej komendy policji paryskiej, nad portretem człowieka z obwodnicy. Po seansie hipnozy Diana, mimo naglących pytań Paula Sachera, szybko wyszła i udała się wprost do brygady kryminalnej.

– A usta?

Diana patrzyła, jak na ekranie komputera defilują rozmaitego kształtu wargi. Mięsiste kółko. Krótki owal. Podniesione kąci. Wybrała cienkie, proste wargi, z wyraźnymi bruzdami po bokach.

– A oczy?

Nowa defilada na monitorze. Diana wybrała romby o nisko opuszczonych powiekach, do których dobrała ciemnoniebieskie tęczówki – ciężkie, atramentowe ślepia, jak kulki pobrzękujące w uczniowskich tornistrach. Było coś absurdalnego w tak dokładnym opisywaniu twarzy, którą widziała z odległości stu metrów. A przecież mogła przysiąc: oczy zabójcy, podobnie jak inne szczegóły, które wybrała, były właśnie takie.

– Uszy?

Diana odpowiedziała:

– Miał na głowie kaptur.

– Jaki kaptur?

– Kaptur od deszczu. Zawiązany wokół twarzy.

Technik nakreślił wokół twarzy pomarszczony cień, doskonale naśladowujący płócienną kapuzę. Diana cofnęła się nieco, zmrużyła oczy: twarz nabierała kształtu. Wysokie, nagie czoło. Twarde jak krzemień kości policzkowe, obrzeżone zmarszczkami. Oczy ciemnoniebieskie, błyszczące blaskiem agatu pod leniwie opuszczonymi powiekami. Diana chętnie dopatrzyłaby się w tej twarzy jakiejś potworności, jakiejś oznaki okrucieństwa, ale musiała pochylić głowę przed urodą tych rysów.

Wszedł Patryk Langlois. Rzucił okiem na ekran, potem spojrzął na Dianę. Niespokojna

zmarszczka przecinała mu czoło.

– Przypominał coś takiego? – spytał.

Diana przytaknęła. Porucznik bez przekonania przyglądał się portretowi. Zgodził się wrócić do biura o dziesiątej wieczór i sprowadzić fizjonomistę dla sporządzenia tego portretu. Teraz siadł na rogu biurka. Swoją tekturową teczuszkę miał wciąż przyciśniętą do piersi.

– I mówi pani, że był ubrany w wojskowy anorak?

– Tak. Sowiecki płaszcz. Z tkaniny odpornej na promieniowanie.

– Skąd ta pewność?

– Pięć lat temu byłam na wyjeździe naukowym na Kamczatce, na syberyjskim Dalekim Wschodzie. Byliśmy w pewnym obozie wojskowym i przypadkiem stałam się świadkiem ćwiczebnego alarmu atomowego. Widziałam te płaszcze z bliska. Zapinają się skośnie, a kołnierz przypina się...

Porucznik przerwał jej ruchem ręki. Poprosił informatyka, żeby wydrukował portret pamięciowy, potem wstał i zwrócił się do Diany:

– Proszę za mną.

Szli wzdłuż korytarzy, mijając uchylone drzwi i małe, ciemne okienka. Widziała opustoszałe gabinety, jakieś zabałaganione wnęki, gdzie jeszcze pracowali nieliczni gliniarze.

Langlois otworzył obite pluszem drzwi. Wszedł do środka i zapalił halogenową lampkę. Gabinet przypominał norę notariusza, zapchaną starymi szpargałami i kawałkami wytartej skóry. Pokazał jej krzesło, potem sam usiadł po drugiej stronie stołu. Przez kilka sekund bębnił palcami po drewnianym blacie, po czym podniósł wzrok.

– Powinna była mnie pani uprzedzić, Diano.

– Chciałam coś wiedzieć na pewno.

– Mówiłem pani przecież: żadnej zabawy w Alicję w krainie detektywów.

– Sam pan mi zlecił szukanie wiadomości o Lucjanie. Policjant ruchem ramion poprawił na sobie płaszcz i powiedział:

– Podsumujmy. Pani zdaniem ten wypadek był w rzeczywistości próbą morderstwa, zgadza się?

– Tak.

– Kierowca ciężarówki został jakoby uśpiony na rozkaz jakiejś zewnętrznej siły albo nie wiadomo czego...

– Z pomocą hipnozy.

– Z pomocą hipnozy, powiedzmy. Jak można było spowodować wypadek dokładnie w tym miejscu, w chwili kiedy zjeżdżała pani na lewy pas?

– Obliczyłam trasy przejazdu. Ciężarówka jechała z parkingu przy alei Porte d’Auteuil, w pobliżu Lasku Bulońskiego. Wystarczyło, by ruszyła chwilę wcześniej niż ja. Biorąc pod uwagę szybkość każdego z nas, łatwo było wyliczyć punkt, w którym się spotkamy.

– A uśpienie kierowcy: w jaki sposób spowodowano je dokładnie w tej chwili?

– Można zaprogramować człowieka tak, by zasnął raptownie na dany sygnał.

– Jaki sygnał, na przykład?

Diana otarła dłonią czoło.

– Kierowca przypomina sobie zielony kolor. Może chodzi o kombinezon wojskowy. Człowiek w płaszczu stał przy wjeździe do tunelu.

Porucznik wciąż wpatrywał się w Dianę. Jego czarne oczy błyszczały pod opadającym siwym kosmykiem.

– A zatem pani zdaniem – odezwał się znowu – mordercy pracowali w zespole?

– Tak, tak myślę.

– Coś w rodzaju operacji wojskowej?

– Operacja wojskowa, właśnie tak.

– I cała ta operacja została zorganizowana tylko po to, żeby zlikwidować pani przybranego syna?

Przytaknęła, ale sama zdawała sobie sprawę z absurdalności swojej wersji. Langlois pochylił się i wpatrzył w nią spojrzeniem przenikającym aż do serca.

– Dlaczego, pani zdaniem, mieliby chcieć go zabić?

Odrzuciła z czoła spadające kosmyki i wymamrotała:

– Nie wiem.

Langlois znów poprawił się na krześle i zaczął innym tonem, jakby otwierał nowy rozdział:

– I twierdzi pani, że Lucjan nie pochodzi z Tajlandii? Że jest w rzeczywistości dzieckiem z Syberii albo Mongolii? Jak mógł się znaleźć na wybrzeżu andamańskim?

– Nie wiem.

Po chwili milczenia Langlois powiedział z zakłopotaniem:

– Diano, jak to pani powiedziec...

Podniosła oczy nad okularami.

– Pan mnie ma za wariatkę?

– Nie ma cienia dowodu na to, co pani mówi. Żadnej poszlaki, nic. To wszystko może równie dobrze istnieć tylko w pani głowie.

– A kierowca? Nie rozumie, jak mógł zasnąć i...

– A co innego może powiedzieć?

– A mężczyzna? Mężczyzna w anoraku ochronnej barwy: nie mogłam go przecież wymyślić, prawda?

Policjant wolał zmienić kurs.

– Jeśli przyjąć pani wersję, byłiby to ci sami ludzie, którzy zabili Rolf van Kaena.

Diana zawahała się znowu.

– Myślę, że tak, że zabiłcy w pewnym sensie ukarali Niemca za to, że uratował Lucjana.

– A kto by miał uprzedzić akupunkturzystę o wypadku?

– Nie wiem.

– Niemieccy policjanci wciąż nie znaleźli żadnego śladu telefonu lub listu dotyczącego pani syna. Wygląda na to, że van Kaena wezwał Duch Święty.

Co mogła do tego dodać? Langlois najpierw uszanował jej milczenie, potem powiedział ciszej:

– Zasięgałem informacji o pani.

– To znaczy?

– Telefonowałem do pani kolegów, do rodziny, do lekarzy, którzy panią leczyli.

Diana wydarła się:

– Jak pan mógł?...

– To mój zawód. W tej sprawie pani jest moim głównym świadkiem.

– Sukinsyn.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani, że przechodziła kilka psychoterapii, była hospitalizowana, leczyła się snem?

– Mam nosić wywieszkę?

– Mogłem zadać pani to pytanie wcześniej, ale... dlaczego adoptowała pani Lucjana?

– Nie pańska sprawa.

– Jest pani taka młoda...

Twarz zmarszczyła mu się w zakłopotanym uśmiechu. Zmarszczki powiększały jeszcze wyraz zmieszania.

– No dobrze: taka piękna. To właśnie chciałem powiedzieć. – Pokręcił palcami w powietrzu.
 – Mnie zawsze trudno to z siebie wyrzucić. Diano, dlaczego wdała się pani w całą tę adopcję? Czemu nie spróbowała pani raczej... no, w końcu, wie pani: znaleźć męża, założyć rodzinę, no, jednym słowem – klasyczna droga czy jak?

Skrzyżowała ramiona i nie odpowiedziała. Langlois zgarbił się i złożył ręce jak do modlitwy, jak za pierwszym razem, w szpitalu.

– Zdaniem pani matki, ma pani trudności z... ze związaniem się.

Zostawił to zdanie jakby w zawieszeniu, zaczekał kilka sekund, po czym mówił dalej:

– Według niej nigdy pani nie miała narzeczonego.

– To seans terapeutyczny czy co?

– Pani matka...

– Moją matkę mam gdzieś.

Porucznik oparł się plecami o ścianę, postawił stopę na koszu do śmieci i uśmiechnął się.

– Tak mi się właśnie zdawało, no tak... A pani ojciec?

– O co panu chodzi?

Langlois zmienił pozycję i znów się skulił w krześle.

– Ma pani rację. To nie moja sprawa.

Diana opowiedziała jednym tchem:

– Nigdy nie znałam ojca. W latach siedemdziesiątych moja matka żyła w komunie. Wybrała jednego z facetów z tej grupy i dała się zapłodnić. Zawarli taki układ. On nigdy nie starał się mnie poznać. Nie wiem nawet, jak się nazywa. Matka chciała wychować swoje dziecko samodzielnie. Uniknąć więzów małżeństwa, machistowskiego zniewolenia... Wyznawała poglądy swojej epoki. Była zagorzałą feministką. – Dodała: – Istnieją dzieci wojny. Ja jestem dzieckiem mody.

Przez twarz gliniarza przeleciał uśmiech, ten dreszczyk ironii, który tak podobał się Dianie. Patrzyła w tej chwili na niego z rozdartym sercem, bo wiedziała, że ogląda pejzaż zakazany. Poczuli się nagle uwięziona w lodowcu, zamurowana w więzieniu ze szronu. Porucznik musiał wyczuć ten smutek: wyciągnął do niej rękę, ale ona jej nie ujęła.

Znieruchomiał, milczał przez parę sekund, potem przeszedł do ostatniego punktu.

– Diano, termin „tokamak” co pani mówi?

Nie próbowała ukrywać zaskoczenia.

– Nie. Co to jest?

– To skrót. Oznacza z grubsza: komora magnetyczna na prąd. Zapomniałem dodać – to z rosyjskiego: *toroidalnaja kamiera s magnitnoj katuszkaj*.

– Z rosyjskiego? Dlaczego... pan mi o tym mówi?

Langlois otworzył teczkę: na wierzchu leżał jakiś faks. Diana dostrzegła napisy cyrylicą i niewyraźne zdjęcie legitymacyjne, zniekształcone przez tusz telekopii.

– Pamięta pani może, że w życiorysie van Kaena jest coś w rodzaju czarnej dziury...

– Lata tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć-tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dwa, tak.

– Niemieckie gliny otworzyły dziś sejf, który akupunkturzysta miał w Berliner Bank. Sejf zawierał tylko te dokumenty.

Podniósł do góry faks.

– Sowiecki dowód tożsamości, z którego wynika, że Niemiec pracował w tym okresie w tokamaku.

– Ale... co to jest?

– Ośrodek naukowy, prowadzący badania o rewolucyjnym znaczeniu. Laboratorium fuzji jądrowej.

Dianie przypomniał się przeciwpromienny kombinezon zabójcy. Powiedziała:

– Chyba nie fuzji tylko rozszczepiania? – poprawiła.

Porucznik zrobił gest wyrażający podziw.

– Diano, pani jest naprawdę nadzwyczajna. Ma pani rację, dowiadywałem się: tradycyjne centrale nuklearne pracują na zasadzie rozszczepienia atomów, ale w tym wypadku idzie właśnie o nową technikę, opartą na fuzji, syntezie. Technikę bezpośrednio wzorowaną na działaniu Słońca, opracowaną przez Sowietów w latach sześćdziesiątych. Projekt na niewiarygodną skalę, który zmusił ich do zbudowania pieców osiągających temperaturę do dwustu milionów stopni. Nie muszę dodawać, że to wszystko wykracza poza moje kompetencje.

Diana zapytała:

– Jaki to ma związek z dzisiejszymi wydarzeniami?

Wyciągnął faks w jej stronę i powiedział z taką miną, jakby mówił o czymś oczywistym:

– Tokamak, w którym pracował van Kaen, TK siedemnaście, był najważniejszym z tych,

które Sowieci kiedykolwiek zbudowali. Ośrodek absolutnie tajny. I niech pani zgadnie, gdzie się mieścił? Na dalekiej północy Mongolskiej Republiki Ludowej, na granicy Syberii. W Cagaan Nur, właśnie tam, gdzie pan doktor zdawał się wybierać.

Przyglądała się poczerńiałemu dokumentowi, rozpoznając na legitymacyjnym, niewyraźnym zdjęciu rysy młodego van Kaena o zamkniętym spojrzeniu. Langlois pytał głośno sam siebie:

– Po co chciał tam wrócić? Nie mam najmniejszego pojęcia, ale wszystko to układa się w jakąś całość. To oczywiste.

Informatyk zastukał i wszedł do gabinetu. Bez słowa położył kilka odbitek portretu pamięciowego i wycofał się. Porucznik przyjrzał się wydrukowanej twarzy i stwierdził:

– Zobaczmy, czy mamy przyjemniaczka w naszych kartotekach. Niezbyt wierzę w taką możliwość, ale nigdy nie wiadomo. Równolegle poszperamy w turkomongolskich środowiskach Paryża. Zweryfikuje się wizy wjazdowe i tak dalej. To jedyna dobra nowina, bo nie mogą ich tu być tysiące.

Wstał i spojrzał na zegarek:

– Diano, niech pani idzie spać. Jest po pierwszej. Wzmocnimy straż przy pokoju Lucjana, proszę się nie obawiać.

Odprowadził ją do drzwi. Oparł się o framugę i dodał:

– Mówiąc szczerze, nie wiem, Diano, czy pani jest kopnięta, ale w każdym razie ta cała historia jest o wiele bardziej kopnięta od pani.

30

Białe pokoje. Pastelowe obrazy. Czerwone światelko sekretarki automatycznej.

Diana przeszła przez swoje mieszkanie, nie zapalając światła. Weszła do sypialni i opadła na łóżko. Koło niej granatowy połysk telefonu z sekretarką automatyczną robił wrażenie proporczyka, powiewającego nad morzem mroku. Przypomniała sobie, że przed wizytą u hipnologa wyłączyła telefon komórkowy. Może przez cały wieczór ktoś próbował się do niej dodzwonić?

Nacisnęła na guziczek odsłuchiwania i usłyszała tylko ostatnią wiadomość: „Tu Izabela Condroyer. Jest dwudziesta pierwsza. Diano, coś fantastycznego. Zidentyfikowaliśmy dialekt Lucjana! Proszę do mnie zadzwonić”.

Dalej pani profesor podawała numery swoich telefonów, stacjonarnego i komórkowego. Diana w ciemnościach zapamiętała pierwszy z nich i wybrała go. Rozległo się kilka sygnałów – była chyba druga w nocy – potem zaspany głos:

– Halo?

– Dobry wieczór. Tu Diana Thiberge.

– Diana, ach, tak... – mówiła, jakby z trudem wrywała się ze snu. – Wie pani, która godzina?

Diana nie miała ani sił, ani ochoty tłumaczyć się.

– Dopiero wróciłam do domu – powiedziała po prostu. – Nie miałam cierpliwości czekać.

– Oczywiście... – Głos robił się nieco wyraźniejszy. – Mamy dialekt pani dziecka.

Izabela przerwała, żeby zebrać myśli, potem zaczęła wyjaśniać:

– Dziecko mówi językiem pochodzenia samojedzkiego, używanym wyłącznie w rejonie jeziora Cagaan Nur, na północnych kresach Mongolskiej Republiki Ludowej.

A więc Lucjan pochodził z tego właśnie regionu, gdzie mieścił się ośrodek nuklearny. Co to mogło znaczyć? Diana nie była w stanie zebrać myśli. Izabela Condroyer spytała:

– Diano, słucha mnie pani?

– Słucham, tak.

Etnolożka mówiła dalej – w jej głosie czuło się podniecenie:

– To niewiarygodne. Według specjalisty, którego się radziłam, to niezwykle rzadki dialekt,

używany przez bardzo nieliczną narodowość, Cewenów.

Diana milczała jak grób. Uczona spytała znowu:

– Diano, słucha mnie pani? Myślałam, że pani przyjmie z entuzjazmem wiadomość, że...

– Ja słucham.

– Jeszcze sprawa tych dwóch sylab, Lu i Sian, które pani chłopczyk stale powtarza na kasecie. Mój kolega jest stanowczy: te dwa fonemy tworzą razem pewne słowo, bardzo ważne dla kultury ceweńskiej. Znaczy ono: „Strażnik”. „Czujka”.

– Stra... Strażnik?

– To termin sakralny. Oznacza dziecko wybrane. Dziecko, które odgrywa rolę pośrednika między swoim ludem a duchami, zwłaszcza w porze łowów.

Diana powtórzyła niepewnym głosem:

– W porze łowów.

– Tak. W tym okresie dziecko staje się przewodnikiem swojego ludu. Pozyskuje też dla niego łaskawość duchów i w puszczy rozszyfrowuje ich przekazy. Potrafi na przykład wskazać dobre tereny łowieckie. Dziecko rusza przodem, a myśliwi plemienia idą za nim w pewnej odległości. Ono jest zwiadowcą, zwiadowcą duchowym.

Diana wyciągnęła się na łóżku. Widziała rozwieszzone na ścianie kwadraty pasteli Paula Klee. Były daleko, bardzo daleko, po stronie zwykłego, wolnego od niebezpieczeństw życia. Pani profesor zdawała się zaintrygowana jej milczeniem. Po paru sekundach powiedziała:

– Czuję, że jest jakiś problem.

Diana, leżąc z włosami rozsypanymi na poduszce, odpowiedziała:

– Miałam zamiar adoptować w Tajlandii jakieś porzucone dziecko. Stworzyć rodzinę małemu chłopcu, który przy urodzeniu nie miał szczęścia. Okazuje się, że jestem przybraną matką turkomongolskiego szamana, który rozmawia z leśnymi duchami. Widzi tu pani jakiś problem?

Izabela Condroyer westchnęła. Zdawała się rozczarowana. Wszystkie jej rewelacje zostały sprowadzone do zera. Wróciła do profesorskiego tonu:

– Pani dziecko musiało pozostawać wśród swoich dość długo, by zapamiętać tę rolę. A przynajmniej jej nazwę. To niezwykła historia. Etnolog, który odsłuchał kasetę, chciałby się z panią spotkać. Kiedy to byłoby możliwe?

– Nie wiem. Zadzwonię jutro rano. Na komórkę.

Pożegnała znieca uczoą i odłóżyła słuchawkę. Odwróciła się do ściany, zwinęła w kłębek. Opadły ją jakieś niejasne majaki. Czuła się otoczona cieniami. Widziała sylwetki w przeciwpromiennych anorakach. Ci ludzie śledzili ją, obserwowali pośród deszczu. Kim byli? Dlaczego chcieli usunąć Lucjana, małego „Strażnika”? Co mogło łączyć dziecinno szamana z ośrodkiem badań jądrowych?

Żeby coś przeciwstawić tej mętnej wizji, starała się odnaleźć w myślach ludzi, którzy byli jej sojusznikami. Przywołała obraz Patryka Langlois, ale nie zobaczyła nic. Spróbowała przypomnieć sobie doktora Eryka Daguerre’a, ale żadna twarz się nie pojawiła. Wymówiła imię Charles’a Helikiana, i też żadne echo nie odezwało się w jej głowie. Czuła się samotna, rozpaczliwie samotna. Mimo to, w chwili kiedy miała zapaść w sen, uderzyła ją nowa prawda. Nie może być aż tak samotna. Nie w takiej strasznej burzy.

Gdzieś musi być ktoś, kto dzieli z nią ten koszmar.

31

Żeby przełamać swoją nieśmiałość i nawiązać jakieś znajomości, zapisała się kiedyś na kurs aktorski. Nic z tego nie wyszło. Ale zachowała dziwną nostalgię za tym zajęciem. Miała w pamięci dekoracje, pachnące wiórami i kurzem. Osobliwą, niepokojącą atmosferę pogrążonej w mroku sali, gdzie na oświetlonej scenie raczkujący aktorzy deklamowali niemal tym samym tonem teksty Sofoklesa i Feydeau. Pamiętała serdeczne współczucie uczniów, obserwujących w milczeniu wysiłki kolegów. Było w tych działaniach coś niewyraźnego, coś z rytuału. Jak gdyby w próbach chodziło o odwołanie się do jakichś tajemniczych sił, do nieznanych bogów, do których można dotrzeć tylko poprzez tę fałszywą deklamację i sztuczne gesty.

Na parterze bloku A, budynku wydziału literatury uniwersytetu Paryż X-Nanterre, Diana wślizgnęła się do sali 103 i zorientowała się, że właśnie jest w jednej z tych staromodnych świątyń. Było to pomieszczenie liczące dwadzieścia metrów długości, bez okien, praktycznie puste, z wyjątkiem rzędu złożonych krzesełek opartych o prawą ścianę. W głębi wznosiła się scena pomalowana na ciemny kolor, z czarnymi kurtynami po obu stronach. Na scenie, w jasnym świetle, w którym unosił się pył, można było zobaczyć fragmenty dekoracji. Stół, krzesło, jakieś nieokreślone formy wyciosane z ciemnego poliestru symbolizowały drzewo, skałę, wzgórze.

Była dziesiąta rano.

Izabela Condroyer dała jej tylko ten adres, by umożliwić jej spotkanie z Claude'em Andreasem, etnologiem, specjalistą od dialektów turkomongolskich.

Zapytała o niego aktorów, którzy rozmawiali ze sobą pod sceną. Człowiek, którego szukała, był jednym z nich. Wysoki, chudy, w koszulce bez kołnierza i długich, czarnych rajtuzach. Kojarzył się Dianie ze starannie zrolowanym pergaminem, pergaminem, który mógłby zawierać jakieś najbardziej niezbadane tajemnice alchemiczne. Przedstawiła się w paru słowach. Przeprosił ją z uśmiechem:

– Przepraszam za ten mundur. Próbujemy *Czekając na Godota*.

Pokazał stół po prawej:

– Pani pozwoli. Pokażę pani mapę tych okolic. Pani historia jest po prostu... niesamowita.

Przytaknęła, dla formy. Tego ranka przytaknęłaby wszystkiemu. Mimo kilku godzin snu wciąż nie odzyskała pełni sił – tej mieszaniny agresywności i energii, która była jej najbardziej

niezawodnym sposobem na życie.

– Kawy? – spytał etnolog, podnosząc do góry termos.

Podziękowała przeczącym ruchem głowy. Andreas podał jej krzesło, nalał sobie kawy i usiadł po drugiej stronie blatu leżącego na dwóch kozłach. Przyglądała mu się. Jego twarz przypominała dziecinny malunek: bardzo szeroko rozstawione turkusowe oczy, buntowniczo zadarty nos, cienkie usta ledwie zarysowane jedną kreską – wszystko otoczone bujną popielatą czupryną, przypominającą hełm plastikowej laleczki.

Postawił kawę na stole i rozłożył mapę. Wszystkie nazwy były wypisane cyrylicą. Wskazał palcem region w górze mapy, w pobliżu linii granicy.

– Myślę, że dialekt pani dziecka pochodzi z tego regionu, z północnych kresów Mongolii Zewnętrznej.

– Izabela mówiła mi o konkretnej narodowości, Cewenach...

– Prawdę mówiąc, nie twierdziłbym tego tak stanowczo.

To są tereny bardzo trudno dostępne, pozostawały pod władzą sowiecką przez blisko sto lat. Ale powiedziałbym, że sądząc z wymowy i sposobu użycia niektórych słów, mamy do czynienia z dialektem Cewenów. Szczep pochodzenia samojezdźkiego. Hodowcy renów, grupa wymierająca. Nawet się dziwię, że jeszcze istnieją. Jak pani zdołała adoptować takie dziecko? To jest...

– Proszę mi opowiedzieć o tej historii ze Strażnikiem i polowaniem.

Andreas uśmiechnął się na taki obcesowy ton. Zdawał się rozumieć, że dzisiaj to nie on będzie stawiał pytania. Gestem przeprosił za swoją niedyskrecję. Miał w sobie namaszczenie chińskich cieni.

– Raz do roku, jesienią, Cewenowie urządzą wielkie łowy. To polowanie odbywa się wedle ścisłych reguł. Grupa myśliwych posuwa się śladem młodego zwiadowcy. Dziecko poprzedniej nocy pości, a o świcie udaje się samotnie do puszczy. Wtedy dopiero wyruszają myśliwi i idą za Strażnikiem. W ceweńskim dialekcie nazywa się go „Luu-Si-An”.

Słowa etnologa nie docierały do umysłu Diany. Wpatrywała się uważnie w mapę. Zieleń. Ogrom zieleni, a w niej, tu i ówdzie, małe plamki błękitu: jeziora. To te porośnięte krótką trawą równiny, te bezkresne puszcze świerkowe, te przejrzyste jeziora płynęły we krwi Lucjana. Przypominała sobie chwile bliskości, kiedy dziecko zasypiało z główką wtuloną pod jej pachę, a w jej umyśle rozbrzmiewały magiczne słowa: „gdzieś tam”. Objasnienia Andreasa, niczym

odległy wir wodny, znów zaczęły docierać do jej uszu.

– Jeśli pani przybrany syn jest rzeczywiście Strażnikiem, jeśli został wybrany przez swój lud, to znaczy, że posiada dar jasnowidzenia. Jedną z tych zdolności, które określamy angielskim skrótem ESP, czyli *extrasensory perception*, percepcja pozazmysłowa.

– Chwileczkę.

Diana patrzyła na swego rozmówcę zimnym wzrokiem.

– Chce pan powiedzieć, że ci ludzie wierzą w nadprzyrodzone zdolności pewnych dzieci?

Człowiek w półgolfie uśmiechnął się. Zrobił uspokajający gest, który ją poirytował.

– Nie – powiedział cicho. – Nie to chciałem powiedzieć. Wcale nie to. Myślę, że Strażnicy rzeczywiście mają takie zdolności. Wedle bardzo poważnych świadectw są zdolni wychwytywać zjawiska zupełnie niedostępne pięciu ludzkim zmysłom.

Takie już miała szczęście: trafiła na szajbusa. Człowieka, który spędził za dużo czasu wśród zabobonnych plemion. Zmusiła się do zachowania spokoju.

– Jakie zjawiska ma pan na myśli?

– Luu-Si-Anowie mogą, na przykład, przewidywać trasy migracji łośi. Wiedzą z góry również o innych, bardziej spektakularnych faktach, na przykład o pojawieniu się spadających gwiazd lub komet. Albo zbliżaniu się pewnych zmian pogody. To są wieszczkowie, to nie ulega wątpliwości. I ich zdolności objawiają się już od najwcześniejszych lat...

Diana przerwała mu:

– Czy pan zdaje sobie sprawę, co opowiada?

Uczony siedział z jednym łokciem opartym na stole, drugą ręką kręcił łyżeczką w swojej filiżance z kawą. Powiedział po prostu:

– Istnieją, proszę pani, dwa rodzaje etnologów. Jedni analizują przejawy życia duchowego danego plemienia z punktu widzenia czysto psychologicznego. Ich zdaniem zdolności szamanów, transe to zwykłe dewiacje mentalne – histeria, schizofrenia. Dla drugiej kategorii etnologów, do której i ja należę, te doświadczenia są przejawami działania sił, których nazwę noszą, czyli duchów.

– Jak pan może wierzyć w takie rzeczy?

Uśmiech. Obrót łyżeczki w kawie.

– Gdyby pani wiedziała, co zdarzało mi się widywać w czasie mojej pracy... Dla mnie traktowanie przejawów szamaństwa jako zwykłych chorób umysłowych ogromnie zubaża całe

zagadnienie. To tak jakby muzykologa zajmowała tylko siła dźwięku orkiestry, a nie obchodziła go sama muzyka. Istnieją materiały, instrumenty. A poza tym istnieje magia, która się z nich wydobywa. Nie zgadzam się na sprowadzanie wierzeń religijnych żadnego ludu do rzędu zwykłych zabobonów. Ani na to, by zdolności czarowników traktować po prostu jako zbiorowe omamy.

Diana milczała. Różne wspomnienia przychodziły jej na myśl. Ona również bywała świadkiem dziwnych obrzędów, zwłaszcza w Afryce. Nigdy nie zastanawiała się, czym właściwie są dla niej te zjawiska. Ale jedno było pewne: w takich chwilach działała jakaś siła. I ta siła zdawała się mieścić jednocześnie w człowieku i poza nim, a zwłaszcza, osobliwie, na granicy jednego i drugiego. Jakby chodziło o jakiś święty kontakt, o przekroczenie jakiegoś, niedającego się wskazać progu.

Claude Andreas chyba wyczuwał jej rozterkę. Powiedział bardzo cicho:

– Spójrzmy na sprawę z innego punktu widzenia, dobrze? Pomińmy religijną stronę zjawisk paranormalnych i zastanówmy się nad ich konkretną, fizyczną prawdziwością.

– Tu wszystko jest jasne – ucięła Diana. – To nie istnieje.

Głos etnologa spoważniał.

– Nigdy nie miała pani proroczych snów?

– Jak wszyscy. Nieokreślone wrażenia.

– Nigdy nie zadzwoniła do pani osoba, o której pani właśnie myślała?

– Przypadki. Proszę posłuchać. Jestem naukowcem. Nie mogę dać sobie zawracać w głowie takimi zbiegami okoliczności i...

– Jest pani naukowcem, wie pani zatem, że powyżej pewnego progu przypadki stają się prawdopodobieństwem. A powyżej następnego te prawdopodobieństwa stają się aksjomatami. Interesuję się tymi sprawami od dawna. Istnieją dziś w Europie, w Stanach, w Japonii pracownie naukowe, gdzie te granice przekracza się regularnie, gdzie doświadczenia z telepatią, z jasnowidzeniem powtarza się z powodzeniem. Jestem pewien, że pani o tym słyszała.

Diana odpowiedziała z miejsca:

– To prawda. Ale przecież nawet kiedy protokoły z tych badań są ściśle, analiza ich wyników jest zawsze dyskusyjna.

– Owszem, tak mówi większość uczonych. Bo konsekwencje tych wyników byłyby zbyt poważne. Uznanie prawdziwości tych anomalii oznaczałoby zakwestionowanie całej

nowoczesnej fizyki i obecnego stanu naszej wiedzy.

– To tylko fantazje...

– Nie, i pani to wie. Mówimy o głęboko utajonych możliwościach człowieka. Mówimy o zdolnościach, które u pani dziecka są może rozwinięte ponad przeciętność. Zdolnościach, które są wyzwaniem dla zwykłych praw zmysłowego świata.

Kolejne oszałamiające perspektywy nie były jej do niczego potrzebne. A jednak jakaś siła ją zatrzymywała. Jakiś wewnętrzny głos szeptał jej, że może właśnie te zdolności są przedmiotem całej sprawy... Andreas zaczął mówić znowu, wciąż tym samym, równym głosem:

– Spójrzmy na to z jeszcze innej strony. Pani jest etologiem, prawda? Zajmuje się pani percepcją u zwierząt.

– No więc?

– Wiele spośród tych sposobów percepcji długo uważaliśmy za tajemnicze, niezrozumiałe, bo nie znaliśmy ich morfologicznego źródła. Lot nietoperzy w ciemnościach był tajemnicą. Dopóki nie wykryto ultradźwięków, którymi te nocne stworzenia się kierują. Każda z tych percepcji daje się fizycznie wyjaśnić. Nie ma w nich nic nadnaturalnego.

– Pan mówi teraz o sprawach związanych z moim zawodem. Nie widzę związku między nimi a rzekomymi zdolnościami parapsychologicznymi człowieka i...

– A kto pani powiedział, że już wszystko wiemy o naszych aparatach percepcji?

Diana roześmiała się ironicznie:

– Sławetny szósty zmysł... – Wstała. – Przykro mi, panie profesorze: mam wrażenie, że oboje tracimy czas.

Etnolog też wstał i niepostrzeżenie zastąpił jej drogę.

– Skąd pani wie, że dzieci, o których mówimy, nie mają pewnego atutu, którego my już nie posiadamy?

– Jakiego atutu?

Uśmiechnął się i jego uśmiech wyglądał jak przecinek na papierowej twarzy.

– Niewinności.

Diana próbowała się roześmiać, ale ścisnęło ją w krtani. Claude Andreas mówił dalej:

– W pracowniach, o których pani mówiłem, dowiedziono, że najlepsze wyniki osiąga się zawsze podczas pierwszych testów, a zwłaszcza u dzieci. Ze względu na ich spontaniczność.

– Co z tego?

– Że nasze przesady to główna przeszkoda dla pojawienia się paranormalnych zdolności. Sceptycyzm, materializm, obojętność możemy uważać za swoiste zanieczyszczenia, żużel obciążający nasz umysł, nie dający mu wykorzystać swej siły. Sportowiec niepewny swej siły musi przegrać. Nasza świadomość funkcjonuje dokładnie w ten sam sposób. Sceptyk nie potrafi wykorzystać swych możliwości mentalnych.

Diana wyminęła długą sylwetkę etnologa. Jemu tymczasem nie dawała spokoju pewna wątpliwość. Spytał:

– Pani nie ma dzieci, prawda?

– Mam Lucjana.

– Chciałem powiedzieć: pani nigdy nie rodziła.

Odwróciła głowę, żeby nie mógł widzieć wyrazu jej twarzy.

– Co ma z tego wynikać?

– Każda matka to pani powie: mają łączność ze swoim dzieckiem w okresie ciąży. Embrion reaguje na uczucia kobiety, która go nosi w sobie. A przecież są to dwie różne istoty. Cięża jest po prostu kolebką telepatii.

Na gruncie fizjologicznym Diana czuła się pewniej.

– To nieprawda. To, co pan uznaje za łączność paranormalną, opiera się na dwóch rzeczywistych wspornikach fizycznych. Jeśli ciężarna kobieta otrzymuje wiadomość, która jest dla niej wstrząsem, od razu wyzwalają się w jej krwi specjalne hormony, takie jak adrenalina, i przenikają do organizmu płodu.

W tym stadium nie można traktować matki i dziecka jako dwóch oddzielnych istot. Przeciwnie, są w stałym kontakcie fizycznym.

– Zgadzam się. Ale po porożu? Łączność utrzymuje się, proszę pani. To fakt dowiedziony. Matka wciąż jeszcze dowiadyuje się o potrzebach swego dziecka w tej samej chwili, kiedy ono zaczyna je odczuwać. Więż nie została zerwana. Jak to pani nazwie? Instykt macierzyński? Kobięca intuicja? Oczywiście. Ale gdzie się kończy intuicja? Gdzie zaczyna się jasnowidzenie? Czy ten stosunek nie jest także komunikacją parapsychologiczną w stanie czystym, nieopartą na żadnej innej podstawie poza miłością?

Diana miała poczucie, że rozsypuje się w proch. Te aluzje do stosunku matka-niemowlę dobijały ją, a jednocześnie napełniały osobliwym spokojem. Ona sama czuła podobnie: czy kiedykolwiek rozumiała Lucjana lepiej niż w tych czarownych, skąpanych w milczeniu chwilach,

kiedy dziecko spało w jej ramionach?

– Pan umie przekonywać, profesorze, ale mam wrażenie, że nie dowiedziałam się tyle, ile bym chciała, o tożsamości mojego przybranego syna.

– Będzie pani wiedziała więcej, kiedy Lucjan odzyska przytomność. Jeśli naprawdę jest Strażnikiem, potrafi panią o tym przekonać.

Diana pożegnała rozmówcę i skierowała się ku drzwiom. Czuła, jak jądro smutku rozplywa jej się w krtani. Andreas zawołał:

– Proszę zaczekać.

Dodał, podchodząc do niej:

– Ktoś mi się właśnie przypomniał: człowiek, który mógłby pani powiedzieć więcej o osobliwościach psychicznych Lucjana. Dureń ze mnie, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Bywał w tamtych stronach. Po prawdzie, tylko on. Muszę przyznać, że ja sam nigdy tam nie dotarłem. Pracowałem tylko z taśmami nagranych przez ówczesnych zesłańców politycznych, uczonych z gułagu.

Andreas szukał już w swoim notesie namiarów rzadkiego ptaka. Zapisał nazwisko i adres na odwrocie karteczki w kratkę.

– Nazywa się Francois Bruner. Zna Cewenów. I zna się na parapsychologii.

Diana wzięła do ręki karteczkę i przeczytała.

– Mieszka w muzeum? – spytała.

– Jest konserwatorem we własnej fundacji, tak, w Saint-Germain-en-Laye. Właściciel kolosalnej fortuny. Niech pani z nim porozmawia. Fantastyczna figura. Ta wyprawa zajmie pani nie więcej niż parę godzin. A te godziny rzucą może światło na resztę pani życia.

32

Wszystko poszło bardzo szybko.

Najpierw pojechała do szpitala, żeby zobaczyć nowy pokój Lucjana, potem zadzwoniła do człowieka z fundacji. Przyjęto ją bardzo ciepło: Francois Bruner wydawał się zaciekawiony obecnością Strażnika we Francji. Wyglądało na to, że równie gorąco pragnie opowiedzieć jej swoje wspomnienia i podzielić się swoją wiedzą na temat regionu, po którym podróżował jako jeden z nielicznych Europejczyków. Umówili się na ten sam dzień, na dziewiętnastą.

Diana wyliczyła sobie, że będzie potrzebowała około godziny, żeby dojechać do Saint-Germain-en-Laye, zachodniego przedmieścia Paryża, i na wszelki wypadek wyruszyła już o wpół do szóstej. Przejechała Neuilly, ominęła obwodnicą dzielnicę Defense i wjechała w krajową nr 13, bezkresną linię prostą, która miała ją doprowadzić do celu.

W drodze już nie zastanawiała się nad swoim śledztwem. Myśli miała całkowicie zajęte słowami Claude'a Andreasa i wynikającymi z nich ogólnymi koncepcjami. Diana Thiberge, uznany etolog, była umysłem racjonalnym. Nawet jeśli w pomieszczenie wprowadziła ją tajemnicza skuteczność interwencji Rolfa van Kaena, i nawet jeśli to, co przeczytała o akupunkturze, rozpało jej wyobraźnię, nigdy nie uwierzyła na dobre w jakąś prawdę, która mogłaby zburzyć jej własną koncepcję rzeczywistości.

Jak większość biologów Diana sądziła, że świat, przy całym swoim niezwykle skomplikowaniu, sprowadza się do pewnego zestawu mechanizmów fizycznych i chemicznych, z których wynikają elementy konkretne, rozpoznane, występujące w skali od nieskończenie małych do nieskończenie wielkich. Oczywiście nie przeczyła istnieniu umysłu ludzkiego, ale rozumiała go jako pewną całość oddzielną, której funkcją jest percypowanie i rozumienie. Byłby to zatem duchowy widz, zasiadający w łożu wszechświata.

Wiedziała, że jest to uproszczona i przestarzała wizja mechanizmów kosmosu, odziedziczona po dziewiętnastowiecznych pragmatystach, w domyśle wykluczająca ludzką świadomość z logiki rzeczywistości. Otóż coraz liczniejsi uczeni dopuszczali możliwość, że umysł, choć tak bardzo niewidzialny, nienamacalny, należy do rzeczywistości tak samo jak cząsteczka czy gwiazda neutronowa. Że świadomość wpisuje się w sposób jeszcze nieobjaśniony w wielki łańcuch życia, na tej samej zasadzie co każdy element dotykalny. Niektórzy sądzili nawet, że owa świadomość

nie jest bierna, lecz wpływa bezpośrednio, niezależnie od czynów, do których potrafi pobudzić, na świat obiektywny jako czysta siła.

Diana skupiła się na prowadzeniu. Przejeżdżała przez Nanterre, gdzie szeregi platanów niczym listki figowe zasłaniały zwykłą przedmiejską graciarnię – bezbarwną i brzydką mieszaninę starych domów, ponurych pawiloników i nazbyt nowoczesnych, błyszczących i zimnych budowli.

W Rueil-Malmaison krajobraz się zmienił. Topole zastąpiły platany, długie drzące świderki drobnych listków zdawały się nosić w sobie obietnicę wody i zieleni. Przy alei Bonapartego, w okolicach Malmaison, wznosiły się mury pałacu, kamienie były pokryte świeżą winoroślą, portale osłonięte delikatnymi daszkami. Wysokie domostwa zdawały się spoza swych ogrodzeń spoglądać z góry, z minami wielkich książąt, na strumień samochodów, jakby pycha zamku Malmaison udzieliła się wszystkim pobliskim willom i dworkom.

Na drodze ruch był płynny. Diana jechała bez przeszkód. Wróciła myślami do swego śledztwa. Czy Lucjan był Strażnikiem? Czy naprawdę miał jakieś szczególne właściwości? Czy stykała się teraz z takim wymiarem rzeczywistości, jakiego istnienia dotąd nie podejrzewała? Rolf van Kaen powiedział: „To dziecko musi żyć”. Nie ulega wątpliwości, że znał prawdę o Lucjanie i że ta prawda była przyczyną jego interwencji. Czego się spodziewał po chłopcu? Nie miała na to żadnej odpowiedzi, ale była przekonana, że jest na właściwej drodze. Musi się skupić na tych paranormalnych zdolnościach, nawet jeśli sama w nie, nie wierzy, nawet jeśli dla niej takie historie to chimery. Teraz liczyło się nie to, co ona myśli, lecz w co wierzą zabójcy z obwodnicy, mordercy Rolfa van Kaena.

W Bougival wjechała na nadbrzeże Sekwany, widziała w dali długie, zalesione wyspy odbijające się w wodach rzeki. Na kamiennym moście widniał napis: „Śluzy Bougival”. Diana przez chwilę przyglądała się barkom, łodziom, falom wygładzonym ciszą. Wszystko zdawało się tu oddychać odpoczynkiem, śniadaniem na trawie, wolnym czasem, wyrwanym zgiełkowi Paryża.

Jeszcze jakieś dwadzieścia minut i dotarła do Wielkiego Placu pod pałacem Saint-Germain-en-Laye. Dzwon kościelny wybił osiemnastą czterdzieści pięć. Sunęła szerokimi alejami, które zdawały się nosić jeszcze ślady karet i parad królewskich, potem skręciła, zgodnie z radą Brunera, w kierunku lasu. Wjechała w ciasne drogi obrzeżone pobielanymi, obrośniętymi bluszczem murami zamkniętych ogrodów. Nad przydrożnymi murkami chyliło się słońce,

drzewa zdawały się poruszać niecierpliwie, jakby podniecone zbliżaniem się zmroku. Diana nie włączyła reflektorów, żeby lepiej korzystać z naturalnego światła, które, w miarę jak zapadała noc, zdawało się coraz bardziej intensywne, coraz ostrzejsze.

Zatrzymała się wreszcie przed bramą z wysokich czarnych prętów. Kiedy wysiadała z samochodu, uderzyła ją świeżość powietrza: było jak niewidzialna osłona, rozbudzająca zmysły, nadająca im nową ostrość. Dochodziła dziewiętnasta i ciemność nasuwała się wielkimi zwojami mroku. Diana jeszcze raz pomyślała o swoim chłopczyku. Nagle poczuła absolutną pewność: za kilka godzin pozna część tajemnicy.

33

Nacisnęła guzik domofonu, nad którym umieszczona była kamera. Żadnej odpowiedzi. Spróbowała jeszcze raz. Bez skutku. Machinalnie popchnęła furtkę, która otworzyła się powoli. Diana zapięła swój zamszowy płaszcz z wełnianym kołnierzem, wyglądającym jak wąska szczoteczka, i ruszyła zwirowaną aleją. Szła tak kilka minut, wzdłuż rozległych trawników. Wszędzie było pusto. Dochodziły do niej tylko chichoty niewidocznych w ciemności polewaczek automatycznych. Wreszcie za trawiastym pagórkiem zobaczyła ciemną bryłę muzeum.

Budynek musiał pochodzić z początku wieku. Składał się z samych prostych linii i kątów i zdawał się cały wytopiony z najcięższych materiałów. Śniedź brązów. Brunatna ochra miedzi. Połyskująca czernią stali. Diana podeszła bliżej. Podwójne główne drzwi były zamknięte. Z ujętych w metalowe ramy okien fasady nie dochodziło żadne światło. Przypomniała sobie, że Francois Bruner poradził jej okrążyć dom i wejść tylnymi drzwiami, prowadzącymi wprost do prywatnych pomieszczeń.

Park tonął w drzewach i ciemności. Korony drzew, wstrząsane wiatrem, grały szeleszczącą symfonię listowia. Diana doszła do tylnej fasady i zadzwoniła do drzwi, ale nie było żadnej odpowiedzi. Czy profesor o niej zapomniał? Zawróciła, poszła w kierunku bramy parku, ale rozmyśliła się. Skierowała się znowu do frontowego wejścia, po kilku schodkach doszła do ciężkich drzwi i pociągnęła je do siebie.

Ku jej zaskoczeniu – otworzyły się.

Diana znalazła się w wypełnionym cieniem westybulu, a potem trafiła do pierwszej sali. Nigdy by nie przypuściła, że w groźnym z zewnątrz bunkrze może się mieścić taka komnata. Ściany, podłoga i sufit były białe. Odbijały mocno przenikające przez okna światło księżyca. Te nagie powierzchnie same w sobie stanowiły pieśczętę dla oczu. Ale zwłaszcza – były tam obrazy. Okna jaskrawych, płomiennych kolorów, przypominające otwory prowadzące w inny świat. Diana podeszła bliżej i stwierdziła, że jest na wystawie malarstwa Pieta Mondriana.

Nie była prawdziwą znawczynią sztuki malarskiej, ale tego holenderskiego artystę podziwiała szczególnie i miała wiele reprodukcji jego obrazów. Na ścianach rozpoznała od razu dzieła z pierwszego okresu: rozczochrane młyny o fantastycznych skrzydłach, odcinające się od płonącego nieba i zdające się zapowiadać bliski pożar świata.

W drugiej sali Diana odkryła inne płótna z tego czasu – tym razem zimowe drzewa, ciemne, hieratyczne, obsypane plamkami światła, kryjące w szparach swej kory najbardziej szalone barwy. Były też drzewa wiosenne – czarne i czerwone, jakby nasycone ogniem, które zdawały się rozplýwać w jakiś bukoliczny wybuch. Dianie zdawało się zawsze, że te palące soki, te płonące nieba zawierają jakąś obietnicę. Że zapowiadają głęboką zmianę w sztuce Mondriana.

Wiedziała, że ta przemiana objawi się jej w trzeciej sali.

Przekroczyła próg i uśmiechnęła się na widok płócien okresu dojrzałego. Od lat dwudziestych drzewa Mondriana wyciągają się, wyrównują, oczyszczają, jego nieba porządkują się, wygładzają, rodzi się prawdziwa wiosna malarza. Nie w kwiatkach i owocach, tylko w kwadratach, prostokątach, formach geometrycznych absolutnej czystości. Od tej pory Mondrian malował tylko kompozycje ascetyczne, składające się z regularnych, monochromatycznych figur. Mówiło się zwykle o „przełomie” w jego dziele, ale Diana się z tym nie zgadzała. Jej zdaniem, przeciwnie, była to naturalna przemiana. U kresu płomiennego liryzmu pierwszych lat, w głębi tych pejzaży z ziemi i ognia, artysta znalazł kwintesencję własnego malarstwa. Doskonałą geometrię osi i barw.

Diana posuwała się naprzód olśniona, nie zdając sobie sprawy z absurdalności sytuacji. Była zupełnie sama w prywatnym muzeum, gdzie miała się spotkać ze specjalistą od pewnego plemienia turkomongolskiego. Spacerowała tu sobie bez nadzoru, bez przymusu wśród płócien, z których każde musiało być warte kilkadziesiąt milionów franków. Przeszła do następnej sali, spodziewając się, że zobaczy tam słynne *Boogie Woogie*, ostatnie dzieła artysty, malowane w Nowym Jorku i...

Jakiś szelest kazał jej odwrócić głowę.

W sali, przez którą dopiero co przeszła, stały dwie sylwetki. Pomyślała, że to strażnicy, ale szybko zdała sobie sprawę, że się myli. Dwaj mężczyźni, ubrani na czarno, z noktowizorami, każdy trzymał w ręku karabin szturmowy z celownikiem laserowym. Nie miała wątpliwości: współnicy z bulwaru okrężnego. Śledzili ją aż dotąd i zamordują ją w tej sali wystawowej.

Rzuciła spojrzenie za siebie. Żadnych drzwi, żadnego wyjścia. Mężczyźni zbliżali się powoli. Diana cofnęła się. Ich broń rzucała przed siebie czerwoną wiązkę światła. W absurdalny sposób uderzyła ją uroda sceny: płótna, odbijające błękitnawe światło księżyca, dwaj napastnicy o spojrzeniach skarabeuszy, granatowe wyloty ich karabinów, odcinające się niczym gwiazdy od tych kredowych ciemności.

Nie czuła w ogóle strachu. W jej głowie formowała się już inna myśl: na to starcie w niejasny sposób czekała od piętnastu lat. To była jej godzina prawdy. Godzina, w której musiała dowieść, że nie jest już bezbronną dziewczynką z Nogent-sur-Mame. Znow zobaczyła wierzby, światła za oknami. Poczwała zimną ziemię pod biodrami. Dwa cienie zbliżały się wciąż. Były już tylko o parę metrów.

Jeszcze krok.

Zobaczyła, jak palec jednej z urękawiczonych dłoni naciska spust.

Było za późno.

Dla nich.

Skoczyła i uderzyła kantem dłoni – sao fut szu. Pierwszego trafiła czysto w krtań, padł na ziemię. Drugi wycelował w nią z karabinu, ale ona już obracała się wokół siebie, wyciągając nogę, by kopnąć piętą. Zabójca został odrzucony w tył. Usłyszała „piop”, odgłos strzału z broni z tłumikiem; pocisk wyrwał kamień ze ściany. I zaraz potem – cisza. Żadnego ruchu. Drżąc na całym ciele, podeszła do dwu bezwładnych ciał.

Metaliczne uderzenie obaliło ją na podłogę, zalewając falą bólu. Spróbowała podnieść się na kolano, ale nowy cios trafił ją w twarz. Spadły jej okulary. Usta miała we krwi. Upadła znow. Z opóźnieniem zrozumiała, że w kącie sali krył się trzeci człowiek. Posypały się ciosy. Zaciśnięte pięści, obcasy rangersów, kant kolby. Tamci dwaj wstali i przyłączyli się do egzekucji. Diana osłaniała rękami głowę, tłukła się w niej tylko jedna myśl: „Mój kolczyk. Wyrwą mi kolczyk”. Jakby w odpowiedzi poczuła, jak ciepły strumień spływa jej po wargach. Zwinęła się w kłębek, dotknęła nosa i wyczuła rozdartą skórę i odsłoniętą przegrodę nosową. Ta jedna myśl odebrała jej resztkę sił: zwinęła się jeszcze mocniej, już nawet nie dygotała pod spadającymi na nią ciosami.

Nastąpiła chwila przerwy. Podczołgała się, wyciągnęła rękę, by uchwycić się ściany. Nie zdołała dokończyć gestu. Podkuty żelazem but uderzył ją prosto w pierś, odbierając oddech. Dusila się, czuła to w całym ciele. Zapadła martwa cisza, czysty niebyt czasu i przestrzeni, a potem Diana zwała się na podłogę; czuła, jak spazmatycznie wymiotuje. Pięść w rękawicy chwyciła ją za włosy, odwróciła i przycisnęła do cementu. Mężczyzna wyciągnął nóż z pochwy przymocowanej do nogi. Zębate ostrze przybliżyło się, lśniło w blasku księżyca. Ostatnia myśl Diany pobiegła do Lucjana. Prosiła go o wybaczenie. Wybaczenie za to, że nie umiała go obronić. Że nie rozumiała jego tajemnicy. Że nie umiała pozostać przy życiu, żeby dać mu całą miłość, jaka...

Huknął strzał.

Głuchy, zduszony, głęboki.

Twarz zabójcy pod noktowizorem zmieniła się.

Jego rysy jakby opadły, zeszywniały.

Nowy wybuch rozdarł ciszę.

Morderca zgiął się wpół, wargi zaokrągliły mu się w wyrazie osłupienia.

Diana dopiero po sekundzie zrozumiała, że to ona strzelała. Kiedy w myśli odmawiała modlitwę, jej ciało wciąż upierało się żyć, szukało innego wyjścia. Ręce błądziły omackiem, szukały, aż znalazły wsunięty za pas pistolet mordercy. Kciukiem podniosła zameczek kabury, w której tkwiła broń. Pozostałymi palcami wyciągnęła pistolet, skierowała lufę na napastnika i pociągnęła za spust.

Strzeliła jeszcze raz.

Ciało zatrzęsło się ciężko. Zabity padł na nią w tej właśnie chwili, kiedy z wyciągniętym ramieniem zmieniała pozycję, żeby wziąć na cel dwóch pozostałych przeciwników. Znikli. Miała tylko czas zauważyć smugi celowników laserowych, przenoszące się do sali *Kompozycji*. Odepchnęła trupa, chwyciła karabin i po przekątnej przebiegła salę. Cofnęła się w kąt z karabinem przyciśniętym do piersi. Mimo szoku, mimo krwi zalewającej ubranie, czuła, jak całe ciało skupia się w jednym zdaniu: nie dostaną jej. Tak czy inaczej – wyjdzie z tego.

Spojrzała w kierunku drzwi i wpadła na pomysł.

Obrazy.

Obrazy uratują jej życie.

Używała już noktowizorów w afrykańskim buszu, żeby obserwować nocne zachowania dzikich zwierząt.

Wiedziała, że pole widzenia tych aparatów jest zalane zieloną poświatą, w której kolory rozróżnia się bardzo słabo. Pomyślała o celownikach laserowych, o tych czerwonych plamkach, wskazujących kierunek strzału, które w tej zielonkawej poświacie musiały być mniej wyraźne. Gdyby mogła jeszcze bardziej zamącić te punkty, przechodząc wyłącznie przed czerwonymi płótnami, uzyskaby kilka sekund oddechu, co wystarczyłoby może, żeby przebiec przez salę.

Nie zastanawiając się dłużej, ruszyła biegiem. Zobaczyła od razu dwie smugi zbiegające się w jej kierunku i mijające ją – tak jak przypuszczała, dwaj zabójcy kryli się po obu stronach framugi. Popędziła natychmiast ku *Kompozycji nr 12*, na której widniał czerwony kwadrat,

a potem rzuciła się w kierunku *Kompozycji w czerwieni, żółci i szarości*. Widziała, jak dwa szkarłatne punkty wirują wokół niej niczym okrutne muchy. Pobiegnęła znowu. Jej plan działał. Zabójcy nie widzieli nic. Przebiegła na tle karminu następnego obrazu i zobaczyła próg kolejnej sali. Wygrała.

W tym momencie poślizgnęła się. Uderzyła głową w cement. Gwiazdy wybuchły jej pod czaszką. Ból przeszył kostkę. Odwróciła się natychmiast: zabójcy byli już blisko. Sprężyła się na prawym boku, nacisnęła na spust karabinu, który trzymała w zgięciu łokcia. Siła odrzutu pchnęła ją na ścianę, ale w niebieskawym błysku tłumika zobaczyła cień podrygujący w spazmach śmierci.

Drugi napastnik zatrzymał się. Strzeliła znowu. Cud się nie powtórzył: jej karabin się zaciął. Wypuściła broń, wyciągnęła prawą ręką pistolet automatyczny, który przedtem wsunęła za pasek, i wycelowała w mężczyznę: był już tylko o metr. Znowu zamiast spodziewanego huku wystrzału rozległo się okrutne „klik”. Diana zamarła. To koniec. Zabójca wycelował do niej. Dostrzegła jego sztylpę i przypomniała sobie przymocowany do niej nóż komandoski. Szybkim ruchem wyrwała go z pochwy, skoczyła do przodu i wbiła przeciwnikowi ostrze w gardło. Ryknęła z całych sił, żeby nie słyszeć, jak metal zgrzyta o rozdzielane ciało.

Odsunęła się, zostawiając nóż w rozciętej krtani. Przerazona, pokryta krwią, cofnęła się. Kiedy postawiła lewą stopę na ziemi, poczuła od razu przenikliwy ból. Skakała w miejscu na jednej nodze, jak wielka czapla brodząca w brunatnej kałuży, potem zobaczyła po prawej drzwi, które jakby cudem pojawiły się przed nią. Kuśtykając poszła w tamtym kierunku, upadła jeszcze raz, podniosła się na kolano i pchnęła skrzydło drzwi. Myśli chaotycznie kłębiły jej się w głowie, ale zrozumiała, że weszła do mieszkania Francois Brunera.

34

Nie słyszała żadnego szmeru, nie wyczuła najbliższego ruchu. Oparta plecami o drewnianą framugę, czuła się jak nabita na własną kość ogonową. Czy ludzie o owadzich oczach zamordowali Francois Brunera? A może zdołał uciec?

Spróbowała się podnieść. Ten prosty ruch przysporzył jej straszliwego bólu. Jej ciało stygło. Za parę minut rany po otrzymanych ciosach zamieniały się w skrzepy cierpienia. Potem nie będzie mogła zrobić najmniejszego ruchu. Musi działać szybko, żeby znaleźć sposób ucieczki.

Kuśtykając, zagłębiła się w ciemność, trzymając rękę na obficie krwawiącym nosie. Bez okularów poruszała się w świetle niejasnych kształtów i rozplywających się brył. Szła po omacku i tylko małe lampki wysoko na ścianach prowadziły ją w tym marszu. Na końcu korytarza odkryła prostokątną salę, w której mieścił się niezbyt głęboki basen. Żeby pokonać tę przeszkodę, trzeba było przejść przez żelazną kładkę, tuż nad wodą, potem wejść po kilku stopniach do następnych sal. Diana zmierzyła się z tym zadaniem, nie zastanawiając się nad osobliwością architektury tego miejsca. Gdy przechodziła przez kładkę, zauważyła, że na wodzie unoszą się małe miseczki z oliwą, w których tkwią płonące knoty. Prawdziwe ogniste nenufary.

Kolejna sala miała kształt doskonałego kwadratu. Następna była prostokątem o białych ścianach i czarnej podłodze. Promienie księżycy, przenikające przez długą szklaną szybę, oświetlały rozwieszony na ścianach szkice: przedstawiały one jakieś rytuały ofiarne, a papier wyglądał jak poszarpany piórkiem do tuszu.

W innych okolicznościach Dianę uderzyłaby oszczędna uroda tego miejsca. Ale teraz płakała i starała się nie wylać z siebie za dużo czerwonych kropli, które rozpryskiwały się na podłodze jak roztopiony wosk. Już zaczynała się bać, że nie znajdzie żadnego wyjścia, kiedy zauważyła w końcu korytarza uchylone drzwi i wyzierającą z nich krechę światła. Po odbłaskach i plusku poznała: łazienka. To było jakieś chwilowe rozwiązanie: zatrzymać się, opłukać twarz i potem, już w lepszej formie, ruszyć dalej.

Był to pokój kąpielowy w kolorze jaspisu i brązu. Bryły i płyty wycięte z tych materiałów nadawały ton całemu wnętrzu. Ciężkie barwione szyby ciągnęły się wzdłuż ścian niczym parawany z wody morskiej. Wanna była wydrążona w wypolerowanym, zielonkawym kamieniu. Z czarnych drążków zwieszały się ręczniki, wnosząc w tę kompozycję odcień ciemnych alg.

I wszędzie wzdłuż okien, wzdłuż kafelków, pionowo nad umywalkami i muszlami z białego fajansu, wznosiły się brązowe pręty, równoległe po dwa, a było ich tyle, że aż ginęły w nieskończonej grze zwierciadeł.

Diana zauważyła umywalkę i odkręciła kran. Strumień świeżości dobrze jej zrobił. Krwawienie zmniejszyło się, ból częściowo ustąpił. Zauważyła wówczas, że w wodzie na dnie czaszy pływają jakieś przezroczyste włókna, cieniutkie błonki. Podniosła głowę i zauważyła, że po lewej, w suchej wannie, leżą zwinięte takie same błonki, poskręcane w przezroczyste strzępki. Wydało jej się, że to jakaś folia plastikowa, ale kiedy wzięła jeden z tych strzępów do ręki, zrozumiała, że trzyma kawałek tkanki organicznej.

Skóra.

Ludzka skóra.

Odwróciła się i instynktownie poszukała źródła tej nowej aberracji. To, co dostrzegła, wydarło jej krzyk z piersi. Na środku pokoju kąpielowego królował stół do masażu z czarnego marmuru. Na blacie leżało rozciągnięte ciało przykryte szmaragdową zasłoną od prysznica. Przez przejrzyste fałdy mogła rozpoznać kształt bardzo chudego mężczyzny. Francois Bruner? Drżącą ręką pociągnęła za zasłonę, która zsunęła się na ziemię. Ciało objawiło się nagle w całej swej nagości.

Mężczyzna leżał z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Spoczywał w pozycji posągów rycerskich w średniowiecznych kaplicach. To nie było jedyne podobieństwo: to ciało, postarzałe, wychudłe, z kośćmi sterczącymi spod skóry, zdawała się łączyć z symetryczną dekoracją pokoju kąpielowego jakaś więź, jakieś estetyczne porozumienie, tak jak rzeźby nagrobków rycerskich łączy z architekturą gotycką wrażenie niezatartej godności.

Trup zdawał się dosłownie linieć. Cieniutkie skraweczki skóry zwisały po obu stronach jego kończyn lub marszczyły się na piersi, odsłaniając pod spodem nową różowawą skórę. Diana, usiłując nie stracić resztek zimnej krwi, podeszła bliżej. Czekał ją nowy szok. Teraz, kiedy była tylko o metr od ciała, mogła bardzo wyraźnie zobaczyć jego brzuch – i cieniutkie nacięcie, które przekreślało skórę tuż pod mostkiem.

Francois Bruner został zabity w ten sam sposób co Rolf van Kaen.

Co to mogło znaczyć? Kto dokonał tej egzekucji? Trzej łajdacy z karabinami? Nie mogła w to uwierzyć: to nie było w ich stylu. I dlaczego mieliby potem położyć swoją ofiarę na marmurowym blacie?

Cofnęła się, kiedy zauważyła to, co powinna była zauważyć od początku i co układało na właściwych miejscach wszystkie elementy: twarz starego człowieka. Wysokie czoło. Kości policzkowe o twardości krzemienia. Ciężkie powieki.

Był to człowiek w przeciwpromiennym anoraku.

Człowiek, który trzy tygodnie temu próbował zabić ich oboje, ją i jej syna.

35

W pokoju szpitalnym poza łóżkiem nie było żadnego mebla. Salka była pogrążona w ciemnościach. Leżąc i osłaniając twarz ramieniem, Diana Thiberge mogła widzieć przez oświetloną szparę pod drzwiami tylko stopy gliniarza, stojącego na straży. Spojrzała na zegarek. Szósta rano. Spała zatem całą noc. Znow zamknęła oczy i próbowała zebrać myśli.

Dokładnie w chwili kiedy w jaspisowo-brązowym pokoju kąpielowym Diana rozpoznała człowieka o skórze węża, w głębi parku pojawiły się jakieś kołujące światełka. Policja. Od razu poczuła dziwną ulgę: był to pierwszy racjonalny element tej przygody. W muzeum istniał zatem system alarmowy. Obrazy były chronione – musiały być. Starcie spowodowało alarm, wezwanie skierowane do komisariatu policji w Saint-Germain-en-Laye. Wtedy przypomniała sobie o ciałach, o swoich odciskach palców na porzuconej broni. Kto uwierzy, że jedna młoda kobieta zdołała zlikwidować trzech morderców uzbrojonych w karabiny szturmowe? Mogła uniknąć przyznania się do swoich przestępstw. W końcu – użyła tylko ich własnej broni...

Z trudem wróciła do sali *Kompozycji* i ułożyła broń i ciała wedle torów pocisków, które wystrzeliła. Znalazła również swoje okulary. Były całe. To odkrycie rozjaśniło jej w głowie. Zdarła mordercom rękawiczki z rąk i odcisnęła odciski każdego z nich na którejś z kolb. Kiedy gliny weszły do muzeum, znalazły tylko zemdloną kobietę, w otoczeniu trupów i obrazów Mondriana.

Dalszy ciąg był jeszcze łatwiejszy do odegrania. W samochodzie wystarczyło, żeby po prostu poddała się swemu przygnębieniu. Śledczy sformułowali przy niej tyleż odpowiedzi, co pytań, i sami doszli do wniosku, że trzech mężczyzn najpierw na nią napadli, a potem wzajemnie się pozabijali. Dziwna rzecz – zdawali się przekonani, że to nie ona była powodem starcia. Diana przeczuwała, że gliniarze zidentyfikowali już zabójców.

W klinice Vesinet-Le-Pecq lekarz dyżurny uspokoił ją. Miała tylko krwiaki. Ból w lewej kostce to tylko z powodu lekkiej kontuzji. Jedyne prawdziwe rany były skutkiem mody: złoty kolczyk rozdarł jej lewe nozdrze do chrząstek. Co do nitu wpiętego w pępek, to trzeba było półgodzinnego zabiegu chirurgicznego w znieczuleniu miejscowym, żeby go odzyskać.

Po zaaplikowaniu środków uspokajających umieszczono ją w strzeżonej salce. Zasnęła natychmiast, ale teraz, odrętwiała od środków znieczulających, czuła się, jakby szybowała

w przestrzeni, nie doznając żadnego bólu. Wypełniała ją tylko absolutna przenikliwość, tak wyostrzona, że prawie nierzeczywista. Dzięki niej mogła ułożyć listę faktów, których była pewna.

Dwudziestego drugiego września 1999 roku Francois Bruner, konserwator fundacji Brunera, wielki podróżnik, znawca plemienia Cewenów i parapsychologii, próbował zamordować Lucjana, organizując, razem ze swymi współnikami, wypadek na paryskim bulwarze okrężnym.

Piątego października 1999 roku Rolf van Kaen, naczelny anestezjolog oddziału chirurgii pediatrycznej szpitala Die Charite, potajemnie dokonał na dziecku zabiegu, w nadziei, że je uratuje z pomocą akupunktury.

Obaj ci ludzie wiedzieli o Lucjanie coś, czego Diana nie wiedziała – być może znali prawdziwą naturę jego zdolności – i co jednemu nakazywało go zlikwidować, drugiemu zaś, przeciwnie, ratować go.

Co to były za zdolności? Diana odsunęła od siebie pytanie, na które nie miała odpowiedzi, i skupiła się na ostatnim swoim przekonaniu. Może najstraszniejszym.

Był w tej sprawie jeszcze jeden zabójca.

Człowiek, który w nocy 5 października 1999 roku zniszczył serce Rolfa van Kaena w budynku kuchni szpitala Neckera. Człowiek, który 12 października 1999 roku dokonał takiej samej operacji na ciele Francois Brunera, z pewnością kilka godzin przed pojawieniem się Diany w muzeum.

Zazgrzytał zamek. Dwóch policjantów w mundurach weszło do pokoju, wpuszczając za sobą światło dnia. Potem pojawiła się wysoka sylwetka. Diana chwyciła swoje okulary. Rozpoznała czarny sweter, włosy koloru opiłków żelaza. Patryk Langlois zdawał się jeszcze bardziej szorstki niż zazwyczaj.

Na widok posiniaczonej twarzy Diany gwizdnął z podziwem, a potem powiedział z pogrózką w głosie:

– Może czas już skończyć z tymi wygłupami, co?

36

W samochodzie Diana przede wszystkim opuściła osłonę przeciwsłoneczną i przyjrzała się w lusterku swej twarzy. Niebieskawy siniak zaczynał się przy lewej skroni i schodził aż do podbródka. Z tej strony policzek już puchł, nie deformował jednak jeszcze kościstych rysów twarzy. Białko lewego oka, zalane krwią, nadawało jej osobliwe, różnookie spojrzenie. Co do rany nosa, to nici i brunatne strupy były zamaskowane opatrunkiem tamującym. Myślała, że będzie gorzej.

Langlois ruszył bez słowa i włączył się w poranny strumień samochodów. W holu kliniki miał czas zmyć jej głowę za nieostrożność i działanie w pojedynkę. Diana miała nadzieję, że nie zacznie na nowo – jej migrena by tego nie zniosła. Ale przy pierwszym czerwonym świetle policjant wyciągnął ze swojej tekturowej teczki plik papierów i złożył jej na kolanach.

– Proszę to przeczytać.

Diana nawet nie opuściła oczu. Po paru minutach, wciąż obserwując jezdnię, porucznik zapytał: – Co znowu? Ona wciąż gapiła się na ulicę.

– Nie mogę czytać w samochodzie. Rzygam od tego. Langlois burknął coś. Wydawał się zniecierpliwiony kapryсами Diany.

– OK – westchnął. – Objaśnię to pani. To są dokumenty dotyczące człowieka z portretu pamięciowego.

– Francois Brunera?

– Naprawdę nazywał się Filip Thomas. Bruner to nazwisko przybrane. To dość częste wśród szpiegów.

– Szpiegów?

Odchrząknął ze wzrokiem wpatrzonym w ruch na jezdni.

– Kiedy rozesłaliśmy ten obrazek wśród naszej rodzinki, od razu dostaliśmy coś od DST, Dyrekcji Ochrony Terytorium. Francois Bruner vel Filip Thomas, notowany od roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego. Był wtedy profesorem psychologii na uniwersytecie w Nanterre. Cudowne dziecko, ledwie trzydzieści lat. Specjalista od Carla Gustava Junga. Powinienem był pamiętać jego nazwisko. – Uśmiechnął się przepraszająco. – Sam miałem okres fascynacji Jungiem. Krótko mówiąc, w roku sześćdziesiątym ósmym, Thomas, skądinąd syn

znakomitej rodziny, zostaje jednym z głównych agitatorów komunistycznych na barykadach.

Diana znów widziała w myślach człowieka w zielonym płaszczu z podniesionym palcem wskazującym. Jego smaganą deszczem twarz pośród zarośli obwodnicy. Langlois mówił dalej:

– W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym nasz przyjaciel znika.

W rzeczywistości, rozczarowany klęską rewolucji, Thomas postanowił przedostać się do ZSRR.

– Co?

– Nasz intelektualista przeszedł na drugą stronę żelaznej kurtyny. Osiadł tam, gdzie sprawa ludu triumfowała: w ZSRR. Wyobrażam sobie dość dobrze minę jego ojca, kiedy się o tym dowiedział: był jednym z najbardziej znanych adwokatów od spraw biznesu we Francji de Gaulle'a.

– Co potem?

– Nie bardzo wiadomo, co tam robił. Ale jest pewne, że jeździł w okolice, które nas interesują, między innymi do Mongolskiej Republiki Ludowej.

Samochód jechał drogą krajową nr 13, lewym pasem. Słońce zalewało korony różowiejących drzew, które zdawały się nasączać powietrze purpurową mgłą. Diana przyglądała się z roztargnieniem ogrodzeniom parków, pałacykom, jasnym budynkom tonącym w listowiu. Nie czuła już tej jasności myśli, co podczas wczorajszej jazdy. Porucznik policji mówił dalej:

– W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym następuje wielki powrót. Thomas puka do drzwi ambasady francuskiej w Moskwie. System sowiecki dobił go. Błaga rząd francuski, by go przyjął na nowo. W tych czasach wszystko było możliwe. No więc zbieg, który pięć lat wcześniej przeszedł na Wschód, prosi o azyl polityczny... we własnym kraju!

Langlois, trzymając jedną ręką kierownicę, potrząsnął swoją teczką z dokumentami jak dowodem rzeczowym.

– Przysięgam, to wszystko prawda.

– A... potem?

– Wszystko robi się jeszcze bardziej mętne. Natrafiamy na Thomasa w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym, proszę zgadnąć gdzie? W wojsku francuskim w charakterze cywilnego doradcy.

– W jakiej dziedzinie?

Langlois uśmiechnął się.

– Pracuje jako psycholog w wojskowym instytucie medycznym specjalizującym się

w medycynie lotniczej. W rzeczywistości ten instytut jest przykrywką, służy do przyjmowania i przesłuchiwania dysydentów komunistycznych, którzy poprosili o azyl we Francji.

Diana zaczynała rozumieć zwrot w sytuacji.

– Chce pan powiedzieć, że teraz to on przesłuchuje zbiegów radzieckich?

– Właśnie tak. Zna rosyjski. Zna ZSRR. Jest psychologiem. Kto inny mógłby lepiej od niego oceniać stopień ich szczerości i wiarygodności? Prawdę mówiąc, myślę, że nie miał wyboru. Spłaca w ten sposób swój dług wobec rządu francuskiego.

Langlois pomilczał chwilę, nabrał oddechu, potem dokończył swą opowieść:

– W latach osiemdziesiątych atmosfera między Wschodem a Zachodem zaczyna się ocieplać. To jest czas głośności, pierestrojki. Władze wojskowe poluzowują Thomasowi wodze, odzyskuje wolność. Nie ma nawet pięćdziesięciu lat. Właśnie odziedziczył kolosalny majątek rodzinny. Nie wraca na uniwersytet. Woli inwestować w płótna mistrzów i stworzyć własną fundację, która przyjmuje również wystawy czasowe, choćby takie jak obecnie wystawa Mondriana. Thomas nie ukrywa już swej przeszłości zbiega. Przeciwnie, wygłasza odczyty o regionach Syberii, które zwiedził, i o ludach, które poznał jako jeden z nielicznych Europejczyków, na przykład o Cewenach, plemieniu pani dziecka.

Diana zastanawiała się. Wszystkie te wiadomości kłębiły jej się w głowie. Nazwiska. Fakty. Role. Każdy element pasował do innych, razem składały się na jakąś spójną logikę. Spytała w końcu:

– A pan, co pan o tym myśli?

Porucznik wzruszył ramionami.

– Wracam do mojej pierwszej teorii. To jest historia ciągnąca się od czasu zimnej wojny. Porachunki. Albo sprawa szpiegostwa naukowego. Myślę tak tym bardziej, że zająłem się bliżej sprawą tego ośrodka nuklearnego...

– Tokamaku?

– Tak. Jeśli dobrze zrozumiałem, fuzja nuklearna nie jest jeszcze technologią dopracowaną ale to bardzo obiecująca sztuczka. To nawet przyszłość energii jądrowej.

– Dlaczego?

– Bo obecne centrale zużywają uran, czyli surowiec, którego zasoby na ziemi są ograniczone. Tymczasem przy kontrolowanej fuzji stosuje się surowce uzyskiwane z... wody morskiej. Inaczej mówiąc – paliwo istniejące w nieograniczonych ilościach.

– I co z tego?

– To, że mówimy o stawkach niewiarygodnych, o interesach na skalę światową. Moim zdaniem, w tej sprawie wszystko kręci się wokół tajemnic tokamaku. Van Kaen tam pracował. Thomas musiał się o to otrzeć, to pewne, kiedy podróżował po Mongolii. I dowiaduję się właśnie, że szef TK siedemnaście, Jewgen Talich, też przedostał się w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym na Zachód. I osiadł we Francji za aprobatą Thomasa!

– To się robi dla mnie za bardzo skomplikowane.

– To jest skomplikowane dla wszystkich. Ale jedno jest pewne: oni wszyscy są tutaj.

– Jacy „oni”?

– Dawna ekipa ośrodka nuklearnego. We Francji lub gdzieś w Europie. Wszczęłem poszukiwania Jewgena Talicha. Pracował w pierwszych ośrodkach fuzji kontrolowanej, które utworzono we Francji w latach osiemdziesiątych. Dziś jest na emeryturze. Trzeba go wytropić jak najszybciej. Inaczej nie zdziwię się, jeśli znajdziemy gdzieś jego trupa z sercem w strzępach.

– Ale... po co mordować tych ludzi? I dlaczego w ten sposób’?

– Pojęcia nie mam. Jestem pewien tylko jednego: przeszłość wychodzi na powierzchnię. Przeszłość, która nie tylko powoduje te morderstwa, ale i zmusza byłych uczonych, by tam wracali.

Diana zrobiła zdziwioną minę. Langlois pokazał jej kolejną fotokopię.

– Te notatki znaleziono u Thomasa: rozkład lotów do Moskwy i Mongolskiej Republiki Ludowej. Też miał zamiar tam jechać. Jak van Kaen.

Diana czuła, jak nasila się działanie środków znieczulających. Spytała, wracając do swych niepokojów:

– A mój przybrany syn? Co on ma wspólnego z tym wszystkim?

– Ta sama odpowiedź: pojęcia nie mam. Na wszelki wypadek sprawdziłem pracowników fundacji, dzięki której zaadoptowała pani Lucjana...

Diana zadrżała.

– I co pan znalazł?

– Nic. Białutcy jak śnieg. Moim zdaniem zorganizowano to bez ich wiedzy. Sądzę, że po prostu porzucono dziecko w pobliżu tego ośrodka, żeby oni je wzięli do siebie.

Langlois niespodziewanie skręcił w lewo i wjechał na drogę szybkiego ruchu. Przeszedł na wyższy bieg i wjechał na pełnym gazie w szeroki tunel. Spod sklepienia zwieszały się rzędy

śmigieł wentylatorów. Diana nie była już pewna swoich hipotez. Może wszystkie jej pomysły były błędne? Może ta sprawa nie miała nic wspólnego z rzekomymi zdolnościami Lucjana, tylko obracała się wokół badań nuklearnych? Ale Langlois dodał, jakby po to, by odświeżyć trop parapsychologiczny:

– Jeszcze jeden fakt związany z Thomasem nie daje mi spokoju... Wydaje się, że był obdarzony zdolnościami paranormalnymi.

Diana wstrzymała oddech.

– To znaczy? – spytała.

– Jest wiele świadectw, że umiał przesuwać przedmioty na odległość, zginać metal. Numery w stylu Uri Gellera. Specjaliści nazywają to psychokinezą. Moim zdaniem Thomas był głównie sprytnym facetem, rodzajem manipulatora i...

– Chwileczkę. Chce pan powiedzieć, że potrafił myślą wpływać na przedmioty materialne?

Porucznik rzucił na Dianę rozbawione spojrzenie.

– Myślałem, że panią ten pomysł raczej rozśmieszy. Jako naukowiec, pani...

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie: czy mógł wpływać na materię?

– Z jego akt wynika, że tak. Podobno przeprowadzono kilka doświadczeń, na przykład z przedmiotami pod zapieczętowanym szkłem żaroodpornym. Sporządzono z nich bardzo precyzyjne protokoły.

Diana przyjęła cios. Ta chwila oznaczała punkt zwrotny w jej prywatnym śledztwie: albo odrzuca paranormalną stronę sprawy i rezygnuje z dochodzenia, albo pogrąża się w tej tajemniczej rzeczywistości i robi gigantyczny krok naprzód.

Bo przecież, jeżeli uznać, że Filip Thomas był obdarzony nadnaturalnymi zdolnościami, to ostatnia tajemnica jej wypadku wreszcie się wyjaśnia. Mocą swego ducha człowiek w pelerynie mógł na dystans rozpiąć pas bezpieczeństwa Lucjana.

Metalowa klamra.

Diana była oszołomiona. Nie mogła uwierzyć w taki wyczyn, a jednocześnie uznanie jego prawdziwości nadawało wydarzeniom nową spójność. Przecież nietrudno sobie wyobrazić, że człowiek zdolny dokonać takiego cudu sam z kolei jest przekonany o zdolnościach dziecka – Strażnika. I znów – trudno nie założyć, że motyw próby zabójstwa miał związek z ewentualnymi zdolnościami parapsychicznymi Lucjana.

– Diano, słucha mnie pani?

Wynurzyła się ze swych rozmyślań.

– Tak, słucham pana.

– Gliny z Saint-Germain zidentyfikowały trzech ludzi, którzy pozabijali się w muzeum.

– Już?

– Znali ich. Pod koniec sierpnia Thomas sprowadził z Federacji Rosyjskiej trzech byłych wojskowych z elitarnej jednostki, specnazu, przekwalifikowanych na ochroniarzy. Oficjalnie zatrudnił ich, żeby dodatkowo zabezpieczyć fundację podczas wystawy Mondriana. Ale z zasięgniętych informacji wynika, że ci faceci już pracowali dla różnych mafii rosyjskich. Nie wiadomo, jak Thomas ich znalazł, ale moim zdaniem zachował jakieś kontakty w Moskwie.

Dianie znów stanęły przed oczami okrucieństwa ostatniej nocy: podkute buty znęcające się nad jej twarzą, sylwetki podrygujące pod jej kulami. Jak udało jej się to przeżyć? Langlois mówił dalej:

– Najpewniej Thomas wybrał ich raczej po to, żeby zorganizować „wypadek” na obwodnicy. Ale myślę też, że czegoś się bał. Albo kogoś. Na przykład zabójcy, który zdołał się zakraść do muzeum wczoraj po południu...

Odwrócił się do niej i wypowiedział z naciskiem koniec zdania:

– ...”naszego” zabójcy, Diano. Tego, który zlikwidował Rolfa van Kaena. Przy takim założeniu wydarzenia ostatniej nocy łatwo odtworzyć: późnym popołudniem trzech Rosjanie znaleźli ciało i złożyli je w pokoju kąpielowym. Potem się pokłócili, na pewno o coś, co miało związek z pieniędzmi – prawdopodobnie mieli ochotę zabrać jeden czy dwa obrazy. Na to wszystko zjawiała się pani, co jeszcze dołało oliwy do ognia. Pozabijali się nawzajem. Właśnie tak powiedziała pani glinom, prawda?

– Rzeczywiście.

– Powiedziałbym, że to się z grubsza zgadza.

– Dlaczego „z grubsza”?

– Jeszcze trzeba odtworzyć scenę, sprawdzić położenie ciał, tory pocisków. Życzę pani, żeby wszystko się zgadzało.

W głosie policjanta czuło się niedowierzanie, ale Diana udała, że tego nie zauważa. W myślach miała coraz większy chaos. Z tych mętnych wód wypłynęło jeszcze jedno wspomnienie: trup Filipa Thomasa, różowy i obrzydliwy, obsypany cienkimi skrawkami martwej skóry. Zapytała:

– Co pan wie o chorobie Thomasa?

Langlois zdumiał się:

– Widziała pani trupa?

Diana strzeliła byka. Było za późno, żeby się wycofywać.

– Po strzelaninie, tak. Weszłam do jego mieszkania i...

– I potem wróciła pani do muzeum?

– Tak.

– Powiedziała to pani glinom z Saint-Germain?

– Nie.

– Diano, gra pani w niedorzeczną grę.

– Thomas był chory, prawda?

Porucznik westchnął:

– To jedna z odmian erytrodermii, choroba Leinera. Bardzo intensywna postać egzemy, powodująca silne łuszczenie. Jeśli dobrze zrozumiałem, Thomas regularnie zmieniał skórę.

Diana pomyślała nagle, że ten człowiek nosił może taki obszerny płaszcz po to, by chronić swoje ciało w okresie zmiany skóry. Ale mąciło jej się w głowie. Czowała, jak ogarnia ją senność. Zauważyła, że dojeżdżają do Porte Maillot. Ruch był tu znacznie gęstszy i Langlois, niewiele myśląc, umieścił na dachu samochodu koguta. Z wyjącą syreną przejechali aleją Wielkiej Armii w górę. Diana wtuliła się w fotel i zapadła w odrętwienie.

Kiedy się ocknęła, przejeżdżali przez plac Panteonu. Nie wiadomo dlaczego, myśl, że spała, podczas gdy policjant pełnym gazem przemierzał stolicę, sprawiła jej przyjemność. Patryk Langlois zatrzymał się u wylotu ulicy Valette i wyciągnął z kieszeni płaszcza złożoną gazetę.

– Najpiękniejsze na koniec: wczorajszy „Le Monde”, wieczorne wydanie.

Od razu zauważyła na prawej kolumnie artykuł. Tekst szczegółowo opisywał morderstwo Rolfa van Kaena nocą, we wtorek 5 października. Dziennikarz wspominał również o cudownym wyzdrowieniu Lucjana i o wypadku Diany Thiberge, pasierbicy Charles’a Helikiana, „ważnej osobistości” ze świata biznesu i polityki. Langlois skomentował:

– Pani ojczym jest wściekły. Dzwonił do prefekta policji.

Diana podniosła wzrok.

– Skąd przeciek?

– Pojęcia nie mam. Pewnie ze szpitala. Albo od nas. Mówiąc szczerze: mam to gdzieś. Nie

wiem nawet, czy to nam nie ułatwi sprawy. W każdym razie może wywołać jakieś reakcje.

Langlois porządkował swoje papiery. Diana zauważyła również, że ma skórzaną saszetkę, w której trzyma flamastry i kolorowe ołówki. Zaspanym głosem spytała:

– Nie jest pan zbyt „technologiczny”, prawda?

Uniósł do góry jedną brew.

– Tak się tylko zdaje. Po prostu dostosowuję technikę do dziedziny. W śledztwie wolę stare metody. Papier, wieczne pióro, flamaster. Komputer rezerwuję dla całej reszty.

– Jakiej reszty?

– Życie codzienne, rozrywki, uczucia.

– Uczucia?

– Kiedy będę chciał się pani zwierzyć, wyślę e-mail.

Wysiadła z samochodu. Patryk Langlois też. Gigantyczna kopuła Panteonu wznosiła się nad nimi niczym potworna muszla. Policjant podszedł bliżej.

– Diano, jeśli powiem pani: Heckler & Koch, MP pięć, kojarzy się to pani z czymś?

– Nie.

– A glock siedemnaście, kaliber czterdzieści pięć?

– To jakieś typy broni, nie?

– Te, którymi pozabijali się Rosjanie, tak. W buszu, podczas pani podróży, nie używała pani nigdy broni automatycznej?

– Badam dzikie zwierzęta, nie rąbię do nich z automatu.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– OK, doskonale. Chciałem być pewien.

– Pewien czego?

– Że pani nie miała nic wspólnego z tą masakrą. Niech pani idzie spać. Zadzwoń jutro.

37

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, wchodząc do swego mieszkania, było czerwone światełko sekretarki automatycznej, które migało jeszcze w sypialni. Nie była pewna, czy ma ochotę odsłuchać wiadomości. Kiedy ostatnim razem to zrobiła, uruchomiła reakcję łańcuchową, która doprowadziła ją aż do fundacji Brunera i okrucieństw, jakie tam przeżyła.

Przeszła przez salon do sypialni, usiadła na łóżku, dokładnie tak jak poprzedniego dnia, przyglądając się czerwonemu światełku, pulsującemu jak serce. W myśli słyszała już wiadomości od matki, krótkie jak wystrzały. Albo głosy swoich kolegów naukowców, którzy trafili przypadkiem na artykuł w „Le Monde”. Ta ostatnia myśl przypomniała jej, że nawet nie zajrzała do pracy od... Od kiedy?

Zadzwonił telefon. Diana aż podskoczyła. Bez zastanowienia podniosła słuchawkę.

– Panna Thiberge? – usłyszała.

Głos był nieznajomy.

– Kto mówi?

– Nazywam się Irena Pandove. Dzwonię do pani w związku z artykułem o śmierci pana Rolfa van Kaena, który ukazał się wczoraj wieczorem w „Le Monde”.

– Skąd... skąd ma pani mój numer?

– Z książki telefonicznej.

Diana pomyślała, dość idiotycznie: „Prawda, jestem w książce telefonicznej”. Kobieta powiedziała tonem poważnym i spokojnym:

– Pani nie jest dość ostrożna, i to jest błąd.

Mrówki przeszły jej po karku.

– Czego pani sobie życzy? – spytała wrogo.

– Chciałabym się z panią zobaczyć. Mam informacje, które mogłyby panią zainteresować.

– Znała pani Rolfa van Kaena?

– Pośrednio tak. Ale nie o nim chciałabym z panią rozmawiać.

Diana milczała. Pomyślała: „Może wariatka, która chce mi zagrać na nerwach. Albo po prostu naciągnąć na pieniądze”. Zapytała:

– O kim, w takim razie?

– Chcę pani opowiedzieć o chłopczyku, którego adoptowałam pięć tygodni temu.

Dianie zrobiło się w środku jeszcze zimniej. Wyobraziła sobie własne żyły – kanaliki wypełnione lodowatym sokiem.

– Gdzie... gdzie go pani adoptowała?

– W Wietnamie. W sierocińcu w Hue.

– Przez stowarzyszenie Boria Mundi?

– Nie. Dzieci Świata. Ale nie to jest ważne.

– A co jest ważne?

Irena Pandove nie zareagowała na pytanie i mówiła dalej tym samym beznamiętnym tonem:

– Będzie pani musiała przyjechać. Ja nie mogę się ruszyć. Mój syn od kilku dni nie czuje się za dobrze.

Sok w arteriach Diany osiągnął temperaturę absolutnego zera.

– Co mu jest? Miał wypadek?

– Gorączka. Gwałtowne skoki gorączki.

Pomyślała o Lucjanie. O skokach temperatury, które wedle zapewnień Daguerre'a nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa. Przypomniała sobie nagle przecucie, które ogarnęło ją dwie noce przedtem, kiedy zasypiała: ktoś, gdzieś, musi dzielić z nią ten koszmar... Irena Pandove mówiła dalej:

– Proszę do mnie przyjechać. Możliwie najszybciej.

– Gdzie pani jest? Pani adres?

Mieszkała blisko tysiąc kilometrów od Paryża, w Daluis, w okolicach Nicei. Diana zanotowała adres i wskazówki, jak dojechać. Już się zastanowiła. Pierwszy poranny lot. Wynajęty samochód. Żaden problem. Zapewniła:

– Przyjadę jutro, koło południa.

– Będę czekać.

Głos był pełen niepokojącej łagodności. Nagle Dianę coś olśniło. Spytała:

– Pani chłopczyk... Jak go pani nazwała?

Łagodność, uśmiech, wyraźniejsze jeszcze niż przedtem.

– Pani mnie pyta? To znaczy, że nie rozumie pani, co się dzieje.

Diana wymamrotała, prawie nie ruszając wargami, jakby zdmuchiwała świecę, wyrzekając się wszelkiej nadziei:

– Lucjan...

38

Diana wylądowała w Nicei o ósmej trzydzieści. Pół godziny później oddalała się już od wybrzeża, nawet nie zobaczywszy Morza Śródziemnego. Wzdłuż krajowej nr 202, przez doliny i wzniesienia, ciągnęły się nieprzerwanym łańcuchem domy, centra handlowe, zakłady przemysłowe. W okolicach Saint-Martin-du-Var krajobraz się zmienił, zabudowania stały się rzadsze, drogę otaczały ciemna zieleń i skały, a wreszcie pojawiły się góry.

Teraz poruszała się w prawdziwie górskim pejzażu: sosny przywarte do stromych zboczy, wbite w niebo czarne kopuły, ciemne i głębokie parowy wyschłych rzek... Niebo zasnuły chmury. Nie było już mowy o łagodności, o morskim powietrzu czy nawet prowansalskiej roślinności. Kamień i chłód panowały teraz nad okolicą. Diana jechała wciąż szosą 202, nad łożyskiem wyschłego Varu.

Po godzinie jazdy, przemierzywszy niezliczone wiraże, wypatrzyła wreszcie krajobraz, którego oczekiwała: jezioro w głębi doliny przypominało zwierciadło odbijające światło burzy. Barwa wody wahała się między szarością a błękitem. Małe fale jeżyły się na powierzchni niczym stalowe ostrza. Wokół rozciągał się szmaragdowy labirynt. Drzewa szpilkowe, sterczące jak sztylety, zdawały się ranić chmury. Diana zadrżała. Wyczuwała jakieś okrucieństwo w każdym szczycie, każdym odbiciu, każdym szczególe, a jaskrawe słońce, przebijające się przez czerń nieba, pogłębiało to wrażenie.

Za kolejnym wirażem dostrzegła polanę. Drewniane domostwa tworzyły tam wioskę, oddaloną o kilka metrów od brzegu. Irena Pandove powiedziała jej: „Ranczo w kształcie U, nad jeziorem”. Diana wjechała na drogę, która wiała się w kierunku doliny.

Pojawiła się tablica z napisem „Ośrodek wakacyjny Ceklo”, sygnalizująca zwirowaną ścieżkę prowadzącą w dół. Za każdym zakrętem Diana widziała wyraźniej drewniane domki. Był to rozległy zespół budynków brunatnego koloru, otoczony ogrodzeniem. Po lewej rozciągały się pastwiska, na których latem z pewnością pasły się konie. Po prawej kolorowe bramki prowadziły na place zabaw.

Zaparkowała samochód pod świerkami. Wciągnęła głęboko w płuca świeżość powietrza, zapachy żywicy i skoszonej trawy. Było zupełnie cicho. Żadnego ćwierkania ptaków, żadnego brzęczenia owadów. Burza? Poszła w kierunku głównego budynku, starając się odpędzić od

siebie obawy.

Przeszła przez furtkę i znalazła się w sieni obitej jodłową boazerią. Wzdłuż prawej ściany ciągnęły się małe wieszaczki. Po lewej, przez okno, zobaczyła między dwoma skrzydłami rancza wielkie patio, ciągnące się w górę, aż do wzgórza zamkniętego połącią lasu. Dalej widać było niewyraźnie gładkie fale jeziora. W tych przestrzeniach, zaprojektowanych z myślą o zgiełku dziecięcych głosów, milczenie i pustka wydawały się szczególnie ciężkie, wprost przygniatające.

Diana trafiła na korytarz, z którego drzwi prowadziły do kilku pokoi. Wślizgnęła się tam ostrożnie. Na drewnianych ścianach rozwieszono były, niczym obrazy, derki tkane w naiwne motywy. Przez otwarte drzwi zauważyła też stolki w kształcie tam-tamów, różowe i fioletowe tapety, abażury z ryżowego papieru. Wszystko razem miło pachniało latami siedemdziesiątymi. To miejsce podobałoby się jej matce.

Poszła dalej w głąb domu. Zobaczyła sale zabaw, zastawione stołami pingpongowymi i futbolami stołowymi. Inny pokój, w którym tronąwał telewizor, był wyłożony poduszkami. W głębi korytarza potknęła się o małą klatkę, z której na podłogę wysypało się ziarno i trociny. Diana zatrzymała się przy niej przez chwilę: jej lokator, świnka morska lub chomik, też spakował manatki.

Dotarła wreszcie do obszernego gabinetu – administracyjnego centrum rancza. Tu jej obawa zmieniła się w pewność. Znowu przybywała za późno. Pokój był gruntownie splądrowany. Dębowy stół leżał na boku, krzesła były porzucane, zawartość szaf wywalona na podłogę, skoroszyty podarte, fiszki rozsypane.

Diana pomyślała o Irenie Pandove i nie odważyła się zagłębić w te myśli. W tym momencie zauważyła na ścianach oprawione w ramki fotografie, które przetrwały nawałnicę. Wszystkie przedstawiały te same dwie osoby: jasnowłosą kobietę, najwyżej pięćdziesięcioletnią, i mężczyznę o azjatyckich rysach, bardzo drobnego, o pomarszczonej twarzy i szelmowskim uśmiechu. Na niektórych portretach kobieta i mężczyzna całowali się. Na innych – trzymali za rękę. Emanowała z tych obrazków osobliwa radość życia. Ale sprawiały też wrażenie z lekka komiczne: kobieta była o piętnaście centymetrów wyższa od mężczyzny, który na wszystkich zdjęciach nosił podbity karakułami anorak o podwiniętych połach. Niewiele myśląc, Diana zdjęła jedną z ramek, rozbiła szybkę o kant stołu i wsunęła zdjęcie do kieszeni.

Podniosła wzrok i zauważyła w ramce za szkłem artykuł. Był to tekst opublikowany w czasopiśmie „Science”, cieszącym się wielkim autorytetem jako miejsce publikacji

naukowych, podpisany przez dra Jewgena Talicha. Diana zadrżała: słyszała to nazwisko od Langlois. Nazwisko szefa TK 17, który przedostał się na Zachód w roku 1978. Zdjęła ramkę i przejrzała pobieżnie angielski tekst. Nie rozumiała z tego nic – artykuł dotyczył fizyki nuklearnej i izotopów wodoru – ale nie była zaskoczona, kiedy zobaczyła zdjęcie autora: był to ten mały skośnooki z fotografii. Znajdowała się w domu zbiegłego ze Wschodu fizyka.

To odkrycie zapaliło nowe światelka w jej umyśle. Przede wszystkim zrozumiała, że Jewgen Talich nie był Rosjaninem białej rasy, jak można było przypuszczać, tylko Azjatą, z pewnością syberyjskiego pochodzenia. Pojęła też od razu, nie zdając sobie sprawy, co z tego wynika, że ten człowiek niedawno adoptował, razem z żoną, chłopczyka pochodzącego z okolic tokamaku. Dlaczego? Czego spodziewał się po tym dziecku? Diana znowu stłukła szkło z ramki i schowała artykuł do kieszeni.

Myszkuje dalej po pokoju, znalazła fotokopie rozkładów lotów do Ułan Bator via Moskwa, ale żadnego śladu konkretnej rezerwacji. Podobnie jak Rolf van Kaen, jak Filip Thomas, Jewgen Talich szykował się do powrotu do Mongolskiej Republiki Ludowej, ale jeszcze nie był zdecydowany co do daty wyjazdu.

W tym momencie Diana usłyszała jęk.

Odwróciła się raptownie. Za przewróconym biurkiem coś się poruszało. Podeszła do drewnianego blatu i powoli odważyła się spojrzeć w dół. Na podłodze, w ogromnej czarnej kałuży, przywalona stosem papierzysek, leżała kobieta. Diana nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała tyle krwi – nawet w fundacji Brunera. Ciało było zupełnie nieruchome, odwrócone w stronę ściany. Diana przypomniała sobie stary zwyczaj żydowski: odwraca się twarz umierającego do ściany, żeby nie mógł widzieć rysów Śmierci.

Okrążyła biurko i ujęła delikatnie ramię ofiary, by ją do siebie odwrócić. Tak, to była kobieta z fotografii. Jej rozpruty brzuch był otwarty na oścież. Rana zaczynała się od pępka i ciągnęła do piersi. Strzępy ubrania zlepiły się z ciałem w ohydny brunatną masę. Diana wezwała na pomoc całe współczucie, na które mogła się zdobyć, ale żadne uczucie nie mogło zagłuszyć jej strachu. Pomyślała o zabójcy van Kaena i Thomasa. Ta rana nie była w jego stylu. Czy cios mu nie wyszedł? Czy Irena broniła się?

To, co wykryła, wpędziło ją w jeszcze gorsze przerażenie.

Irena Pandove trzymała w prawej ręce czarny od krwi nóż z zębatym ostrzem.

Nagle oparła się na łokciu i wymamrotała:

– Przyszedeł... Nie powinnam... Nie powinnam była mówić.

Kompletnie osłupiała Diana zrozumiała, że Irena sama otworzyła sobie brzuch w obecności napastnika. Zabiła się, żeby nie mówić, żeby nie zdradzić informacji, które intruz z pewnością by jej wydarł. Mimo chaosu w myślach Diana zauważyła, pod rozpuszczonym kokiem i kosmykami zlepionymi krwią, urodę tej twarzy. Irena powtórzyła:

– Nie wolno mi było mówić.

– Komu? Kto tu był?

– Oczy... Nie potrafiłabym im się oprzeć... Nie wolno mi było powiedzieć... gdzie jest Jewgen...

„Oczy”: kogo to mogło oznaczać? Zabójcę grzebiącego we wnętrznościach? Jakichś innych zbirów, nasłanych przez Thomasa? Jeszcze kogoś?

Ale była rzecz pilniejsza. Diana nachyliła się i spytała:

– Lucjan... Gdzie jest Lucjan?

Umierająca wykrzywiła wargi w uśmiechu. Mimo wszystko zdawała się szczęśliwa, że widzi Dianę, że usłyszała, jak ona wymawia to niewinne imię. Poruszyła wargami. Krew napłynęła jej do ust. Diana wytarła ją rękawem. Charkot umierającej ułożył się w jedno słowo:

– Półwysep.

– Co?

Znów pociekły czarne strużki. Wargi wyszeptaly:

– Na jeziorze. Półwysep. Tam zawsze chodzi...

Powstrzymując szloch, Diana próbowała ją uspokoić.

– Będzie dobrze. Zadzwońię do szpitala.

Irena chwyciła ją za nadgarstek. Diana poczuła, jak krew tryska spod jej zaciśniętych palców. Zamknęła powieki. Kiedy je otworzyła, było po wszystkim: źrenice Ireny zastygły już w wiecznym osłupieniu.

39

Diana okrążyła prawe skrzydło rancza, minęła furtkę i poszła krętą ścieżką w kierunku wzgórza porośniętego świerkami. Lunał deszcz. W świetle błyskawic widziała od czasu do czasu błyszczącą wodę. Zbiegła po zboczu wzgórza i znalazła się nad brzegiem. Długi żywopłot drzew i trzciny oddzielał glinianą drogę od fal jeziora. Nie sposób przejść. Diana instynktownie skręciła w prawo i zaczęła biec.

Dalej grunt był bardziej miękki. Woń roślin stała się cięższa, a zarazem żywsza, ostrzejsza. Fale jeziora jakby wsączyły się w trawę i zamieniły cały brzeg w bagnisko. Diana biegła i wchłaniała w siebie tę metamorfozę. Zielonkawa jasność zarośli, nonszalancja flory, bujnej, swobodnej, wśród której coraz częściej między dwiema fałdami trawy lub liści pojawiał się przebłysk światła. Powiedziała sobie, że woda jest tutaj zapachem ziemi. Jest jak dłoń, pieszcząca szyję z mchu, pod czupryną z leśnych ziół... I w myślach podziękowała temu krajobrazowi za jego siłę, za jego wszechobecność, za to, że nie pozwalał myśleć o niczym innym.

Po lewej wśród krzaków wypatrzyła ścieżkę. Skręciła na nią, szła dalej pod roślinnym sklepieniem. Nie czuła już deszczu, ale odbierała tysięczne pieszczoty trzciny, liści, gałązek. Wreszcie dotarła do brzegu i zobaczyła powierzchnię jeziora. Z tego miejsca przypominało raczej morze. Ciemnoszary ogrom, szeleszczący pod deszczem, bez brzegu ni obwodu.

I wtedy dostrzegła półwysep.

Po prawej, o kilkaset metrów dalej, oddzielał się od brzegu, równo z powierzchnią wody, jezior piaszczystej ziemi, podchodzący pod mały, drżący zagajnik. Czy to możliwe, by tam, pośród drzew, kryło się dziecko?

Diana schowała okulary, zdjęła buty, związała je sznurowadłami i przerzuciła przez kark. Znow ruszyła naprzód. Przed nią wszystko było nieostre, zielonkawe, fantastyczne. Teraz brodziła w falach, przemieszanych z zielskiem i ziemią. Zimne wody jeziora, tak różne od ciepła ulewy, kąsały ją w kolana. Nasiąkała wodą, ociekała, spływała nią. Czuła się, jakby od dołu wciągało ją jezioro, a jednocześnie od góry przygniatał ją deszcz, jakby cała była zanurzona w wodzie.

Wreszcie dotarła do zarośli półwyspu. Dała nurka pod wierzby, przedzierała przez trzciny, zgarbiona, zadyszana, przyjmująca z radością każdy prześwit, z wdzięcznością – każdy listek.

Gdzie Lucjan? Brnęła dalej. Łapczywe, zielone wargi wody otwierały się przed nią, chciały ją zatrzymać. Zanurzała się po biodra, wiosłowała, wymachując ramionami. Widziała już wokół siebie łuski przemykających lekliwie ryb, zagubionych w tym trawiastym labiryncie. Nagle poczuła, że ziemia pod jej stopami twardnieje. Doszła do końca półwyspu, niczego nie zobaczywszy ani nie... Stała jak wryta.

Chłopiec był tu.

Siedział o dwadzieścia metrów dalej, plecami do niej, na skraju ziemi, sam na sam z niebem.

Nie widziała go dobrze, ale pierwszym uczuciem była ulga. Sylwetką nie przypominał Lucjana, jej Lucjana. Nie przyznając się do tego przed sobą, dopuszczała niejasno możliwość, że trafi na bliźniaka, klona, jakiś monstrualny produkt tajnych prac sowieckich, prowadzonych w tokamaku.

Ale dwaj chłopcy byli zupełnie różni. Ten musiał być co najmniej o trzy lata starszy. Odetchnęła i zrobiła jeszcze jeden krok. Tamten wciąż się nie ruszał. Siedział po turecku. Diana okrążyła go i zobaczyła jego oczy w słup, szkarłatną twarz. Był w transie. Jego członki zdawały się sztywniejsze od metalowych sztab. Drżał, ale było to drżenie niedostrzegalne, elektryczne. Jakby jakaś fala poruszała się w jego ciele.

Diana sięgnęła ręką do czoła chłopca i poczuła gorąco jak od pieca. Nigdy by nie podejrzewała, że istota ludzka może mieć taką temperaturę.

Podeszła tuż, tuż, zatrzymała się. Przed dzieckiem leżało coś w rodzaju ołtarza: krąg z białych kamieni, a pośrodku piramidka ze skrzyżowanych gałązek, na których zawiazane były maleńkie wstążeczki. Na szczycie tego stosu gałązek spoczywała chwiejnie maleńka czaszka. Czaszka świeżo zabitego chomika albo świnki morskiej. Diana przypomniała sobie pustą klatkę na ranczu i zrozumiała: dziecko złożyło zwierzątko w ofierze, dopełniając jakiegoś szamańskiego obrzędu.

40

– Stwierdziliśmy bardzo wysoką pobudliwość nerwowo-mięśniową, przejawiającą się w napadach skurczów mięśniowych i drgawek...

Znowu szpital.

Znów wywód lekarza.

Diana w kilka minut wróciła do domu Ireny Pandove, zawinęła dziecko w jedną z derek wiszących na ścianie i naciągnęła na siebie stary płaszcz nieprzemakalny. Popędziła następnie do Nicei i dostała się na ostry dyżur szpitala Świętego Rocha. Była dopiero druga po południu, ale miała wrażenie, że postarzała się o całe lata.

Doktor ciągnął dalej:

– Ma również wyjątkowo wysoką gorączkę, dochodzącą do blisko czterdziestu jeden stopni. Na razie nie zidentyfikowaliśmy chorobotwórczych przyczyn tych objawów. Badanie zewnętrzne nic nie przyniosło. W pobranej krwi nie znaleziono żadnych śladów infekcji. Musimy poczekać na wyniki innych analiz. W grę wchodzi też coś chronicznego. Ale nie są to objawy padaczki i...

– Czy coś mu zagraża?

Kitel lekarza stojącego przy biurku był tak pognieciony, jakby jego właściciel w nim spał. Mężczyzna zrobił powątpiewającą minę:

– W zasadzie nie. W jego wieku nie ma ryzyka konwulsji. A gorączka zaczyna spadać. Stan kataleptyczny również zdaje się cofać. Powiedziałbym, że to dziecko miało coś w rodzaju... kryzysu, ale najgorsze już minęło. Pozostaje nam ustalić przyczyny.

Diana znów widziała przed sobą kamienny krąg, czaszkę na piramidce z gałązek. Czy może to wytłumaczyć lekarzowi? Czy może mu powiedzieć, że chłopczyk był z pewnością w transie szamańskim? Doktor spytał:

– Co panią właściwie łączy z tym dzieckiem?

– Mówiłam już panu, to przybrane dziecko pewnej mojej przyjaciółki.

Doktor zajrzał do formularza:

– Ireny Pandove, tak?

Diana podała to nazwisko na izbie przyjęć. Chciała, żeby po jej odejście można było zidentyfikować dziecko. Doktor zapytał znowu:

– A gdzie jest owa pani Pandove?

– Nie wiem.

– Ale dziecko... w jaki sposób je pani znalazła?

Diana powtórzyła swoją historyjkę: wizyta u przyjaciółki, pusty dom, znalezienie Lucjana na bagniskach. Nie wspomniała o zmarłej. Nie obawiała się opowiadać tych półprawd: za kilka minut jej tu nie będzie. Czy ktoś się odwraca, stojąc plecami do przepaści?

Lekarz wydawał się sceptyczny. Obserwował bacznie jej mokry płaszcz, ślady na twarzy, brunatną bliznę na nosie – zgubiła opatrunek. Diana powiedziała nagle:

– Muszę zatelefonować.

Biegając wokół jeziora, zgubiła komórkę. Lekarz wskazał stojący przed nim aparat.

– Żaden problem. Proszę wybrać numer, ja...

– Wolalabym być sama.

– Proszę przejść do gabinetu obok. Moja sekretarka połączy panią.

– Zrobię to sama. Jeśli można.

Doktor burknął, wskazując nieokreślonym gestem drzwi:

– Tam, w holu wejściowym są kabiny telefoniczne.

Diana wstała. Tamten dodał, marszcząc brwi:

– Czekam na panią. Jeszcze nie skończyliśmy.

Uśmiechnęła się:

– Oczywiście. Zaraz wracam.

Nim zamknęła drzwi, usłyszała odgłos podnoszonej słuchawki telefonicznej. „Gliny – pomyślała. – Ten kutas wzywa gliny”. Prześlizgnęła się do korytarza, przyśpieszyła kroku.

Doszła do głównego holu szpitala i w kiosku z gazetami kupiła kartę telefoniczną. Skryła się w kabinie i wybrała bezpośredni numer Eryka Daguerre’a. Dręczył ją nowy niepokój. A jeśli Lucjan z niezrozumiałego dla niej powodu też wpadł w trans? Przeczynała jakąś równoległość w przebiegu wydarzeń. Grę cech między tymi dziećmi i objawami, jakie zdradzają.

Diana trafiła na telefonistkę: chirurg operował. Nie wiedząc, co robić, poprosiła o połączenie z panią Ferrer. Ta potwierdziła jej podejrzenia: Lucjan miał silny atak gorączki z objawami katalepsji. Ale wszystko już wróciło do normy: gorączka spadała, mięśnie rozluźniły się. Doktor Daguerre zarządził serię badań. Właśnie czekają na wyniki. Pani Ferrer dodała na zakończenie, że Didier Romans starał się z nią połączyć, bardzo pilnie. Diana spytała:

– Gdzie on jest?

– Tu, w naszym gabinecie.

– Proszę mi go dać.

Minutę później rozległ się głos antropologa:

– Proszę pani, musi pani koniecznie przyjechać do szpitala.

– Co się dzieje?

– Nadzwyczajne zjawisko.

– Mówi pan o transie Lucjana?

– Tak, przeżył coś w rodzaju transu. Ale teraz jest co innego.

– CO?

Rozmówca chyba zdał sobie sprawę, jak niepokojąco brzmiało to, co powiedział.

– Niech się pani nie lęka – powiedział pośpiesznie. – To nic niebezpiecznego dla pani dziecka.

Diana powtórzyła, starannie rozdzielając sylaby:

– Co się dzie-je?

– Przez telefon trzeba by to było bardzo długo tłumaczyć. Powinna pani zobaczyć sama. To jest bardzo... wizualne.

Diana zdecydowała:

– Będę za trzy godziny.

Odwiesiła słuchawkę. Nagle zrobiło jej się duszno w przegrzanej atmosferze szpitala. Czuła swoje zlepione deszczem włosy, mokry od potu kołnierzyk. Nowa dziura w myślach: jak tych dwoje dzieci mogło przeżyć taki sam kryzys na odległość ośmiuset kilometrów? I jakie to nowe zjawisko wykrył antropolog?

Czternasta trzydzieści. Rzuciła okiem na drzwi holu. Spodziewała się zaraz patrolu żandarmów. Zaczną ją wypytywać o pochodzenie Lucjana, o śmierć Ireny Pandove, której ciało wkrótce odnajdą.

Musi wracać do Paryża. Musi zobaczyć swojego chłopaczka. Musi opowiedzieć wszystko Patrykowi Langlois, tylko on może ją obronić, osłonić przed machiną sądową. Wybrała numer komórki porucznika. Nie dał jej nawet dojść do słowa.

– O Boże, gdzie znowu się pani podziewa? – zapytał.

– W Nicei.

– Po kiego grzyba pani tam siedzi?

– Musiałam się z kimś zobaczyć.

Jego głos złagodniał, wyczuła w nim ulgę.

– Myślałem, że pani związała na dobre...

– Czemu miałam wiać?

– Z panią nigdy nie wiadomo.

Diana milczała parę sekund. Nagle z tego milczenia zrodziło się zaufanie, bliskość, jakiej z nikim nie zaznała. Powiedziała szybko, żeby się nie rozszlochać:

– Patryk, tkwię po uszy w gównie.

– Coś niebywałego!

– Nie żartuję. Muszę się z panem zobaczyć. Muszę panu wyjaśnić.

– Kiedy może pani być w Paryżu?

– Za trzy godziny.

– Czekam u siebie w gabinecie. Ja też mam nowiny.

– Jakie?

– Czekam na panią.

Diana wyczuła w głosie porucznika niepokój silniejszy niż dotąd. Spytała jeszcze raz:

– Co się dzieje? Co pan wykrył?

– Powiem, jak się zobaczymy. Ale niech pani bardzo na siebie uważa.

– Dlaczego?

– Być może tkwi pani w tej sprawie głębiej, niż myślałem.

– Jak... jak to?

– Czekam na panią w prefekturze.

Wyszła z kabiny i ruszyła ku drzwiom zamykanym automatycznie. Na zewnątrz aleja była zasłana czerwonymi, suchymi, pomarszczonymi liśćmi. Kiedy Diana wsiadła do samochodu, wydało jej się, że to sama jesień zastawia na nią zasadzkę.

41

Diana Thiberge dotarła do szpitala Neckera około ósmej wieczorem. Didier Romans czekał na nią w stanie skrajnego podniecenia. Chciała najpierw zobaczyć Lucjana, ale antropolog odpowiedział: „Wszystko w porządku, zapewniam panią. Mamy coś pilniejszego”. Już szli w kierunku budynku imienia Lavoisiera. Kiedy zorientowała się, dokąd idą, zaniepokoiła się. Za dużo wspomnień, za dużo okrucieństwa.

Kiedy, już w środku, zmierzali do pracowni tomografii komputerowej, poczuła, jak jej niepokój narasta. Widziała, jak przesuwają się przed nią białe ściany, oślepiające neony, i odczuwała to jak nową drogę prowadzącą prosto ku przemocy. Naukowiec, idąc koło niej, powiedział:

– Już podczas pierwszego badania coś zauważyłem, ale nie chciałem pani niepokoić.

Diana mało nie parsknęła śmiechem. Jakby wszyscy się sprzysięgli, żeby nigdy, bez względu na okoliczności, jej nie niepokoić. Po prostu spisek spokoju.

Weszli do kabiny obstawionej konsolami i monitorami. Romans usiadł przy głównym komputerze, dokładnie tak jak lekarz sądowy w nocy morderstwa van Kaena. Powiedział, klikając myszą:

– Obrazy powiedzą więcej niż długie wywody.

Diana oparła się o metalowe drzwiczki. Spodziewała się zobaczyć na ekranie sprofanowane trzewia Niemca. Ale ku jej wielkiemu zaskoczeniu – pojawiły się kontrastowe kontury dwóch rąk. Rąk dziecinnych, szczupłych i białych, jakby polakierowanych blaskiem komputera.

Romans bez słowa nacisnął kilka klawiszy i wywołał na ekranie ten sam obraz, ale od strony wnętrza dłoni. Wykadrował go tak, żeby widać było końce palców i linie papilarne.

– Już przedtem, w ramach moich badań antropologicznych, przyglądałem się liniom papilarnym Lucjana. Te osobliwe blizny, widoczne pod zewnętrznymi warstwami skóry, wydały mi się dość stare. Jak gdyby... jak gdyby skóra nad nimi zarosła, widzi pani?

Obraz linii powiększył się. Diana zobaczyła drobniutkie kreski, pionowe i skośne, nie przypominające zwykłego rysunku linii papilarnych. Antropolog dodał:

– Pani Ferrer zauważyła, że podczas ataków gorączki te dziwne ślady stawały się wyraźniejsze. Końce palców czerwieniały, a bruzdy były nadal białe. Sam Daguerre zauważył to

zjawisko i wezwał mnie. Zrozumiałem wtedy, co się dzieje.

Linie papilarne zajmowały teraz całą powierzchnię ekranu: blizny były wyraźne. Wyglądały jak jakieś pręgi, skreślenia...

– Te blizny mieszczą się mianowicie pod powierzchniowymi warstwami skóry. I jeśli są białawe, to dlatego, że są to, jak sądzę, blizny po oparzeniach. Zmartwiała skóra, w którą krew nie przenika. Wzrost gorączki wzmacnia kontrast między ciepłymi, ukrwionymi partiami skóry a zimnymi bliznami. To klasyczny objaw: niektóre blizny są bardziej widoczne, kiedy człowiek ma gorączkę.

Diana wciąż wpatrywała się w cienkie kreseczki: zadziwiająco przypominały jakieś pismo. Jednocześnie litery wydawały się częściowo zatarte i odwrócone, jakby czytane w lustrze. Antropolog chyba natychmiast pochwycił myśl Diany:

– Myślałem najpierw, że to są litery pisane rozpaloną igłą – wyjaśnił. – Ale te motywy są odwrócone: pomyślałem więc, że aby je rozszyfrować, trzeba je najpierw wydrukować na papierze i w ten sposób „przywrócić” im właściwy kształt. Spróbowałem nasączyć te znaczki tamponem z atramentem... Obraz na ekranie zmienił się: pojawiły się linie palców nasączone atramentem.

– Oto wynik. Jak pani widzi, pismo jest wciąż odwrócone. Beznadziejna sprawa.

Diana zacisnęła dłonie na metalowej podstawie. Miała uczucie, że rozrasta się w niej jakiś ognisty krzew. Romans znów kliknął parę razy: pojawił się nowy obraz. Dwie ręce zupełnie czarne, na których maleńkie, białe kreseczki występowały zupełnie wyraźnie.

– To obraz w podczerwieni. Pismo widać znacznie lepiej ze względu na różnice temperatur między zdrową tkanką a bliznami. W ten sposób dotarło do mnie, w czym rzecz.

– W czym?

– To nie są litery łacińskie, tylko cyrylica.

Zbliżenie znaków wypisanych na każdym palcu dziecka wypełniło cały ekran: były to cyfry i sylaby pisane rosyjskim alfabetem. Diana spytała zachrypniętym głosem:

– Co to... Co to znaczy?

– To jest data napisana po rosyjsku. Przetłumaczono mi ją.

Nowe kliknięcie. Nowy obraz:

20 PAŹDZIERNIKA 1999

– To dziecko jest nosicielem jakiegoś komunikatu – stwierdził antropolog.

I dodał nieśmiałym głosem, w którym czuło się lęk:

– Komunikatu wypalonego ogniem i, powiedzmy to tak, „zaprogramowanego” w ten sposób, żeby występować podczas ataku gorączki, dzięki ciepłu emanującemu z ciała dziecka. To jest coś zupełnie... niewiarygodnego. W istocie jedyną okazją do odczytania tego komunikatu jest wzrost temperatury u Lucjana.

Diana nie słuchała już jego objaśnień. W głowie huczało jej to, co sama mogłaby na ten temat powiedzieć. Była pewna, że drugi Lucjan ma takie same blizny. „Luu-Si-Anowie” nosili na końcach palców datę, która pojawiała się tylko wtedy, kiedy wpadali w trans. Byli posłańcami. Ale dla kogo przeznaczona była ta data? I co oznaczała?

Odpowiedź na pierwsze pytanie przysła jej do głowy błyskawicznie: nie ulegało żadnej wątpliwości, że ta data miała dotrzeć do takich ludzi, jak Rolf van Kaen, Filip Thomas i Jewgen Talich. Ludzi, którzy należeli do ekipy tokamaku i czekali na ten komunikat, żeby wrócić na miejsce związane z ich przeszłością.

Inne myśli też kłębiły jej się w głowie. Te dzieci przybyły do Europy incognito, za pośrednictwem zajmujących się adopcjami organizacji, które raczej nie mogły – Diana była o tym przekonana – być wtajemniczone. Fundacje były tylko przekąźnikami, jednymi z wielu, w linii przerzutowej. Również ona, adoptując małego Lucjana, stała się przekąźnikiem. Zresztą o ile Irena Pandove zdołała adoptować Strażnika Jewgena Talicha, o tyle Rolf van Kaen nie miał tak dogodnej sytuacji. To Dianie Thiberge, młodej, nieznannej mu kobiecie przypadła odpowiedzialność za jego Strażnika. I dlatego akupunkturzysta niemiecki powiedział: „To dziecko musi żyć”. Po prostu czekał na pojawienie się przeznaczonego dla niego komunikatu, który nie nadszedłby nigdy, gdyby Lucjan zmarł, zanim wpadł w trans.

Jeszcze jeden fakt nasuwał się sam: powodując wypadek na obwodnicy, Filip Thomas, marksistowski szpieg, próbował uniemożliwić van Kaenowi odczytanie daty i w ten sposób wykluczyć go ze spotkania. To było szalone, absurdalne, przerażające, ale Diana nie miała wątpliwości, że rozumuje trafnie: tych ludzi nie tylko łączyła przeszłość, ale też jakieś tajemnicze konflikty między nimi sprawiły, że jeden chciał wykluczyć ze spotkania drugiego i w tym celu próbował zlikwidować jego posłańca.

Co więcej – Diana dostrzegała za tym wszystkim jeszcze jeden fakt: ktoś inny również

próbował uniemożliwić członkom ekipy tokamaku powrót na teren ośrodka. I to w sposób najradykałniejszy z możliwych: rozrywając im serca.

Patrząc z tej czarnej studni, Diana widziała jednak dwa światełka.

Przede wszystkim czuła, że Lucjan – „jej” Lucjan – nie jest już zagrożony. Próbowano uniemożliwić mu dostarczenie komunikatu, który niósł na sobie, ale obecnie ta data była już ujawniona. Lucjan znalazł się więc poza grą. W pewnym sensie jego misja już się skończyła.

Inne światełko wiązało się – paradoksalnie – z naturą okaleczeń dzieci, z ich oparzonymi rękami. To było okrutne, nikczemne, oburzające – ale nie widziała w tym nic magicznego. Nic paranormalnego. Strażnicy byli po prostu małymi chłopcami, którzy na zawsze mieli nosić pewne piętno.

Oszołomiona, chwiejąc się na nogach, Diana pomyślała o poruczniku Langlois i jego rewelacjach. Była pewna, że on ma jakieś elementy, które wpasują się w to szaleństwo i nadadzą mu nową spójność. Wymamrotała do antropologa:

– Niedługo wracam.

42

Diana wpisała się do rejestru odwiedzających i przeszła przez bramkę z wykrywaczem metali. Minęła dwudziesta druga i korytarze prefektury policji opustoszały. Bardziej niż kiedykolwiek pachniało tu skórą i starymi papierzyskami. Były to zapachy tak mocne, tak przytłaczające, że przypominały raczej zwierzęce wydzieliny. Diana miała wrażenie, że porusza się w brzuchu wieloryba. Czerwona skóra na drzwiach gabinetów przypominała jakieś organiczne ścianki, a poziome cienie klatki schodowej – fiszby waleni, te rogowe ostrza w paszczach potworów.

Diana dotarła do gabinetu nr 34. Na małym kartoniku widniało nazwisko Patryka Langlois, ale i bez tego rozpoznała obite pluszem drzwi. Smuga białego światła wypływała z pokoju. Zastukała. Powierzchnia tkaniny zagłuszyła dźwięk. Dwoma palcami pchnęła drzwi.

Myślała, że nie może już jej zaskoczyć ani strach, ani żadne inne uczucie. Myślała, że już na zawsze utkała wokół siebie zasłonę z delikatnego i niewidzialnego jedwabiu, równie niezawodną, jak siatki, z których wyrabia się kamizelki kuloodporne. Myliła się. W tym mrocznym pokoiku, gdzie świeciła tylko mała halogenowa lampka na politurowanym biurku, znów ogarnęła ją panika.

Głowa Patryka Langlois spoczywała bokiem na blacie. Jego czarne oczy zachowały swój przebiegły blask, ale już nie mrugały. Nie poruszało się też zgarbione ciało na krześle. W pierwszym odruchu Diana chciała się cofnąć. Ale już w progu zmieniła zdanie. Rozejrzała się po korytarzu: nikogo. Wróciła do gabinetu, zamknęła drzwi i podeszła do trupa.

Twarz policjanta leżała w kałuży krwi, która z wolna zastygała jak smoła. Diana zmusiła się do oddychania powoli, ustami. Chwyliła dwa arkusiki papieru i podniosła łagodnie głowę zabitego, rzucając krótkie spojrzenie na ukrytą pod podbródkiem ranę. Mężczyzna miał poderżnięte gardło. Rana otworzyła się niczym czarny dziób, ukazując płataninę krtani, lepka i ciemną. Sama nie rozumiejąc dlaczego, Diana zdołała jednak zachować dystans wobec tego posępnego spektaklu. Liczyła tylko sekundy, z których każda rozbrzmiewała, jak wezwania litanii, jednym pytaniem: kto zamordował policjanta? Czy jest wciąż na tropie tego samego samotnego mordercy, rozrywacza serc? Czy to jakiś wspólnik Rosjan z fundacji? Oszalała ją zuchwałość tej zbrodni: morderca ośmielił się zlikwidować porucznika policji w samym gmachu

prefektury.

Pomyślała o teczce z dokumentami, o tych plikach papierów, z którymi policjant się nigdy nie rozstawał i które kryły w sobie część prawdy. Zaczęła przesuwać zakrwawione przedmioty, przeglądać walające się na biurku poplamione krwią papiery. Mamrotała cały czas, niczym mistyczną litanię: „Lucjan, Lucjan, Lucjan...”. Wszystko, co robiła – robiła dla niego. To była jej siła, jej źródło życia. Otwierała szuflady, przerzucała dokumenty, oglądała starannie każdą rzecz. Przeszukała teczkę policjanta, dwie szafy stojące w cieniu. Nic. Nie znalazła nic. Wiedziała, że szuka dla czystego sumienia, że zabójca zabrał wszystko. Zabił właśnie po to, by zniszczyć te dowody i poszlaki.

Spojrzała ostatni raz na twarz mężczyzny o srebrnych włosach, która odbijała się w zwierciadle krwi. Powiedział jej przez telefon: „Być może tkwi pani w tej sprawie głębiej, niż myślałem...”. Co zatem wykrył? Była przerażona, zagubiona. Pomyślała o Irenie Pandove. O Rolfie van Kaenie. O Filipie Thomasio. O trzech mężczyznach, których sama zabiła. Jak wytłumaczyć taką rzeź? I jej obecność pośród tych ofiar? Wyobraziła sobie, że jest złowrogim kwiatem, niszczącym wszystko, do czego się zbliży. Pałace łzy napłynęły jej do oczu. Powstrzymała je i niczym cień ruszyła korytarzem.

Idąc, myślała o księżce gości, do której wpisała się kilka minut wcześniej. Była załatwiona: figurowała tam czarno na białym jako ostatnia osoba, która widziała ofiarę. Trzeba uciekać. Uciekać w te pędy.

Diana przeszła przez dziedziniec wewnętrzny i wymknęła się dyskretnie boczną furtką za ogrodzenie. Szybkim krokiem przeszła quai des Orfevres, potem quai du Marche Neuf. Przyśpieszywszy kroku, dotarła do placu przed katedrą Notre Dame, zatrzymała się pod Hotel Dieu. Szpital świecił wszystkimi światłami: z wielkich, łukowatych okien lała się jasność, tworząc jakby aureolę wokół białych fasad, emanując dziwnym nastrojem święta, zarazem uroczystym i lekkim.

Myśl o Lucjanie przeszła ją jak ostrzem. Nie mogła go opuścić, nawet jeśli była przekonana, że nic mu już nie grozi. Kto go powita w krainie żywych, kiedy się przebudzi? Kto o niego zadba? Z kim będzie rozmawiał, dopóki Diana nie wróci – jeśli w ogóle kiedykolwiek wróci? Pomyślała o młodej tajskiej dziewczynie, która była z nim w pierwszych tygodniach.

Potem wpadła na inny pomysł. Znalazła kabinę telefoniczną i weszła do środka. Przez szyby mogła widzieć płótna, zakrywające rusztowania wokół Notre Dame, sterczące w ciemnościach

jak wielkie parawany. U ich stóp wisały klosze latarni, podobne do fig nadzianych światłem. Przez chwilę pomyślała o akupunkturze i jej punktach szczególnych, w których wyzwala się energia życiowa ludzkiego ciała. W typologii Paryża plac pod Notre Dame mógł być jednym z tych punktów. Miejscem wolności i absolutnego nieskrępowania.

Wybrała numer telefonu komórkowego. Trzy sygnały, potem znajomy głos. Diana szepnęła po prostu: „To ja”. Natychmiast spadła na nią ulewa wymysłów i jęków. Sybilla Thiberge grała we wszystkich rejestrach naraz – gniew, oburzenie, współczucie – uzupełniając swe słowa szczyptą obojętności, żeby dać jasno do zrozumienia, że mimo wszystko to ona jest panią sytuacji. Zresztą Diana słyszała wyraźnie gdzieś w głębi odgłosy kolacji. Przerwała jej:

– OK, mamó. Nie dzwonię po to, by się z tobą kłócić. Słuchaj mnie uważnie. Chcę, żebyś mi coś obiecała.

– Obiecała?

– Chcę, żebyś mi obiecała, że zajmiesz się Lucjanem.

– Lucjanem? Ale... oczywiście, co ty...

– Musisz zadbać o niego. Towarzyszyć mu aż do wyzdrowienia. Chronić go, cokolwiek by się działo.

– Co ty wygadujesz, nic nie rozumiem. Ty...

– Obiecay mi to!

Sybilla zdawała się zbita z tropu.

– Ja... ja ci to obiecuję. Ale ty, co ty...

– Muszę koniecznie wyjechać.

– Jak to wyjechać?

– Podróż, nie mogę jej odłożyć.

– To w związku z twoją pracą?

– Nie mogę ci nic powiedzieć.

– Moja droga, Charles powiedział mi, że ty prowadzisz...

Diana była szalona, że zaufała swojemu ojczymowi. Od razu powtórzył wszystko małżonce i musieli pewnie z wielką troską i patosem rozmawiać o tym, jak Dianie mąci się w głowie. Wyobraziła ich sobie jako dwie splecione żmije.

Nie wdając się w szczegóły, Diana opowiedziała o drugim Lucjanie. Małym, siedmioletnim chłopcu, niedawno adoptowanym, który dopiero co stracił swoją przybraną matkę. Podyktowała

nazwiska i zamiary, po czym wymogła na Sybilli obietnicę, że dowie się o tamto dziecko.

Powinna była też uprzedzić matkę o tym, co może nastąpić, podejrzeniach policji wobec niej, o liście wlokących się za nią trupów. Ale nie miała czasu. Wahała się jeszcze chwilę. Słowa cisnęły jej się na wargi. Słowa przeprosin, prośby o wybaczenie za swoją agresywność, złośliwość, wrogość, ale niczego takiego nie mogła wykrztusić. Powiedziała na koniec:

– Liczę na ciebie.

Odłożyła słuchawkę. W ustach czuła smak popiołu. Stała chwilę nieruchomo, oparta o szybę kabiny, stawiając sobie jeszcze raz pytanie, które prześladowało ją od czasu młodości: czy miała rację, traktując matkę w ten sposób? Czy ta kobieta była naprawdę odpowiedzialna za jej złamane życie? Za całą odpowiedź Diana była w stanie wymamrotać tylko kilka niewyraźnych przekleństw.

Dwa samochody pełne glin jechały w górę ulicą Cite, z włączonymi syrenami. Dopatrzyła się w tym ostrzeżenia. Musieli już znaleźć ciało Langlois. Wybrała numer informacji telefonicznej i spytała:

– Czy może mnie pani połączyć bezpośrednio z działem rezerwacji lotniska Roissy-Charles-de-Gaulle?

Usłyszała natychmiast nowy sygnał, a chwilę potem kobiecy głos. Przyjrzała się swojej lewej ręce. Paznokcie czarne od krwi. Nabrzmiałe żyły. Dłoń starej kobiety, w jej wieku. Zapytała:

– Czy może mnie pani poinformować, o której jest najbliższy lot w danym kierunku, bez względu na linię?

– Oczywiście, proszę pani. Jaki kierunek?

Spojrzała jeszcze raz na swoje palce, swoje dłonie.

Ręka starej kobiety.

Ale ręka, która już nie drży.

Odpowiedziała:

– Moskwa.

CZEŚĆ III

Tokamak

43

Szeremetiewo 2, moskiewskie lotnisko międzynarodowe.

Sala przylotów.

Druga rano, piątek, 15 października 1999 roku.

Diana dołączyła do strumienia pasażerów i dygocąc w swoim anoraku, skierowała się do punktu odbioru bagażu. Wyleciała ostatnim lotem Aeroflotu, o dwudziestej drugiej trzydzieści, i teraz była już na ziemi rosyjskiej. Jej jedyny atut to ten, że знаła stolicę Rosji. Była tu już dwa razy. Najpierw w roku 1993, jako uczestniczka konferencji naukowej na temat fauny syberyjskiej, zorganizowanej przez moskiewską Akademię Nauk. Drugi raz dwa lata później, przejazdem, kiedy leciała na wyprawę naukową na Kamczatkę. W drodze powrotnej Diana zatrzymała się w mieście na tydzień. Zwiedzała je zadziwiona i rozmarzona. Nie było tego wiele. Ale przynajmniej pamiętała nazwę hotelu, w którym wtedy mieszkała: „Ukraina”.

Około trzeciej nad ranem nadeszły bagaże. Hol z niskim sufitem, źle oświetlony, robił wrażenie grobowca. Podróżni, pochyleni nad stosami waliz, przeklinając z cicha, szukali swoich rzeczy, przyświecając sobie zapalniczkami.

Diana szybko znalazła swoją torbę. W Paryżu zdążyła wpaść do siebie i chwycić naręczce ubrań, zabrała też ze sobą telefon satelitarny, nowy model, użyczony jej przez producenta. Zabrała też trzymaną w domu małą rezerwę dolarów – osiemset w papierkach – i przez bankomat opróżniła do czysta swoje konto bankowe: siedem tysięcy franków. Ogarnęło ją wtedy osobliwe uczucie wyzwolenia. Takie, jakie musi odczuwać skaczący z dachu samobójca.

Kiedy wyszła z budynku terminalu, zdała sobie sprawę, że wsiadła do samolotu jesienią, a wylądowała zimą. Mróz nie był po prostu jednym z wielu elementów sytuacji: była to obecność ostra, bezlitosna, ścisnął czaszkę, drapał ręce jak wysunięte pazury. Nieruchome mgły zdawały się więzić błyszczący asfalt. Daleko przed nią ziemia i niebo łączyły się w ciemnościach w długi, lodowy spaw.

Nie było taksówek, ale Diana ich nie szukała. Znała reguły gry. Oderwała się od reszty turystów, po czym na widok pierwszego prywatnego samochodu zaczęła wymachiwać rękami jak wiatrak. Wóz nie zatrzymał się. Powtórzyła ten manewr trzy razy, aż wreszcie stanęło koło niej ziguli z wyłączonymi światłami. Nazwa hotelu i kolor dolarów przekonały kierowcę. Diana, z beretem nasuniętym po brwi, opadła na sfatygowane siedzenie ze skaju, położyła torbę na

kolanach i ruszyła w czarną noc.

Samochód jechał pustawą szosą mijając po drodze widmowe zagajniki, potem, przemierzwszy ślepe osiedla, dotarł do obwodnicy. Dymy z ognisk płonących na niezabudowanych placach i czad z ciężarówek zastąpiły wiejskie mgły. Bez świateł widziało się z samochodu na nie więcej niż pięć metrów. Od czasu do czasu rozlegał się ogłuszający hałas tira, którego podwozie trzaskało o jezdnię. Diana czuła, jak rodzi się w niej niepokój, powraca do niej przeszłość – wspomnienie wypadku. Szofer miał twarz zasłoniętą kapturem, a od kiedy ruszyli, nie otworzył ust. Zdawał się wyczuwać nerwowość pasażerki. Włączył radio. Od potężnego hardrockowego kawałka i kolein wyżłobionych w jezdni żiguli zaczęło dygotać. Diana już była gotowa krzyknąć, kiedy mężczyzna skręcił w zjazd z obwodnicy i wjechał do miasta.

Diana pamiętała, w jakim kierunku powinna jechać: na północ, Bulwarem Leningradzkim. Pojawiły się miriady świateł:

Krzykliwe witryny sklepowe wystawiały na widok swe skarby niczym bajeczne jaskinie. Nazwy firm i hasła reklamowe chórem wzywały do konsumpcji. Całe miasto było przybrane neonami i światłem. To kapitalizm, z dnia na dzień zdobywający tu teren, nocą mrugał porozumiewawczo, przypominając tym elektrycznym szaleństwem o swoim istnieniu. Czuło się w tym coś w rodzaju nakazu wydawania, narzuconego marnotrawstwa, które miało dowieść, że minął czas oszczędności i ograniczeń, nawet jeśli większość moskwian nie ma co jeść.

Diana dziwiła się teraz, że kierowca nadal pędzi przez mgłę na południe. Powinien był już skręcić na zachód, w kierunku Mińska... Nagle wokoło znów zaległa ciemność. W tej dzielnicy było mnóstwo cerkwi, wznosiły się jedna przy drugiej wzdłuż tego samego chodnika lub w wąskich uliczkach stały naprzeciw siebie. Widać było ich zniszczone fasady, czarne łuki, drzwi tonące w mroku. Pod płótnem okrywającym rusztowania jakieś posągi wyciągały okaleczone kikuty, ukazywały pochmurne twarze, ciężkie togi, sztywne jak przemoczone płaszcze. Diana zaczynała się niepokoić, zastanawiać, czy kierowca nie szykuje zasadzki za rogiem którejs z ciemnych ulic.

W tym momencie samochód skręcił i wyskoczył na plac Czerwony. Diana odczuła to jak policzek. Zobaczyła Kreml z jego karminowymi murami, z kopułami obsypanymi złotem. Kierowca wybuchnął śmiechem. Zrozumiała, że chciał jej pokazać „klejnot” swego miasta. Z głową okrytą anorakiem, z podbródkiem wciśniętym w kołnierz, musiała przyznać sama przed sobą: była szczęśliwa, że tu jest. Samochód jechał bulwarami wzdłuż rzeki Moskwy. Następnie

skręcił w Prospekt Kutuzowski, minął plac Łubianka – Diana pamiętała te nazwy – wreszcie wtoczył się pod podświetlone litery hotelu „Ukraina”, jaśniejące wśród nocy niczym gigantyczna promienista pieczęć pogrążona w mętnej wodzie.

Diana pożegnała się z kierowcą w chwili, gdy wewnątrz samochodu wypełniały dźwięki *Stairway To Heaven* Led Zeppelin. Wciąż bez słowa, wciąż bez twarzy. W recepcji Diana załatwiła formalności, po czym wjechała windą na ósme piętro.

Znalazszy się w pokoju, nie zadała sobie trudu, by zapalić światło. Siedziba parlamentu, dokładnie naprzeciw, była oświetlona tak mocno, że jej sąsiedztwo rozsiewało jaskrawe promienie aż tutaj.

Pokój wyglądał tak, jak pamiętała. Cztery metry kwadratowe. Zasłony w oknach i kapa na łóżko z tego samego czerwonego muślinu. Pomieszany zapach frytury, stęchlizny i kurzu. Wielki szyc w stylu rosyjskim. Tylko łazienka chełpiła się nowymi fajansami i piękną armaturą. Diana wślizgnęła się pod gorący душ: tego właśnie było jej trzeba. Oszołomiona gorącą wodą, padająca za zmęczenia, wsunęła się pod szorstkie prześcieradła i zasnęła natychmiast.

Noc bez snów, bez myśli.

Dobre i to.

44

Kiedy Diana otworzyła oczy, ostre słońce zalewało ściany pokoju. Spojrzała na zegarek: dziesiąta rano. Zakłęła parę razy, potknęła się o swoją torbę, potem uderzyła o kant stołu, wreszcie dotarła do łazienki. Jeszcze raz wzięła prysznic, ubrała się szybko i otworzyła okno.

Pod nią leżało miasto.

Diana zobaczyła rzekę, której czarne wody błyszczały w porannym słońcu. Rozróżniała również cerkwie, stalinowskie drapacze chmur i jakieś otoczone dźwigami budowle, które zdawały się rywalizować z nimi wysokością i dostojnością. Chłoneła zrzędlawy łoskot miasta. Tę jakąś mętną falę, mieszankę szarości, hałasu, kwaśnego odoru, charakterystyczną dla wszystkich megapoli świata, a tutaj, zdawało się, może jeszcze surowszą, potężniejszą niż gdzie indziej. Spojrzała w dół na Prospekt Kutuzowski, po którym jechały setki samochodów. Zamknęła powieki i złączyła się myślą z tym burzliwym potokiem; czuła radość: mimo swych podróży, mimo swego zainteresowania życiem zwierząt, była jednak na zawsze człowiekiem miasta.

Kiedy już zimno przeniknęło ją do kości, zamknęła okno i skupiła się na swoim śledztwie. Wiedziała już tylko jedno: wszystko w tym koszmarze wiązało się z tokamakiem. Powrót członków jego ekipy na tereny, gdzie mieścił się ośrodek.

Szczególne rola Strażników, wysianych przez jakąś tajemniczą władzę, by uprzedzić tych ludzi. I nawet morderstwa, które zdawały się wymierzone po kolei w tych, co mieli do czynienia z laboratorium nuklearnym.

Wymyśliła sobie strategię rozpoczęcia śledztwa. Strategię prościutką, ale realistyczną. Najpierw zamówiła śniadanie, potem zadzwoniła do ambasady francuskiej. Poprosiła attache naukowego – wszystkie placówki dyplomatyczne miały teraz, oprócz tradycyjnych attaches kulturalnych, urzędnika zajmującego się nauką. Po minucie oczekiwania w słuchawce rozległ się urzędowy głos. Diana przedstawiła się. Podała swoje prawdziwe nazwisko, potem wyjaśniła, że jest dziennikarką.

- Dla jakiego pisma? – przerwał jej głos.
- Hmm... jestem wolnym strzelcem.
- Wolnym strzelcem dla jakiego pisma?

– Wolnym strzelcem dla siebie.

Mężczyzna powiedział zgryźliwie:

– Wyobrażam to sobie.

Diana zmieniła ton:

– Chce pan mnie poinformować czy nie?

– Słucham panią.

– Poszukuję informacji na temat tokamaków. Są to piece jądrowe, które...

– Wiem doskonale, o co chodzi.

– OK. Może zatem wie pan, gdzie znaleźć archiwa tych laboratoriów? Musi przecież istnieć w Moskwie jakaś akademia, gdzie...

– Instytut imienia Kurczatowa. Wszystkie dokumenty dotyczące ośrodków kontrolowanej fuzji jądrowej tam się znajdują.

– Może mi pan podać adres?

– Mówi pani po rosyjsku?

– Nie.

Attache roześmiał się.

– Jakiego rodzaju poszukiwania chce pani prowadzić?

Diana usiłowała zachować spokój. Spytała pokornym tonem:

– Zna pan jakiegoś tłumacza?

– Znam kogoś lepszego. Młodego Rosjanina, specjalistę od fuzji termonuklearnej. Kamil Gorochow. Mówi doskonale po francusku. Był u nas kilkakrotnie.

– Myśli pan, że zgodzi się mi pomóc?

– Ma pani pieniądze?

– Trochę.

– Dolary?

– Tak, dolary.

– No to nie ma żadnego problemu. Zaraz się z nim skontaktuję.

Diana podała swoje zamiary i podziękowała rozmówcy. W minutę później przyniesiono jej śniadanie. Siedząc po turecku na łóżku, pochłaniała czerstwe bułeczki i rozkoszowała się zbyt mocną herbatą. Podano ją w szklance osadzonej w koszyku z cyzelowanego srebra. W jej oczach sam ten szczegół był wart wszystkich rogalików świata. Czowała się dziwnie lekko, spokojnie.

Jakby nocny lot wznosił między nią a paryskimi wydarzeniami nieprzekraczalną granicę.

Zadzwoił telefon: Kamil Gorochow czekał na dole.

Hol hotelu „Ukraina” nosił jeszcze na sobie znamiona stalinowskiej wielkości. Słońce wpadające przez wysokie okna zamieniało zasłony w czyste stalaktyty bieli, a marmurowa podłoga migotała tęgowymi światłami. Diana zauważyła młodego człowieka, który chodził tam i z powrotem wzdłuż pulpitu recepcji i tonął w za dużym dla siebie anoraku. Rzucił na prawo i na lewo spojrzenia zbiegłego włóczęgi.

– Kamil Gorochow?

Mężczyzna obejrzał się. Miał kocie oczy i długie, lśniące czarne włosy. Zamiast odpowiedzi odrzucił nerwowo z Czoła spadający kosmyk. Diana przedstawiła się po francusku. Rosjanin wysłuchał jej z miną ni to nieufną, ni to agresywną. Zawahała się: już nie była pewna, że rozmawia z właściwą osobą. Ale kot zapytał nagle, w energicznej francuszczyźnie:

– Pani interesuje się tokamakami?

– Tokakiem TK siedemnaście – sprecyzowała.

– Najgorszy ze wszystkich.

– Co pan ma na myśli?

– Najpotężniejszy. Jedyne, który osiągnął przez kilka tysięcznych sekundy temperaturę fuzji, taką jak w gwiazdach.

Zaśmiał się szyderczo pod swoim kozackim wąsem i rozejrzał buntowniczym spojrzeniem po holu, jakby brał całą salę na świadka. Jego uroda zdawała się kannie wyłącznie czarnymi myślami.

– Zna pani mit o Prometeuszu? – zapytał zniecka.

Rosjanin ni stąd, ni zowąd powołujący się na grecki mit w rozmowie z nieznaną w holu zakurzonego hotelu: Diany już takie rzeczy nie dziwiły. Postanowiła włączyć się do zabawy.

– Człowiek, który próbował ukraść bogom piorun.

Nowy grymas, nowa próba uporania się z nieposłusznym lokiem. Kamil zdawał się nawet nie zauważać zadrapań i opatrunków Diany – to nie był jego świat.

– W czasach Greków to była legenda. Dziś to rzeczywistość. Ludzie naprawdę próbują wydrzeć gwiazdom ich tajemnice. Archiwa TK siedemnaście znajdują się w filii instytutu imienia Kurczatowa, na południe od miasta. Płaci pani za pełny bak benzyny i zawożę tam panią.

Diana rzuciła mu radosny uśmiech. On już się odwracał i zmierzał w kierunku zalanych

światłem obrotowych drzwi. Diana ruszyła w ślad za nim, naciągając swój anorak. Nic nie było w stanie zmącić jej dobrego humoru. Czowała jedno: wizyta w Moskwie będzie owocna.

45

Kamil prowadził pokaszujące renault R5, z którego potrafił wycisnąć maksimum możliwości. Po kilku objazdach dotarli do ośmiopasmowej arterii. Diana przypomniała sobie dzielnicę cerkwi i mgieł, przez którą jechała wczoraj: dziś było zupełnie inaczej. Po obu stronach jezdni ciągnęły się równo jak pod sznurek, w niekończącej się perspektywie, ceglane bloki, sześciany o szklanych fasadach, prawdziwe drapacze chmur.

Minęli rzekę, potem dojechali do wielkiego placu huczącego od ruchu. Po kolosalnych budynkach przyszła kolej na osiedla-sypialnie, o posępnych kolorach, które zdawały się pochłaniać słońce, by wykarmić swoje rozgoryczenie. Mijali kasyna, dworzec z marmurową fasadą, potem stadion Dynamo. Tam skręcili w nowy bulwar, na który wychodziły ulice zastrzeżone dla pieszych.

Diana obserwowała tłum z zachwytem. Potoki czapek, rzeki papach, strumienie szalików, pelis, podniesionych kołnierzy składały się na rewię wszystkich możliwych materiałów, odpowiednich na każdą temperaturę: wełna, filc, skóry, futra... Przez zamglone szyby wystawowe kolorowe plamy, jakby ścięte mrozem, nabierały precyzji, wibrowały. Często słyszała komunał o posępnych twarzach i smutnych sylwetkach mieszkańców Moskwy. Ona niczego takiego nie dostrzegała. Przeciwnie, widok tego tłumu działał na nią ożywczo. Czowała ukąszenie zimna i radość, jakiej się doznaje na widok maleńkich, zamrożonych kieliszków, które nawet jeszcze nienapełnione – kryją w sobie obietnicę oszołomienia.

Kamil zapytał, nie spuszczając z oczu drogi:

– Co pani właściwie wie o TK siedemnaście?

– Nic albo prawie nic – przyznała się Diana. – Jest to jeden z największych pieców termojądrowych ZSRR. Technologia wynaleziona przez Sowiećów z myślą o zastąpieniu z czasem techniki opartej na rozszczepieniu jądra atomowego. Wiem, że ośrodek zamknięto w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim i że kierował nim fizyk pochodzenia azjatyckiego nazwiskiem Jewgen Talich. Człowiek, który przedostał się na Zachód gdzieś w latach osiemdziesiątych.

Młody fizyk krótkim ruchem pogłodził węs.

– A dlaczego to wszystko panią interesuje?

Diana zaimprovizowała odpowiedź:

– Przygotowuję reportaż na temat tego, co zostało z nauki radzieckiej. Tokamaki to dziedzina mało znana i...

– Dlaczego TK siedemnaście?

Zaskoczona, zastanawiała się przez chwilę. Nagle przypomniała sobie człowieczka z fotografii, ubranego w wypelzła czapę.

– Interesuje mnie zwłaszcza Jewgen Talich – powiedziała. – Chciałabym zrobić jego portret jako przykład ówczesnego uczonego radzieckiego.

Rosjanin wjechał na obwodnicę. Chmury czarniawego gazu i brudne kolory pojazdów wyglądały w słońcu jeszcze bardziej ponuro niż wczoraj. Kamil odpowiedział – mówił po francusku nadzwyczajnie, całkiem bez akcentu:

– Talich jest raczej nietypowy dla rosyjskiego krajobrazu. Był samotnym symbolem odwetu ludów azjatyckich na imperium sowieckim. W całej historii komunizmu nie było na to przykładu tego kalibru. Może Dżugdermidiin Gurragecza, pierwszy mongolski kosmonauta, ale to był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy, już inna epoka.

– Jakiego pochodzenia jest Talich?

– No... jest Cewenem.

Diana wyprostowała się:

– Chce pan powiedzieć, że urodził się w okolicach tokamaku?

Kierowca westchnął, ni to z irytacją, ni to z rozbawieniem.

– Widzę, że trzeba zacząć od początku.

Zastanowił się przez chwilę i zaczął mówić.

– W latach trzydziestych ucisk stalinowski dotarł do kresów Syberii i na tereny Mongolii. Celem było zniszczenie wszystkiego, co mogłoby stanąć na drodze władzy Kremla. Lamowie, wielcy hodowcy bydła, nacjonaliści, zostali uwięzieni. W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim Mongołowie powstali. Armia radziecka stłumiła powstanie, używając czołgów i wozów pancernych. Koczownicy walczyli konno, a za całą broń mieli karabiny i drągi. Blisko czterdzieści tysięcy ludzi zlikwidowano. Pozostał lud bez władzy, bez idei, bez religii. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim Sowieci narzucili dekretem język rosyjski i cyrylicę. Od tego czasu wszystkie dzieci stepu i tajgi zostały objęte obowiązkiem szkolnym. Plan polegał na tym, żeby wtopić Mongołów i narodowości satelickie w jeden wielki naród radziecki. W tych

okolicznościach pod koniec lat pięćdziesiątych zwyczajny chłopczek z regionu Cagaan Nur, na dalekiej północy Mongolii, zostaje wysłany do Ułan Bator, by nauczyć się czytać i pisać. Ma dwanaście lat i nosi rosyjskie nazwisko: Jewgen Talich. Od razu wykazuje wyjątkowe zdolności. W wieku piętnastu lat jedzie do Moskwy. Wstępuje do Komsomołu, organizacji młodzieży komunistycznej, i dostaje się na wydział nauk ścisłych, kierunek matematyczny. W wieku siedemnastu lat wybiera fizykę i astrofizykę. Dwa lata później kończy pracę doktorską na temat termojądrowej fuzji trytu. Talich zostaje najmłodszym doktorem nauk w ZSRR.

Diana poczuła przyływ sympatii dla tego syna puszczy, który okazał się również synem atomu. Kamil mówił dalej:

– W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym genialne dziecko trafia w okolice Tomaska, gdzie mieści się TK osiem.

W tym czasie do doświadczeń z fuzją używa się deuteru, innego izotopu wodoru, ale zaczyna torować sobie drogę myśl, że tryt dałby lepsze wyniki. To jest specjalność Talicha. Dwa lata później zostaje przeniesiony do ośrodka najwyższej wagi: powstaje tam TK siedemnaście, największy piec termonuklearny, jaki kiedykolwiek zbudowano na świecie. Najpierw pracuje w ekipie specjalistów nadzorujących projektowanie i rozruch całej maszyny, potem, od roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego, osobiście kieruje pierwszymi próbami. Proszę nie zapominać: ma wtedy zaledwie dwadzieścia cztery lata.

Rosjanin jechał autostradą, a Diana nie miała pojęcia, w jakim kierunku. Widziała, że mijają jakieś tablice zapisane cyrylicą. Ale ufała fizykowi: czuła, że pod agresywnymi pozorami jest szczęśliwy, że ona dzieli z nim jego pasję.

– Najbardziej niewiarygodne – mówił dalej – jest to, że ośrodek umieszczono w rodzinnych stronach Talicha, w Cagaan Nur.

– Dlaczego tam?

– Dodatkowa ostrożność Rosjan. Zachód zaczął wykrywać ich tajne ośrodki badawcze, te syberyjskie miasta przemysłowe i wojskowe, nieobecne na mapach, nawet jeśli liczyły miliony mieszkańców, jak Nowosybirsk. Umieścić taki ośrodek w Mongolii, to była gwarancja, że będzie naprawdę zabezpieczony przed niedyskretnymi spojrzeciami, przed wszelką obserwacją. Talich, mały koczownik, wrócił zatem do kraju w skórze wielkiego szefa. Nagle stał się dla swojego ludu bohaterem.

Jechali teraz drogą o kiepskiej nawierzchni, popękanej od mrozów w ciągu kolejnych zim.

Czarne pola, jakby skulone na swoich brzdach, ciągnęły się jak smutkiem sięgnąć. Czasem pojawiały się kobiety w jaskrawych chustkach, niczym niespodziewanie rozkwitłe kwiaty. Nagle Kamil zjechał w jakąś polną drogę. Diana z zaskoczeniem zobaczyła przed sobą wysoką bramę cyzelowaną złotem. Za nią ciągnęły się parkowe ścieżki i rozległe trawniki, dość dobrze utrzymane. W głębi wznosił się obszerny, fiołkowy pałac, który musiał pochodzić z XIX wieku. Nigdy by nie przypuściła, że podobna architektura mogła doczekać postkomunistycznej Rosji.

– Niech pani nie robi takiej miny – skomentował Kamil, parkując na wysypanym żwirze dziedzińcu. – Sowieci wszystkiego nie rozpieprzyli.

Nie był to prawdziwy pałac, raczej duży pawilon myśliwski, z oknami o framugach z białego kamienia, portykami z kolumnami, ornamentami stiukowymi, po bokach wznosiły się wąskie wieżyczki o zaokrąglonych dachach. Weszli po kilku stopniach na taras pokryty jasnym żwirem. Po lewej w budce strażniczej siedział jakiś człowiek w mundurze. Kamil pozdrowił go niedbale i otworzył oszklone drzwi wychodzące na ganek: miał własne klucze.

Rozległa, sześciokątna sień była wyłożona marmurem. Pod sufitem migotał kryształowy żyrandol. Po lewej szerokie, łukiem wznoszące się schody prowadziły na pierwsze piętro. Tam przez uchylone drzwi widać było wielkie, czarno-białe fotografie, przedstawiające jakieś instalacje przemysłowe. A także turbiny z wypolerowanej miedzi, stojące na cokołach niczym posągi Wenus. Diana domyśliła się, że na tym piętrze mieści się muzeum fuzji kontrolowanej.

Kamil bez wahania skręcił w prawo. Przeszli przez kilka następnych sal. Ściany były popękane, ale sztukaterie i posągi zachowały się. Diana rozpoznawała alkowy, w których młode hrabianki zapomniały niegdyś chusteczek, fotele, na których książęta zostawiali siatki na motyle...

Kamil wciąż szedł naprzód w swoim zbyt luźnym anoraku. Przypominał młodego kota, pozostawionego samotnie w dobrze sobie znanym mieszkaniu. Zeszli w dół wąskimi schodami. Nagle zrobiło się znacznie zimniej. Na dole przestrzeń zamykała zaryglowana na kłódkę krata. Dalej sklepiona komnata ginęła w cieniu, poprzecinana metalowymi regałami dźwigającymi akta. Kamil wymamrotał, otwierając kratę:

– Utrzymujemy starannie mikroklimat potrzebny do konserwacji papieru. Temperatura siedemnaście stopni. Wilgotność pięćdziesiąt procent. Bardzo ważne.

Zapalił matową plafonierę. W pokoju Diana zobaczyła tysiące szarych teczek. Leżały na etażerkach, były poupychane w żelaznych szafach, wały się całymi stosami na podłodze.

Widziała też całe kolekcje książek, których wytłaczane złotem grzbiety błyszcząły w ciemnych kątach. Stare czasopisma, związane w pliki, szturmowały sufit.

Szli dalej, dotarli do następnej sali. Kamil po omacku szukał wyłącznika. W nierealnej, fioletowej poświacie ukazało się pomieszczenie, w którym się zatrzymali: mały pokoik bez okien, a w nim ustawione szeregiem pulpity pokryte laminatem. Fizyk szepnął:

– Proszę się nie ruszać.

Zniknął, ale niemal natychmiast pojawił się znów, trzymając w rękach wielkie kartonowe pudło, które położył na stole. Wyciągnął z pudła kilka zwilgotniałych tekturowych teczek, związanych tasiemkami. Otworzył i zaczął je szybko kartkować, nie zważając zupełnie na unoszący się z nich kurz. Diana czuła, jak te drobinki czasu zgrzytają jej w zębach.

Wreszcie podał Dianie czarno-białe zdjęcie i oznajmił z dumą:

– Pierwsze zdjęcie z powietrza TK siedemnaście, maszyny, która ma dorównać gwiazdom.

46

Był to krąg.

Gigantyczny kamienny krąg, liczący około stu metrów w obwodzie, wznoszący się u stóp skalistych zboczy. Wokół niego, aż po skraj otaczających go lasów, rozsiane były mniejsze budynki, tworząc geometryczne szare osiedle. Na północny zachód od ośrodka widać też było wysokie turbiny centrali elektrycznej, sąsiadujące ze strumieniami, spadającymi z górskich ścian.

Kamil spytał:

– Wie pani, jak to działało?

– Już mówiłam: nie mam pojęcia.

Fizyk roześmiał się ironicznie, potem pokazał palcem betonowy pierścień:

– Wewnątrz tego pierścienia – zaczął objaśniać – biegnie komora próżniowa zasilana bezpośrednio przez centralę elektryczną, którą tam pani widzi. Proszę sobie wyobrazić potworne zwarcie, kabel elektryczny gryzący własny ogon, i będzie pani miała pojęcie, czym był ten tokamak. Dochodzący tu prąd o natężeniu kilku milionów amperów, rozproszony na łuki magnetyczne, w ułamku sekundy rozgrzewał cały obwód do temperatury przeszło dziesięciu milionów stopni. Uczeni wstrzykiwali wtedy do środka gazową mieszkę atomów trytu. Te atomy momentalnie zaczynały się poruszać i obiegały wewnątrz komory z szybkością bliską prędkości światła. Wtedy następował cud: elektrony opuszczały swe jądra i osiągały piąty stan materii, stawały się plazmą. Temperatura wzrastała jeszcze bardziej i wreszcie następował drugi cud: jądra trytu łączyły się i przekształcały w inne atomy – izotopy helu. W rzeczywistości, mówiłem już pani, zdarzyło się to tylko raz.

– Co miało wyniknąć z tego doświadczenia?

– Z czasem ta przemiana atomowa miała stać się źródłem tytanicznej energii, przekraczającej energię naszych obecnych central jądrowych. I to urządzenie zużywałoby wyłącznie substancje uzyskane z wody morskiej. Niestety ośrodek zamknięto w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim i Rosjanie, jak się zdaje, przestali się interesować tą techniką. Zastąpili ich w tym Europejczycy, ale nikt nie uzyskał jeszcze w tej dziedzinie naprawdę liczących się praktycznie wyników.

Diana chciała przełknąć ślinę, ale kurz wysuszył jej gardło. Spytała:

– I... to było niebezpieczne? Mam na myśli: radioaktywne?

– W komorze, tak. Bombardowanie neutronami czyniło radioaktywnymi materiały składające się na struktury maszyny, na przykład kobalt. I ta radioaktywność mogła się utrzymywać przez wiele lat. Ale na zewnątrz nie było żadnego niebezpieczeństwa. Mury samego pierścienia, zbudowane z ołowiu i kadmu, wchłaniały neutrony.

Diana nie umiała sobie wyobrazić w takim otoczeniu Rolfa van Kaena, lekarza akupunkturzysty, ani Filipa Thomasa, zbiegłego z ZSRR psychologa.

– Mam nazwiska dwóch osób, które, jak sądzę, pracowały w tym ośrodku – powiedziała. – Może pan sprawdzić, czy należeli do ówczesnej ekipy?

– Żaden problem.

Diana przeliterowała nazwiska mężczyzn i podała ich specjalności. Kamil przeglądał swoje spisy. Papierzyska szeleściła mu w palcach jak pergamin.

– Nie ma ich tutaj.

– Te spisy są kompletne?

– Tak. Jeśli pracowali w samym tokamaku, powinni tu być.

– Co pan ma na myśli?

– Ośrodek TK siedemnaście był ogromny. Prawdziwe miasto. Pracowały tu tysiące osób. I istniały działy poboczne.

– Jakiego rodzaju działy? Czy zawody van Kaena i Thomasa mogły odpowiadać jakiejś innej specjalności ośrodka?

Kamil szperał w swoich dokumentach. Przebiegłe światełko błyszczało w jego migdałowych oczach.

– Akupunkturzysta i psycholog mogli należeć do najtajniejszej jednostki TK siedemnaście. Tej, która zajmowała się parapsychologią.

– Co?

– Ośrodek posiadał laboratorium psychologii eksperymentalnej. Jednostkę zajmującą się niewyjaśnionymi przejawami percepcji i oddziaływania. Telepatia, jasnowidztwo, psychokineza... W tamtych czasach istniało w ZSRR kilka ośrodków tego rodzaju.

To było tak, jakby drzwi, których istnienia Diana nie podejrzewała, otworzyły się nagle na jakąś oślepiającą jasność. Zapytała:

– Na czym polegały doświadczenia prowadzone w tych pracowniach?

Fizyk skrzywił się niepewnie.

– Dokładnie nie wiem. To nie moja specjalność. Myślę, że psychologowie i fizycy starali się wywołać zmodyfikowane stany świadomości, na przykład pod hipnozą, oraz zjawiska paranormalne, takie jak łączność telepatyczna lub leczenie przez magnetyzowanie. Studiowali je z punktu widzenia fizjologicznego, ale także magnetycznego, elektrycznego...

– Dlaczego tego rodzaju pracownia istniała przy tokamaku?

Kamil roześmiał się.

– To dzięki Talichowi! Pasjonował się tymi dziedzinami. On sam, równoległe do swej pracy nad fuzją, zajmował się też tym, co nazywał „bioastronomią”. Wpływem gwiazd na ciało ludzkie, na temperamenty.

– Jak astrologia?

– W wersji bardziej naukowej. Na przykład interesował się przypuszczalnym wzajemnym oddziaływaniem mózgu i magnetyzmu słonecznego. Statystycznie biorąc, istnieje, zdaje się, związek między aktywnością Słońca a częstotliwością występowania wypadków, samobójstw, ataków serca... Wedle tego, co mi opowiadano, sam Talich miał prawdziwe zdolności w tej dziedzinie. Potrafił przewidywać takie zjawiska, jak zaćmienia. Ale szczerze mówiąc, tu zaczyna się mistyczna strona tej postaci. Co do mnie, nie wierzę w podobne historie. To jest prędzej coś do śmiechu.

Dianie nie chciało się śmiać. Przeciwnie – zaczynał do niej docierać niepodejrzewany dotąd aspekt sprawy: Jewgen Talich, cudowne dziecko badań nad fuzją nuklearną, był również Cewenem, synem tajgi, wyrosłym w kulturze szamańskiej, w której zachodzą zjawiska niewytłumaczalne. Zostawszy fizykiem, doszedł z pewnością do wniosku, że można te zjawiska studiować w sposób racjonalny. Wezwał więc do siebie najlepszych specjalistów w tych dziedzinach, jak Rolf van Kaen, wirtuoz akupunktury, czy Filip Thomas, zbieg z Francji, znawca psychokinezy.

Diana była przekonana, że dociera teraz do samej istoty prawdy. Musiała pogłębić ten trop, zastanowić się, w jakim kontekście mógł powstać podobny projekt.

– Jednej rzeczy nie rozumiem – zwróciła się znów do swego towarzysza. – Epoka marksizmu była wiekiem materializmu, absolutnego pragmatyzmu. Były to czasy, kiedy zamykano kościoły, kiedy historią rządził najbezwzględniejszy realizm. Jak władze radzieckie mogły brać na serio te wszystkie historie ze zjawiskami paranormalnymi?

Kamil nieufnie zmarszczył brwi.

– Pani tak bardzo interesuje się tą całą parapsychologią?

– Interesuje mnie wszystko, co dotyczy nauki sowieckiej.

Fizyk jakby się rozluźnił.

– O związkach Rosji z parapsychologią można by napisać powieść.

– Niech mi ją pan streści.

Oparł się o stare kartony, wydawało się, że poczuł się swobodniej.

– Ma pani rację. Z jednej strony komunizm stworzył epokę najbardziej pragmatyczną, najbardziej racjonalną ze wszystkich. Ale Rosjanie są Rosjanami. Są mocno przesyleni duchowością. Nie tylko religią, lecz również pradawnymi wierzeniami, zabobonnymi lękami. Na przykład zawsze uważali, że zwycięstwu pod Stalingradem sprzyjały duchy szamańskie, działające w rejonach nadwołżańskich. Zawsze też wierzyli, że podbój kosmosu wspierały moce niebieskie.

Młody człowiek skrzyżował ramiona z wyrazem rezygnacji.

– Mówi się często, że jest to azjatycka strona psychiki naszego ludu. W końcu większość terytorium naszego kraju pokrywa tajga, królestwo duchów...

Diana wtrąciła się:

– Między ludowymi wierzeniami a pracowniami badawczymi jest jednak trochę miejsca, nie?

– To prawda. Ale istnieje też u nas tradycja naukowego podejścia do parapsychologii. Nie trzeba zapominać, że nasz wielki uczyony, laureat Nagrody Nobla, Iwan Pawłow, ten od odruchów warunkowych, twórca nowoczesnej psychologii, uznawał istnienie pewnych szczególnych stanów świadomości. W latach dwudziestych w jego instytucie istniał nawet oddział zajmujący się badaniem jasnowidztwa.

Kamil zdawał się odnosić do tego tematu z mieszaniną ironii i fascynacji. Mówił dalej:

– W latach czterdziestych stalinowskie czystki i druga wojna światowa unicestwiły te badania. Ale po śmierci Stalina fala parapsychologii pojawiła się na nowo, jakby nigdy nie znikła z głębszych pokładów umysłowości rosyjskiej. Opowiem pani anegdotę, która dobrze charakteryzuje mentalność lat sześćdziesiątych. Pani zna historię naszego kraju?

– Nienadzwyczajnie.

Jego twarz znów przybrała sceptyczny wyraz.

– Słyszała pani o XXII Zjeździe partii komunistycznej w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym?

– Nie.

– To bardzo słynny zjazd. Wtedy właśnie Nikita Chruszczow po raz pierwszy powiedział publicznie o zbrodniach stalinowskich. Dał do zrozumienia, że Stalin nie był może takim oświeconym przewodnikiem narodu, jakim go przedstawiano, lecz tyranem, który popełnił zbrodnicze błędy. Strącono wodza z piedestału. Niedługo potem jego zmumifikowane zwłoki usunięto z mauzoleum, gdzie spoczywały u boku Lenina.

– Jaki to ma związek ze zjawiskami paranormalnymi?

– Na tym samym zjeździe zabrała głos pewna kobieta, deputowana Daria Łazurkina. Oświadczyła najpoważniej w świecie, że dzień przedtem we śnie objawił jej się Lenin i powiedział, że cierpi z powodu sąsiedztwa ze Stalinem w mauzoleum. Słowa Łazurkiny można znaleźć w oficjalnych protokołach zjazdu i mogę panią zapewnić, że to świadectwo przyczyniło się do podjęcia decyzji o usunięciu ciała w nie mniejszym stopniu niż mowa Chruszczowa. Tacy są Rosjanie. Idea, że zmarły człowiek wraca, by wypowiedzieć się poprzez sen starej kobiety, nikogo nie zdziwiła i w pewnym sensie Lenin wziął udział w kongresie.

Diana widywała już obrazy tych wielkich mszy partyjnych – ogromna sala, wypełniona wznoszącymi się amfiteatralnie rzędami foteli, w fotelach tysiące komunistycznych delegatów, władców jednego z najpotężniejszych mocarstw owych czasów. Dziwiła ją myśl, że wśród trosk partyjnych komisarzy mogło się znaleźć miejsce na czyjś zwykły sen. A więc w głębiach świadomości świeciło zawsze jakieś ciemne słońce. Pod strachem przed władzą sprawowaną przez człowieka krył się zawsze inny strach: przed wszechświatem, przed nieznanym, przed duchami, które zdawały się śledzić tych Rosjan poprzez syberyjską tajgę.

– Proszę mówić dalej – szepnęła.

– Od tego czasu psychologia, a w ślad za nią parapsychologia wróciły do łask. Po trosze w całym kraju pootwierano pracownie. Najsłynniejsze znajdowały się w leningradzkim Instytucie Neurochirurgii, gdzie zajmowano się zjawiskami paranormalnymi, badając sny, oraz w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Charkowie, gdzie uczeni poszukiwali ewentualnych cząsteczek, które mogłyby wywołać takie zjawiska paranormalne jak telepatia i psychokineza. Był jeszcze wydział numer osiem Syberyjskiej Akademii Nauk w Nowosybirsku, gdzie niektórzy badacze próbowali doświadczeń telepatycznych z oficerami pewnego atomowego okrętu podwodnego. Uczciwie

mówiąc, to wszystko nie było zbyt poważne. Diana wróciła do przedmiotu swego śledztwa.

– Co pan wie o tego rodzaju pracach prowadzonych w TK, siedemnaście?

– Nigdy nic nie czytałem ani nie słyszałem. Ani słowa, ani jednej linijki.

– Co, pańskim zdaniem, oznacza to milczenie?

Kamil wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc, może oznaczać wszystko. Albo że badacze absolutnie nic nie znaleźli, nawet tyle, by wystarczyło do napisania sprawozdania. Albo przeciwnie – dokonali znaczących odkryć. Odkryć, które warte były, żeby je ukryć.

Diana zrozumiała, że zna odpowiedź na to pytanie. Tak: w tej pracowni odkryto coś doniosłego. Coś, co nie tylko wyjaśniało naturę zdolności paranormalnych, ale pozwalało je rozwijać.

Nie zapomniała cudów, które przydarzyły się w ostatnich tygodniach. Akupunkturzysta ratujący dziecko skazane przez tradycyjną medycynę. Psycholog rozpinający metalową klamrę samą siłą ducha. A teraz Jewgen Talich, jasnowiedz w dziedzinie zjawisk kosmicznych. Jak tu nie pomyśleć, że ci ludzie w latach 1969-1972 odkryli w swych pracowniach technikę, która pozwalała im izolować i opanowywać tajemne zdolności człowieka? Jak tu sobie nie wyobrazić, że od trzydziestu lat posiadali jedyną w swym rodzaju tajemnicę?

Miała teraz przed oczami palce Lucjana, z wypisaną na nich datą 20 października 1999 roku. Nabrała nowej pewności. Ci ludzie mieli umówione spotkanie w tokamaku. I to spotkanie miało jakiś związek z tamtą nową tajemnicą: nabywaniem niewytłumaczalnych zdolności paranormalnych.

Diana sprawdziła datę na cyferblacie swego zegarka: 15 października. Był tylko jeden sposób, by poznać charakter tego spotkania. Usłyszała wypowiedziane przez siebie pytanie:

– Czy mógłby pan podzucić mnie na lotnisko?

47

Z Moskwy trzeba było przejechać blisko osiem tysięcy kilometrów na wschód, by dotrzeć do Ułan Bator, stolicy Mongolskiej Republiki Ludowej. Leciało się nocą, z jednym lądowaniem w Tomsku, w Syberii Zachodniej. Na tej trasie tylko jeden pejzaż pokrywał powierzchnię ziemi: puszcza. Lodowata nieskończoność osik, wiązów, brzoź, sosen, modrzewi, tworzących to przejrzyste zagajniki, to splątane dżungle. Diana przypomniała sobie mapę Claude'a Andreasa i jej monochromatyczny ogrom. Tajga: pustkowie wielkości kontynentu, dopiero na podejściach do Mongolii otwierające się na inny ogrom – stepy.

Kamil nie mógł jej nic więcej powiedzieć o podróży w głąb kontynentu: nigdy w życiu nie był w Mongolii. Jego wiedza o TK 17 była czysto teoretyczna i tym bardziej podziwiał determinację Diany. zaproponował, że na Szeremietiewie zajmie się biletami.

Teraz kupowała ciepłe ubrania w głównym magazynie na lotnisku, sporządzając w myśli listę tego, co już miała. Przymierzając przed lustrem podbitą futrem czapkę, stwierdziła, że jej siniaki blakną. Czują się silna, energiczna, pokrzepiona. Prawdę mówiąc, była oszołomiona własnym projektem. I to oszołomienie było niebezpieczne, bo uniemożliwiałoby zmierzenie prawdziwego niebezpieczeństwa wyprawy.

– Super.

W lustrze pojawiło się migdałowe spojrzenie Kamila. Fizyk zdawał się podziwiać obraz twarzy Diany, okolonej niedbale rozsypanymi włosami i przeciętej futrzanym daszkiem. Jakby nie zauważał śladów ran, blizn, opatrunków. Potrząsnął plikiem bładoniebieskich biletów i ostrzegł:

– Nie można się grzebać. Ostatni samolot do Tomsku startuje za czterdzieści minut.

Wsunął się w ślad za Dianą do sali odlotów. Na widok towarzyszy podróży ogarnęła ją obawa: pasażerowie wydawali się półżywi. Stali lub siedzieli nieruchomo, z rękoma zaciśniętymi na walizkach, rzucając od czasu do czasu zrezygnowane spojrzenia na manewrującą na zewnątrz maszynę.

– Dlaczego mają takie miny? – spytała Diana.

– Dla nich Mongolia to mniej więcej synonim końca świata.

– Dlaczego?

Kamil znów zmarszczył brwi, co było odwróconym echem poruszających się w uśmiechu wąsów.

– Diano, Mongolia to już nawet nie Syberia. To jeszcze dalej, tam już nie sięga władza Rosji. W Ułan Bator czeka tych ludzi tylko samotność, zimno, niedostatek – i nienawiść. Kraj był radziecką kolonią przez blisko sto lat. Dziś Mongołowie są niepodlegli i nienawidzą nas bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Przyglądała się tłumowi, który mijał bramkę dla wsiadających: zmęczone sylwetki, twarze wygnańców. W oczy rzuciła jej się jedna rzecz:

– Dlaczego wśród podróżnych nie ma ani jednego Mongoła? – spytała.

– Mongołowie mają własne linie lotnicze. Prędeż daliby sobie obciąć rękę, niż podróżowali Aeroflotem. Nienawiść: wie pani, co to znaczy?

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Brzmi to obiecująco.

– Zegnaj, Diano. I odwagi.

Nie mogła uwierzyć, że za sekundę ten młody kot zniknie, a ona znowu będzie sama. Sama w stopniu, którego nie umiała sobie wyobrazić. Mężczyzna odwrócił się, a potem rzucił jej przez swój kaptur przeciwdeszczowy:

– I niech pani pamięta: bogowie nie lubią, jak ich się naśladuje.

Stary tupolew trząsł jak pociąg. Diana zapadła w osobliwe odrętwienie, typowe dla nocnych lotów. Obojętna na niewygodę, na okruchy herbatników podane jako cały posiłek, na zbyt jaskrawe światła, przy jednych fotelach niedające się zgasić, przy innych – zapalić, nie czuła też zimna, które zdawało się przenikać na wskroś wibrujący kadłub. W Tomsku kazano pasażerom wysiąść, potem zaprowadzono ich po ciemku do jakiegoś składu na końcu pasa startowego. Miejsce przypominało lazaret i czuli się, jakby izolowano ich tam z obawy przed zarazą. Rozsiedli się posłusznie na ławach przymocowanych do ścian. W świetle nagiej żarówki Diana zobaczyła ogromne czarno-białe fotografie rozwieszane na ścianach. Górnicy, uchwyceni w hieratycznych pozach, z łopatami w rękach. Górnicze wyrobiska, przypominające kaniony. Instalacje elektryczne, najeżone wieżami, obwieszane kablami. Po prostu sen o produkcji i planowaniu, taki, że nawet ziarno fotograficzne zdawało się inkrustowane żużlem i węglem.

Spojrzała na zegarek: w Moskwie dziesiąta wieczór. Trzecia nad ranem w Ułan Bator. Ale tu,

w Tomsku, która może być godzina? Odwróciła się do sąsiadów i spytała ich po angielsku. Nikt nie mówił tym językiem. Zapytała innych pasażerów. Rosjanie nie wysuwali nawet twarzy z kołnierzy. Wreszcie odpowiedział jej jakiś starzec, w dość koślawej angielszczyźnie:

– Kto interesować godzina Tomaska?

– Mnie to interesuje. Lubię wiedzieć, która jest godzina.

Mężczyzna opuścił wzrok i już go nie podniósł. Diana zobaczyła własny cień, zniekształcony, drobniutki, odcinający się od fotografii górników. Usiadła i poczuła nagle ostry ból w piersiach, jakby kamień przebił jej tors.

Nagle pojawił się w jej pamięci obraz Patryka Langlois. Jego oczy z czarnej laki. Jego kosmyk z żywego srebra. Zapach świeżo upranych ubrań. Ogarnął ją smutek. Czowała się samotna, zagubiona, bezradna na tych bezkresnych obszarach. Ale jeszcze bardziej – zagubiona w sobie samej...

Miała ochotę płakać. Płakać tak, jak się wymiotuje. Śmierć tego człowieka, który mógł ją kochać, właśnie ją, wydała jej się nagle podwójnie absurdalna, podwójnie niepotrzebna. Bo gdyby policjant żył dłużej, zauważyłby prędko, że Diana jest kobietą nieosiągalną. Jego awanse spływałyby po niej jak woda po kałuży benzyny. Nigdy nie byłaby zdolna odpowiedzieć na jego pożądanie. Nigdy jej własne pożądanie nie mogłoby się na kimś zatrzymać. Było tak, jakby jakieś wściekłe zwierzę, jakiś podziemny ogień buszowały pod jej skórą i nie mogły znaleźć ujścia.

Diana spojrzała na wskazówki zegarka, które obracały się w jakimś wielkim nigdzie. „Niech się pani nie bawi w Alicję w krainie detektywów”, powiedział jej porucznik. Uśmiechnęła się, jakby płynęła pod prąd łez. Nie była już Alicją. Nie była nawet detektywem.

Tylko młodą kobietą zagubioną w dżungli stref czasowych.

A przed nią rozciągał się kontynent-ogrom.

48

Obudziło ją światło.

Wyprostowała się w fotelu i dotknęła ręką szyby okienka. Jak długo spała? Kiedy tylko weszła z powrotem do samolotu, zasnęła jak kamień. A teraz oślepił ją świt. Znowu założyła okulary i wpatrzyła się w okno. W ostrym świetle świtu zauważyła coś, co z pewnością nie istniało nigdzie indziej na świecie, co trafiało prosto w serce podróżnika, kiedy przebijał się pod chmurami na mongolskim niebie: step.

Gdyby zielony kolor mógł płonąć, zrodziłby takie właśnie światło. Zielona, rozedrgana oparzelina. Światło tryskające z ziemi, rozwichrzające się w perz. Dogasające ognisko, sięgające aż po horyzont, ale w każdym płomyku oddychające czułością.

Słońce mogło prażyć, jak chciało, ale nie było w stanie zamącić tej świeżości.

Diana poszukała ciemnych okularów, żeby lepiej przyjrzeć się rzeźbie tego bezkresu. Dziwne uczucie. Zdawało jej się, że zna to szaleństwo dzikich traw od zawsze. Te wzgórza, wyskakujące w swej czarownej samotności jedno z drugiego, jak dzieci bawiące się w berka. Ten karnawał równin, jakby upojonych sobą, przez wieczność sunących naprzód na spotkanie z horyzontem.

Przysunęła się jeszcze bliżej do okna, dotknęła szyby czołem.

Mimo odległości, mimo ryku silników, jej myśl zdołała dolecieć do samej ziemi i uchwycić, w chwilach kiedy cichły uderzenia wiatru, szelest pastwisk, brzęczenie owadów, nieustający chrzęst natury. Tak, to była ziemia, w którą trzeba było się wsłuchać. Jak, w muszlę. Ziemia, której cała subtelna uroda leżała na powierzchni, ale spod niej, z głębi, dobiegało dalekie echo galopu krótkogrzywych koni. A jeszcze głębiej leżało głuche serce świata...

Terminal lotniska w Ułan Bator był salą z surowego cementu, gdzie bagaże oznaczano kredą, a kontuary przylotów i odlotów składały się z długiego drewnianego pulpitu, na którym tronoł jedyny w całym gmachu komputer. Diana zauważyła przez szyby, wśród kilku samochodów, pierwszych jeźdźców na wierzchowcach. Wszyscy nosili niezwykle barwne tradycyjne stroje, przewiązane jedwabnymi pasami.

Diana nie miała najmniejszego pojęcia, co powinna teraz zrobić. Żeby zyskać na czasie, wzięła, jak inni pasażerowie, formularz informacyjny. Na stojąco, oparta o ścianę, zabrała się

skrupulatnie do wypełniania go. Dopiero wtedy przeczytała u góry dokumentu kilka linijek napisanych po angielsku: przypomniały jej pewną oczywistą rzecz, o której wcześniej nie pomyślała.

Za plecami jakiś głos zapytał:

– Pani Diana Thiberge?

Wzdrygnęła się. Uśmiechał się do niej jakiś młody człowiek, najwyraźniej z Zachodu. Miał na sobie anorak angielskiej marki, sztruksowe spodnie myśliwskie i buty z cholewkami. Diana pomyślała: „To nie może być glina. Nie tutaj”.

Cofnęła się, by lepiej mu się przyjrzeć. Miał lalkowatą twarz, brązowe, kędzierzawe włosy, okulary w bardzo cienkiej złotej oprawce i trzydniowy zarost, podkreślający ogorzałość twarzy. Mimo brody te rysy, ta brązowa cera, to nieskazitelne ubranie sprawiały wrażenie takiej czystości i schludności, jakich Diana od razu zaczęła mu zazdrościć – miała zawsze wrażenie, że jest blada i ubrana byle jak.

Mężczyzna przedstawił się:

– Giovanni Santis. – Mówił z lekkim akcentem, z charakterystycznym, gruchającym „r”. – Jestem attache w ambasadzie włoskiej. Mam zwyczaj witać tutaj wszystkich przybyszów z Europy. Zauważyłem pani nazwisko w komputerze, w spisie przyjeżdżających i...

– Czego pan chce?

Zdawał się zdziwiony jej agresywnym tonem.

– No... Pomóc pani, doradzić, zaprowadzić – odpowiedział. – Nie jesteśmy w łatwym kraju i...

– Dziękuję. Dam sobie radę.

Diana znów wzięła się do wypełniania formularza. Jednocześnie obserwowała go kątem oka. Młody attache natomiast przyglądał się jej poranionej twarzy. Powiedział łagodnie:

– Jest pani pewna, że niczego nie potrzebuje?

– Dziękuję. Moja podróż jest doskonale przygotowana. Żadnych problemów.

– Hotel? – zaryzykował Włoch. – Tłumacz?

Odwróciła się i przerwała mu:

– Naprawdę chce mi pan pomóc?

Giovanni złożył ukłon jak wenecki szlachcic. Diana z nieprzyjemną miną podniosła formularz.

– No więc proszę: nie mam wizy, żeby wjechać do tego kraju.

W odpowiedzi Włoch wytrzeszczył oczy z wyrazem czystego osłupienia.

– Nie ma pani wizy? – powtórzył.

Jego brwi zakreśliły jeszcze ostrzejszy łuk, na kształt dwóch wiszących sklepień. Był to wyraz zaskoczenia tak intensywny i pełen takiej niewinności, że Diana parsknęła śmiechem. Zrozumiała, że ten wspaniały grymas określa naturę ich przyszłych stosunków.

49

Giovanni jechał na złamanie karku po idealnie prostej drodze prowadzącej do Ułan Bator. Sprawy administracyjne zdołał załatwić w niecałą godzinę. Diana zrozumiała więc, z kim ma do czynienia: z czarodziejem papierzysk, człowiekiem, który mówi po mongolsku równie łatwo, jak po francusku i po włosku. Przebywała tu teraz na odpowiedzialność ambasady włoskiej jako coś w rodzaju niespodziewanego gościa, i ta nowa sytuacja wcale jej nie przeszkadzała. Przynajmniej na razie.

Otworzyła okno i wysunęła twarz na zewnątrz. Biały pył drogi wysuszał gardło. Czowała, jak pierzchną jej wargi, a skóra wysycha z szybkością wiatru. Z daleka widać było miasto, płaskie i szare jak tarcza, a nad nim dwa ogromne kominy elektrowni.

Diana zamknęła oczy i wdychała pełną piersią ten gorący powiew. Wrzasnęła, by przekrzyczeć hałas terenowego samochodu:

– Powietrze, czuje pan?

– Co?

– Takie... suche.

Giovanni roześmiał się w kołnierz swego anoraku. Krzyknął w odpowiedzi:

– Nigdy pani nie była w Azji Środkowej?

– Nie.

– Najbliższe morze jest chyba przeszło trzy tysiące kilometrów stąd. Nic nigdy nie łagodzi tu różnic temperatur, żaden wilgotny prąd, żaden pasat. Zimą bywa poniżej pięćdziesięciu stopni. Latem około plus czterdziestu. W ciągu jednego dnia zdarza się czterdzieści stopni różnicy. To jest, Dianko, klimat hiperkontynentalny. Klimat bezkompromisowy, bez niuansów.

Roześmiał się radośnie:

– Witamy w Mongolii!

Diana znów przymknęła powieki i pozwoliła się kołysać wybojom jezdni. Kiedy otworzyła oczy, wjeżdżali do stolicy. Ułan Bator był miastem o architekturze stalinowskiej, poprzecinanych szerokimi alejami, czasem asfaltowymi, częściej z ubitej gliny, wzdłuż których sterczały kolosalne gmachy z oknami wąskimi jak ostrze brzytwy. W cieniu tych olbrzymów małe osiedla, jednakowe i smutne, dzieliły między siebie resztę terenu. Wszystko zdawało się pomyślane,

zaprojektowane i zbudowane za jednym zamachem, przez architektów, którym spieszno było zastosować podstawowe zasady urbanistyki socjalistycznej: wielkość i potęga dla administracji, symetria i powtarzalność dla świata ludzi.

A przecież ludność widziana na ulicach była zaprzeczeniem tego rozmachu. Wielu mieszkańców miało na sobie tradycyjne *deel*, jak to nazywał Giovanni: pikowaną suknię skośnie zapinaną, przepasaną sukiennym pasem. Niektórzy jechali konno, między samochodami japońskich marek i nielicznymi czarnymi czajkami, które wyglądały, jakby przybyły tu z innej epoki. Ten kontrast obrazował pojedynek, który skrycie toczył się w tym kraju: Stalin kontra Czyngis-Chan. I kiedy porównywało się popękane ściany budynków i mieniające się kolorami stroje, nie ulegało wątpliwości, kto tu jest zwycięzcą.

Diana zobaczyła wielki hotel, którego parking zajmowało kilka autobusów. Spytała:

– Nie zatrzymujemy się tutaj?

– Nie idziemy do hotelu. Komplet. Kongres czegoś tam. Proszę się nie przejmować: mam rozwiązanie awaryjne. Umieścimy panią w buddyjskim klasztorze Gandan, u bram miasta. Mnisi mają pokoje gościnne.

Po kilku minutach dotarli do wielkiego betonowego bloku otoczonego pociemniałym od starości czerwonym murem. Budynek niczym szczególnym się nie wyróżniał, poza dachem o podwiniętych brzegach w najczystszy chińskim stylu. Za to w obrębie murów każdy szczegół zachwycał oczy. Kamienne ściany pokrywała patyna w kolorze ochry. Po dziedzińcu, banalnej cementowej płaszczyźnie, wiatr poruszał martwe liście, szeleszczące przy samej ziemi jak płomienie. Framugi okien, brązowe i odrapane, sprawiały wrażenie jakichś tajemniczych ram, zachęcających, by przechylić się przez nie i zagłębić w tajemnice klasztoru. W kilka sekund po przekroczeniu majestatycznej bramy z drewnianych belek całe to miejsce zamieniało się w jakąś złotą kolebkę, czarującą wzrok i obsypującą serce błyszczącym, drogocennym pyłem.

Diana zrobiła kilka kroków i zauważyła po prawej, na osłoniętej daszkiem części dziedzińca, młynki modlitewne. Ogromne pionowe beczki, bez wytchnienia obracające się wokół swych osi. Podziwiała jej już w Chinach, na granicy Tybetu. Czarowała ją sama myśl o tych zapisanych karteluzkach złożonych tu przez wiernych, prasowanych, mieszanych, obracanych w tych beczkach niczym drobiny religijnego żaru.

Pojawili się mnisi. Nie przypominali ogolonych i ucywilizowanych bonzów z Ranongu w Tajlandii. Nosili czerwone szaty i długie skórzane buty o zadartych noskach. Uśmiechali się do

Giovanniego, ale zdawało się, że trudno im wyzbyć się naturalnej posępności, twardości jeźdźców, nawykłych do pustki stepów. W końcu Włoch mrugnięciem oka dał Dianie do zrozumienia, że wszystko załatwione.

Umieszczono ją w małym pokoiku z drewnianą boazerią, gdzie z przyjemnością odnalazła samotność. Giovanni obiecał zająć się zezwoleniami, jakich wymagała podróż na północ kraju. Diana musiała mu co nieco powiedzieć o swoich planach. Wyjaśniła, że przygotowuje książkę na temat pozostałości radzieckich ośrodków naukowych na Syberii i w Mongolii. Pomysł spodobał się Giovanniemu: „Rozumiem – powiedział. – Archeologia współczesności”. I natychmiast zaproponował, że będzie jej towarzyszył. Z początku odmówiła, potem uległa jego argumentom. Nie miała żadnej szansy sama dotrzeć na czas do tokamaku.

Około czwartej po południu zeszła na dziedziniec klasztoru. Chciała porozkoszować się spokojem esplanady. Żadnych zapachów, z wyjątkiem woni palonych traw, dochodzącej z pobliskich stepów. Żadnych dźwięków, z wyjątkiem jakichś dalekich galopów, rozbrzmiewających za brunatno-żółtymi murami. Żadnych twarzy, jeśli nie liczyć kilku mnichów, którzy, opatuleni w ceglaste togi, przemykali od czasu do czasu w cieniu werandy.

Wszystko tu było jakiejś proste, czyste. Słońce. Chłód. Drewno. Kamień. I nic poza tym. Wielkie pionowe beczki obracały się powoli, pojękując od czasu do czasu, wnosząc między te rozmaite wrażenia wielkie ukojenie. Diana uśmiechnęła się. Wszystko tu było jej obce, a przecież ten trawnik, obsypany karmazynowymi liśćmi, słońce rzucające długie cienie, wydawały się osobiście swojskie. Znów widziała dziedziniec swojej szkoły podstawowej, mineralne drobinki, w które wpatrywała się z całą, na jaką ją było stać, uwagą, starając się przeniknąć ukrytą strukturę świata. Tu odnajdywała tę samą mieszaninę surowości i bliskości, chłodu i łagodności, która podczas dziecinnych zabaw brała ją bez reszty w swe władanie.

Nagle wzleciały do góry gołębie. Trzepot skrzydeł zadźwięczał w Dianie jak raptownie otwarte papierowe okienko. Chwila wydawała jej się tak czysta, tak intymna, jakby zrodziło ją jej własne oczekiwanie, własne pragnienie.

Z tyłu, za nią – kroki.

Na ganku pojawił się Giovanni, otulony w swój anorak, gładząc brodę wierzchem dłoni. Diana z prawdziwą przyjemnością przyglądała się temu człowiekowi. Przypominał małego chłopca, któremu dano za dużo słodczy. Albo te włoskie, ledwie oświetlone trattorie, gdzie za szybami mienia się różnokolorowe ciasta. Wszystko w nim kojarzyło się z tym łagodnym

przyływem łakomstwa, które czyha na człowieka około piątej po południu...

Spodziewała się, że młody człowiek wypowie jakieś wspaniałe słowa, słowa doskonale trafne, które wpasują się niczym klejnoty w kamień tej chwili. Ale Włoch położył sobie rękę na brzuchu i zapytał:

– Nie jest pani troszeczkę głodna?

Giovanni zaprowadził ją wprost do klasztornej refektarza. Jego zdaniem mnisi przyrządzali najlepszy w mieście *booz* – mongolską specjalność, pierożki nadziewane baranim mięsem. W ciągu popołudnia Włoch zebrał wszystkie konieczne zezwolenia i zorganizował wyjazd na jutro, na pierwszą w nocy. Żeby zyskać na czasie, postanowił spać w jednej z cel pierwszego piętra. Zakończył wyjaśnienia szerokim uśmiechem: zdawał się zdecydowany nie opuszczać Diany na krok.

Nie miała na to szczególnej ochoty. Bliskość, jaka się między nimi nawiązywała, krępowała ją, drażniła nawet. Czula się jeszcze głęboko wypełniona obecnością Patryka Langlois – jego niskim głosem, ostrym zapachem, ruchami, w których zawsze było coś z zabawy. Pojawienie się przy niej Włocha zakłócało te reminiscencje, profanowało niejako wspomnienia.

W jadalni, przy wielkim stole, usiadła naprzeciw i z lekka w skos od Giovanniego. Tak daleko jak tylko można, kiedy się je kolację we dwoje. Dyplomata nie skomentował tego w żaden sposób: zdawał się godzić z tajemniczością Diany. Włożył od razu rękę do miski z *booz* i wziął się z wielkim apetytem do pierożków. Diana natomiast ograniczyła się do bułeczek, nie chciała tknąć tych wielkich, tonących w tłuszczu okropności, pełniących tu obowiązki głównego dania.

Włoch mówił bez ustanku. Był właściwie etnologiem. W latach osiemdziesiątych napisał pracę o prześladowaniach ludów syberyjskich, zwłaszcza Tunguzów i Jakutów, przez władze komunistyczne. Potem chciał pojechać do tundry, za koło polarne, ale długo nie udawało mu się zorganizować wyprawy naukowej na te tereny. Zwrócił się wtedy ku dyplomacji i skierowano go w końcu na placówkę w Ułan Bator, na którą nikt nie miał ochoty. Wziął się z zapałem do badania narodowości nowego dla siebie terenu.

Diana słuchała go z roztargnieniem. Zajmowała ją inna rzecz: w pustej sali, kiepsko oświetlonej przez marne lampy, siedział jeszcze ktoś, Europejczyk w ciemnych okularach. Miał, na oko sądząc, około sześćdziesiątki, ale jego zaczesane do tyłu włosy barwy żółci nikotynowej nie kojarzyły się z żadnym konkretnym wiekiem. Giovanni zdawał się w ogóle nie zauważać tej dziwnej postaci. Odsunął talerze i wyciągnął z torby laptop.

– Wpisałem naszą trasę do mojego komputera. Chce pani rzucić okiem?

Diana obesła stół i pochyliła się nad świetlistym ekranem. Widać na nim było mapę

Mongolskiej Republiki Ludowej. Wszystkie nazwy były wypisane cyrylicą. Giovanni zarysował kursorem kółko w środku całego terytorium. „Jesteśmy tutaj”. Potem nakreślił długą, skośną kreskę w górę. Urywała się na niebieskim punkciku, przedstawiającym z pewnością jezioro, pod granicą rosyjską.

– Jedziemy tam. Nad Cagaan Nur. Jezioro Białe.

Krecha przecięła prawie całą powierzchnię mapy.

– To jest... aż tak daleko? – spytała Diana.

– Tak, tysiąc kilometrów na północny zachód. Polecimy najpierw samolotem do Mórón. O, tutaj. Potem przesiądziemy się do innego samolotu, do wsi Cagaan Nur. Tam będziemy musieli kupić renifery, żeby dotrzeć do samego jeziora.

– Renifery?

– Nie ma innej drogi. Inaczej się tam nie dojedzie.

– Ale... dlaczego nie konie?

– Będziemy musieli sforsować przełęcz na wysokości przeszło trzech tysięcy metrów. Na tej wysokości jest już tundra. Rosną tylko mchy i porosty. Żaden koń nie przeżyje.

Diana zaczynała zdawać sobie sprawę, w jak daleką podróż się wybrała. Jakby dla uspokojenia rozejrzała się za jakimś swojskim drobiazgiem, przedmiotem. Jej wzrok padł na termos stojący na stole. Był z czerwonej laki z nadrukowanymi chińskimi kwiatami. Nalała sobie następną filiżankę herbaty i przyglądała się długim, brunatnym listkom pływającym w czerwonym płynie. Spytała jeszcze:

– Jak długo będziemy lecieć z Ułan Bator do wsi Cagaan Nur?

– Jeden dzień. Jeśli od razu złapiemy następny samolot.

– A potem ile czasu trzeba, żeby dotrzeć do jeziora?

– Myślę, że jeden dzień.

– A od jeziora do tokamaku?

– Tylko kilka godzin. Ośrodek mieści się w okolicy, za pierwszą górą łańcucha Chordil Sar'dag.

Pomyślała o sakramentalnej dacie – 20 października – i policzyła. Gdyby wyjechała jutro, 17 października, mogłaby dotrzeć na czas, a nawet o dzień wcześniej. Wypiła łyk herbaty i spytała:

– Nigdy pan tam nie był?

– Nikt tam nigdy nie był! Aż do połowy lat dziewięćdziesiątych była to jeszcze strefa

zamknięta i...

– Co pan wie o tokamaku? – przerwała mu.

Giovanni zrobił niezdecydowany ruch.

– Niewiele – odpowiedział. – Był to, zdaje się, ośrodek badań nad fuzją jądrową. Ale więcej nie umiem powiedzieć. To naprawdę nie mój rewir.

– Wie pan, że w TK siedemnaście mieściła się pracownia parapsychologiczna?

– Nie. Pierwsze słyszę. Ta dziedzina też panią ciekawi?

– Interesuje mnie wszystko, co dotyczy tego ośrodka.

Giovanni zamyślił się nagle. Po kilku sekundach mruknął:

– To zabawne, że pani mi o tym mówi.

– Dlaczego?

– Bo miałem już do czynienia z takimi ośrodkami, kiedy pisałem doktorat.

Diana zdziwiła się:

– Myślałam, że pańskie prace dotyczyły prześladowań narodowości syberyjskich.

– Właśnie.

– Właśnie co?

Włoch zrobił konspiracyjną minę. Zerknął w kierunku człowieka w czarnych okularach i powiedział z ironicznym śmieszkiem:

– Uwaga na słowiańskich szpiegów.

Przysunął się do niej, z łokciami opartymi na stole.

– Proszę posłuchać. Jeden z rozdziałów mojej pracy dotyczył prześladowań religijnych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Sądzi się zwykle, że czasy Chruszczowa były bardziej liberalne, ale co do religii to nieprawda. Szczególnie zaczęto wtedy uciskać wyznania mniejszościowe: wśród chrześcijan, na przykład, najbardziej ucierpieli baptyści, wśród ludów żyjących w tajdze i tundrze – buddyści, animiści. Chruszczow kazał wtedy pozamykać wszystkich łamów, wszystkich szamanów, a potem spalić świątynie i sanktuaria.

– Co to ma wspólnego z pracowniami parapsychologicznymi?

– Do celów mojej pracy mogłem w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim korzystać z archiwów słynnego archipelagu gułag: Norylsk, Kołyma, Sachalin, Czukotka... Krótko mówiąc, spisałem wszystkich szamanów, więzionych w tych obozach pracy. Była to praca nudna, ale łatwa: pochodzenie każdego więźnia oraz powody jego uwięzienia

odnotowywano w aktach. Wtedy to stopniowo wykryłem coś niewiarygodnego.

– Co?

– Pod koniec lat sześćdziesiątych wielu tych szamanów: Jakutów, Nieńców, Samojedów, przeniesiono.

– Przeniesiono dokąd?

Włoch znów rzucił krótkie spojrzenie w kierunku człowieka o żółtych włosach, który siedział zupełnie bez ruchu.

– Tu właśnie rzecz robi się ciekawa – powiedział. – Poszedłem tym tropem i stwierdziłem, że nie wysłano ich do innych obozów, tylko do pracowni naukowych.

– Pracowni?

– Tak. Na przykład do departamentu numer osiem Syberyjskiej Akademii Nauk w Nowosybirsku. Do pracowni parapsychologicznych. – Włoch zdawał się zafascynowany własnym śledztwem. Blask świateł odbijał się od szkieł jego okularów i padał na źrenice. Dokończył już najcichszym szeptem: – Rozumie pani, prawda? Parapsychologowie potrzebowali do swoich doświadczeń osobników o właściwościach paranormalnych, ludzi, którym przypisuje się zdolności telepatyczne, ponadnaturalne możliwości percepcji. Otóż z tego punktu widzenia gułag był prawdziwą kopalnią, bo siedziało tam mnóstwo azjatyckich czarowników.

Dianie cała ta historia wydawała się nieprawdopodobna.

– Nic nie dowodzi, że ci szamani mieli jakiegokolwiek szczególne zdolności!

– Oczywiście. I tak czy inaczej – nie wyobrażam sobie, żeby mieli zdradzać swoje tajemnice rosyjskim naukowcom. Ale byli to ludzie oswojeni z transami, hipnozą, medytacją... wszystkim, co określa się jako zmodyfikowane stany świadomości. Nadawali się więc bardziej niż ktokolwiek do doświadczeń parapsychologicznych.

Diana czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Pomyślała o TK 17 i kolejny raz zadała sobie pytanie: czy to możliwe, by uczeni z laboratorium w jakiś sposób rozszyfrowali i przyswoili sobie zdolności szamańskie, które badali w swoim ośrodku? Spytała:

– Co pan wie na temat tych doświadczeń?

– To jeden z najtajniejszych sektorów nauki radzieckiej. W tym, co miałem okazję przeczytać, nie znalazłem żadnego śladu jakiegoś znaczącego wyniku. Ale kto wie, co się działo w samych pracowniach? Nie chciałbym być na miejscu tych szamanów. Rosjanie musieli ich traktować po prostu jak doświadczalne świnki morskie.

Diana wyobraziła sobie tych ludzi, wyrwanych z rodzinnych stron, zamkniętych w lodowatych obozach, a potem używanych do jakichś tajemniczych doświadczeń. Młodości podchodziły jej do gardła niczym przypływ po katastrofie tankowca.

– W TK siedemnaście – spytała – musieli posługiwać się szamanami ceweńskimi, prawda?

Na twarzy Giovanniego odbiło się zaskoczenie:

– Skąd pani zna tę nazwę?

– Zasięgałam informacji na temat tego regionu. Myśli pan, że mogli w to wciągnąć Cewenów?

– Nie ma takiej możliwości.

– Dlaczego?

– Ponieważ od lat sześćdziesiątych lud ceweński nie istnieje.

– Co też pan opowiada?

– Prawdę. To jest fakt potwierdzony niedawno przez etnologów mongolskich. Cewenowie nie przetrwali kolektywizacji.

– Niech mi pan opowie o tym coś więcej.

– Kolektywizacja została w Mongolii Zewnętrznej doprowadzona do skutku dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ogłoszono oficjalnie, że w kraju nie ma ani jednego prywatnego właściciela. Wszystkie grunta zostały skomasowane, podzielone na nowo, przydzielone kołchozom. Koczowników osiedlono. Ich namioty zniszczono, zbudowano domy. Bydło skonfiskowano i rozdzielono między kołchozy. Cewenowie nie pogodzili się z tym: Woleli własnymi rękoma pozabijać bydło niż odstąpić je partii. Działo się to zimą; większość zmarła z głodu. Powtarzam pani: ta narodowość już nie istnieje. Dziś żyje jeszcze zapewne trochę osób pochodzenia ceweńskiego, ale wykorzenionych ze swej kultury i mających mongolskich współmałżonków.

Diana wyobraziła sobie równiny pokryte okrwawionymi reniferami. Zorganizowana masakra własnych stad. Coś w rodzaju zbiorowego samobójstwa. Wyobraziła sobie ceweńskie kobiety i dzieci umierające z zimna i głodu. Każdy kolejny krok zbliżał ją do epicentrum Zła.

Ale jednocześnie ten fakt nie pasował do jej informacji. Diana miała dowód, że Cewenowie – i ich tradycje – wciąż istnieją. Świadczyło o tym samo istnienie „Luu-Si-Anów”. Byli pochodzenia ceweńskiego. Mówili po ceweńsku. Byli Strażnikami, wtajemniczonymi przez szamanów. Giovanni mylił się, ale ona nie wdawała się w wyjaśnienia. Była to po prostu jeszcze

jedna tajemnica, dodana do całej masy tajemnic i niemożliwości, znaczących jej drogę.

Włoch szukał teraz wtyczki telefonicznej, żeby sprawdzić swoją pocztę elektroniczną. Te jego poszukiwania przebudziły w umyśle Diany pewne wspomnienie – dalekie, pogrzebane, niemal zapomniane, które jednak zabłysło z nagłą jak oszlifowany diament. Patryk Langlois, odwożąc ją do domu po masakrze w Saint-Germain-en-Laye, powiedział: „Kiedy będę chciał się pani zwierzyć, wyślę e-mail”.

A jeżeli policjant przesłał jej wiadomość nazajutrz, kiedy myślał, że ona uciekła na dobre? Ruchem podbródka wskazała komputer Giovanniego i spytała:

– Czy mogę zajrzeć do mojej skrzynki pocztowej przez pański laptop?

Zasiedli w jednej z klasztornych sal do pracy. Ściany były wyłożone sosnową boazerią, podłoga – parkietem z szerokich klepek. Drewniane były też pulpity. Anemiczna żarówka rzucała na te brązowe powierzchnie złotawą jasność. Wszystko przenikało jeszcze wspomnienie cierpliwości i skupienia mnichów, którzy niczym gwiazdy czystej medytacji co dnia pochylali się nad swymi księgami na tych paru metrach kwadratowych.

Włączyli laptop do jedynej wtyczki telefonicznej. Giovanni uprzejmie pozwolił Dianie pierwszej sprawdzić pocztę. Stosowali te same programy wyszukiwania i komunikacji. Wystarczyło jej kilka kliknięć, by połączyć się z serwerem i otworzyć swoją skrzynkę. Znalazła mnóstwo wiadomości, układających się w listę znajomych nazwisk i haseł.

Szukała tylko kilka sekund. Wśród maili z 14 października jeden był podpisany *Langlois*. Otrzymany o trzynastej trzydzieści cztery, czyli pół godziny przedtem, nim ona zadzwoniła do niego z nicejskiego szpitala. Jej domysł był trafny: policjant, sądząc, że uciekła, zostawił jej krótki liścik w nadziei, że dowie się z niego, co zdążył wykryć.

Kliknęła w ikonkę i list się otworzył. Czowała, dosłownie, że serce bije jej w całym ciele.

Od: Patryk Langlois

Do: Diana Thiberge

14 października 1999 r.

Diano, gdzie się Pani podziewa? Od kilku godzin wszyscy moi ludzie polują na Panią. Co znowu strzeliło Pani do głowy? Gdziekolwiek Pani jest i cokolwiek postanowiła, powinna Pani znać ostatnie informacje. Kiedy tylko dostanie Pani tę wiadomość, proszę koniecznie do mnie zadzwonić. Niema już Pani innej drogi, jak tylko mi zaufać.

Diana kliknęła myszą, by przeczytać dalszy ciąg.

Dzwonili do mnie dziś rano niemieccy policjanci prowadzący śledztwo. Stwierdzili, że van

Kaen dokonał kilku przelewów pieniędzy na konto pewnego młodego małżeństwa z Poczdamu, koło Berlina. Z zebranych wiadomości zdaje się wynikać, że żona, Ruth Finster, w roku 1997 miała operację ginekologiczną w szpitalu Die Charite i poznała tam van Kaena. Najwyraźniej lekarz został jej kochankiem.

Nie to jednak jest ważne. Idzie o to, że ta kobieta, która została bezpłodna wskutek operacji, zaadoptowała niedawno, we wrześniu tego roku, małego Wietnamczyka z pewnego sierocińca w Hanoi, finansowanego w dużej mierze przez van Kaena.

Diana musiała napiąć wszystkie mięśnie twarzy, żeby nie zacząć krzyczeć. Nowe kliknięcie. Nowa partia tekstu:

Od razu zasięgnąłem informacji na temat Filipa Thomasa, inaczej Francois Brunera. W godzinę znalazłem to, czego szukałem: w tymże 1997 roku były szpieg wziął pod opiekę jedną ze swych współpracowniczek, Martine Vendhoven, trzydzieści pięć lat, specjalistkę od malarstwa fowistów. Znak szczególny: ta mężatka cierpi na niewydolność jajników i nie może mieć dzieci. Pod koniec sierpnia adoptowała małego Kambodżańczyka z ośrodka w Siem Reap, w okolicach świątyni Angkor. Adopcja została zorganizowana przez pewną fundację kambodżańska. Filip Thomas jest jednym z jej głównych darczyńców.

Diana nie spuszczała oczu z tekstu. Każde słowo zadawało jej gwałt, jakby wbijano gwoździe w jej ciało.

Oczywiście te podobieństwa nie mogą być zwykłym zbiegiem okoliczności. Ci ludzie, byli komuniści, których łączy przeszłość związana z Mongolią i tokamakiem, urządzili się tak, żeby sprowadzić w tym samym czasie kilkoro azjatyckich dzieci. Bez wątplenia Strażników, pochodzących z okolic ośrodka nuklearnego.

Diano, nie ulega wątpliwości, że bezwiednie adoptowała pani dziecko potrzebne komuś z Pani bliskich. Chodzi o człowieka w pewnym wieku, który może mieć za sobą jakąś przeszłość radziecką. Kto to może być? To Pani musi go znaleźć. To Pani musi mi to powiedzieć.

A zwłaszcza – musi się Pani ze mną skontaktować możliwie najszybciej.

Kar I Gustav Jung mówił, że to nie autorzy wybierają sobie bohaterów, tylko bohaterowie

wybierają sobie autorów. Myślę, że to samo jest z przeznaczeniem. Kiedy zamykam oczy, próbuję sobie Panią wyobrazić jako kobietę zamężną, szczęśliwą, matkę kilkorga zwyczajnych dzieci. Proszę nie mieć mi tego za złe, ale to mi się nie udaje. To jest komplement.

Proszę do mnie zadzwonić.

Całuję Panią.

Patryk

Jednym dotknięciem klawisza Diana usunęła dokument. Giovanni, który trzymał się dyskretnie o kilka metrów dalej, podszedł i spytał:

– Dobre wiadomości?

Diana nie potrafiła podnieść oczu. Odpowiedziała po prostu:

– Pójdę się położyć.

Wszystko stało się w jego willi w Luberon, o godzinie, kiedy owady nareszcie milkną. Diana zapamiętała zwłaszcza kolory, które w miarę jak zapadał mrok, stawały się coraz bardziej soczyste. Ochra kamieniołomów nad wiązami i świerkami. Jasny fiolet nieba, które wraz z nasuwaniem się zmierzchu z wolna nabierało barw tęczy. I zbyt ostry, zbyt sztuczny błękit basenu, chlupoczącego kilka metrów od niej.

Mężczyzna mówił z powagą, pociągając od czasu do czasu cygaro, a ona przyglądała się, jak woluty dymu giną w cieniach zmierzchu. Myślała o tym, jak sny o potędze, echa władzy, rozplývają się pośród obojętnej natury.

Tamtego sierpnia 1997 roku doradził jej, żeby adoptowała dziecko. Diana myślała już przedtem o takim rozwiązaniu, ale ten wieczór przypieczętował jej decyzję.

Blisko rok później, w marcu 1998 roku, zaproponował jej, że osobiście postara się przyspieszyć formalności. Może zadzwonić do odpowiedniego urzędu. Może skontaktować się z ministrem spraw socjalnych. Może wszystko. Diana najpierw odmówiła, ale potem, kiedy zrozumiała, że jej kandydaturę zepchnięto na dno szuflady, przyjęła jego pomoc – pod jednym warunkiem: że nie wspomni o tym jej matce.

Kilka miesięcy później otrzymała zgodę i mogła wystąpić o adopcję z zagranicy. Jej rozmówca skierował ją wtedy do sierocińca wspieranego przez organizację, którą sam finansował, fundację Boria Mundi.

We wrześniu Diana poleciała do Ranongu i zabrała stamtąd Lucjana. Wróciło do niej jedno wspomnienie, bardzo wyraźne: w wieczór wypadku, kiedy razem z chłopcem była u matki, ten człowiek wyszedł na podest schodów i przyglądał się dziecku. Wydawał się wstrząśnięty, a potem, chociaż nic tego gestu nie zapowiadało, pocałował ją, Dianę. W pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, dlaczego. Nie mogła tego uznać za zwykłą zaczepkę podrywacza i miała rację. Pocałunek oznaczał coś innego – człowiek skrywający w sobie tajemnicę właśnie otrzymał swego Strażnika. Człowiek o przerażającej przeszłości, okopany za swym nieodgadnionym uśmiechem, czekał na konkretną datę, by powrócić na osłonięte ciemnością tereny swojej młodości.

Charles Helikian, lat pięćdziesiąt osiem. Właściciel kilku gabinetów doradztwa w dziedzinie

psychologii pracy. Osobisty doradca wielkich francuskich przedsiębiorców, konsultant strategiczny kilku ministrów i osobistości politycznych. Człowiek image'u i wpływu, obracający się w najwyższych sferach władzy, który jednak nigdy nie zatracił swego altruizmu, swych ludzkich uczuć.

Diana nie wiedziała nic o jego przeszłości. Z jednym wyjątkiem, który mógł mieć jakiś związek ze sprawą: Charles był niegdyś goszystä, związanym z trockistami. Tak przynajmniej mówił, wspominając z błyskiem w oku swoją burzliwą młodość. Ale może był raczej komunistą, bezkompromisowym i twardym, członkiem partii na tyle fanatycznym, by w roku 1969 przekroczyć żelazną kurtynę, jak Filip Thomas? Helikian był dość inteligentny, by przyznawać się dziś do półprawdy i ucinąć w ten sposób wszelkie pytania o jego przeszłość.

Wyobrażała go sobie dość dobrze: młodego, szczupłego, wykrzykującego swój gniew na barykadach 1968 roku. Wyobrażała sobie też, jak spotyka Filipa Thomasa na ławach wydziału psychologii w Nanterre. Po niepowodzeniu powstania paryskiego rewolucyjnego zapalony obu mężczyźni złożyły się zapewne w jeden szalony projekt: osiąść w sercu czerwonego kontynentu. Z pewnością łączyło ich również zainteresowanie zjawiskami paranormalnymi i mieli nadzieję, że pogłębią te studia w ZSRR.

Obraz zaczynał się zarysowywać. Dotarłszy do związku Radzieckiego, zbiegowie podjęli pracę w pracowni parapsychologii tokamaku. Uczestniczyli w doświadczeniach w TK 17. Należeli do tego samego kręgu ludzi, poszukujących niemożliwego.

Diana nie zapaliła w swym pokoiku nocnej lampki. Wsunęła się w ubranie w głąb śpiwora i zwinęła w kłębek, podciągając kolana do piersi. Od przeszło trzech godzin rozmyślała. I była coraz pewniejsza jednego: ojczym oszukiwał ją, manipulował nią, wykorzystywał w swoich celach, bo znalazł w niej idealną ofiarę. Doskonałą matkę dla swego Strażnika.

Próbowała teraz połączyć ze sobą inne fakty, które zdarzyły się po przybyciu Lucjana do Paryża. Z niewiadomego jej powodu Filip Thomas i Charles Helikian byli teraz wrogami i Thomas próbował usunąć strażnika Helikiana: chciał w ten sposób nie dopuścić, by ten dowiedział się o dniu spotkania i udał się do tokamaku. Dlaczego? Czy Charles był dla tego drugiego niebezpieczny? Jeśli on też posiadał jakieś paranormalne zdolności, to jakie? Diana przypuszczała, że to ojczym skontaktował się z van Kaenem, innym towarzyszem z tamtego kręgu, aby spróbował mu pomóc akupunkturą. Widziała, że wśród dawnych członków ekipy pracowni parapsychologicznej nawiązują się sojusze i rywalizacje. Ale w imię czego?

Czy Charles Helikian jeszcze żyje?

Jeśli tak, to czy także zmierza w kierunku kamiennego kręgu?

Ta rzecz była najłatwiejsza do sprawdzenia. Diana usiadła na łóżku i spojrzała na zegarek. W ciemnościach świecące wskazówki pokazywały trzecią nad ranem. W Paryżu była zatem dwudziesta.

Wstała i po omacku podeszła do ściany. Wzięła do ręki swój telefon satelitarny. Wciąż po ciemku skierowała antenkę aparatu na mały, granatowy kwadrat okna. Na kwarcowym ekranie stwierdziła, że nie ma łączności.

Nie zakładając butów, wyszła na korytarz.

Był pusty. Czowała chwiejące się pod stopami źle dopasowane deski. Stopniowo jej oczy nawykły do półmroku. Dostrzegła na końcu korytarza księżycowy blask szyby: tego właśnie jej było trzeba.

Podeszła do okna, chwyciła za klamkę i pociągnęła. Lodowaty wiatr uderzył w nią gwałtownie, ale przez to poczuła, że nawiązuje kontakt z odległym światem satelitów. Wsunęła telefon na zewnątrz i spojrzała na ekran: sygnał dochodził. Błyskawicznie wybrała numer mieszkania przy bulwarze Sucheta. Żadnej odpowiedzi. Wystukała numer telefonu komórkowego matki. Kilka elektronicznych pisków, trzy dalekie sygnały, wreszcie znajome „Halo?”.

Nie odezwała się. Sybilla zapytała od razu:

– Diana, to ty?

– Tak, to ja.

Matka wystartowała od razu na najwyższych obrotach:

– Do diabła, co się dzieje? Gdzie jesteś?

– Nie mogę ci powiedzieć. Jak się czuje Lucjan?

– Znikasz, policja cię szuka, a ty dzwonisz ot tak sobie, bez słowa wyjaśnienia?

– Jak się czuje Lucjan?

– Powiedz mi najpierw, gdzie jesteś?

Cud technologii działał bez zarzutu. Z odległości dziesięciu tysięcy kilometrów dwie kobiety wymyślały sobie w najlepsze. Diana powiedziała bardzo głośno, wychylając się przez okno:

– W ten sposób nigdy nie skończymy. Powtarzam ci, że nie mogę ci nic powiedzieć.

Uprzedzałam cię, co będzie.

Sybilla sprawiała wrażenie zadyszanej. Mówiła dalej:

– Policjant, który zajmował się sprawą, nie...

– Wiem.

– Mówią, że jesteś w to wmieszana, tak samo jak w śmierć jakiejś kobiety, ja...

– Powiedziałam ci, żebyś mi ufała.

Matka spytała łamiącym się głosem:

– W końcu zdajesz sobie sprawę, co się dzieje?

Sybilla zaczynała przegrywać starcie. Diana powtórzyła:

– Jak się czuje Lucjan?

Głos Sybilli osłabł jeszcze bardziej, jej ciężki oddech rozlegał się po każdym słowie:

– Bardzo dobrze. Coraz lepiej. Czasem się uśmiecha. Zdaniem Daguerre'a, ocknie się lada dzień.

Po zylach Diany rozlała się fala ciepła. Znów zobaczyła kąciki maleńkich ust, unoszące się w radosny łuk. Może kiedyś znów będą razem, w spokoju i szczęściu. Zapytała:

– A gorączka?

– Spadła. Temperatura jest stabilna.

– A... w szpitalu? Nie stało się nic dziwnego?

– Co się miało stać? Jeszcze ci mało?

Diana widziała, że potwierdzają się wszystkie jej przypuszczenia. Już nie było mowy o transach ani o atakach. Luu-Si-Anowie byli teraz poza grą, poza niebezpieczeństwem. Pole walki przenosiło się teraz do tokamaku. Matka krzyknęła znowu:

– Jak mogłaś mi coś takiego zrobić? Szaleję z niepokoju.

Diana skierowała wzrok w ciemność bezładnego miasta.

Widziała wielką aleję, ciągnącą się wzdłuż klasztoru, światła nielicznych japońskich samochodów, białych od pyłu, przemierzających lodowatą noc. Na drugim końcu linii usłyszała w tle szum ruchu ulicznego. Wyobraziła sobie błyszczące karoserie, nowoczesne latarnie ulic paryskich. A teraz – najważniejsze pytanie:

– Charles jest z tobą?

– Właśnie idę się z nim spotkać.

Dwudziesta. Godzina przyjęć. Diana zrozumiała, dlaczego jej matka jest zadyszana: pewnie szła właśnie wielkimi krokami na miejsce spotkania, na kolację lub jakiś spektakl. Spytała:

– A jak się czuje?

- Niepokoi się, tak jak ja.
- Nic szczególnego u niego?
- Co masz na myśli?
- Nie wiem: nie wybiera się w podróż?
- Ale... wcale nie. Co ty znowu wygadujesz?

Znów rozsypywała się kolejna jej hipoteza. Wszystkie przypuszczenia kończyły się impasem. Diana zdała sobie nagle sprawę z bezpodstawności swych podejrzeń. Jak mogła łączyć ojczyzna z chaosem, który ją ogarnął? Włączyć to paryskie życie, spokojne i beztrioskie, w tryby własnego koszmaru?

Z tyłu za nią rozległ się jakiś dźwięk. Rzuciła okiem w kierunku korytarza, który zaczynał się po jej lewej ręce. Nikogo. Ale ten sam dźwięk rozległ się jeszcze raz, wyraźniej. Wymamrotała, nim się rozłączyła:

- Zadzwoń.

W tej samej chwili około dwudziestu metrów od niej pojawił się jakiś cień. Niewysoki mężczyzna, odwrócony do niej plecami, w długim płaszczu i przekrzywionej futrzanej czapce. Diana w mgnieniu oka zobaczyła w myśli fotografię ceweńskiego fizyka w takim samym nakryciu głowy. „Talich...” – wymamrotała.

Poszła za nim. Postać lekko się zataczała, co pewien czas opierała o ścianę. Jedna rzecz zaintrygowała Dianę: prawy rękaw był podwinięty do łokcia. Mężczyzna dotarł do końca korytarza. Pochylił się nad zlewem, w który wyposażone było każde piętro i który pełnił funkcję czegoś w rodzaju wspólnej łazienki. Diana podeszła bliżej. Cień uruchomił mechanizm lewą ręką, podstawiając jednocześnie prawe ramię pod blaszany kran. Woda popłynęła nie od razu.

Diana zamarła. Instynktownie zwróciła głowę ku prawej ścianie i zobaczyła na niej odcisk drobnej dłoni: krwawy ślad. W tej samej chwili znów zobaczyła przygarbioną sylwetkę i dostrzegła czarny cień wsuniętego pod kran ramienia. Diana, osłupiała, zrozumiała sytuację: o kilka metrów przed sobą miała zabójcę. Zabił przed chwilą, tu, w klasztorze.

Człowiek w uszance odwrócił się do niej. Twarz zasłaniał mu czarny, wełniany kaptur. Przez otworki w nim Diana zobaczyła jego oczy, a właściwie ich blask: błyszcząły wśród nocy jak dwie szkliste krople. Miała wrażenie, że zabójca czyta w jej myślach, że w jej spojrzeniu zobaczył jak w lustrze swoją tożsamość mordercy. W sekundę potem już go nie było. Sama nie wiedząc, co robi, Diana ruszyła sprintem. Skręciła w pierwszy załom korytarza i zobaczyła tylko

pustkę. Korytarz miał przeszło pięćdziesiąt metrów długości. Zabójca nie mógł pokonać tej odległości w kilka sekund. Pokoje. Schował się w jednej z cel tego piętra...

Zwolniła kroku, przyglądała się drzwiom po prawej i po lewej. Nagle poczuła chłodniejszy powiew i podniosła wzrok. Uchylony lufcik. Lewa ściana, wyłożona nierównymi deskami, mogła doskonale posłużyć za drabinę. Diana jednym skokiem przechyliła się przez framugę i oparła obiema rękami na drewnianym gzymsie.

Zachwyił ją przepych nocy. Usiane gwiazdami niebo barwy indyga. Dachówki dachu opadające łagodną pochyłością. Jego zadarty skraj, wyginający się w łuk nad pustką niczym dziób starożytnego okrętu. Czowała się, jakby przedarła się przez ściankę z ryżowego papieru, jakby przeszła na drugą stronę azjatyckiego obrazka. Poruszała się teraz niczym pędzelek do tuszu po szkicu – w samej esencji wdzięku.

Nie było nikogo. Mógł się schować tylko za kominem. Diana ruszyła w górę, ku szczytowi dachu. Mimo strachu, mimo zimna, oczarowanie nie ustępowało. Miała poczucie, że chodzi po drobnych, czerwonych falach morza z palonej gliny. Dotarła do żebra dachu i podsunęła się do komina. Okrążyła go powoli. Nikogo. Żadnego szmeru, żadnego drzenia.

W tej chwili dostrzegła prosto przed sobą, na szczycie komina, cień skulonego człowieka. Znów odniosła wrażenie, że zabójca czyta w jej myślach, a ona z kolei widzi jego zdecydowanie: musi ją zabić, żeby nie mogła mówić. Przez czas, jakiego potrzebowała, żeby to zrozumieć, ciemny kształt powiększył się, wyciągnął w czarną krechę. A potem przygniótł ją straszliwy ciężar. Diana upadła, ale jakaś ręka od razu ją pochwyciła. Spojrzała w górę: to on trzymał ją za sweter, przykucnięty na dachu jak zwierzę. Jego opadające nauszники odcinały się na ciemnym błękicie nocy.

Diana nie miała siły walczyć. Bardziej niż strach dobijały ją zmęczenie i rozpacz. I jeszcze coś bardziej utajonego, niejasnego: nasilające się wrażenie, że już kiedyś przeżyła tę scenę. Rozchyliła wargi, może chciała jęknąć, może błagać, ale napastnik chwycił ją i wciągnął aż na szczyt dachu. Leżała na plecach.

Potwór pochylił się nad nią i rozdziawił bardzo szeroko usta. Powoli, jak w jakimś liturgicznym geście, zbliżył zakrwawione palce do warg. Diana zobaczyła nagle, czego szuka jego ręka: pod językiem lśniło mu ostrze nożyka do kartonu. Wyprostowała się gwałtownie. Nie mogła umrzeć w ten sposób. Dachówki pod jej stopami zaczęły się osypywać. Wstąpiła w nią szalona nadzieja: zsunąć się po dachu, rzucić się w dół. Złączyła nogi i kopnęła zabójcę w pierś.

Przeturlała się w prawo, zsuwała po glinianych dachówkach. Co sekunda – wstrząs. Zjeżdżała coraz szybciej. Nie czuła nic, tylko krawędzie dachówek i nocny chłód, wciągała ją głębia czekającej na nią przepaści. Śmierć. Spokój. Ciemność.

Przekoziołkowała przez krawędź dachu i poczuła, jak jej ciało leci w dół.

Nie spadła jednak. Odruchowo chwyciła z całej siły za krawędź dachu. Kanty dachówek pod palcami, lodowaty wiatr, kołyszący ją z prawa na lewo – i jej ręce, kurczowo czepiające się życia... Świadomość Diany nie brała już w tym wszystkim udziału: ciało zadecydowało za nią. Była to koalicja mięśni i nerwów, zawiązana, żeby przeżyć.

Nagle dwie ręce chwyciły ją za nadgarstki. Zatkalo ją, gdy podniosła oczy. Nad nią, na tle nieba, odcinała się twarz Giovanniego i ten tak dla niego charakterystyczny wyraz osłupienia. Zniknął nagle. Słyszała, jak charczy z wysiłku, potem poczuła, jak jednym szarpnięciem wciąga ją do góry. Padła na dach jak worek, złamana, półżywa.

– Jak tam? – spytał Giovanni.

Diana ledwie zdołała wymamrotać:

– Zimno.

Włoch zdjął sweter i okrył jej ramiona. Zapytał:

– Co się stało?

Diana, nie odpowiadając, zwinęła się w kłębek. Giovanni przyklęknął. Jego głos wibrował wśród nocy:

– Mnisi... Odkryli... trupa w jednym z pokoi...

Ściskając kolana ramionami, Diana powoli kołysała się w przód i w tył.

– Zimno mi.

Włoch zawahał się, potem szepnął:

– Trzeba zejść. Przyjedzie policja.

Spojrzała na niego, niemal dziwiąc się jego obecności. Patrzyła na jego delikatne rysy rozpieszczonego dziecka, na to zdumienie normalnego człowieka, żyjącego w normalnym świecie. Wszeptała wreszcie:

– Giovanni... trzeba będzie nauczyć się...

– Nauczyć się?

Czuła, że łzy spływają jej po twarzy.

– Nauczyć się mnie znać.

54

Zaspani mnisi siedzieli łokieć w łokieć wzdłuż nędznie oświetlonego korytarza. Policjanci – może wojskowi, Diana nie wiedziała – zdecydowali się na masową łapankę: opróżnili klasztor z mieszkańców i przewieźli wszystkich do jakiegoś budynku administracyjnego, gdzieś w Ułan Bator. Był to gigantyczny betonowy sześcian, poprzecinany długimi korytarzami i podzielony na małe pokoiki o nagich ścianach i popękanych oknach łątanych tekturą. Szpary w podłogach przypominały rynsztoki, a ściany były tak popękane, że rysy wyglądały w mroku na kontury jakichś skamieniałych drzew.

Dianę i Giovanniego potraktowano ze szczególnymi względami. Czekali w gabinecie jakiegoś oficera przy beznadziejnie wygaszonym poczerńiałym piecyku. Naciągnęli na głowy kaptury i szczękali zębami, nie mogąc się rozgrzać. Z jakiegoś tajemniczego powodu – a może przez pomyłkę – byli w tym pomieszczeniu sami, mając za jedyne towarzystwo walizkę i ubrania zabrane z pokoju ofiary. Diana wyjrzała przez uchylone drzwi i podeszła do tych rzeczy:

– Co pani robi?

W lodowatej ciemności głos Giovanniego miał w sobie coś nierzeczywistego, magicznego niemal. Odpowiedziała, nie patrząc na niego:

– Widzi pan przecież, przeszukuję.

Wsunęła rękę w kieszeń czarnego, wełnianego płaszcza. Wyciągnęła stamtąd paszport oliwkowego koloru. Rozpoznała złożone godło i litery wyciśnięte na okładce: „Republika Czeska”. Otworzyła dokument i odczytała nazwisko: JOCHUM HUGO. Zdjęcie rozpoznała bez trudu: starzec w ciemnych okularach, który kilka godzin temu siedział przy stoliku w klasztornej jadalni. Twarz pomarszczona, miedzianej barwy, z czołem naznaczonym brązowymi plamkami.

Bez żadnej wątpliwości kolejny członek ekipy tokamaku w drodze do kamiennego kręgu.

Pomyszkowała w innych kieszeniach, ale nie znalazła nic. Podeszedł Giovanni:

– Oszalała pani, czy jak?

Diana grzebała teraz w walizce. Zameczki nie były zamknięte na kluczyk. Kilkoma szybkimi ruchami zbadła zawartość. Droga bielizna, kaszmirowe swetry, markowe koszule. Właściciel dysponował zdaje się o wiele większymi środkami niż przeciętny Czech. Szukała dalej. Dwa kartony papierosów. Koperta z dwoma tysiącami dolarów. I wśród ciuchów – napisana po

niemiecku książka Hugo Jochuma, opublikowana przez jakieś wydawnictwo uniwersyteckie. Giovanni wybełkotał:

– Pani jest nienormalna, oni...

– Zna pan niemiecki?

– Co? Ale... tak, ja...

Rzuciła mu książkę.

– Niech mi pan to przetłumaczy. Czwartą stroną okładki. Informacje o autorze.

Włoch zerknął na drzwi. Za progiem panowała zupełna cisza: nikt by nie zgadnął, że siedzi tam ze trzydzieści osób, czekając na przesłuchanie. Giovanni, drżąc, skupił się na lekturze.

Diana szukała dalej. Żadnej broni, nawet noża, nic. Gość niczego się nie spodziewał. A przecież znał kraj: w walizce nie było przewodnika czy choćby mapy. Giovanni odezwał się nagle:

– Niesamowite.

Diana odwróciła się do niego. Zdziwiłoby ją raczej, gdyby nic niesamowitego nie znalazł. Gestem dała mu znak, żeby powiedział, o co chodzi.

– Był profesorem geologii w Instytucie Politechnicznym imienia Karola w Pradze.

– Co jest niesamowite?

– Był też różdżkarzem. Wedle tej notatki umiał wykrywać źródła ukryte głęboko pod ziemią. Pisał, że miał prawdziwie nadnaturalny dar. Jako uczony, badał te zjawiska na własnym przykładzie.

Diana w myśli uzupełniła listę parapsychologów z TK 17: Jewgen Talich i bioastronomia, Rolf van Kaen i akupunktura, Filip Thomas i psychokineza. A teraz Hugo Jochum i magnetyzm ludzki.

Jakaś sylwetka pojawiła się w drzwiach pokoju.

Diana ledwie zdążyła zamknąć walizę, a przedtem Giovanni – wsunąć w nią książkę. Oboje odwrócili się, zakładając ręce za plecy.

Przybyszem był człowiek, który nadzorował łapankę: olbrzym w czarnej czapce i skórzanym płaszczu. Dowódca policji lub coś w tym rodzaju. W ręku trzymał paszporty obojga Europejczyków, jakby chciał zaznaczyć, kto tu jest kotem, a kto myszami.

Zwrócił się wprost do Giovanniego, po mongolsku. Mówił gardłowo, wymawiając wyraźnie każdą sylabę. Attache ambasady przytaknęła skwapliwie. Potem, manipulując na nosie okularami,

jakby to były narzędzia chirurgii precyzyjnej, szepnął Dianie:

– Chce, żebyśmy poszli razem z nim obejrzyć ciało.

Nie była to kostnica ani nawet szpital.

Diana przypuszczała, że to raczej wydział medycyny albo oddział Akademii Nauk w Ułan Bator. Weszli do jaskrawo oświetlonego amfiteatru. Podłoga była z ubitej gliny. Szeregi ław z pulpitemi wznosiły się łukiem aż po sufit. Po lewej, nad czarną tablicą, wielkie malowidła ukazywały jeszcze profile Karola Marksa, Fryderyka Engelsa i Włodzimierza Iljicza Lenina.

Na środku parteru stał przymocowany do gruntu metalowy stół.

Na stole spoczywało ciało.

Po obu jego stronach stali nieruchomo pielęgniarki. Mieli na sobie długie plastikowe fartuchy, okrywające tradycyjne stroje. Przy nich policjanci w pikowanych płaszczach, w chińskim stylu, w czapkach haftowanych złotem i czerwienią, dreptali po zamrażającej ziemi, chuchając dla rozgrzewki w dłonie.

Dowódca policji podszedł do stołu. Diana i Giovanni za nim. Diana nie rozumiała, po co Mongoł ich tu przyprowadził. Nie można było ich uważać ani za podejrzanych w tej sprawie, ani nawet za świadków – nie powiedziała nic o swoim starciu z mordercą. Przypuszczała, że glina w skórze kojarzy ich sobie z ofiarą z tego prostego powodu, że poza zamordowanym byli w klasztorze jedynymi lokatorami europejskiego pochodzenia.

Policjant raptownym ruchem odsłonił twarz i tors Hugona Jochuma.

Diana zobaczyła chudą twarz o ostrych rysach, w aureoli żółtawych włosów. Ciało, napięte na kościach, miało żółtą barwę skamieniałego bursztynu. Ale całą jej uwagę przykuł jeden szczegół: skóra zmarłego była usiana brunatnymi plamami. Szczególnie dużo tych objawów starości zebrało się na piersi. Ciemne, ziamiste, zarysowywały na skórze jakąś tajemniczą mapę. Pomyślała o futrze lamparta.

Potem zauważyła niewielkie nacięcie tuż pod mostkiem – podpis zabójcy. Zaciskając pięści w kieszeniach, pochyliła się i przyjrzała ranie. Pierś Jochuma była lekko wypięta, jakby uniesiona od wewnątrz. Ten tors nosił jeszcze na sobie ślad ramienia, które ujęło go pod żebra, by poprzez ciepło trzewi sięgnąć serca.

Podniosła wzrok: wszyscy mężczyźni przyglądali się jej. Z ich zdumionych twarzy wyczytała coś, o czym zrazu nie pomyślała. W Paryżu technika, którą dokonano zabójstw, nie

znaczyła nic, wskazywała najwyżej na szaleńczą patologię mordercy. W Ułan Bator było inaczej. Tu każdy znał tę bliznę. Każdy znał tę metodę. Zabójca z rozmysłem zabijał swe ofiary jak bydło. Taką raną sprowadzał je do rangi zwierząt. Pomyślała o Jewgenie Talichu i o przekonaniu, które ją ogarnęło w korytarzu klasztoru. Jeśli on był winny, to jak objaśnić, że łagodny fizyk przeobraził się w dzikiego mordercę? Czy się mścił? Co mogli zawinić ci ludzie, że zabijano ich jak zwierzęta?

Policjant zrobił krok naprzód i stanął naprzeciw Diany. Wciąż trzymał w ręku oba paszporty. Nie spuszczać jej z oka, zwrócił się do Giovanniego. Z kolei Włoch podszedł do niej bliżej i powiedział po cichu:

– Chce wiedzieć, czy pani zna tego człowieka?

Diana zaprzeczyła ruchem głowy. Obawiała się teraz, by policjant ich nie zatrzymał dla potrzeb śledztwa lub jakiejś innej procedury. A przecież miała tylko trzy dni, by dotrzeć do tokamaku. Po cichu zwierzyła się ze swych obaw Giovanniemu. Dyplomata rozmawiał przez chwilę z policjantem.

Kolos niespodziewanie wybuchnął śmiechem i odpowiedział paru słowami.

– Co mówi? – spytała.

– Mamy oficjalne zezwolenia. Nie mają żadnego powodu, by nas zatrzymywać.

– Co go rozśmieszyło?

– Uważa, że tak czy inaczej nie mamy żadnych szans, by mu się wymknąć.

– Dlaczego?

Włoch uśmiechnął się uprzejmie do policjanta, potem spojrzął kątem oka na Dianę.

– Powiedział dosłownie: „Zawsze można uciec z więzienia. Ale z wolności?”.

56

Tupolew nie miał ani siedzeń, ani kabiny pasażerskiej. Był to samolot transportowy, o wnętrzu pomalowanym na szaro, długi na sto metrów, zaopatrzony w siatki, których można było się chwycić lub przymocować do nich pakunki. Kilkuset Mongołów siedziało tu ciasno jeden przy drugim na podłodze: skurczeni na workach, pudlach, tobołkach, próbowali zapanować nad dziećmi i baranami.

Diana przykucnęła w tłumie. Była rozgorączkowana, na granicy hysterii. Nie spała w nocy, ale nie czuła żadnego zmęczenia. Ani nawet bólu po walce na dachu. Nocna przemoc jakby przeszła przez nią na wskroś, nie pozostawiając wyraźnych śladów poza ogromnym podenerwowaniem, wewnętrznym rozdygotaniem całego ciała.

Mimo zabójstwa, mimo tajemniczych wydarzeń w klasztorze, mimo że Diana najwyraźniej wyjawiała mu nieco mniej niż dziesięć procent prawdy, Giovanni nie uchylił się od udziału w wyprawie – chciał razem z Dianą dotrzeć do granicy Syberii. Spakowali torby, wypili parzącą herbatę i wyruszyli na lotnisko, by złapać cotygodniowy samolot do Mórónu, miejsciny leżącej o pięćset kilometrów na północ od stolicy.

Samolot leciał już przeszło godzinę. Od ryku silników odrzutowych bolały bębenki, drętwiały wszystkie członki. Nawet barany już się nie ruszały, zastygły jak posążki. Tylko Diana wierciła się, wstawiała, znów układała się między torbami i pasażerami. Starła się odzyskać spokój, przyglądając się mężczyznom i kobietom, którzy ją otaczali.

Były to inne twarze niż w Ułan Bator. Mężczyźni mieli śniadą, pomarszczoną skórę, kobiety zaś i dzieci cerę przezroczystą, nieskazitelną. Diana przyglądała się też jaskrawym barwom *deelów*. Odcieniom błękitu, zieleni, żółci, błyskom bieli, czerwieni, delikatnym smugom pomarańczy, różu, fioleto...

Diana pokazała małego chłopca, który siedział koło niej na przygniecionym pudle kartonowym, i spytała Giovanniego:

– Jak on się nazywa?

Giovanni zapytał matki, wysłuchał odpowiedzi i przetłumaczył:

– Choserdene: Podwójny Klejnot. W Mongolii każde imię ma jakieś znaczenie.

– A ten? – spytała.

Przyglądała się teraz młodszemu chłopcu, tulącemu się w ramionach kobiety w turbanie barwy indygo.

– Marcowe Słońce – przełożył attache.

– A ten?

– Żelazna Zbroja.

Diana przestała pytać. Przyglądała się teraz chustkom, które kobiety wiązały na swych czarnych włosach. Wśród drukowanych motywów rozpoznawała zwierzęta. Renifery o królewskich porożach, orły ze złotymi obwódkami wzdłuż skrzydeł, niedźwiedzie o łapach rozgałęziających się w brunatne freski. Przyglądając im się uważniej, zauważyła jeszcze coś. Kiedy jedwab mienił się, poroża, skrzydła, łapy zamieniały się w ludzkie ramiona, sylwetki, twarze... Po prawdzie – motywy na każdej z chust dawały się odczytać na dwa różne sposoby. Był to rodzaj podwójnej tajemnicy, do której klucz miało światło. Diana czuła, że ten efekt optyczny zastosowały świadomie i że miał on jakieś znaczenie.

– W tajdze – wyjaśnił jej Giovanni – człowiek i zwierzę stapiają się w jedno. Żeby przetrwać w puszczy, myśliwy zawsze bierze przykład z fauny. Zapożycza od niej sposoby przystosowania się. Zwierzę jest jednocześnie zdobyczą i wzorem. Wrogiem i współnikiem.

Włoch mówił bardzo głośno, żeby przekrzyczeć ryk silników:

– Jeszcze bardziej dotyczy to szamanów. Wedle pradawnych wierzeń, mają oni moc przekształcania się w zwierzęta. Żeby porozumieć się z duchami, udają się do puszczy, porzucają ludzkie nawyki – na przykład przestają jeść gotowane lub pieczone mięso – po czym dokonują ostatecznego przeistoczenia, by przenieść się do świata duchów.

Attache milczał przez kilka chwil, żeby złapać oddech, potem przysunął się do Diany, jakby chciał jej powierzyć jakąś tajemnicę. Szkła jego okularów, w których odbijały się szare ściany kadłuba, wyglądały teraz jak dwie brązowe czarki.

– Istnieje pewna powszechnie znana ceweńska tradycja: szamani różnych klanów, kiedy jeszcze istnieli, musieli co pewien czas udawać się w jakieś tajemne miejsce i toczyć tam ze sobą walki, każdy pod postacią zwierzęcia, które było jego fetyszem. Te walki przerażały Cewenów, bo toczyły się o stawkę niezmierną dla nich wagi.

– To znaczy?

– Zwycięski szaman przejmował zdolności zwyciężonego i przenosił je do swego klanu.

Diana zamknęła oczy. Od przeszło dziesięciu lat studiowała życie dzikich zwierząt,

analizowała ich zachowania, śledziła reakcje. W tle tych badań krył się jeden tylko cel: zrozumieć ich brutalność i może – wykryć jej ukryte podstawy.

Te szamanistyczne tradycje nie były bardzo odległe od zainteresowań Diany. A myśl o bezlitosnym pojedynku, prowadzonym przez ludzi-zwierzęta, pociągała ją. Ona sama osłoniła się psychiką drapieżnika, by przetrwać moralnie po wypadku, jakiego padła ofiarą w młodości.

Otworzyła oczy i przez zapyłone światło samolotu przyjrzała się pasażerom w pstrokatych *deelach* i mieniącym się tkaninom kobiet. Ogarnęło ją dziwne uczucie, że tam, w głębi tajgi, ją też czeka jakieś spotkanie.

Spotkanie ze sobą.

Pod koniec popołudnia, lecieli już następnym samolotem – maleńkim dwupłatowcem, kołyszącym się wśród wiatrów i chmur. Step pod nimi pokrywały ogromne puszcze. Wzgórza wznosiły się czerwonożłotymi zboczami, polany przybierały ciemniejsze odcienie, ziemia zaczęła błyskać setkami rzek. Dolatywali do granicy kraju. Do bram Syberii.

Zamiast doznać przyływu energii w obliczu takiego piękna, Diana czuła, jak rozlewa się po niej zmęczenie. Giovanni przeciwnie – zachwycał się tym krajobrazem. „Kraina jezior! Mongolska Szwajcaria!” – ryczał, przysuwając twarz do okienka. Wyciągnął mapę, usadowił się w głębi kadłuba i komentował na głos, wciąż starając się przekrzyczeć hałas śmigieł: „To będzie niewiarygodna podróż. Diano, jesteśmy pionierami!”.

Osiemnasta. Lądowanie na równinie. Cagaan Nur składało się raptem z trzydziestki baraków, chat pomalowanych w pastelowe kolory. O ile pasażerowie towarowca do Mórónu nie okazywali najmniejszego zainteresowania europejskimi podróżnikami, o tyle tutaj ciekawość autochtonów gwałtownie się przebudziła, zwłaszcza wobec Diany i jej blond kosmyków wymykających się spod futrzanej czapki.

Podczas gdy Giovanni rozmawiał ze starym hodowcą renów, Diana podeszła do zagrody, za którą przebywały zwierzęta. Drobne, obsypane czarnymi lub białymi plamkami, przypominały pomniejszone modele, coś między pluszowymi zwierzątkami a granitowymi figurkami. Tylko poroża nadawały im jakąś szlachetność. Każde zwierzę nosiło na głowie łopaty porośnięte czymś w rodzaju szarego aksamitu, który w tej porze roku właśnie z nich opadał.

Etnolog wrócił, by przedstawić Dianie sytuację. Hodowca mógł im „wynająć” sześć lub siedem wierzchowców, ale pod jednym warunkiem: chciał najpierw sprawdzić, czy potrafią na nich jeździć. Giovanni, którego ambicja została mocno zadrażniona, postanowił od razu dotrzeć do rena. Po trzecim upadku wyglądało na to, że ma dość śmiechu Mongołów, których spora gromadka zebrała się, by obejrzeć spektakl. Po piątym sprawdził swoje oporządzenie: dlaczego siodło nie było umocowane? Po siódmym zastanawiał się na głos nad możliwością pieszej wyprawy. Wreszcie właściciel raczył udzielić pewnych wyjaśnień. Futro renów było tak śliskie, że nie chwycił się go żaden materiał, nie sposób więc było zaciągnąć na nim popręgę. Trzeba było swobodnie ułożyć uprzęż na zwierzęciu i dostosowywać się do jego kroku, kołysząc się na

grzbiecie, kierować samym dosiadem. Łącząc czyn ze słowem, hodowca wsiadł na rena i objechał zagrodę wokoło.

Diana i Giovanni wzięli się do nauki. Nastąpiły nowe upadki, nowe śmiechy. Przemoczeni, ubłoceni, podróżnicy poddali się jowialnej atmosferze wioski. Diana, kiedy nie wkładała stóp w strzemiona, była tak wysoka, że mogła, siedząc na swoim wierzchowcu, postawić nogi na ziemi. Tak nadzwyczajny wzrost budził wesołość widzów. Wśród tych wybuchów radości podróżnicy poczuli wreszcie, że nadają na jednej fali.

Zwłaszcza że po każdym upadku, po każdej salwie śmiechu, ogarniała ich skrywana melancholia. Podnosili oczy i wśród krystalicznej ciszy odkrywali zamykające horyzont wysokie mury łańcucha Chordil Sar'dag. Żółty wiatr zmierzchu przypominał o sobie i zaczynał smagać ich rozpalone twarze. Spojrzenie Diany krzyżowało się wtedy ze wzrokiem Giovanniego i kiedy trawa kładła się omdlewającymi, długimi falami, pojmwali nagle, co szeptał im każdy podmuch: smutne pieśni o zranionych sercach, o oddaleniu bez powrotu. Kiedy noc zapadła i umieli nareszcie utrzymać się na drobnych, szarych grzbietach, uzmysłowili sobie również inną jeszcze tajemnicę: niespokojną nostalgię tajgi.

58

O świcie ruszyli w drogę.

Ostatecznie stanęło na tym, że hodowca i jego syn będą towarzyszyć Dianie i Giovanniemu. Na konwój składało się siedem wierzchowców, z których trzy wiozły ładunki: strzelby, manierki, brezenty i maszty wojskowych namiotów radzieckich, ćwiartki baranów zawinięte w płótno i mnóstwo rzeczy, których Diana nie umiała nawet zidentyfikować. Jechali wolno. Renifery posuwały się małymi kroczkami, przecinając falujące trawy równiny, prześlizgując się pod różowawym listowiem, wdrapując się, wśród grzechotu żwiru, na pierwsze kamieniste pagórki. Droga była spokojna, niegroźna i mogłaby być monotonna, gdyby nie tortura zimna.

Wciskało się w najmniejszą nieszczelność w ubraniu, owijało skórę lodowatą błoną, zamieniało członki w kamień, zamrażało palce u rąk i nóg. Co godzina trzeba było się zatrzymywać, żeby pochodzić, poruszać się, napić herbaty, spróbować odżyć. Podczas gdy Mongołowie zeszkrobywali nożami szron z powiek, Diana i Giovanni stali nieruchomo, drżący, niezdolni wymówić słowa, przytupując odrętwiałymi stopami. Mowy nie było, żeby zdjąć rękawiczki – każde dotknięcie zamrożonego kamienia zerwałoby im skórę z dłoni. Nie wolno też było pić zbyt gorących płynów, ponieważ wskutek wielkiej różnicy temperatur mogła popękać emalia zębów. Ledwie rozruszawszy ciało, dosiadali na nowo reniferów, mając w sercach poczucie klęski, porażki w walce ze śmiercią: zimno wciąż w nich tkwiło.

Ale bywało i przeciwnie. Słońce spadało na nich czasem ognistymi promieniami. Podróżnicy musieli wtedy naciągać kaptury, by uchronić się od żaru, jakby byli na środku pustyni. Wiatr stawał się tak palący, tak żarłoczny, że zdawał się ciągle odwracać swój ruch, zrywać skórę twarzy drobnymi, zwęglonymi strzępami. Potem, znienacka, oślepiający krąg zniknął i góra odzyskiwała swą złowrogą głębię. Zima wracała, by owinąć się wokół kości lodowatymi więzami.

Tuż po południu dotarli do przełęczy, na wysokość trzech tysięcy metrów. Pejzaż odmienił się. Pod chmurami wszystko stało się czarne, księżycowe, jałowe. Trawy skurczyły się do rozmiarów mchu i porostów. Drzewa rozrzedziły się, utraciły listowie, wreszcie znikły zupełnie, ustępując miejsca szarozielonym skałom, kamiennym przepaściom, surowym ostrogom skalnym. Niekiedy przełęcz przechodziła przez monotonne bagniska, z rzadka porośnięte iglastymi

krzewami. Kiedy indziej znowu krajobraz zdawał się dosłownie krwawić, usłany masywami wrzosów, których fiołkowe kwiaty występowały w roli hemoglobiny. Tundra, ziemia o przemarzniętych trzewiach, niedostępna i zapomniana, ogarniała ich jak przekleństwo.

Diana widziała na niebie wędrownie ptaki, lecące w przeciwnym kierunku – w stronę ciepła. Z utajoną dumą patrzyła, jak się oddalają. Z wargami białymi od maści ochronnej, w ciemnych okularach przywartych do skroni, była bardziej niż kiedykolwiek zdecydowana dotrzeć w góry. Przyjmowała każde odczucie, każdy ból, czerpiąc z nich nawet jakąś dziwną rozkosz. Widziała w tej wyprawie coś w rodzaju próby, na którą sobie zasłużyła. Musiała stawić czoło tej krainie. Musiała przemierzyć te skaliste zbocza, znieść zimno, skwar, tę szorstką, granitową pustynię.

Bo to była ziemia Lucjana.

Wydawało jej się, że dociera do źródeł życia swego dziecka. Otaczające ją górskie ściany, wznoszące się przed nią przeszkody, popękana od zimna skóra, były dla niej czymś w rodzaju połogu. Tu, w tym granitowym korytarzu, krzepła więź, łącząca ją z przybranym synem. Ta podróż, nieodwołalna, bezlitosna, to był jej poród. Ten poród złożony ze szronu i ognia miał – jeśli go przeżyje – doprowadzić ją do całkowitego zespolenia z dzieckiem.

Nagle zdała sobie sprawę, że krajobraz zmienia się znowu. Jakaś łagodność, jakiś szept łagodziły teraz surowość otoczenia. Wdzięczne płatki szybowwały w powietrzu i powoli pokrywały tundrę. Niepokalana biel obsypywała gałęzie, łagodziła kanty, modelowała każdy kształt, każdy kontur, zamieniając je w ciche, intymne dzieło. Diana uśmiechnęła się. Docierali do grani zbocza i wstępowali w świętą krainę śniegu. Konwój posuwał się pośród jasności coraz delikatniejszej, coraz bardziej przejrzystej, na samej granicy ziemi, wody i powietrza.

Orszak niepostrzeżenie zwolnił, włókł się teraz w rytmie cichych kroków reniferów. Mongolski hodowca zaczął wrzeszczeć. Wyczerpane zwierzęta zaryczały w odpowiedzi i ruszyły innym rytmem, przekraczając białą granicę i stopniowo przechodząc na drugą stronę góry. Ziemia zaczęła się spłaszczać, zdawała się wahać, rozplynęła się w pochyłość z początku łagodną potem stromą wreszcie opadającą raptownie pośród zasp śnieżnych i kobierców mchu. Znowu pojawiła się trawa, przybyło drzew. Nagle jeźdźcy dotarli do zbocza, z którego otwierał się w dole widok na ostatnią dolinę.

Korony modrzewi powiewały niczym płonące mgły. Liście brzoź ociekały ochrą i purpurą albo, już uschłe, marszczyły się w szare rzeźby. Świerki pieniły się cieniem i zielenią. Pod nimi

pastwiska jaśniały takim blaskiem, taką świeżością że budziły całkiem nowe odświeżające krew uczucie: dziecięcy zachwyt. A przede wszystkim – na dnie tej ogromnej kolebki leżało jezioro.

Cagaan Nur.

Białe Jezioro.

Nad niepokalanymi wodami wznosiły się błękitno-białe góry łańcucha Chordil Sar'dag, a niżej, w głębi tych absolutnie nieruchomych wód, rozpościerały się głowami w dół te same szczyty, jakby padały na twarz przed swymi pierwowzorami, jednocześnie górując nad nimi czystością i majestatem. To był pokój. Miłość. Złączone wstrząsającym uściskiem tu, gdzie prawdziwe góry i ich wodne korzenie łączyły się w niepokojącą, tajemniczą linię.

Orszak zatrzymał się, olśniony. Słyszał tylko pobrzękiwanie strzemion i chrapliwy oddech renów. Diana musiała dokonać wysiłku, by zachować równowagę na swoim wierzchołku. Wsunęła kciuk pod okulary, żeby wytrzeć skroploną mgiełkę, przeszkadzającą widzieć.

Ale nie udało jej się.

Bo były to łzy, spływające spod przemarzniętych powiek.

59

Tego wieczoru rozbili obóz nad brzegiem jeziora. Ustawili namioty pod koronami świerków, po czym mimo zimna zjedli kolację na dworze. Dwaj Mongołowie odmówili modlitwę do duchów i przygotowali swoją tradycyjną potrawę: gotowaną baraninę i herbatę przyprawioną łojem. Diana nie uwierzyłaby, że jest w stanie przełknąć coś takiego. Ale tego wieczoru, tak jak poprzedniego, zjadła bez słowa swoją porcję, skulona przy ognisku.

Niebo nad nimi było idealnie czyste. Diana często podziwiała nocne nieba, zwłaszcza na pustyniach afrykańskich, ale nie pamiętała, by miała kiedyś okazję podziwiać widok tak porywająco czysty i bliski. Miała wrażenie, że jest świadkiem narodzin wszechświata, pierwotnego wybuchu. Droga Mleczna rozsypywała się nad nią miriadami gwiazd w jakąś bezkresną sarabandę. Tu i ówdzie skupiska gwiazdne były tak gęste, że emanowało z nich oślepiające światło. Gdzie indziej przeciwnie: omdlewały, zamieniając się w perłowe mgławice. A krańce tego roztańczonego koliska nikły w drżącym migotaniu, jakby miały lada chwila rozplynać się w śródgwiezdnym ogromie.

Diana opuściła wzrok i zobaczyła, że ich przewodnicy, siedzący o kilka metrów od niej, rozmawiają z kimś nowo przybyłym, niewidocznym w mroku. Pewnie jakiś samotny hodowca, który zauważył ognisko i przyszedł do nich, żeby podzielić z nimi posiłek. Nastawiła uszu. Po raz pierwszy słuchała z uwagą języka mongolskiego, ciągu gardłowych sylab, dziwacznie przerywanych dźwięcznym „h” i przeciągłymi samogłoskami. Przybysz pokazywał ręką niebo.

– Giovanni?

Włoch, wtulony po uszy w swój anorak, uniósł brzeg futrzanej czapki. Diana spytała:

– Wie pan, kto to jest?

Giovanni znów wsunął rękę do kieszeni.

– Ktoś z tych okolic, jak sędzę. Ma niesamowity akcent.

– Rozumie pan, co mówi?

– Opowiada stare legendy. Ceweńskie historie.

Diana wyprostowała się.

– Myśli pan, że jest Cewenem?

– Pani to ma twardą głowę: mówiłem i powtarzam, że ten lud nie istnieje!

– Ale on opowiada...

– To część folkloru tego regionu. Przekroczywszy przełęcz, znaleźliśmy się na terytorium plemion tureckich. Tu każdy ma w sobie trochę krwi ceweńskiej. A przynajmniej każdy zna te stare historie. Nic z tego nie wynika.

– Ale może pan go spytać, nie?

Giovanni westchnął i sam z kolei się wyprostował. Najpierw dokonał prezentacji. Gość nazywał się Gambochuu. Był to stary człowiek o pomarszczonej skórze. W świetle gwiazd po jego twarzy przepływały niepokojące cienie. Etnolog tłumaczył jego odpowiedzi:

– Mówi, że jest Mongołem. Łowi ryby na Jeziorze Białym.

– Czy był już tutaj, kiedy tokamak działał?

Giovanni zwrócił się do rybaka, a potem powiedział:

– Tu się urodził. Doskonale pamięta kamienny pierścień.

Diana poczuła, jak po skórze przebiega jej nowy dreszcz: po raz pierwszy miała przed sobą człowieka, który widział kamienny krąg w działaniu. Pytała dalej:

– Czy wie, co się działo w tokamaku?

– Diano, naprawdę, to rybak. On nie może...

– Niech go pan zapyta!

Giovanni posłuchał. Lodowaty wiatr poruszał świerkami, rozsiewając wśród nocy zapach żywicy tak mocny, tak ciężki, że chwycił za gardło jak dym ogniska. Diana czuła się otoczona, przesycona tkanką tajgi. Stary Mongoł kręcił głową przecząco.

– Nie chce mówić – wyjaśnił Włoch. – Uważa, że to przeklęte miejsce.

– Dlaczego przeklęte? – Diana powiedziała to głośniej. – Niech pan nalega, to dla mnie bardzo ważne!

Etnolog spojrział na nią podejrzliwie. Diana powiedziała, już spokojniej:

– Giovanni, proszę.

Włoch kontynuował dialog z rybakiem. Gość wyciągnął fajkę, coś w rodzaju wygiętego, metalowego klucza, i powoli napchał do niej tytoniu. Kiedy już rozpalił małe palenisko, zgodził się mówić.

Giovanni tłumaczył, w miarę jak tamten opowiadał:

– Mówi głównie o pracowni parapsychologicznej. Pamięta konwoje, które przybywały koleją od granicy syberyjskiej. Konwoje szamanów, których prowadzono do jednego z budynków

ośrodka. Wszyscy mówili o tych transportach. W oczach robotników nie mogło być większej profanacji. Więzić szamanów znaczyło rzucać wyzwanie duchom.

– Proszę go spytać, czy wie, co dokładnie działo się w pracowni.

Giovanni zadał pytanie, ale gość już więcej się nie odezwał. Jego zapalona fajka migotała niczym odległa latarnia morska.

– Nie chce mówić – stwierdził Włoch. – Powtarza tylko, że miejsce było przeklęte.

– Dlaczego? Z powodu doświadczeń?

Diana niemal ryknęła. Nagle głos starca odezwał się znów, między dwoma błyskami żaru w fajce.

– Mówi, że krew się połała – przetłumaczył etnolog. – Że uczeni byli szaleni, że przeprowadzali okropne doświadczenia. Nic więcej nie wie. Powtarza, że łała się krew. I że to dlatego duchy się zemściły.

– Jak się zemściły?

Wyglądało na to, że Gambochuu zdecydował się wreszcie powiedzieć wszystko, co wie. Mówił, nie czekając, aż Giovanni przetłumaczy. Etnolog tak streścił ten potok wymowy:

– Spowodowały wypadek.

– Jaki wypadek?

Rysy Giovanniego stężały w ciemności. Szepnął:

– Wiosną tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku kamienny pierścień wybuchnął. Przeszyła go błyskawica.

Diana miała wrażenie, że ta błyskawica rozdziera ją samą. Przez cały czas skupiała uwagę głównie na pracowni parapsychologicznej, przekonana, że pierwotny dramat wydarzył się w czasie badań nad stanami granicznymi. W rzeczywistości zaś do ostatecznej tragedii doszło z przyczyny wybuchu maszyny piekielnej. Diana spytała:

– Były ofiary?

Giovanni spytał o to Mongoła i blady jak ściana wysłuchał jego odpowiedzi.

– Mówi o co najmniej stu pięćdziesięciu trupach. Według niego wszyscy robotnicy byli wewnątrz pierścienia, kiedy maszyna wybuchła. Jakieś prace konserwacyjne, niezbyt dobrze rozumiem, o co chodzi. Plazma wylała się do okrężnego korytarza i spaliła ich żywcem.

Gombochuu powtarzał teraz w kółko jedno słowo, słowo, które Diana rozpoznawała.

– Dlaczego mówi o Cewenach? – spytała.

– Wszyscy robotnicy byli Cewenami. Ostatnimi w regionie.

A więc oboje, Diana i Giovanni, mieli rację. Samotny lud został najpierw zniszczony przez władzę radziecką, ale niektórzy jego członkowie przetrwali. Trzymani w kolchozach, zostali zniewolonymi robotnikami, skazanymi na śmierć nuklearną. Etnolog mówił dalej:

– Mówi, że niektórzy z tych, co nie zginęli od razu, trzymali swoje wnętrzności w rękach, że kobiety odmawiały pomocy mężom, bo ich nie rozpoznawały. Mówi, że umierający ryczeli, mimo ran, że chcą pić. Kiedy pomarli, ich szczęki pękały, jakby były ze szkła. Konających obsiadło tyle much, że już nie było wiadomo, czy to oparzeliny, czy owady mrowiące się na ciałach...

Diana myślała o innych niedobitkach – o tych, którzy uważali, że uniknęli poparzeń. Nie wiedziała, jakie są dokładnie skutki napromieniowania trytem, ale знаła efekty napromieniowania uranowego. Ci, co przeżyli Hiroszimę, zrozumieli w pierwszych tygodniach po wybuchu, że samo pojęcie przetrwania nie należy do świata atomu. Najpierw zaczęli tracić włosy, potem cierpieli na biegunki, wymioty, krwotoki wewnętrzne. W końcu pojawiły się choroby nieodwracalne: rak, leukemia, nowotwory... Ceweńscy robotnicy musieli zetknąć się z tymi samymi plagami. Nie licząc kobiet, które po wybuchu rodziły potwory, albo tych, które nigdy już nie zaszły w ciążę, bo infekcja atomowa zniszczyła komórki kanalików nasiennych.

Diana spojrzała w niebo. Broniła się przed współczuciem. Nie miała prawa załamać się ani rozczulać, musiała uruchomić swoje zdolności dedukcyjne, żeby z tych nowych faktów wydobyć jakąś wiedzę. Nagle w jej pamięci pojawiło się wspomnienie Jewgena Talicha: organizując próby nuklearne, fizyk pośrednio sprowadził nieszczęście i śmierć na własny lud. Genialny uczony, wielki bohater ceweński, doprowadził do wygaśnięcia własnego plemienia...

Ale olśniła ją inna myśl. Zakładając, że Jewgen Talich nie był bezpośrednio zamieszany w fatalną próbę, jeśli przyjąć, że do wypadku nie doszło z jego winy, to czy nie był to nieprzemyślany powód do zemsty? Diana stworzyła nową hipotezę. A jeśli z powodów, których jeszcze nie zna, badacze z pracowni parapsychologicznej byli odpowiedzialni za katastrofę? Czy w takim razie Talich, spokojny uchodźca, nie mógł się przeobrazić w bezlitosnego zabójcę, dowiedziawszy się, że naukowcy wracają na miejsce swej zbrodni?

60

Diana przebudziła się z pierwszymi promieniami świtu. Ubrała się, naciągnęła nieprzepuszczalne, ocieplane spodnie, włożyła anorak i na to wszystko nieprzemakalne poncho. Spakowała plecak: latarkę halogenową, liny, zapasowe baterie. Nie miała żadnej broni, nawet noża. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zwięździć strzelby Mongołom, którzy spali w sąsiednim namiocie, ale od razu zrezygnowała: zbyt duże ryzyko. Zaciągnęła zamek błyskawiczny plecaka i wyszła w świt.

Wszystko pokrywał lód. Trawa była biała, od czasu do czasu trafiały się w niej błękitnawe, zamrożone kałuże. Błyskały krople rosy, zastygłe w lodowe kulki. Kruche stalaktyty czepiały się gałęzi drzew. Cały ten blask zdawał się żywszy, jaśniejszy z powodu zawisłych nad nim mgieł, które wygładzały go, owijały lekką nieprzejrzystością. Odgadywała gdzieś dalej obecność renów. Słyszała ich kopyta, pod którymi pękała skorupa lodu, ich ciężki oddech, tworzący strefy ciepła w tym świecie totalnego zimna. Wyobrażała je sobie – szare, niewidoczne we mgle, szukające soli na kamieniach, porostach, na korze drzew. Trochę dalej usłyszała regularny plusk jeziora. Wciągnęła w płuca zimne powietrze i przyjrzała się obozowisku. Żadnego ruchu, żadnego szmeru: wszyscy spali. Dała nurka w zarośla, starając się nie łamać kryształowych krzewów. Sto metrów dalej musiała się zatrzymać, żeby sobie ulżyć. Wymyślała sobie, że nie pomyślała o tym wcześniej, nim założyła całą swoją zbroję.

Za drzewami wyplątała się z ocieplacza i przykucnęła. Renifery, poczuwszy sól zawartą w urynie, rzuciły się od razu w jej kierunku, powodując dziki zgiełk wśród zamrożonych gałęzi. Ledwie miała czas ubrać się znów i uciec w te pędy. Kiedy już znalazła się dość daleko, zwolniła i wybuchnęła śmiechem: nerwowym, spiętym, cichym, który jednak przyniósł jej ulgę. Wcisnęła kciuki pod pasy plecaka i ruszyła naprzód. Dotarłszy nad brzeg jeziora, przyjrzała się zboczu wzgórza, które wznosiło się na prawo od niej: za nim, według mongolskich przewodników, znajdował się tokamak. Miała do niego jakieś dwa kilometry. Wślizgnęła się pod modrzewie i zaczęła się wspinać.

Wkrótce oddech zaczął sprawiać jej ból, całe ciało pokryło się potem. Kropelki mgły perliły się na poncho jak małe klejnoty. Para oddechu zamieniała się w kryształowy deszcz i opadała na ziemię. Wśród traw zauważyła cieniste wgłębienia. Podeszła bliżej. Były to nocne legowiska łań

lub danieli, jeszcze letnie od ich obecności. Zdjęła rękawiczkę i pogłaskała ich kontury gołymi palcami. Potem zapatrzyła się na brunatne korzenie, wijące się między jej stopami. Dotknęła ich także, rozkoszując się ich jędmnością.

Wspinała się dalej. Dopiero wtedy przypomniała sobie słowa Gambochuu. Opis katastrofy atomowej i agonii ofiar wybuchu. Nasunęły jej się dalsze wnioski z tego, co usłyszała poprzedniego dnia. Z jakiegoś nieznanego powodu parapsycholodzy byli współodpowiedzialni za awarię tokamaku. Coś ich łączyło z tym wypadkiem. Nagle pojawił się w jej pamięci cały ciąg wspomnień. Zobaczyła na nowo pokryte brunatnymi plamami ciało Hugona Jochuma. Różowawą cerę Filipa Thomasa, który wskutek egzemii wręcz zmieniał skórę. Przypomniała sobie też szczegół utajony w jej pamięci: dziwną atrofię żołądka, która zmuszała Rolfa van Kaena do przeżuwania czerwonych owoców...

Jak mogła wcześniej o tym nie pomyśleć?

Parapsychologowie też byli napromieniowani.

Każdy z nich nosił w sobie ślad ukąszenia atomowego, którego musieli doznać z większej odległości, a więc z mniejszą siłą niż robotnicy ceweńscy. Stygmaty napromieniowania mogły się u nich pojawić po dziesięcioleciach, w postaci okaleczeń lub chorób. Te następstwa zdawały się tak dziwaczne z pewnością wskutek nowości eksperymentu. Po prawdzie – przedtem nikt i nigdy nie był wystawiony na promieniowanie trytu.

Diana rozwijała dalej swoją hipotezę: a jeśli wybuch atomowy nie tylko zakłócił metabolizm tych ludzi, ale też zmienił coś w ich umysłach? Czy nie mógł wzmóc potencjalnej siły ich świadomości, rozwinąć ich paranormalnych zdolności?

W takiej sprawie trudno wierzyć w przypadek. Jeśli tak, to czy nie można sobie wyobrazić, że badacze świadomie wystawili się na promieniowanie? Że przy okazji własnych badań zauważyli u robotników ceweńskich pewne oznaki, pozwalające sądzić, że kontakt z trytem powoduje zmiany mentalne? W takim razie parapsychologowie uruchomili atomowy piorun, chcąc dokonać jakiegoś rozstrzygającego eksperymentu. Coś im nie wyszło, ludzie – cały lud – zginęli, ale uczniowie czarnoksiężnika osiągnęli wynik, na który liczyli. Ich możliwości wzrosły pod wpływem atomu. Ci ludzie byli magami. Magami epoki nuklearnej.

Idąc energicznym krokiem przez puszcę, rozgrzewając się w rytmie marszu, Diana stopniowo oswajała się w pełni z tą prawdą. Wszystko się teraz zgadzało. Do wypadku doszło w wyniku sabotażu dokonanego przez grupę naukowców. Dlatego dziś Talich ścigał ich

i traktował, na progu śmierci, jak zwierzęta.

I z pewnością dlatego ci ludzie wracali do kamiennego pierścienia. Aby powtórzyć doświadczenie: narazić się na napromieniowanie i odrodzić swe możliwości...

Diana zatrzymała się. Ze szczytu wzgórza widziała przez mgłę wklęsłość następnej doliny.

A w środku polany – ogromną koronę tokamaku.

61

Dianie wydało się, że ma przed sobą miasto. Wokół kamiennego pierścienia rozciągał się na kilka hektarów labirynt budowli, jakichś porzecznych urządzeń, których szczyty ginęły gdzieś we mgle. Po prawej, pod samą górą, wznosiły się turbiny elektrowni, zaopatrującej w prąd cały obwód termojądrowy. Diana zaczęła schodzić. Za zabudowaniami widziała już wydrążone w skalnych ścianach, na wpół zatarte bruzdy dróg i szlaków kolejowych. To dzięki tej infrastrukturze Sowietci mogli tu przywozić ludzi i sprzęt potrzebne do budowy. Diana była oszołomiona: ilu inżynierów, robotników, ile rubli pochłonął ten projekt, zakończony morderczym wybuchem?

Okrążyła koronę od zachodu. Pod jej stopami cementowe płyty stopniowo zastępowały porośniętą trawą ziemię. Przechodziła przez osypiska kamieni, przeskakiwała kawały żelastwa, wreszcie weszła do pierwszego budynku. Wewnątrz przestrzeń była poprzedzielana ażurowymi ściankami, szyby w nich były wybite.

Na końcu korytarza Diana trafiła do okrągłej sali z gołego cementu, popękanego od zimna; podłoga była przysypana gruzem i sosnowymi szpilkami. Kiedy się zbliżyła, uleciały w górę czerwonodziobe rybitwy. Łopot ich skrzydeł odbijał się od betonowych ścian, karminową krechę przekreślał zielonkawe przepierzenia. Nie czuła w ogóle strachu. Ta przestrzeń była tak ogromna, tak opuszczona, że zdawała się nierzeczywista.

Diana skręciła w lewo i weszła do bloku, którego okna przepuszczały promienie świtu. Szła wciąż naprzód, wzdłuż popękanych ścian porośniętych wrzosami i borówkami.

Mijała kolejne sale, gdzie na uszkodzonych podmurówkach spoczywały jakieś kolosalne narzędzia i niejasnego przeznaczenia maszyny. Dalej zauważyła schody wiodące na niższy poziom. Zapaliła latarkę. U stóp schodów zatrzymał ją rząd pionowych prętów. Pchnęła furtkę, była otwarta. Opanowała lęk i zanurzyła się w ciemny, ciasny korytarz. Miała wrażenie, że jej oddech wypełnia całą przestrzeń.

Najwyraźniej była w więzieniu. Strumień światła latarki wydobywał z mroku szeregi cel rozmieszczonych po obu stronach sali. Zwykle boksy, oddzielone od siebie ściankami, z łańcuchami wciąż jeszcze przyśrubowanymi do podłóg. Diana pomyślała o szamanach „importowanych” z syberyjskich więzień i obozów. Przypomniała sobie radzieckie szpitale

psychiatryczne, w których „leczono” tysiące dysydentów. Co się działo w tym tajnym ośrodku? Więzienie zdawało się rozbrzmiewać jeszcze krzykami, jękami czarowników szczękających zębami z zimna, przerażonych, czekających w ciemnościach na swój los.

W świetle latarki zobaczyła nagle napis wydrapany na ścianie. Podeszła bliżej. Były to litery rosyjskiego alfabetu, które rozpoznała od razu, bo widziała je w archiwach Instytutu Kurczatowa. Tworzyły nazwisko TALICH. Obok było wyryte słowo, którego nie rozumiała, a po nim następowały cyfry: 1972. W świadomości Diany rozległ się głuchy wystrzał, coś jak przerażone echo. Jewgen Talich, główny szef tokamaku, także był tu więziony. Dzielił cierpienia innych szamanów.

Spróbowała znaleźć jakieś wyjaśnienie. W gruncie rzeczy ten fakt przynosił więcej odpowiedzi niż znaków zapytania. Jeśli TK 17 był terenem sadystycznych doświadczeń dokonywanych na czarnoksiężnikach, to Jewgen Talich nie mógł się zgodzić na takie praktyki. Przeciwnie, musiał się buntować, grozić oprawcom, że poskarży się władzom partyjnym. Wobec tego wszystko się zmieniło. Parapsychologowie, z pewnością sprzymierzeni z wojskowymi z ośrodka, uwięzili fizyka pod byle pretekstem jako wroga jednostkę. W końcu – Cewen to zawsze Cewen. A żołnierze rosyjscy z pewnością cieszyli się, że mogą upokorzyć tego skośnookiego konusa. Diana dotknęła inskrypcji palcami. Wydało jej się, że czuje wsączony w kamień gniew uczonego. Choć nie potrafiła odczytać tych bazgrołów, była pewna, że data musi być bliska dacie wypadku, wiosny 1972 roku.

Odgadła zatem trafnie: w chwili wybuchu Talich nie kierował już tokamakiem, był w więzieniu, jako zwykły więzień polityczny.

Diana wróciła po schodach na górę i znów poszła przed siebie na los szczęścia, oszołomiona swoim odkryciem. Dopiero po pewnym czasie zauważyła, że wszystko wokół staje się coraz większe. Coraz wyższe były framugi drzwi, sufity osiągały zawrotne wysokości. Diana zbliżała się do serca tokamaku.

Trafiła wreszcie na zapieczętowane drzwi, otoczone stalową framugą, zamknięte na kolisty zawór, niczym śluza łodzi podwodnej. Nad gzymsem był wymalowany, już na wpół zatarty, czerwony znak: śmigło – międzynarodowy symbol sygnalizujący bliskość źródła promieniowania.

Diana wzięła uchwyt latarki w zęby i chwyciła obu rękami w grubych rękawicach za pokrętło. Z wysiłkiem zdołała odblokować drzwi. Pomęczyła się jeszcze trochę i całkowicie je

odrygłowała, po czym, napiwszy mięśnie, pociągnęła do siebie, rozdzierając zarastające framugę zielska. Drzwi oderwały się nagle od ściany i przesunęły wzdłuż niej po szynie. Diana zdumiała się: ściana bloku, złożona w połowie z betonu, w połowie z ołowiu, musiała mieć przeszło metr grubości.

Po przekroczeniu progu czekała ją jeszcze jedna niespodzianka: korytarz był oświetlony. Światówki rozsiewały jaskrawe, białe światło. Jak elektryczność mogła tu jeszcze działać? Pomyślała o innych członkach ekipy tokamaku. Czy zdolali już dotrzeć do rotundy? Nie myślała teraz się cofać. Nie tak blisko celu.

Ostrożnie weszła do kamiennego kręgu.

62

Diana znajdowała się w okrężnym korytarzu szerokości piętnastu metrów. Środkiem tej arterii, jak koło w kole, biegła cylindryczna rura pokryta płataniną drutów, cewek, magnesów. Nad całą tą kombinacją wznosiły się magnetyczne łuki, które robiły wrażenie, jakby sprawowały stalowy patronat nad tym dziwnym rurociągiem. Wszystkim tutaj zdawało się rządzić koło, krzywizna, łuk...

Diana posunęła się dalej. Splątane kable zwisały niczym liany. Na rurze w regularnych odstępach osadzone były miedziane cewki. Lśniły barwą przywiedłego rózu, od którego czuła w ustach smak na wpół wyssanego cukierka. Od spodu całość podtrzymywały metalowe podpory o geometrycznych kształtach. Diana była tylko o kilka kroków od rury. Poprzez skomplikowaną armaturę widziała gładką i czarną stalową skorupę komory próżniowej, w której niegdyś plazma osiągała szybkość bliską prędkości światła i temperaturę fuzji gwiazdnej.

Znów ruszyła naprzód, ostrożnie, starając się nie wywołać żadnego szmeru, żadnego skrzypienia gruzu pokrywającego ziemię. Nigdy w życiu nie czuła się taka drobna, tak godna pożałowania. Ta machina była zjawiskiem z innego wymiaru, z innej logiki. Diana odczuwała niejasny lęk przed budowlą, którą wzniosła wyłącznie ludzka megalomania, wola przełamania ziemskich praw, wstrząśnięcia materią w jej najgłębszych strukturach. Kamil wspomniał o Prometeuszu, złodzieju pioruna. Gambochuu mówił o duchach, które zemściły się za zuchwałość ludzi. Bez względu na to, o jakie stawki toczyła się gra w tej rotundzie, Diana rozumiała, że budowa tokamaku była aktem świętokradztwa, wyzwaniem rzuconym siłom wyższym.

Szła tak kilka minut wzdłuż zataczającego koło korytarza, po czym zawahała się, czy nie zawrócić. To kolisko niczego jej nie wyjaśni. Technologiczne szaleństwa nie dawały jej żadnej wskazówki... Nagle rozległo się wycie, jakby zaryczał metal.

Przycisnęła dłońmi uszy. Ryk powtórzył się, jeszcze gwałtowniejszy. Wysoka, przetaczająca się niezdolnie fala dźwięku. Diana, zaszokowana, zrozumiała, że ten przeraźliwy ryk to nie wycie maszyny, tylko sygnał alarmowy: tokamak znów zaczął działać.

Niczym złowrogie potwierdzenie tej obserwacji, ołowiane drzwi w prawej ścianie zatrzasnęły się gwałtownie i zarygłowały. Diana zobaczyła, jak obraca się pokrętko, a nad

framugą zapala czerwone światelko. Wydało jej się, że cały pierścień nabiera życia. Prawdę mówiąc, wszystkie urządzenia o wysokim stopniu zagrożenia działają tak samo: w wypadku alarmu trzeba przede wszystkim spróbować odizolować niebezpieczną strefę, odciąć wszystkie wyjścia, choćby kosztem ludzkiego życia. Tak właśnie spłonęli żywcem Cewenowie. W ten sposób umrze i ona.

Pomyślała o służbie, której nie zamknęła. Odwróciła się raptownie i pobiegła co sił w nogach. Biegła, biegła, biegła, oślepiąca światłami alarmowymi, z uszami bolącymi od zawodzenia syren. Minęła kilkoro drzwi, które za każdym razem zamykały się, ledwie przez nie przebiegła. Czy miała jakąkolwiek szansę wyprzedzić mechanizm zabezpieczający?

Nagle poczuła pod stopami ryk i drgania: rura zaczęła dygotać. Myśli panicznie kłębiły jej się w głowie. Czy może powstać fala elektryczna? Czy w komorze próżniowej pozostały opary trytu? Jak szybko atomy utworzą łuk o temperaturze kilku milionów stopni? Biegła wciąż, z płonącym sercem, wzdłuż pierścienia. Ryk nasilał się. Od drgań chwiały się ściany, podłoga, kable, rezonując w jej ciele falami przerażenia. Zobaczyła wreszcie drzwi, przez które weszła: były jeszcze otwarte. Ale w tej samej chwili zaczęły przesuwac się po szynie. Diana zobaczyła, jak obracają się czarne krążki, rygle przemieszczają równolegle do nich, a wreszcie blok podbitego ołowiem betonu plasuje się w świetle framugi.

Zdobyła się na nadludzki skok, przemknęła przez domykającą się szparę, poczuła, jak betonowy kant muska jej zębra. Potknęła się o stalowy próg, upadła, przytuliła się natychmiast do zaryglowanej już klapy. Bez tchu, niezdolna zebrać myśli, wrzeszczała z całych sił, kopała nogami, biła w ziemię pięściami. Dawała ujście panice nagromadzonej w niej od dawna, w ciągu tych wszystkich prób, przez które już przeszła.

Wstrząs spotęźniał i odebrał jej głos. Ściana zdawała się drżeć wzdłuż swej osi, niczym membrana. Diana skuliła się w sobie jeszcze mocniej, z napiętymi mięśniami, ściśniętymi szczękami, czując, że ziemia unosi się pod nią jak potężna fala. Wszystko to trwało tylko chwilę. Ułamek, cząsteczkę sekundy. Potem zapanowała cisza, która wyparła ogłuszającą falę alarmu. Syrena ucichła. Ziemia odzyskała równowagę. Diana leżała nieruchomo na ziemi z oczyma w słupek.

Powoli w jej umyśle pojawiły się jakieś myśli. Jedna dochodziła jak szept, z daleka, z bardzo daleka, z głębin świadomości: wszystko skończone. Tokamak uruchomił się tylko na kilka sekund. Mechanizmy zabezpieczające, to pozostałość innej epoki, powstrzymały niszczycielski

poryw. Diana zdała sobie sprawę, że wyobrażała sobie reakcję termojądrową jak jakąś autonomiczną jednostkę – bestię albo wulkan. Naprawdę było inaczej. To ludzka ręka spowodowała utworzenie się nowego luku elektrycznego. Czyja? I dlaczego? Żeby zabić właśnie ją? Była zbyt zmęczona, by zastanawiać się dłużej. Zbyt wyczerpana, by stawiać nowe pytania.

Sprężyła się i wstała. Zauważyła, że jej poncho z lewej strony stopiło się. Zerwała je z siebie. Anorak też był szerniały, rozdarty od góry do dołu. Diana wsunęła rękę w głąb rozdarcia i trafiła na polar, włókna poliestrowe. Też nadpalone. Jednym ruchem odsłoniła swój bok. Od pachwiny po pachę jej skóra chrupała jeszcze, sparzona ogniem. Była czerwona, zgnieciona, odwinięta jak na rysunkach w atlasach anatomicznych, ukazujących, co się kryje wewnątrz ciała. Diana nie rozumiała, co się z nią stało. A najbardziej przerażało ją to, że nie czuła bólu.

Pochyliła się i obejrzała ołowiane drzwi na wysokości miejsca, gdzie siedziała: materiał przecinały drobniutkie pionowe rysy. Zimowe mrozy i letnie upały naruszyły w końcu nieprzepuszczalność ołowiu. Przez te szparki przedostało się promieniowanie atomowe i dosięgło jej najintymniejszych organów. Cofnęła się, osłupiała. Myślała, że uniknęła śmierci. Myliła się. Jakże się myliła. Bo była nie tylko oparzona.

Była napromieniowana.

Wirtualnie martwa.

63

Nad doliną wstawało słońce. Zielone równiny szturmowały horyzont, obrzeżone z prawej puszcza porastającą wzgórze, a z lewej górskimi ścianami, jeszcze przesłoniętymi mgłą. Diana zobaczyła o sto metrów przed sobą jakiś poruszający się punkt. Zmrużyła oczy i rozpoznała sylwetkę Giovanniego, który szedł w jej kierunku ze strzelbą przewieszoną przez pierś. Trawy osłaniały go do pół uda długimi, kołyszącymi się talami.

– Co się dzieje? – ryknął do niej. – Poczulem jakąś wibrację i...

Resztę słów porwał mocny podmuch wiatru. Chwiejąc się na nogach, Diana poszła mu naprzeciw. Nie czuła oparzenia, ale dokładnie odczuwała powiewy wiatru smagające jej twarz, pieszczotę traw na nogach, zapach świeżości, unoszący się w zwartym szyku aż do jej duszy.

– Mogła pani na mnie zaczekać – powiedział Włoch karcąco, kiedy już znalazł się przy niej.

– Co się stało?

– Tokamak ruszył. Nie wiem, co go...

– A pani? – zapytał. – Wygląda, że wszystko w porządku.

Diana uśmiechnęła się, żeby powstrzymać łzy.

– Pan to jest spostrzegawczy – powiedziała.

Owinęła kosmyk włosów wokół palców i wyciągnęła go z łatwością. Napromieniowanie już dawało o sobie znać. Miliardy atomów rozpadały się, powodując reakcję łańcuchową, która już nie ustanie aż do całkowitego rozpadu. Ile czasu jej jeszcze zostało? Kilka dni? Kilka tygodni? Wyszepiała:

– Byłam w maszynie, Giovanni. Jestem napromieniowana. Napromieniowana do kości.

Etnolog zauważył wreszcie czarną smugę przecinającą jej anorak. Dwoma palcami rozsunął tkaninę i zobaczył różowawy ślad oparzeliny: skóra zaczynała pękać, łuszczyć się strzępami. Wybełkotał:

– Wy... wyleczymy panią, Diano. Przede wszystkim – bez paniki.

Diana nie słuchała. Nie chciała brnąć ani w nadzieję, ani w strach. Obchodziło ją tylko, ile czasu jej zostało. Musiała żyć dość długo, by zdemaskować demony, odsłonić prawdę i ostatecznie zapewnić spokój przybranemu synowi.

– Wyleczymy panią – powtarzał Włoch z uporem.

– Cicho.

– Zapewniam panią że przewieziemy panią szybko do kraju i...

– Cicho, mówię panu.

Giovanni zamilkł.

– Nie słyszy pan? – spytała Diana.

– Czego?

– Ziemia drży.

Czyżby tokamak znów ruszał? Wyobraziła sobie dolinę w płomieniach podmuchu atomowego. Po chwili jednak zrozumiała, że drgania dochodzą nie od reaktora, tylko z drugiej strony doliny. Spojrzała przed siebie, między wzgórze a skalną ścianę, i wyteżyła wzrok. Horyzont przesłaniała ogromna chmura pyłu, coś w rodzaju mgły złożonej z grudek ziemi i strzępów trawy.

I wtedy ich zobaczyła.

Rozpoznała ich od razu.

Cewenowie.

Nie dziesięciu.

Nie stu.

Tysiące.

Lawina jeźdźców, chmara reniferów: ich niezliczone grzbiety lśniły pod zwierciadłem chmur – oszłamiający rytm kłębow i błysków. Niekończąca się fala waliła ze zboczy, zalewała równinę, rozwijała się, wybuchała wigorem, tumultem, pięknem. Żadnych kolorów: jeźdźcy nosili wyłącznie czarne *deele*, a wokół nich galopowały białe i szare renifery. Biegły, ocierając się zakurzonymi, plamistymi bokami, zderzając się aksamitnymi porożami, niczym żywe krzewy, jakieś fantastyczne korale, kryształy wiatru i życia.

Diana nie wiedziała, gdzie spojrzeć, tak ją ten olśniewający widok zachwycał, przerastał, dławił. Szukała jakiegoś konkretnego punktu, na którym mogłaby skupić uwagę, i nagle znalazła go. Gdyby miała umrzeć w tej chwili, to właśnie z tym widokiem wrytym w głębi tęczęwek: kobiety.

One i tylko one, galopując przed hordą i za nią, panowały nad zwierzętami. Większość jechała na koniach. Ryczały z rozpalonymi policzkami, z obcasami wbitymi w strzemiona. Diana odgadywała wzory na ich chustach: musiały przedstawiać magiczne znaki – te same, które

zauważyła w samolocie towarowym. Teraz wyglądało to tak, jakby owe legendarne stwory oderwały się od jedwabiu i biły kopytami po ziemi, tratowały polanę, wrywając z niej kępy trawy, rozsiewając źdźbła po powietrzu.

Kobiety zataczały koła na swoich wierzchowcach, zawracały, ruszały znów, z brzuchami i udami jak przylutowanymi do koni, zdawały się przenikać na wskroś przez ciało zwierzęcia, by odbić się od ziemi w skoku wściekłości, we wzlocie łaski, w wybuchu żywotności, wznoszącej się aż do nieba.

Przekrzykując tętent galopujących zwierząt, Giovanni wrzasnął:

– Co się dzieje? Stratują nas!

Diana odpowiedziała, odrzucając włosy powiewające jej przed oczyma:

– Nie. Ja myślę... myślę, że jadą po nas.

I przez wysokie trawy poszła naprzód. Naprzeciw niej gnały stada reniferów, barwy śniegu i popiołu, nie zwalniały szaleńczego biegu, tratowały roślinne fale. Diana szła wciąż przed siebie. Za jeźdźcami dostrzegła teraz dzieci, siedzące zręcznie na drewnianych kulbakach, na grzbietach nieco mniejszych zwierząt. Ich purpurowe twarzyczki pojawiały się od czasu do czasu z rozkołysanych poroży. Opatulone, spokojne, tronowały niczym księżątka na swych wierzchowcach koloru burzy.

Wataha była już o nie więcej niż sto metrów. Diana dostrzegła jadącego na czele człowieka, którego postawa miała jakiś szczególny blask, wskazujący, że to on jest władcą tego orszaku. A przecież był to tylko młody człowiek, prawie dziecko, w szerokim czarnym kapeluszu. Ogarnęła ją pewność: to królewskie dziecko było Strażnikiem, Strażnikiem, który wyrósł na mężczyznę otoczonego czią swego ludu. Pomyślała o Lucjanie. Przez głowę przelatywały jej, niejasno i chaotycznie, najrozmaitsze wydarzenia, porywane dzieci, znaki wypalane w ciele, przekraczane granice między życiem a śmiercią, morderstwa, tortury... być może jakoś się ułoży to w całość. Ale teraz było jej wszystko jedno. Bo w głębi tego wiru, w głębi tego ludu, który wyrwał się spośród martwych, widziała jaśniejsze światło.

Bo jeśli ten lud jeszcze żyje, to może i dla niej jest nadzieja...

Nagle wszystkie wierzchowce jednocześnie stanęły w miejscu, jak morze zatrzymane przez brzeg. Od Diany dzieliło je dwadzieścia metrów. Podeszła bliżej. Pierwsze renifery wyciągały już szyje, by szukać soli na jej zalanych łzami policzkach. Wyczerpana, kulejąca, zastanawiała się, co może powiedzieć i w jakim języku, by nawiązać kontakt.

Ale nie było to potrzebne.

Młodzińczy król wskazywał jej osiodłane zwierzę, które wpatrywało się w nią wielkimi, spokojnymi oczyma.

64

Ogromny konwój ruszył natychmiast w stronę górskich zboczy. Stado szło teraz stępa, posłusznie. Wkrótce cała horda pokryła piarżyska i przedzierając się przez poszycie leśne, zostawiając za sobą zagajniki, omijając ostatnie drzewa, znalazła się w końcu w sinym pejzażu tundry. Orszak dotarł wreszcie do rozległej polany pokrytej szorstką trawą, ograniczonej granitowymi blokami, które przypominały jakieś zabezpieczające bariery wysoko w górach. Dziesiątki mężczyzn i kobiet rozstawiało namioty, rozwieszając na wysokich piramidach z gałęzi płachty wojskowego brezentu.

Giovanni, który towarzyszył Dianie, mruknął:

– Jurty, ceweńskie namioty. Nigdy bym nie uwierzył, że je kiedyś zobaczę.

Inne grupy budowały zagrody z brzozowych pni, w których już gromadziły się renifery. Na drewnianych stojakach schły niczym prześcieradła zwierzęce sieci jelitowe – organiczne błony okrywające wnętrzości. Diana poddawała się rytmowi ruchów swego wierzchowca. Wstrząsały nią dreszcze, jej skóra sztywniała całymi płatami, z których odpływała krew, oparzelina natomiast występowała coraz wyraźniej, a jej chropowatość wzmagala jeszcze ból wywołany zimnem.

Mimo to z niezmienną fascynacją obserwowała ten lud, który wychynał znikąd i, skryty za mgłami pokrywającymi góry.

Gdzie przetrwał, z pewnością wymykał się aż dotąd wszelkiej obserwacji z powietrza. Twarze tych ludzi były szerokie, twarde, poryte zmarszczkami. Mieli rysy zniszczone przez wiatr i mróz. Gęby szorstkie, zahartowane surowością klimatu, ale też wycieńczone przez związki między zbyt bliskimi krewnymi. Wszyscy – mężczyźni, kobiety, dzieci – nosili ciemne *deele*, w odcieniach fioleto lub indygo. Ale tę jednolitość strojów podkreślała zwłaszcza różnorodność nakryć głowy: były wśród nich kapelusze gauczów, futrzane czapy, czepki frygijskie, miękkie pilśniaki, kaptury... wszystko to podskakiwało na głowach w rytmie skoków wierzchowców, w jakimś szalonym tańcu.

Dotarli na środek obozowiska i kilka kobiet ściągnęło Dianę na ziemię. Nie stawiała oporu. Zdażyła tylko mruknąć do Giovanniego: „Nie przejmuj się”. Kobiety zaprowadziły ją do wolnego namiotu, stojącego sto metrów dalej, w pobliżu skał otaczających polanę. Wnętrze jurty

liczyło kilka metrów kwadratowych. Nie było żadnej podłogi, zastępowała ją trawa i pokryte mchem kamienie. Diana podniosła wzrok. Ze szkieletu jurty zwisały kawałki mrożonego mięsa. Po prawej wisiały lub leżały na stoliczkach z kory rytualne przedmioty: wieńce z włosów, ptasie gniazda, naszyjnik z małych szczęk, zapewne świeżo narodzonych reniferków. Zauważyła też jakieś sztywne i czarniawe kształty, wyglądające na zasuszone łapki i penisy zwierzęce.

Dwie „pokojówki” rozebrały ją, trzecia tymczasem rzucała w palenisko pieca końskie włosie i skrapiała je wódką. Po kilku sekundach Diana leżała naga, na posłaniu ze skór, twardszym od żelaznej płyty. Szczękała zębami, wlepiając wzrok we własne ciało, które na tym czarnym barłogu wydawało się ogromne, chude jak szkielet, blade. Do jurty weszło trzech mężczyzn. Diana zwinęła się w kłębek. Ale przybysze nawet na nią nie spojrzeli. Rzucili w kąt swoje nakrycia głowy – czapkę narciarską, kaptur, miękki pilśniak – i chwycili leżące koło ołtarzyka bębenki. Natychmiast rozległ się warkot. Uderzenia twarde, matowe, nierezonujące. Diana przypomniała sobie, co mówił jej Giovanni: rytualne bębny w tajdze robiło się tylko z drewna drzew zwalonych przez piorun.

Rytm zmieniał się: między pulsujące dudnienia wcisnął się gardłowy charkot, tworząc przesunięty w czasie pomruk, głuche echo, odpowiadające zgodnemu nawoływaniu bębnow. Mężczyźni – trzy twarze jakby wykute w skale – ubrani w wytarte czarne *deele*, zaczęli przestępować z nogi na nogę, wznosząc do góry swoje pałeczki. Przypominali nadąsane niedźwiedzie, pokryte jeszcze strzępami lasu.

Kobiety zmusiły Dianę, by się wyciągnęła na całą długość. Odruchowo chciała przykryć swą nagość, ale zauważyła, że w gęstym dymie walącym z pieca jej ciało jest już niewidoczne. Jedna z „dam dworu” zaczęła obsypywać jej tors talkiem, druga podała do picia parzący napój. Najrozmaitsze doznania kłębiły się w niej, żadne nie brało góry: zimno, panika, duszności... Położyła głowę na skórze i zrozumiała, że już za późno, żeby się cofać. Z zamkniętymi oczami, z drżącymi rękoma złożonymi na ramionach, przyłapała się na tym, że się modli. O to, żeby to, co dzieje się wokół, zdarzyło się naprawdę. Żeby ceweńska magia zwyciężyła i uratowała ją...

Warkot bębnow nasilił się. Niczym kontrapunkt do niego wznosi się coraz wyżej, pulsując monotonnie, posapywanie wydobywające się z zamkniętych warg. Diana mimo woli otworzyła oczy. Ociekiała potem. Mężczyźni, niewyraźne cienie w gęstym dymie, chodzili tam i z powrotem wzdłuż ściany namiotu, przykucając przy każdym uderzeniu bębnow. Kobiety siedziały na piętach wokół Diany. Miały zamknięte oczy, pochylały się, prostowały, pochylały się znów,

z rękami złożonymi w ofiarnym geście na kolanach. Zwróciła uwagę na jeden szczegół: kolczyki w ich uszach miały kształt sylwetek ptaków wędrownych.

Nagle ład obrzędu został zakłócony. Kobiety powyciągały z rękawów flety i dmuchały unisono w te rogowe rurki. Trele były tak wysokie, tak uparte, że zdawały się zwyciężać we współzawodnictwie z bębnami. Muzykantki, wciąż siedząc, wyginały grzbiety, obracały się wokół własnej osi, niczym baki złożone z dźwięków, jedwabiu i ognia. Ich wargi zdawały się przyśrubowane do złowrogich instrumentów, które trzymały w palcach. Ich wydęte policzki przypominały kadzielnice, przykrywające święty żar.

I wtedy, z głębi tego zgiełku, z dymu, wyłoniła się ona.

Z czepka, najeżonego orlimi piórami, opadały jej na twarz długie frędzle. Drobną sylwetkę okrywał płaszcz, na którym ponaszywane były ciężkie kawałki metalu. Zgięta w pół, niemal zwinięta w pięść, sunęła drobnymi, rytmicznymi krokami, ściskając w rękach jakiś tajemniczy przedmiot. Był to rodzaj woreczka pokrytego futrem. Diana zdrętwiała, kiedy zobaczyła, jak ta rzecz przybliżyła się do niej. Przerażliwy gwizd zagłuszył rytm bębnów i fiorytury fletów. Po paru sekundach Diana zrozumiała, że to zwierzęcy wrzask. W pierwszej chwili wydało jej się, że to czarownica wyje zza swoich frędzli, ale po chwili zrozumiała: ryczała nie szamanka, lecz futrzany woreczek, który trzymała w rękach.

Ta rzecz była żywa.

Jakiś gryzoń o długim czarnym futerku zwijał się z przerażenia w garściach staruchy. Diana wcisnęła się w głąb namiotu, przygnieciona tymi sypiącymi się na nią obrazami: mężczyźni wściekle kiwający się w przód i w tył, kobiety zgarbione nad swoimi fujarkami i czarownica, z uniesionymi ramionami, w aureoli frędzli niczym ptak, wznosząca do góry kwiczący pyszczek ssaka.

Trzeba było uciekać od tego koszmaru, zapomnieć o tym... Jej ramiona gwałtownie przyciśnięto do materaca. „Pokojówki” rzuciły swoje instrumenty i unieruchomiły ją. Chciała krzyknąć, ale kłęb dymu wpadł jej do ust. Chciała się wyszarpnąć, ale sparaliżowała ją panika: twarze kobiet zmieniły się. Oczy nabiegły krwią. Wyglądały jak polakierowane na czerwono. Diana zrozumiała, że obrzęd wtrąca ciała w pierwotny chaos, w szaleństwo stadnego życia. Wszystkie serca tłukły się nieprzytomnie, krew rozsadzała żyły.

Szamanka była teraz tuż przy niej. Zwierzątko wciąż skowyczało, szczerząc ostre, groźne kły. Starucha zbliżyła potworka do oparzeliny. Diana opuściła wzrok na swój posypany talkiem

brzuch. Pod białymi smugami widziała skórę, nabrzmiałą, pomarszczoną, tu i ówdzie popękaną pod wpływem gangreny. Szarpnęła się jeszcze raz, próbując się wyrwać, ale osłupienie ją sparaliżowało.

Czarownica przyłożyła zwierzę do jej rany, wciskając z całych sił pokryte futerkiem ciało w ropiejącą skórę. W jednej chwili oczy gryzonia pokryły się szkarłatną błonką, krwawą folią. Szamanka zaciekle, uparcie, z jakąś niesamowitą gorliwością przesuwiała kulkę sierści tam i z powrotem po ranie.

To właśnie była tajemnicza logika jej zabiegu: czarownica usiłowała tym gryzoniem usunąć stygmaty atomu. Zwierzątko było w jej rękach niczym gąbka, ścierająca cierpienia, niczym leczniczy magnes, zmiatający ślady ognia i wciągający śmierć w siebie.

Nagle zwierzątko zaczęło się kurczyć. Z futerka strzeliły iskry. Diana patrzyła i nie wierzyła: ssak od zetknięcia z jej oparzeniami zajmował się ogniem. Jego ciało dymiło w zakrzywionych palcach czarownicy.

I wszystko stało się w kilka sekund.

Szamanka podniosła zwierzę-gąbkę wysoko, pod dach namiotu. Okręciła się wokół siebie w zamęcie frędzli i metalu, po czym cisnęła rozpaczliwie wysuwającym pazurki zwierzątkiem o kamień. W tej samej chwili wyciągnęła z rękawa sztylet i rozcięła ciało gryzonia od pachwiny po gardło. Diana zobaczyła, jak mały brzuszek otwiera się, ukazując parujące wnętrzności. Widziała, jak krzywe palce szamanki grzebią w trzewiach, i dostrzegła wśród ciemnych kształtów organów jakąś jeszcze ciemniejszą masę, jakieś skupisko chorych komórek, zanieczyszczających włókna i tkanki. Ziarna trwogi. Znaki cierpienia. Kawior śmierci.

Nim zemdlą – zrozumiała prawdę.

Rak.

Rak, wywołany przez atom, przeszedł w ciało zwierzęcia.

65

Diana przebudziła się, kiedy dzień dobiegał już końca. Przeciągnęła się, poczuła, jak wszystkie jej mięśnie, po najdalsze końce, rozluźniają się, a potem rozkoszowała się ciepłem pieca, który potrzaskiwał na środku pomieszczenia. Słyszała z dala odgłosy obozowiska. Wszystko było takie ciepłe, takie swojskie...

Leżała w jurcie, w której poza nią było tylko kilka drewnianych kulbak, kołowrotek do przędzenia i szare kamienie, pełniące tu rolę mebli. Nie było już żadnego śladu szamanizmu poza zawieszonymi w górze figurkami w sukieneczkach uszytych ze skóry uszu i naszyjnikami z nozdrzy małych gryzoni. Podniosła wzrok i przez otwór w dachu zobaczyła niebo. Przypomniała sobie słowa Giovanniego: mongolskie namioty są zawsze otwarte ku górze, żeby ognisko miało kontakt z kosmosem.

Usiadła na materacu i zsunęła z siebie filcową derkę. Miała na sobie czystą bieliznę. Dżinsy i golf leżały starannie złożone koło niej. Były tam nawet w zasięgu ręki – jak błysk światła pośród trawy – jej okulary. Wsadziła je odruchowo na nos, po czym podniosła podkoszulek, żeby obejrzeć ślady po oparzeniu. Nie była zaskoczona tym, co zobaczyła. Ogarnęła ją fala wdzięczności, siłą miłości przeniknęła przez nią jak światło słoneczne przez wodę rzeki. Ubrała się i wyszła z jurty.

Obozowisko było gotowe. Na polanie stało około czterdziestu jurt. W poziomych promieniach zachodu pejzaż tundry wydawał się bardziej księżycowy niż kiedykolwiek. Koczownicy zajmowali się swoimi sprawami. Kobiety pod jurtami szykowały posiłek. Mężczyźni odprowadzali ostatnie stada do zagród. Dzieci biegały we wszystkich kierunkach, przecinając smugi dymów, rozdzierając swym śmiechem szare powietrze.

Diana uśmiechnęła się na widok Giovanniego, który siedział samotnie przy ognisku. Usiadła przy nim, wśród siodel i pakunków. Włoch podał jej kubek herbaty.

– Jak pani się czuje?

Wzięła kubek do ręki, wciągnęła w nozdrza unoszącą się nad nim parę, ale nie odpowiedziała. Giovanni nie nalegał. Otulony w anorak, przeganiał żar suchą gałęzią. Diana wymamrotała wreszcie:

– Nigdy już nie będziemy tacy jak przedtem, Giovanni.

Włoch udął, że nie słyszy. Powtórzył:

– Jak pani się czuje?

Diana mówiła dalej, wpatrując się w płomienie:

– Na Zachodzie uważa się, że wiedza szamanów to tylko zabobony, naiwne wierzenia. Takie przekonania bierze się za słabość. To błąd: ta wiara jest siłą.

Z czystej uprzejmości etnolog pochylił się, żeby podmuchać na żar. Płonące trawy skręcały się w pomarańczowe strzępki, tańczyły maleńką, rozżarzoną sarabandę. Diana powtórzyła:

– To siła, Giovanni. Zrozumiałam to dziś. Bo kiedy umysł wierzy, to tym samym zyskuje moc. Może sam staje się mocą. Ludzką stroną potęgi, ukrytej we wszystkich elementach wszechświata.

Włoch wyprostował się gwałtownie. Był potargany, jakby schowany za swoją brodą.

– Diano, rozumiem pani poruszenie, ale nie wierzę w...

– Już nie ma co wierzyć albo nie wierzyć.

Podciągnęła swój sweter i podkoszulek, odsłaniając brzuch: jej skóra była biała, gładka, niemal nieskazitelna. Na ciele, kilka godzin przedtem popękanym od ognia, ledwie można było dostrzec lekkie zaczerwienienie. Giovanni patrzył z rozdziawionymi ustami.

– Czarownica zdołała wyleczyć moje oparzenie – mówiła dalej Diana. – Udało jej się usunąć skutki promieniowania. Wydarła ze mnie raka z pomocą płonącego gryzonia. Nazwij to, jak chcesz: czarnoksięstwem, zdolnością paranormalną, ingerencją duchów. Ale siła duchowa, o której mówię, jest czysta ponad wszelkie podejrzenie. I to ta siła mnie uratowała.

Na „ty” przeszła spontanicznie. Opuścili już regiony, w których mówi się „pan, pani”. Giovanni otworzył usta, żeby odpowiedzieć, z błyskiem niedowierzania w oczach, ale nagle skapitulował:

– Zgoda. Zresztą wszystko jedno: Diano, jestem bardzo szczęśliwy.

Chwycił kilka kawałków kory i dorzucił do ogniska. Taniec iskier wzmógł się znów.

– Teraz – powiedział – musisz mi wszystko opowiedzieć. A kiedy mówię „wszystko”, to znaczy naprawdę wszystko.

Diana wypila łyk herbaty, milczała przez dłuższą chwilę, zbierała myśli, po czym zaczęła mówić. Opowiedziała o zaadoptowaniu Lucjana, o zasadzce na obwodnicy, o roli Rolf'a van Kaena. O pochodzeniu dziecka i o ludziach, którzy się nim interesowali. Mówiła o tokamaku, o jego załodze, o ośrodku parapsychologicznym. Opowiedziała, jak Strażnikom powierzono

przekazanie daty tajemniczego spotkania, zapisanej na ich palcach. Wyjaśniła mu, dlaczego jest przekonana, że badacze z TK 17 odkryli jakąś tajemnicę, pozwalającą zdobywać i rozwijać zdolności paranormalne. I na zakończenie powiedziała, że jest pewna jednego: ci ludzie wracają dziś w związku z tą tajemnicą. Umówili się w tokamaku 20 października 1999 roku, czyli za kilka godzin, by rozbudzić na nowo swe moce mentalne.

Giovanni jej nie przerywał. Nie okazał zdziwienia, nie zrobił żadnego gestu niedowierzania. Po prostu, kiedy skończyła mówić, zapytał:

– W jaki sposób ci ludzie mogli nabyć tych zdolności? Czy mogli rozwijać władze... nadprzyrodzone?

Diana czuła kąsanie ognia na twarzy, a jednocześnie od pleców atakował ją wieczorny mróz. Wyobrażała sobie, jak w jej krwi miesza się z sobą gorąco i zimno, nadając jej pomarańczowy kolor palonej żywicy.

– Nie wiem dokładnie – powiedziała cicho. – Mogę powiedzieć tylko, że dotąd myślałam się zupełnie.

– To znaczy?

Znów namyślała się dłuższą chwilę. Cierpki dym wypełnił jej usta jak łyk kadzidła. Pomyślała o obrzędzie, który ją uleczył, i powiedziała:

– Początkowo przypuszczałam, że parapsychologowie, badając sprowadzonych z Syberii szamanów, dokonali jakiegoś znaczącego odkrycia.

– Wszystko na to wskazuje, nie?

– Nie tak, jak można by było sobie wyobrażać. To nie te badania dały im nadprzyrodzoną moc.

– Czemu nie?

– Z wielu powodów. Przede wszystkim wyobraź sobie do cna wyczerpanych szamanów, którzy spędzili już lata w więzieniach, w obozach. Czy w tej sytuacji naukowcy mogli się czegokolwiek od nich dowiedzieć? Jak, twoim zdaniem, mogliby doprowadzić ich do szczególnych stanów mentalnych, takich jak transy czy sny na jawie?

– Może ich po prostu przesłuchiwali?

– Czarownicy nic by im nie powiedzieli.

– Sowieci mieli swoje sposoby przekonywania.

– To prawda, ale powtarzam, moim zdaniem ci szamani byli skończeni, puści w środku.

Daleko od swej kultury, daleko od swych zdolności, nie mieli nic do powiedzenia parapsychologom. Nawet gdyby chcieli.

– No więc co?

Diana wypła łyk herbaty.

– Dziś rano wymyśliłam inną hipotezę. Być może nabycie tych władz zawdzięczają jakiemuś faktowi zewnętrznemu.

Wydarzeniu, które nie miało nic wspólnego z badaniem zjawisk parapsychologicznych.

– Jakiemu wydarzeniu?

– Wybuchowi tokamaku. Jeśli radioaktywność może przekształcać struktury ciała ludzkiego, to czemu nie miałyby przekształcać świadomości, siły mentalnej?

– I naukowcy zostaliby też napromieniowani?

– Nie jestem pewna. Ale ci, których zabito, mieli na sobie dziwne stygmaty. Choroby skórne, jakieś atrofie, anomalie, być może spowodowane napromieniowaniem. Pomyślałam nawet, że mogli spowodować wypadek i narazić się na promieniowanie świadomie.

– Ale już tak nie myślisz?

– Nie. Wybuch tokamaku odegrał inną rolę. Rolę wywoławczą.

– Nie rozumiem.

Diana nachyliła się nad płomieniami i popatrzyła Giovanniemu w oczy.

– Wypadek z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim pośrednio wydobył na jaw zdumiewające moce panujące w tej dolinie.

Diana rozejrzała się po obozowisku, przyjrzała Cewenom, krzątającym się pośród woali dymu, który łącząc się ze zmierzchem, zasnuwał krajobraz.

– Spójrz na tych mężczyzn, na te kobiety, Giovanni. Skąd się wzięli? Jak cały lud mógł w ukryciu przetrwać ucisk, kolektywizację, głód? Jedno jest pewne: w latach siedemdziesiątych istnieli dwójakiego rodzaju Cewenowie. Ci, co zdołali schronić się w górach, oraz ci, co nie opuścili dolin i zostali zniewoleni, osiedleni, odarci z własnej kultury. To ci drudzy zatrudnili się na budowie tokamaku i podejmowali się najbardziej niebezpiecznych robót. To oni na wiosnę tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku spłonęli w pierścieniu. Mogę sobie jednak wyobrazić, co się wtedy stało...

Giovanni skrzywił się.

– Ja nie.

– Postaraj się. Wyobraź sobie tych robotników, poparzonych, napromieniowanych, umierających. Wyobraź sobie zrozpaczone kobiety, które wiedziały doskonale, że pomoc radziecka nigdy nie nadejdzie. Co zrobiły, jak myślisz? Zaprzęły swoje reny i ruszyły w góry, szukać ceweńskich szamanów, ludzi, którzy posiadali jeszcze cudowne zdolności lecznicze.

– Żartujesz chyba?

– Wcale nie. Cewenowie z dolin zawsze wiedzieli, że część ich plemienia żyje na wyżynach, zachowując tradycję i nie zrywając kontaktu z duchami.

– Myślę, że cała ta historia rąbnęła cię po...

– Słuchaj mnie! Kobiety pojechały w góry. Wyjaśniły sytuację czarownikom. Ubłagały ich, by zeszli w dolinę, odprawili obrzęd i uratowali tych, których można było uratować. Szamani zgodzili się. Zaryzykowali, że zostaną zauważeni, zatrzymani, ale mimo to odbyli obrzęd szamański, by uleczyć swych braci. Obrzęd udał się znakomicie, bo większość poparzonych wyzdrowiała.

– Skąd ta pewność?

W szerokim uśmiechu Diany znać było trawiącą ją gorączkę.

– Jeśli ja dziś przeżyłam napromieniowanie, to znaczy, że wszystko potoczyło się dokładnie tak samo w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim.

Wyraz twarzy etnologa potwierdzał, że się z tym zgadza. Słowa Diany zaczynały trafiać mu do przekonania.

– Co, twoim zdaniem, zdarzyło się później? – zapytał.

– Dla Cewenów zaczął się prawdziwy koszmar. Parapsychologowie musieli w ten czy inny sposób dowiedzieć się o cudownych uleczeniach. Zrozumieli tę nadzwyczajną prawdę: zdolności, które chcieli opanować, od trzech lat badając szamanów przysłanych z gułagu, występowały o kilka kilometrów od ich pracowni. W zasięgu ręki. I to w niewyobrażalnym nasileniu! Zdali sobie wtedy sprawę, że tkwią w samej kolebce zdolności, które od dawna pragnęli zdobyć.

– Zatrzymali szamanów?

Mieli w ręku wirtuozów. Rzadkie perły. Podjęli na nowo doświadczenia z tymi ludźmi i tym razem powiodło im się. Zdołali wydrzeć im szamańską wiedzę.

– Jak?

– To jest element, którego mi brakuje. Ale udało im się zdobyć te właściwości. Dlatego mają teraz taką władzę. To dlatego mojemu śledztwu towarzyszyły wciąż zjawiska niewytłumaczalne.

I dlatego oni tu dziś wracają: żeby powtórzyć swoje doświadczenie, doświadczenie, które wówczas pozwoliło im zdobyć owe zdolności.

Włoch powoli kiwał przecząco głową.

– To zbyt wariackie.

– Można tak powiedzieć, owszem. Teraz jestem pewna jednego: prawdziwym motywem zabójstw jest kradzież tajemnic. Jewgen Talich mści się za swój lud, ale nie w tym sensie, jaki miałam na myśli. Nie mści się konkretnie za ludobójstwo dokonane na robotnikach z pierścienia, ale ogólniej – za zrabowanie ich kultury. Mści się za profanację. Ci łajdacy ukradli moc Cewenów. I teraz drogo za to płacą.

– Dlaczego dopiero po trzydziestu latach? Po co było czekać na ich powrót do tokamaku?

– Odpowiedź tkwi pewnie w jakimś elemencie całej historii, którego jeszcze nie znamy. Może to ma związek z techniką, której użyli, by wejść w posiadanie tych zdolności? Ze spotkaniem, które miało się odbyć za pośrednictwem dzieci o poparzonych palcach...

Diana wstała. Etnolog przyglądał się jej.

– A co... teraz? Co się będzie działo? Co będziemy robić?

Diana wciągnęła na siebie anorak. Była pijana życiem, pijana prawdą.

– Wracam na teren ośrodka. Muszę odnaleźć ich pracownię. To tam wszystko się rozegrało.

66

Zapadała noc. Trzymali w rękach dwie wiatroodporne lampy acetylenowe z odbłyśnikami, zabrane przez Giovanniego. Tak wyekwipowani przypominali dziewiętnastowiecznych górników, zagubionych w labiryncie zapomnianych pokładów. Kiedy musieli wymienić pojemniki karbidu, zdali sobie sprawę, że wędrują w ten sposób od przeszło trzech godzin. Ruszyli dalej bez słowa. Mijali kolejne maszyny, silniki, korytarze. Ale wciąż nie trafiali na żaden ślad miejsca, które mogłoby być tym, czego szukali.

Około północy zatrzymali się w zupełnie pustej sali o nagich ścianach. Zimno dopadło ich w chwili, kiedy ze zmęczenia i głodu zaczęli dostawać zawrotów głowy. Diana usiadła wyczerpana na kupie gruzu. Giovanni szepnął:

– Nie przeszukaliśmy jeszcze tylko jednej strefy.

Diana przytaknęła. Bez słowa ruszyli znów w drogę i poszli w kierunku kamiennego kręgu. Przebyli następne korytarze, przemierzyli kolejne sale i dotarli do tej, którą Diana rozpoznała natychmiast: przedsionek tokamaku. Po lewej dostrzegła pomieszczenie, które przypominało szatnię. Znalazła tam peleryny, takie jak ta, którą Bruner miał na sobie na bulwarze okrężnym. Znalazła też maski, rękawice i liczniki Geigera. Nałożyli na siebie te stroje i wzięli instrumenty pomiarowe.

Weszli do korony. Tym razem neony nie zaświeciły. Giovanni podszedł do wielkiego przełącznika i zrobił ruch, jakby chciał go przekręcić. Diana chwyciła jego rękę i mruknęła przez maskę:

– Nie. Wystarczy nasze światło.

Szli dalej, z dłońmi zaciśniętymi na latarkach, które chwiały się w rytmie ich kroków, brnęli w ciemnościach przez zawieszoną pyłu. Szli wzdłuż zakrzywionej i pokrytej lizajami ściany, szukając jakiegoś ujścia, otworu, który oznaczałby obecność ukrytego pomieszczenia.

– Tam.

Giovanni wyciągnął rękę w rękawiczce ku drzwiom w wewnętrznej ścianie kręgu. Musieli razem natężyć siły, żeby je odryglować. Diana zawahała się na widok mrocznego otworu. Etnolog poszedł przodem, świecąc lampą. Po chwili ruszyła za nim, zamykając za sobą klapę. W kolejnej śluzie rzuciła okiem na licznik: igielka nie poruszała się, promieniowanie zostało

wchłonięte. Zdjęła maskę i zobaczyła spiralne schodki. Jej towarzysz już nimi schodził. Stopnie otaczały ślimakiem ogromny wspierający sufit pylon. Schodzili pod płaszczyznę tokamaku, do fundamentów maszyny.

Dotarli do podwójnego portalu, już nie z żelaza ani ołowiu, tylko z miedzi. Giovanni napał ramieniem, rozsunął skrzydła drzwi i wślizgnął się do środka. Diana szła za nim. W krzyżujących się światłach ich lamp ukazała się okrągła sala, w której mieściły się różne instrumenty, tym razem na ludzką miarę. Były to maszyny zarazem groźne i skomplikowane, które mogły się kojarzyć z pracami z dziedziny psychologii eksperymentalnej. Diana instynktownie czuła, że trafili na miejsce. Krąg umysłu leżał pod kręgiem atomu. Tam, gdzie nikt by nigdy nie myślał szukać pracowni: pod piekielną rotundą.

Zdjęli peleryny i poszli w głąb. Ściany pokryte były fosforyzującymi porostami, w ich świetle widać było skośne cienie zwisających z sufitu łańcuchów. Ogniwa szczękały z posępną regularnością, kołyszając się niczym widmowe statki. Giovanni szukał wyłącznika.

Diana nie protestowała: takiego miejsca nie sposób było zwiedzać po ciemku. Neony zatrzeszczały z wahaniem, po czym zapaliły się. Sala objawiła się w całym swoim ogromie. W kolistej ścianie nie było żadnego otworu poza drzwiami. Na suficie, między częściowo odłączonymi kablami, rury świetlówek ułożone były w łuk, pozostawiając w cieniu wszystko, co nie mieściło się w ich świetle.

Chyba nic nie zostało zrabowane, jakby łupieżcy nie śmieli tu wejść. Pierwszymi aparatami, jakie Diana zauważyła, były klatki Faradaya. Sześciennie, miedziane skrzynki o boku długości jednego metra, umożliwiające całkowitą izolację elektryczną. Przyklękła i przyjrzała się wnętrzu jednej z nich. Elektrody walały się po złotawobrazowej podłodze: trzymano tu ludzi. Diana wyprostowała się i zobaczyła kilka metrów dalej siedzenia o wysokich oparciach, przypominające kościelne stalle, wyposażone w metalowe bransolety i skórzane pasy. Obok nich czarniawe liczniki były połączone z przyssawkami, pozwalając domyślać się doświadczeń z zastosowaniem silnych wstrząsów elektrycznych. Na podłodze zauważyła wśród pleśni i pyłu zlepione kępki włosów – golono tu czyjeś głowy, żeby lepiej podłączyć elektrody.

Jeszcze kilka kroków. Diana trafiła na kesony do izolacji zmysłowej: wypełnione słoną wodą sarkofagi, długości około dwóch metrów. Pochyliła się: na powierzchni unosiły się szkielety. Drobne kości, szczątki niewysokich ludzi lub dzieci. Pomyślała o Lucjanie i omal nie zemdlała – chwilami traciła świadomość. Stojący za nią Giovanni oświadczył stanowczo:

– Ja już nie mogę. Nie zostanę tu dłużej.

– Zostajemy – powiedziała rozkazująco. – Musimy szukać dalej. Zrozumieć, co się tu działo.

– Nie ma tu nic do rozumienia! Pieprznięci faceci torturowali Bogu ducha winnych ludzi, to wszystko!

Diana przesunęła językiem po wargach. Atmosfera była przesycona solą, jakby naładowana goryczą. Zauważyła inny fragment pomieszczenia, w głębi, odgradzony metalowymi parawanami. Poszła w tamtą stronę i zobaczyła stół z nierdzewnej stali, metalowe meble; na wszystkich stały słoje, popękane pod naciskiem płynu, który w nich zamarznął. Podeszła bliżej. Jej stopy zgrzytały na odłamkach szkła, z ust wydobywała się para, tworząc wokół niej jakąś nierzeczywistą poświatę. Na dnie słoje leżały tylko czarne kałuże, zbrunatniałe organy, zabalsamowane mrozem i samotnością.

Zaczynała pojmować logikę tego miejsca. Każde narzędzie, każda maszyna nie były tu używane zgodnie z ich pierwotnym przeznaczeniem, tylko do tortur. Łajdacy, nie uzyskawszy żadnych wyników tradycyjnymi metodami badawczymi, przeobrazili się w oprawców, próbując wyrwać prawdę przez zadawanie cierpienia, wdzierając się poprzez ból w głąb ludzkiego ciała, by wytropić wymykającą im się wiedzę. Czy to w ten sposób zdołali wyrwać tajemnice ceweńskim szamanom? Dianie trudno było w to uwierzyć. Parapsycholodzy nie mogli nabyć swych zdolności, stosując tak gwałtowne, tak niedorzeczne środki. Nawet tu brakowało wciąż ostatniego ogniwa.

Zauważyła przy stole operacyjnym szafki na kółkach, a na nich igły, ostrza, haczyki. Każdy z tych przedmiotów był czymś pośrednim między bronią a instrumentem chirurgicznym. Ich zakrzywione rękojeści były oprawne w rzadkie materiały – kość słoniową, macicę perłową, róg... – i cyzelowane w delikatne arabeski.

Diana znieruchomiała. Mówi się, że czasem, kiedy piorun uderza w człowieka, dzieje się to tak szybko, że nie dochodzi do zapłonu. Ofiara nie pali się: jest dosłownie przeniknięta ogniem. I wtedy najdrobniejsze włókna jej ciała przechowują na zawsze w pamięci to porażenie, to nawiedzenie. Diana tak właśnie się teraz poczuła. Niegdyś piorun strzelił w nią i niepostrzeżenie przeniknął ją na zawsze – i oto teraz łuk błyskawicy budził się na nowo w każdym zakamarku jej istoty.

Bo rozpoznała te cyzelowane instrumenty. Należały do jej przeszłości. Omal nie zemdlała. W ostatniej chwili chwyciła się za stół i opanowała. Giovanni podbiegł do niej:

– Coś nie w porządku?

Diana oparła się obiema rękami o jedną z metalowych szafek.

Ostre instrumenty rozleciały się po podłodze, wśród szczątków słoje. Metal zabrzączał o szkło. Błyski tańczyły pod jej mrugającymi powiekami. Giovanni machinalnie przyjrzał się leżącym na ziemi narzędziom i spytał:

– Co się dzieje?

– Ja... ja znam te narzędzia – wybełkotała Diana.

– Co?! Co masz na myśli?

– Kiedyś użyto ich przeciwko mnie.

W spojrzeniu, którym obrzucił ją Giovanni, malowało się osłupienie i znużenie. Diana wahala się kilka chwil, ale było za późno, żeby się cofać.

– To było w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim – zaczęła opowiadać. – Czerwiec, upalna noc. Miałam niecałe czternaście lat. Wracałam z pewnego ślubu, pieszo, uliczkami Nogent-sur-Marne. To przedmieście Paryża. Szłam wzdłuż rzeki, kiedy na mnie napadnięto.

Przerwała i odkaslnęła.

– Prawie nic nie widziałam – mówiła dalej. – Przewróciłam się na plecy. Jakiś człowiek w kapturze miażdżył mi twarz, wpychał trawę do ust, rozbierał mnie. Dusłam się, próbowałam krzyczeć, widziałam... widziałam tylko wierzby, gdzieś daleko, i światła jakichś domów.

Niemal nie mogła mówić, wciągnęła głęboko przesycone solą powietrze i jeszcze raz odkaslnęła. Czuła jednak dziwną ulgę. Nigdy by nie uwierzyła, że te słowa mogą przejść jej przez usta. Włoch zaryzykował pytanie:

– Ten człowiek, co on ci zrobił? Czy cię...

– Zgwałcił?

Jej rysy załamały się w uśmiech.

– Nie. W pierwszej chwili poczułam tylko potworny ból. Kiedy podniosłam wzrok, jego już nie było. Leżałam tam, koło rzeki, w szoku. Krew zalewała mi nogi... Zdołałam wrócić do domu. Zdezynfekowałam ranę. Założyłam sobie opatrunek. Nie wezwałam lekarza. Nie powiedziałam nic matce. I zabił się. O wiele później, wertując książki anatomiczne, zrozumiałam, co ten sukinsyn mi zrobił.

Zamilkła. Mierzyła teraz okrutną swojskość tego wspomnienia. Mimo wszystkich wysiłków,

mimo całej zaciekleści, z jaką siliła się zatrzeć w pamięci tę potworność, żyła z tą traumą w każdej minucie, każdej chwili życia. I wreszcie wymówiła zakazane słowa, jakby miała w ustach rozpalone do białości kamienie:

– Wyciął mi łechtaczkę.

Podniosła oczy i zobaczyła, że Giovanni skamieniał, że stoi, jakby własne zdumienie trzymało go na muszce. Powiedział wreszcie:

– Ale... co to może mieć wspólnego z tokamakiem? Z tymi narzędziami?

Diana powiedziała ochryplym głosem:

– Jediną rzeczą, jaką tamtej nocy widziałam, była broń, którą napastnik trzymał w ręce. – Pchnęła czubkiem buta jeden z leżących na podłodze lancetów. – To było jedno z tych narzędzi: taka sama rączka z kości słoniowej, taki sam cyzelunek...

Rozum Giovanniego zdawał się odmawiać przyjęcia do wiadomości tej ostatniej tajemnicy.

– To... to niemożliwe – wypalił.

– Przeciwnie, wszystko jest możliwe. I logiczne. Moja rola w tej sprawie jest następstwem tej pierwszej napaści. A może przeciwnie: tamta napaść była tylko ogniwem jakiejś historii, pisanej pod znakiem tego kamiennego pierścienia. Urodziłam się, jako kobieta, z tą raną. I może właśnie ta rana da nam klucz do śledztwa.

Diana zamilkła nagle.

Usłyszała dyskretnie oklaski, dobiegające z mroku.

67

Mężczyzna, który pojawił się w zasięgu smugi świetlnej, nie miał na sobie śladu owłosienia.

Jego skronie, widoczne spod wielkiej, brązowej futrzanej czapy, były kompletnie pozbawione włosów. Nie miał też rzęs ani brwi. W świetle neonów błyszczała tylko twarda rzeźba twarzy. Wydatne luki brwiowe, zakrzywiony nos, intensywnie biała cera. Mruganie jego nagich powiek przypominało bezlitosne spojrzenie drapieżnego ptaka.

– Podziwiam siłę pani wyobraźni – powiedział mężczyzna po francusku. – Ale obawiam się, że prawda jest jeszcze inna...

Nowa postać trzymała w ręku pistolet samoczynny, częściowo czarny, częściowo chromowany. Ze wszystkich powodów do zdumienia Diana na razie zatrzymała się na jednym: intruz mówił po francusku z leciutkim słowiańskim akcentem. Spytała:

– Kim pan jest?

– Jewgenij Mawriski. Lekarz. Psychiatra. Biolog. – Ukłonił się ironicznie. – Absolwent nowosybirskiej Akademii Nauk.

Rosjanin podszedł bliżej. Niewysoki, wyprostowany jak drewniana miarka, ubrany w szarą kurtkę z futrzanym kołnierzem, otulającym grubo kark. Miał zapewne około sześćdziesiątki, ale jego pozbawiona zarostu twarz była jakoś przerażająco bez wieku. Diana spytała, ale nie było to właściwie pytanie:

– Był pan członkiem ekipy pracowni parapsychologicznej?

Mawriski skinął głową w futrzanej czapce.

– Kierowałem działem zajmującym się uzdrowicielami. Badaniem wpływu sił duchowych na fizjologię człowieka. Tym, co niektórzy nazywają biopsychokinezą.

– I pan sam był uzdrowicielem?

– Wówczas miałem tylko trochę mizernych zdolności uzdrowicielskich, jak zresztą każdy z nas. Było to nieregularne, niepewne. W pewnym sensie, to było nasze nieszczęście...

Diana drżała. Pytania rozsadały jej skronie.

– Jak pan zdołał osiąść prawdziwą moc uzdrawiania? Zamiast odpowiedzi usłyszała chrzęst szkła. A potem odezwał się niski głos:

– Diano, proszę się nie obawiać, zasługuje pani na wyczerpujące wyjaśnienie.

Od razu rozpoznała człowieka, który właśnie przekroczył granicę światła: Paul Sacher, hipnolog z bulwaru Saint Germain.

– Jak pani się czuje, młoda damo?

Diana rozpaczliwie próbowała nadążyć myślami za tempem wydarzeń. Ale w gruncie rzeczy obecność tego człowieka nie była taka dziwna. Sylwetka Sachera czyniła z niego idealnego członka kręgu uczonych: Czech, zbieg na Zachód, specjalista od jednego z tajemniczych wymiarów świadomości ludzkiej – hipnozy. Zrozumiała też, że to on był przed nią u Ireny Pandove, z pewnością w poszukiwaniu Jewgena Talicha. Kiedy kobieta powiedziała: „Oczy... Nie potrafiłabym im się oprzeć...”, miała na myśli nieodparte spojrzenie hipnologa.

Staął koło Mawriskiego. Miał na sobie biały, ciasno tkany czepek, granatowy anorak i rękawice z goreteksu. Wyglądał, jakby przyjechał wprost z tras narciarskich Val d'Isere. Tyle że też trzymał w prawej ręce pistolet maszynowy.

Diana czuła, że znów zaczyna dygotać. Obecność Sachera kojarzyła jej się nieodparcie z obrazem Charles'a Helikiana. Dawna hipoteza znów opanowała jej myśli. Czy jej ojczym mógł być także uczestnikiem tego piekielnego tańca? Czy przyjechał tu w czterdzieści osiem godzin? Czy był gdzieś w pobliżu? A może już nie żył?

Czeski lekarz odezwał się neutralnym tonem:

– Spodziewam się, że zna pani teraz główne elementy naszej historii...

Przedstawiając to, czego się dowiedziała, Diana odczuwała osobliwą dumę. Opowiedziała wszystko: to, czego była pewna, i to, co tylko przypuszczała. O ośrodku poświęconym badaniom parapsychologicznym, założonym przez Talicha w roku 1968. O rekrutowaniu specjalistów z bloku wschodniego, w tym jednego lub więcej zbiegów z Francji. O pracowni, stopniowo nastawiającej się na stosowanie tortur i zadawanie cierpień. O buncie Talicha, jego aresztowaniu, dokonanym przy współpracy rosyjskich wojsk. Potem o wypadku w tokamaku, z pewnością spowodowanym brakiem Talicha w kierownictwie przedsięwzięcia. O tym, jak uratowanie robotników przez ich braci ujawniło tajemnicę tych gór: obecność ludu, który miał w swych szeregach szamanów, dysponujących wyższą mocą.

Przerwała, zadyszana. Mawriski kiwał powoli głową, jego twarz z kości słoniowej błyszczała w świetle neonów. Stulił i wysunął wargi na znak podziwu.

– Gratuluję. Praca śledcza dokonana przez panią jest... imponująca. Poza paru szczegółami, wszystko tak właśnie było.

– Poza jakimi szczegółami?

– Awaria tokamaku. To nie w ten sposób się stało. Nasi inżynierowie są trochę niedbali, to prawda, ale nie aż tak, żeby przez nieuwagę puścić w ruch taką maszynę. Nawet w ZSRR istniały liczne i niezawodne systemy zabezpieczające.

– A więc kto uruchomił instalację?

– Ja. – Wskazał Sachera. – My. Nasza ekipa. Musieliśmy koniecznie pozbyć się naszych ceweńskich robotników.

– Zro... Zrobiliście to? Ale dlaczego?

Sacher odezwał się tonem cenzora:

– Nie ma pani pojęcia, jakie miejsce zajmował Talich w sercach tych ludzi. Był ich mistrzem. Ich bogiem. Kiedy się dowiedzieli, że go uwięziliśmy, natychmiast postanowili uwolnić go siłą. Nie chcieliśmy żadnej rebelii w tym momencie. Jak to pani wyjaśnić? Wyczuwaliśmy obecność jakiejś mocy tu w tej pracowni.

Czuliśmy, że jesteśmy na progu wielkiego odkrycia. Musieliśmy koniecznie kontynuować nasze badania...

– I baliście się kilku bezbronnych robotników?

Mawrski uśmiechnął się.

– Opowiem pani pewną anegdotę. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym wojska rosyjskie wkroczyły na pogranicze mongolskie i zmusiły wszystkie plemiona do kolektywizacji. Wie pani, że Cewenowie, zamiast oddać swoje zwierzęta, woleli je pozabijać. Oficerowie radzieccy skamieniali z wrażenia. Pewnego ranka stwierdzili, że równinę zalegają tysiące reniferów z rozprutymi brzuchami. Cewenowie natomiast znikli. Wojsko prowadziło poszukiwania, ale bez skutku. Dowództwo uznało, że koczownicy uciekli w góry. Inaczej mówiąc – wybrali śmierć. Działo się to zimą, o tej porze roku nikt by nie przetrwał w tundrze bez mięsa i bez bydła. Żołnierze wycofali się, sądząc, że góry będą grobem Cewenów. Mylili się. Koczownicy nie uciekli. Po prostu się ukryli, na ich oczach.

Diana poczuła, że jej serce bije szybciej.

– Gdzie?

– W renach. W ciałach wypatroszonych reniferów. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy wcisnęli się w trzewia zwierząt i czekali, aż „biali” się stąd zabiorą. Proszę mi wierzyć, po ludziach zdolnych do takich czynów można się spodziewać wszystkiego.

Fakty układały się z bezlitosną precyzją. Diana pomyślała o technice zabójstw: dłoń pogrążająca się we wnętrzościach ofiary. Wszystko było ze sobą związane. Zrozumiała jeszcze inną prawdę.

– W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim – zawołała – użyliście tokamaku jako maszyny do zabijania. A wczoraj zrobiliście to samo, żeby zlikwidować mnie.

Rosjanin pokiwał powoli głową.

– Wystarczyło otworzyć zaporę na strumieniu, żeby uruchomić turbiny i alternatory. Kiedy pojawiła się elektryczność, po prostu uwolniłem resztki trytu. W komorze wciąż panowała próżnia: promieniowanie było zapewnione.

– Dlaczego po prostu nie zastrzeliliście mnie?

– Nasza historia jest pisana pod znakiem kręgu. Kiedyś już zabiliśmy z pomocą tokamaku. Wydało mi się logiczne użyć go jeszcze raz.

– Jesteście mordercami.

Diana rzuciła krótkie spojrzenie na Giovanniego. Wyglądał na oszołomionego, a jednocześnie zafascynowanego tą lawiną informacji. Oboje wiedzieli, że umrą. A przecież w głowie mieli tylko jedno: poznać dalszy ciąg historii.

Hipnolog opowiadał dalej:

– Nazajutrz po wypadku zaryglowaliśmy napromieniowaną przestrzeń i podjęliśmy na nowo doświadczenia. I wtedy zdarzył się cud. Żołnierze, postawieni na straży szop, w których umieszczono tych, co przeżyli zamach, zauważyli przypadki cudownych ozdrowień.

Diana wpadła mu w słowo:

– I zrozumieliście wtedy, że prowokując ten wypadek, zmusiliście ceweńskich szamanów do wyjścia z ukrycia. Że dolina kryła w sobie siły, jakich nigdy byście nie podejrzewali. Że moc, którą tropiliście, przywożąc starych szamanów ze wszystkich krańców Syberii, znajdowała się tutaj, zaledwie o kilka kroków od waszej pracowni, i to w niezwykle czystej postaci.

Sacher raczył się uśmiechnąć.

– To właśnie była ironiczna strona naszej historii. Udało się nam zatrzymać czarowników, kiedy wracali w góry ze swymi „pacjentami”. Byliśmy przekonani, że dzięki nim przenikniemy wreszcie tajemnice innej rzeczywistości. Tajemnice świata zjawisk paranormalnych.

Diana przymknęła oczy. Dotarła do ostatniego progu.

– W jaki sposób wydarłicie im ich moc? – spytała.

Odpowiedział drżący z egzaltacji głos Mawriskiego:

– Dzięki Francuzom.

Diana otworzyła szeroko oczy. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Jakim Francuzom?

Tym razem odezwał się Sacher, nieco ciszej:

– Malin i Sadko: to były ich rosyjskie nazwiska. Zbiegowie z Francji, psychologowie dzielący nasze ideały. Dotąd towarzyszyli nam w naszych krwawych pracach, ale raczej biernie. Kiedy pojawili się ceweńscy czarownicy, Francuzi zaproponowali nam inną technikę badań.

– Jaką technikę?

– To była myśl Sadko: ponieważ moc tych szamanów była czysto mentalna, przeniknąć ich tajemnice można było tylko w jeden sposób. Należało wniknąć w ich ducha. Badać ich... od wewnątrz.

– Jak?

Rosjanin pokiwał głową.

– Musieliśmy sami zostać szamanami.

Mawriski przypominał oszalałego marynarza, który opuścił wybrzeża rozumu. Sacher mówił dalej, spokojniejszym tonem:

– To był pomysł Francuzów: powinniśmy poznać tajemnicę ceweńskich rytuałów. Sami zostać czarownikami, aby przedostać się na drugą stronę świadomości. Sadko na to nalegał. To był jedyny moment, teraz albo nigdy, żeby spróbować wielkiego przejścia.

Diana gotowa była zrozumieć to szaleństwo. W pewnym sensie było to najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie. Ale logika wydarzeń umykała jej jeszcze. Zapytała:

– Jak mogliście liczyć na to, że uwięzieni szamani was wtajemniczą? Jak mogliście liczyć na to, że ci ludzie ujawnią wam swoje tajemnice?

– Mieliśmy pośrednika.

– Kogo?

– Jewgena Talicha.

Diana wybuchnęła szalonym śmiechem.

– Talicha? Którego uwięziliście? A braci pozabijaliście?

Mawriski podszedł jeszcze bliżej. Był od niej już tylko o kilka centymetrów i Diana widziała

najdrobniejszą fałdkę jego orlej twarzy.

– Ma pani rację – powiedział głosem nagle bardzo spokojnym. – Ten łajdak nigdy by się nie zgodził wejść z nami w układy. Musieliśmy zastosować inną metodę.

– Jaką metodę?

– Metodę łagodną.

– Łagodną?

Rosjanin mówił swoje, nie zważając na jej pytanie:

– I to Sadko tego dokonał.

– Co też pan mówi? Jak Sadko mógł ułagodzić Talicha?

Mawriski cofnął się. Jego łuki brwiowe podniosły się raptownie, nadając twarzy wyraz zdumienia. Powiedział rozbawionym tonem:

– Zauważam, że zapomniałem podać pani pewien bardzo istotny szczegół.

Diana wrzasnęła. Jej wściekłość walczyła z zimnem, rozum z szaleństwem.

– JAKI SZCZEGÓŁ?

– Sadko był kobietą.

Diana powtórzyła, skamieniała ze zdumienia:

– Ko... ko... kobietą?

Z prawej strony rozległy się jakieś kroki. Diana odwróciła się w stronę strefy cienia, rozciągającej się za neonami. W ciągu całej tej przygody dowiodła swej siły, inteligencji, zimnej krwi. A przecież w tej chwili stała się znowu wysoką, przygarbioną, niezręczną, nieśmiałą dziewczyną, jaką była we wczesnej młodości.

Zapytała, zwrócona w kierunku rysującej się w świetle sylwetki:

– Mama?

68

Nigdy przedtem nie wydała jej się taka piękna.

Miała na sobie biały strój po nartach, znanej włoskiej marki. Żaden cień, żadna przypadkowa fałdka nie naruszała tej sportowej elegancji. Drobne skazy zauważyła Diana dopiero na wysokości twarzy. Pod czerwonym czepkiem blond kosmyki matki zdawały się prawie białe, pozbawione barwy i życia. A jej oczy, wciąż tak samo jasne, tak samo niebieskie, przypominały teraz pęcherzyki lodu. Diana chętnie znalazłaby jakieś słowa odpowiadające sytuacji, ale zdołała tylko powtórzyć:

– Mama? Co ty tu robisz?

Sybilla Thiberge odpowiedziała z uśmiechem:

– Kochanie, musiałabym ci opowiedzieć całe swoje życie.

Diana widziała, że Sybilla trzyma, jak dwaj pozostali, gotowy do strzału pistolet samoczynny. Rozpoznała model: glock, taki sam jak ten, z którego sama strzelała w Fundacji Brunera. Nie wiadomo dlaczego, ten szczegół dodał jej nowych sił. Powiedziała rozkazująco:

– Opowiadaj. Jesteś nam winna prawdę.

– Czyżby?

– Tak. Z tego prostego powodu, że dotarliśmy aż tutaj, żeby jej wysłuchać.

Uśmiech. To pęknięcie, takie gładkie, takie znajome, którego Diana nie cierpiała od najwcześniejszej młodości.

– To prawda – przyznała Sybilla. – Ale obawiam, się, że to nam zajmie dłuższą chwilę...

Diana jednym spojrzeniem obrzuciła całą salę: łańcuchy, sarkofagi, stół chirurgiczny.

– Noc jest nasza, prawda? Myślę, że wasz eksperyment zacznie się dopiero o świcie.

Sybilla przytaknęła. Dwaj Słowianie stali teraz po obu jej bokach. Ich oddechy zamieniały się w maleńkie drobinki kryształu. Brązowa czapka jednego i biały czepok drugiego błyszcząły od szronu. Widok tych dwóch znieruchomiałych mężczyzn otaczających jej matkę miał w sobie jakąś przerażającą doskonałość. Nie to jednak zdumiewało Dianę, lecz pełen uwielbienia wzrok, jakim oprawcy wpatrywali się w nią.

– Nie jestem pewna, czy zrozumiesz samą istotę mojego losu – zaczęła mówić Sybilla. – Moje motyw. Moje podstawowe racje.

– Niby dlaczego nie?

Sybilla rzuciła roztargnione spojrzenie na Giovanniego, po czym znów pogрузyła wzrok w oczach córki.

– Bo idzie tu o epokę, której nie znasz. O poryw, o którym nie masz nawet pojęcia. Wasze pokolenie to tylko pusta skorupa, warstwa martwoty. Bez marzeń, bez nadziei czy choćby nostalgii. Nic.

– Co ty możesz o tym wiedzieć?

Matka mówiła dalej, jakby sama do siebie:

– Żyjecie w epoce konsumpcyjnej, w erze pozłacanego materializmu. Nic was nie obchodzi poza własnym pępuszkiem. – Westchnęła. – W końcu, ten wasz brak wyobraźni wziął się może z naszego zapachu. Byliśmy tacy namiętni, tacy szaleni, że odebraliśmy wam wszystko...

Diana czuła, jak rośnie w niej dobrze znana wściekłość.

– O czym ty mówisz? Jakie to marzenie straciliśmy?

Zapadła chwila ciszy. Ciszy wypełnionej zdumieniem, jakby matka mierzyła przepaść niewiedzy córki. Wreszcie wymówiła wargami ułożonymi w pełen poszanowania grymas:

– Rewolucję. Mówię o rewolucji. O kresie nierówności społecznych. O władzy proletariatu. O dobrach oddanych wreszcie tym, którzy panują nad środkami produkcji. O końcu wyzysku człowieka przez człowieka!

Diana była zupełnie oszołomiona. A więc zwornik całej budowli, złota liczba jej koszmaru składały się z czterech sylab. Matka zaczęła mówić szybciej:

– Tak, córeczko. Rewolucja. To nie było złudzenie. To był gniew, oczywistość. System, na którym opierały się nasze społeczeństwa, który alienował nasze umysły, był do obalenia. Mogliśmy wyzwolić człowieka z socjalnego i mentalnego więzienia. Stworzyć świat sprawiedliwości, wspaniałomyślności, światła. Kto śmie twierdzić, że nie jest to marzenie największe, najcudowniejsze ze wszystkich?

Diana nie mogła uwierzyć, że mówi to mieszcza z bulwaru Sucheta. Próbowała skojarzyć te słowa z rzeczywistością, którą niegdyś знаła. Ale nigdy nie słyszała, by jej matka mówiła o komunizmie czy w ogóle o polityce. Zrezygnowała ze znalezienia odpowiedzi. Odpowiedź przyjdzie sama. Odpowiedzią była cała historia:

– W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym miałam dwadzieścia jeden lat. Robiłam licencjat z psychologii na uniwersytecie w Nanterre. Byłam wtedy jeszcze zwykłą

drobnomieszczanką, ale ciałem i duszą należałam do swojej epoki. Pasjonował mnie komunizm i psychologia eksperymentalna. Z takim samym zapałem marzyłam o wyjeździe do Moskwy, żeby przyswoić sobie zasady socjalizmu, jak o studiowaniu w Berkeley, gdzie chemicy dzięki LSD lub medytacji wnikali w niezbadane połacie mózgu.

Mój bohater nazywał się Filip Thomas. Był jednym z najbardziej znanych profesorów psychologii w Nanterre, ale także wybitną postacią w partii komunistycznej. Chodziłam na wszystkie jego wykłady. Wydawał mi się wspaniały, nierzeczywisty, niedosiężny...

Kiedy dowiedziałam się, że szuka ludzi gotowych poddać się testom w jego pracowni psychologicznej w szpitalu Villejuif, zgłosiłam się na ochotnika. Thomas pracował wówczas nad nieświadomością i pojawianiem się zdolności paranormalnych. Rozpoczął całą serię badań parapsychologicznych, w duchu tych, które prowadzono w niektórych szpitalach amerykańskich. Od początku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku zaczęłam jeździć do Villejuif. Rozczarowałam się: testy były nudne – głównie polegały na odgadywaniu koloru zakrytych kart – a Thomas nigdy do zakładu nie przychodził.

Mimo to kilka miesięcy później mistrz we własnej osobie zaprosił mnie do siebie. Moje wyniki były statystycznie znaczące. Thomas zaproponował mi rozpoczęcie serii badań bardziej pogłębionych, z nim samym w roli eksperymentatora. Nie wiem, co w tym momencie było dla mnie większym szokiem: to, że dowiedziałam się, że jestem medium, czy że spędzę kilka tygodni w pobliżu mego idola.

Zagłębiłam się w te prace po uszy. Rozkoszowałam się każdą godziną spędzoną u boku mężczyzny, którego nazywałam teraz Filipem. Jego postawa niepokoiła mnie jednak. Miałam wrażenie, że tropi we mnie jakąś siłę, jakieś zjawisko, które go fascynuje. Wkrótce zrozumiałam: myślał, że sam posiada pewną zdolność. Nie moc percepcji pozazmysłowej, lecz moc psychokinetyczną. Zdawało mu się, że potrafi wpływać na materię z odległości, zwłaszcza na metale. W istocie udało mu się bodaj raz czy dwa uzyskać jakiś wynik, ale nie był zdolny wywoływać takich zjawisk na każde życzenie. Stopniowo uświadomiłam sobie, że był zazdrosny o moje zdolności.

Nastąpiły wydarzenia maja sześćdziesiątego ósmego. Barykady. Filip i ja zostaliśmy kochankami. Miałam poczucie, że pieczęć ciała marzenia, ideał, który okazał się wyposażony w ciało. Ale fala strachu wzniosła się natychmiast między nami. Wystarczyło tylko jedno spojrzenie: w tych sekundach-stuleciach, kiedy doznawał we mnie rozkoszy, wyczytałam w jego

oczach błysk nienawiści.

Dopiero później zrozumiałam, co się dzieje. Thomas był człowiekiem teorii. Widział siebie jako strumień idei, wyższych dążeń, sił duchowych. Otóż ja go sprowadzałam do rzeczywistości: był tylko mężczyzną, opętanym moim ciałem. W jego oczach byłam narzędziem jego upadku, degrengolady. Nośnikiem przekleństwa.

W kilka tygodni było po całej insurekcji. Robotnicy wrócili do pracy, a studenci uspokoili się. Thomas położył krzyżyk na akcji rewolucyjnej w Europie. Niektórzy nasi towarzysze, zbrzydzeni wszystkim, wyrzekli się polityki, inni przeciwnie – podjęli walkę zbrojną, terror. Filip powziął inny zamiar: przedostać się na Wschód. Znaleźć się na obszarze komunizmu, poznać system, którego przez tak długi czas bronił. W rzeczywistości chciał zwłaszcza dostać się do rosyjskich pracowni parapsychologicznych. Był przekonany, że potrafi tam rozbudzić swoje zdolności psychokinetyczne. Jego problem polegał na tym, że nie miał Sowietom nic do zaoferowania. W tych czasach, żeby przekroczyć żelazną kurtynę, trzeba było dowieść swej użyteczności dla systemu. Thomas zrozumiał wtedy, że ma w ręku kartę przetargową: mnie.

Pod pretekstem oficjalnej podróży do Moskwy odwiedziliśmy kilka razy ambasadę ZSRR w Paryżu. Thomas znał tam paru urzędników. W jednym z tamtejszych szarych gabinetów o brudnych zasłonach poddaliśmy się testom parapsychologicznym. Thomasowi nie powiodło się, ale ja uzyskałam wyjątkowe wyniki. Rosjanie z początku węszyli tu jakiś podstęp, ale wreszcie zrozumieli, że mają do czynienia z osobą o najpotężniejszych właściwościach paranormalnych, z jakimi się kiedykolwiek zetknęli. Od tej chwili sprawy potoczyły się szybko.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że pojedę z Filipem, mimo że jego stan wciąż się pogarszał. W ciągu jednego roku musiał dwukrotnie leczyć się w klinice psychiatrycznej. Stale oscylował między stanami maniakalnymi a depresyjnymi. Miał obsesję bólu, przemocy, krwi. Mimo to – a może właśnie dlatego – kochałam go jeszcze bardziej.

W styczniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku braliśmy w Sofii udział w kongresie naukowym, poświęconym badaniom nad mechanizmami poznawania. Ludzie z KGB skontaktowali się z nami i dali nam radzieckie dowody tożsamości na nazwiska Malin i Sadko. To był gest brutalny, posępny, niepokojący: i na to właśnie czekaliśmy. Czterdzieści osiem godzin później byliśmy w ZSRR.

Od razu po przybyciu nastąpiło zupełne rozczarowanie. Myśleliśmy, że przyjmą nas jak bohaterów, a potraktowano jak szpiegów. Marzyliśmy o świecie równości. Zastaliśmy świat

niesprawiedliwości, oszustwa, ucisku.

Uraza Filipa przeniosła się na mnie. Stał się popędliwy, okrutny. Pragnął mnie bardziej niż kiedykolwiek i to pożądanie było dla niego nieustannym upokorzeniem. Budząc się rankami, znajdowałam na swojej skórze nacięcia. To Filip ranił mnie, gdy spałam, igłami i ostrzami, których używał do swoich doświadczeń psychokinetycznych.

Marniałam w oczach. Tortury Thomasa, zimno, niedożywienie, samotność – i testy parapsychologiczne, którym musiałam się poddawać codziennie w brudnych laboratoriach: wszystko to stopniowo mnie wyniszczało. Traciłam głowę. Traciłam ciało. I nie miałam już nawet tego, co dotąd stanowiło o mojej tożsamości kobiety: przestałam miesiączkować. Od kilku tygodni wiedziałam, że jestem w ciąży.

W marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku ludzie partii zapowiedzieli nam, że zostajemy przeniesieni do pracowni mieszczącej się osiem tysięcy kilometrów od Moskwy, gdzieś w Mongolii. Ta nowa perspektywa przeraziła mnie. Filip przeciwnie: nabrał otuchy. Kiedy powiedziałam mu, że spodziewam się dziecka, ledwie zwrócił na to uwagę. Obchodziło go tylko jedno: przenoszą nas do najbardziej tajnego instytutu radzieckiego imperium. Będziemy wreszcie mogli pracować nad zjawiskami paranormalnymi, korzystać z wiedzy Rosjan w tej dziedzinie.

Wiedziałam, że mój poród w Moskwie nie będzie szczytem techniki położniczej, ale nie spodziewałam się aż, takiego poziomu barbarzyństwa, brutalności. Byłam zbyt wyczerpana, by urodzić normalnie. Nie byłam w stanie napiąć mięśni macicy, brzucha. Szyjka macicy nie rozwierała się dostatecznie. Spanikowane pielęgniarki wezwały dyżurnego lekarza. Przyszedł kompletnie pijany. Jego przesyciony wódką oddech czuć było mocniej niż opary eteru unoszące się w sali. I ten pijaczyna swymi drżącymi rękami użył kleszczy.

Czułam, jak metalowe narzędzie rozdziera mnie, patroszy, rani aż do głębi trzewi. Ryczałam, miotałam się, a on znów wdzierał się w mój brzuch swoimi metalowymi hakami. Wreszcie zdecydował się na cesarskie. Ale znieczulenie w ogóle nie działało. Leki były przeterminowane.

Zostało tylko jedno rozwiązanie: operować na żywca. Otworzyli mi brzuch, kiedy byłam całkiem przytomna. Czułam straszliwy ból, widziałam, jak moja krew tryska na kitle i ściany, wreszcie zemdlałam. Kiedy się ocknęłam dwanaście godzin później, ty leżałaś obok mnie w plastikowej kolebce. Nie wiedziałam jeszcze, że wskutek operacji stałam się bezpłodna, ale ta wiadomość uradowałaby mnie. W tym momencie, gdybym nie była za słaba, żeby się ruszyć,

rzuciłabym tobą z całej siły o posadzkę.

„Tobą” sparaliżowało Dianę. A więc to tak weszła w świat. Przez wrota krwi i nienawiści. Nareszcie jakaś prawda dotycząca jej bezpośrednio: była córką dwojga potworów, Sybilli Thiberge i Filipa Thomasa. Poczowała dziwne ciepło, rodzaj rozkoszy. Poprzez cały ten chaos dostrzegła tylko jedną prawdę: nie odziedziczyła ich cech. Przekroczyła determinizm genetyczny niczym lekką zasłonę, nic nieznaczącą kurtynę. Niezrównoważona, szurnięta, dziwaczna, owszem, ale w żadnym razie niepodobna do tych dwojga dzikich bestii.

Matka mówiła dalej:

– Wyjechaliśmy do Mongolii dwa miesiące później, jesienią tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Odkryłam zimno absolutne. Odkryłam ogrom kontynentu, na którym przez dwadzieścia cztery godziny można było widzieć tę samą puszcę i nic i nikogo poza nią. Dworce ze ścianami popękkanymi od mrozów przypominały koszary. Wszystko było w kolorze khaki, wrogie, wszędzie widziało się wojskowe kurtki i kałasznikowy. Wszystko zdawało się oplecione kablami telegraficznymi i drutami kolczastymi. Miałam wrażenie, że zanurzam się w jakimś bezkresnym gułagu.

Jeszcze mam w pamięci hałas tłukących o siebie wagonów, monotony łoskot szyn. Jakby jakieś stalowe sapanie wtórowało mojemu oddechowi. Ja sama stałam się kobietą z metalu, bezlitosnego stopu. Metalu instrumentów, które gmerały w moim brzuchu. Metalu, którego używał Filip, by mnie dręczyć każdej nocy. Metalu, który teraz miałam zawsze przy sobie, by bronić się przed nim i innymi. Nie czułam nic poza nieugaszonym pragnieniem zemsty. I wiedziałam – podpowiadała mi to moja paranormalna intuicja: w głębi tajgi zdołam tej zemsty dokonać.

69

Ciepło neonów już nie było w stanie zrównoważyć ukąszeń zimna. Diana czuła, że ciało jej drętwieje, sztywnieje. Czy wytrzyma do końca tej opowieści? Do świtu?

Mawriski i Sacher stali nieruchomo. Słuchali słów Sybilli niczym jakiejś księgi początku. Ich twarze miały w sobie powagę posągów. Tylko oczy błyszczały spod obsypanych szronem pagórków czapek. Dianie przypomniały się kamienne zwierzęta strzegące bram chińskich świątyń.

Opętana matka mówiła dalej:

– Kiedy dotarliśmy do tokamaku, parapsychologowie już byli na etapie swoich bezpiecznych eksperymentów. Thomasa natychmiast pociągnęło okrucieństwo tych manipulacji. Ja widziałam w tym po prostu kolejny etap prześladowającego mnie przekleństwa. Przeżywałam to wszystko z zimną obojętnością. Kiedy jednak uwięzili ceweńskich szamanów, postanowiłam działać. W dwa lata stosunek sił między pozostałymi badaczami a mną odwrócił się całkowicie. Mimo ich szaleństwa, mimo ich okrucieństwa, wszyscy, jeden po drugim, zakochali się we mnie. To ja ich nauczyłam francuskiego. To ja wysłuchiwałam ich pijackich zwierzeń. I ja też dawałam im odrobinę czułości. Ubóstwiali mnie, czcili, szanowali bardziej niż cokolwiek innego w tym piekle.

Diana wyobraziła sobie tych słowiańskich oprawców. Matka wydała jej się jakąś oszalałą Gorgoną.

– Przekonałam ich, że krwawe metody nic nie dadzą, że jedyny sposób przyswojenia sobie tych mocy, to samemu przejść wtajemniczenie. Wiedziałam, jak przekonać Talicha, żeby nam pomógł...

Diana przerwała jej brutalnie:

– Nie wierzę. Zabijacie syberyjskich czarowników, pakujecie Talicha do pudła, palicie wszystkich jego braci i wystarczy, żebyś zrobiła do niego słodkie oczy w jego celi, żeby spełniał twoje rozkazy? Ta twoja historia nie trzyma się kupy.

Rysy Sybilli stężały.

– Nie doceniasz mojego czaru, kochanie. Ale to prawda, myliłam się. W tym czasie Jewgen miał już inny plan.

– Jaki plan?

– Cierpliwości. Uszanuj chronologię opowieści.

Tym razem głos zabrał Sacher. Był tym, który dbał o precyzję:

– Pod koniec kwietnia uwolniliśmy Talicha i ceweńskich szamanów. Było ich dziewięciu. Zebraliśmy się tutaj, w tej sali. Mam ich jeszcze w oczach. Ich wychudzone twarze, ich cerę stwardniałą jak kora drzew, ich czarne i wytarte *deele*. Wszyscy razem ustawiliśmy się w krąg. Sobór mógł się zacząć.

– Sobór?

Sybilla wyjaśniła:

– Po ceweńsku *Huk*. Rada religijna, taka jak zgromadzenia biskupów w Watykanie, tyle że w tym wypadku byli to szamani. Najpotężniejsi szamani Mongolii i Syberii. Siedzieliśmy w kamiennym pierścieniu. Cewenowie nazwali nasze spotkanie „kamiennym soborem”.

W Giovannim przebudził się etnolog. Zapytał:

– Jak przebiegała inicjacja?

Sybilla obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

– Posiąść tajemnicę to przejść na drugą stronę granicy. Ujawnić ją to wrócić na tę stronę. Szamani zaprowadzili nas do puszczy. Stopniowo traciliśmy ludzkie nawyki, zapominaliśmy mówić, żywiliśmy się surowym mięsem. Tajga przenikła w głąb nas, rozdarła nas, zniszczyła. Doświadczaliśmy prawdziwej śmierci, ale po zakończeniu tej próby wróciliśmy do życia z rękoma pełnymi mocy. Diana spytała:

– Jakiej właściwie mocy?

– Inicjacja pozwoliła nam pogłębić zdolności, które już w nas tkwiły.

Diana znów zaczęła drzeć. Zimno i prawda wlewały jej się w krew. Wiedziała, że w tym stanie fizycznego znużenia ciało traci co trzy minuty jeden stopień ciepła. Czy wszyscy pomrą z zimna? Spytała znowu:

– Co zrobiliście z ceweńskimi szamanami’?

Mawriski skłonił się z wyrazem fałszywej skruchy.

– Pozabijaliśmy ich. Nasza historia to historia bezecna. Historia mocy i bezgranicznej ambicji. Chcieliśmy być jedynymi, którzy posiadają te tajemnice.

– A Talich? – ryknęła Diana.

Sacher odpowiedział:

– Nie mieliśmy już czasu na walkę między sobą. Spodziewaliśmy się, że lada chwila zjawią się komisarze partii z nowymi wojskami, by przeprowadzić śledztwo w sprawie awarii nuklearnej. Wymknęła się nam tylko Suyan, czarownica, która cię uratowała.

Diana zwróciła się do matki:

– Ty i Thomas: jak wróciliście do Francji?

– Najprościej w świecie. Posiedzieliśmy trochę w Moskwie, żeby o nas zapomniano, potem udało nam się nawiązać kontakt z ambasadą francuską. Wystarczyło odegrać rolę zbiegów, żałujących swego czynu.

– I Rosjanie pozwolili wam wyjechać?

– Dwoje francuskich parapsychologów z pracowni, z której nie było żadnego pożytku...

W ZSRR epoki Breżniewa mieli ważniejsze sprawy na głowie.

Diana zaczęła na głos opowiadać, jak wyobraża sobie dalszy ciąg:

– Wróciliście więc do kraju jako ludzie zupełnie anonimowi, jak van Kaen, Jochum, Mawriski, Sacher... Przez wszystkie te lata wasze paranormalne zdolności pozwoliły wam zdobyć władzę, majątek.

Sybilla zaśmiała się szyderczo. Jej oczy zdawały się zmęczone gorączką.

– Nigdy nie zrozumiesz, co posiadamy, co w sobie kryjemy. Rzeczywistość materialna nie ma dla nas żadnego znaczenia. Zawsze obchodziły nas tylko nasze właściwości. Te cudowne mechanizmy, działające w naszej jaźni, które możemy badać, obserwować, którymi możemy manipulować do woli. Zapamiętaj sobie: jest tylko jeden sposób studiowania właściwości paranormalnych – posiadać je. Ty nigdy nie potrafisz sobie wyobrazić takich horyzontów.

Diana odpowiedziała ze znużeniem:

– W gruncie rzeczy, to wszystko jedno. Ale jest jeszcze jedna tajemnica.

– Jaka?

Spojrzała na swoje dłonie. Odmrożenia zaczynały atakować końce palców. Był to dla niej znak, że jej serce już zaczyna bić wolniej i nie wysyła dość krwi do skóry i kończyn.

– Po co wracacie tu dziś?

– Z powodu rozgrywki.

– Rozgrywki?

Kobieta w czerwonym czepku zrobiła kilka kroków. Wydawała się niewrażliwa na zimno.

Końcem palca w rękawicy pogładziła jedno z narzędzi chirurgicznych leżących na żelaznym stole, potem powiedziała:

– Dzięki soborowi uzyskaliśmy pewne moce. W zamian za to musimy przestrzegać w pełni jego reguł.

– Jakich reguł? Nic nie rozumiem.

– Od niepamiętnych czasów czarownicy ceweńscy staczają tu ze sobą walki, w których stawką jest ich moc. Zwycięzca każdej walki przejmuje moc drugiego. Zawsze wiedzieliśmy, że przyjdzie dzień, kiedy będziemy musieli zetrzeć się ze sobą, rzucić w tej dolinie na szalę moc każdego z nas. Sygnał został dany. Przybyliśmy tu, żeby stoczyć walkę.

Diana i Giovanni spojrzeli po sobie. W czasie lotu samolotem transportowym etnolog powiedział jej: „Szamani różnych klanów musieli co pewien czas udawać się w jakieś tajemne miejsce i toczyć tam ze sobą walki, każdy pod postacią zwierzęcia, które było jego fetyszem...”.

Olśnienie.

Przerażenie.

Ci wtajemniczeni byli Faustami.

Zawarli pakt z duchami, a teraz musieli zapłacić cenę swej inicjacji – poddać się prawu tajgi.
Prawu walki.

Jeśli przyjąć takie założenie – wszystko się zgadzało. Skoro ci szamani szykowali się do walki w symbolicznej postaci zwierząt, to ich starcie było w pewnym sensie polowaniem. Wszystko powinno zatem przebiegać jak na dawnych ceweńskich łowach.

Ta rozgrywka musiała być zapowiedziana i pokierowana przez Strażników.

To dlatego ci nowocześni czarownicy porywali dzieci tajgi. Dlatego czekali, aż sakramentalna data wystąpi na ich poparzonych palcach podczas transu. Taki był rytuał. Takie było prawo. Strażnik miał im podać dzień walki, dzień powrotu.

Jeszcze inny fakt odpowiadał doskonale symbolice zwierzęcej. Jewgen Talich zabijał swe ofiary, rozrywając im serca, od wewnątrz. Była to metoda stosowana w Azji do zabijania zwierząt.

Nagle myśli Diany pobiegły w innym kierunku. Przypomniała sobie osobliwości w zachowaniu wtajemniczonych. Patryk Langlois powiedział jej, że Rolf van Kaen uwodził kobiety, śpiewając arie operowe. Dodał nawet, że ten śpiew oczarowywał cały kobiecy personel szpitala. Diana przypomniała sobie, co mówił Charles Helikian na temat Sachera: „Uważaj, to podrywacz. Kiedy był nauczycielem, brał sobie najładniejszą dziewczynę z całej klasy. Jej koledzy nie mieli szans. Prawdziwy przywódca watahy”.

Postawa wobec seksu jest bardzo ważnym wskaźnikiem najgłębszych pokładów psychologii mężczyzny. Ci uczniowie czarnoksiężników nie byli wyjątkami od tej reguły. Diana nabrała pewności, że w swym opętaniu przyswoili sobie zachowania niektórych zwierząt.

I to nie były jakich.

W van Kaenie Diana, etolog przecież, rozpoznawała pewne zachowania charakterystyczne dla pełnorigich. Pomyślała o godach. Jelenie, renifery, karibu były jedynymi ssakami zdolnymi wywołać swym rykiem podniecenie seksualne samicy. Choć ta myśl mogła się zdawać szaleńcza, Niemiec, uwodząc śpiewem, zachowywał się jak renifer.

Co do Sachera, to Helikian dał jej klucz do zrozumienia jego postawy: przywódca watahy. Tak, człowieka, który przywłaszczał sobie najpiękniejsze stworzenie ze swej klasy i dominował nad wszystkimi innymi, można porównać do wilka. Do osobnika alfa, basiora, jak nazywa się samca przewodzącego watasze, tego który zapładnia samicę, a od innych jej członków wymaga

bezwzględne szacunku i podporządkowania.

Diana pomyślała o pułapce zastawionej przez Filipa Thomasa. Pułapce starannie przygotowanej, opartej na hipnozie i fortelu, wymagającej bezgranicznej cierpliwości i błyskawicznego działania. Ta technika przypominała jej inny gatunek zwierząt: węże, które chwytają swoje ofiary, stając na ogonach, wpatrując się w nie nieruchomym wzrokiem, oczami o niemrugających powiekach.

Od chwili ich inicjacji, od kiedy „umarli”, by odrodzić się do życia w dzikości, pod opieką ducha jakiegoś zwierzęcia-fetysza, ci ludzie-szamani przyjęli sposób życia swych „panów”. Byli opętani przez własne totemy.

Van Kaen przez renifera.

Paul Sacher – wilka.

Filip Thomas – węża.

Olśniła ją nowa myśl. Przypomniała sobie nagle inne fakty, inne szczegóły. Objawy fizyczne, które błędnie kojarzyła ze skutkami napromieniowania nuklearnego, ale na które teraz mogła spojrzeć zupełnie inaczej.

Rolf van Kaen cierpiał na atrofię żołądka, która zmuszała go do przeżuwania pożywienia. Policjant mówił jej o tym jako o kalectwie, o jakiejś niewytłumaczalnej anomalii. Diana przypuszczała teraz, że było przeciwnie: van Kaen z pewnością zmuszał się przez długie lata do ponownego przełykania jedzenia dopóty, dopóki jego organizm nie dostosował się do tego absurdalnego zwyczaju. I wtedy jego żołądek uległ zniekształceniu. Jego ciało zmieniło się i zaczął przypominać, tam, w głębi wnętrza, swego dzikiego mentora: RENIFERA.

Diana miała także w pamięci pewne wyraziste wspomnienie z seansu hipnozy u Paula Sachera. Zauważyła wtedy w półmroku, w głębi oczu tego człowieka, nieoczekiwany błysk, jakby cekinu, taki jak w oczach wilka, mających płytki wzmacniające światło. Jak wytłumaczyć tę osobliwość? Szklą kontaktowe? Naturalna deformacja w wyniku częstego spoglądania w ciemność? W każdym razie to był atrybut Sachera, punkt łączący go z jego totemem: WILKIEM.

Filip Thomas był przykładem jeszcze bardziej oczywistym. Nie zapomniała jego łuszczącego się ciała i martwych skórek walających się po brązowym pokoju kąpielowym. Samą tylko swoją siłą mentalną konserwator zdołał nabawić się choroby psychosomatycznej: egzemy, która wysuszała mu cerę do tego stopnia, że musiał regularnie, jak gady, zrzucać starą skórę

i przyjmować nową. Siłą woli, siłą obsesji zamienił się w WEŻA.

Oszołomiona Diana rozwijała dalej tę nić. Widziała teraz ohydne ciało Hugona Jochuma, całe pokryte brunatnymi plamkami. Stary geolog musiał sprowokować tę chorobę skórą, wystawiając się regularnie na słońce. Jego cel – uzyskać plamiste ciało dzikiego zwierzęcia. Ciało LAMPARTA.

A jakie były dzikie bóstwa Mawriskiego, Talicha? Kogo starali się przypominać? Rzut oka na Rosjanina przyniósł jej odpowiedź. Na jego pozbawionej zarostu twarzy rysował się wyraźnie garb nosa, zakrzywionego jak dziób. Szczególne wrażenie robiło, gdy mrużył swe powieki bez rzęs. Goląc starannie twarz, ten człowiek uwydatnił swoje naturalne podobieństwo do drapieżnego ptaka. Eugeniusz Mawriski był ORŁEM.

Nagle rozległ się głos jej matki:

– Widzę, że moja maleńka Diana błądzi myślami gdzie indziej. Śniesz, kochanie?

Diana wzdrygnęła się, ale poczuła, jak krew znów wraca jej w żyły. Zdołała wybełkotać:

– Wy... wy uważacie się za zwierzęta.

Sybilla podniosła do góry ostrze z rączką z perłowej macicy i błysnęła nim w świetle. Powiedziała jak w dziecinniej zabawie:

– Gorąco, kochanie, gorąco. Ale jeśli jestem zwierzęciem, to zgadnij jakim?

Diana zauważyła, że mimo woli wykluczyła matkę z piekielnego kręgu. Przywołała na pamięć wspomnienia o intymnym życiu Sybilli. Nic w nich nie dostrzegła. Żadnego gestu, żadnej manii, żadnego fizycznego objawu, który mógłby chociaż z daleka przypominać zwierzę. Nic nie wskazywało tożsamości jej totemu, z wyjątkiem...

Nagle oślepiła ją cała seria wspomnień.

Matka oblizująca palce upačkane miodem.

Matka starannie ustawiająca słoiki sprowadzone z pasieki.

Matka i jej słynne pastylki z mleczka pszczelego.

Miód.

Miała smak miodu we krwi. W ciele. W sercu.

Diana przypominała sobie też dziwne pocałunki, jakimi matka ją obdarzała, kiedy była dzieckiem. Pocałunki, przy których zawsze czuła jej język, twardy i szorstki. Prawdę mówiąc – Sybilla nigdy nie całowała swojej córki, lizała ją tak właśnie, jak to robią zwierzęta. Diana odchrząknęła i powiedziała mocnym głosem:

– Ty? Ty jesteś NIEDŹWIEDZIEM.

Maski opadły. Troje niedobitków. Troje zwierząt. Troje bojowników. Zerknęła na zegarek: czwarta rano. Za godzinę wstanie świt. Za godzinę zacznie się walka. W jakiej formie? Na gołe ręce? Na broń z rączkami z kości słoniowej? Na pistolety samoczynne?

Diana myślała teraz o chłopcach, o Luu-Si-Anach. Mogła sobie wyobrazić, jak ci ludzie porywali dzieci Cewenom, którzy czcili je jak własnych szamanów. Mogła się domyślać, w jaki sposób rozmieścili starannie tych Strażników po sierocińcach, które sami finansowali. Rozumiała nawet, że postarali się to zrobić pod koniec sierpnia, kiedy ośrodki pustoszeją bo przybrani rodzice skorzystali z wakacji szkolnych, by przyjechać po swoich podopiecznych.

Ale brakowało jej pewnego zasadniczego elementu: jak to się stało, że ci ludzie jednocześnie zdecydowali się zorganizować tę siatkę? Skąd mogli wiedzieć, przynajmniej na dwa lata z góry, że już czas sprowadzić Strażników i że data wypisana na ich palcach będzie przypadać na jesień 1999 roku? Sacher odpowiedział:

– Wszystko przyszło poprzez sny.

– Sny?

– Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku zaczął się nam śnić kamienny krąg. Z upływem nocy sen stawał się coraz dokładniejszy. Tokamak wypełniał nasze umysły. Zrozumieliśmy przesłanie: trzeba działać. Zbliżała się walka.

Jak przyjąć do wiadomości takie objaśnienie? Uwierzyć, że siedmioro ludzi w tym samym czasie, w różnych zakątkach Europy, miało te same sny?

Hipnolog ciągnął dalej:

– Na wiosnę tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku sny były już tak intensywne, że zrozumieliśmy: niedługo dojdzie do starcia. Był czas, żeby przywieźć wybrane dzieci, czas, by znaleźć dokładną datę na ich ciałach...

– Dlaczego nie adoptowaliście ich sami?

– Strażnicy są tabu – odpowiedział Sacher. – My nie możemy ich dotknąć. Zaledwie wolno nam na nich popatrzeć. Mogliśmy więc tylko czatować, dyskretnie, na pojawienie się znaku w jakiejś bliskiej nam rodzinie.

Pomyślała o swojej matce, która przyglądała się Lucjanowi, obserwowała go, ale nigdy go

nie pocałowała ani nie popieściła. Kiedy odwiedzała go w szpitalu, czekała po prostu na pojawienie się znaku. Diana podeszła do Sybilli.

– Dlaczego wybrałaś właśnie mnie do sprowadzenia swojego Strażnika?

Sybilla Thiberge wzdrygnęła się. Spojrzała wyzywająco na córkę.

– Ależ... dlatego że byłaś wybrana od zawsze.

– Więc zawsze wiedziałaś, że odegram tę rolę?

– Od chwili kiedy poznałam reguły soboru.

– Skąd wiedziałaś, że zgodzę się adoptować dziecko? Skąd wiedziałaś, że nie będę mogła sama mieć dziecka, że nie...

Diana przerwała, jakby grom w nią strzelił. Teraz dopiero zrozumiała ostatnią prawdę. To jej matka napadła na nią i okaleczyła owego czerwcowego wieczoru nad brzegiem Mamy. To jej matka miała w ręku cyzelowane narzędzie z tokamaku. Diana padła na kolana pośród odłamków szkła.

– Boże, mamo, coś ty mi zrobiła?

Szamanka pochyliła się nad nią. Powiedziała głosem ostrym jak klinga:

– Nic ponad to, co niegdyś zrobiono mnie. Nigdy nie zapomniałam cierpień, jakie mi zadano, próbując cię wyrwać z mojego brzucha. Wybierając ciebie, ustrzeliłam na raz dwa zające. Zemściłam się i przygotowałam cię na przyszłość. Musiałam być pewna, że nie będziesz nigdy miała kochanka. Że nikt nigdy cię nie zapłodni. Usunięcie łechtaczki nie tylko znosi wszelką rozkosz fizyczną, ale sprawia, że każdy stosunek płciowy staje się prawdziwą torturą, jeśli skutek infekcji zarosły małe wargi sromowe. Pokrajałam cię w taki sposób, żeby to osiągnąć. Miałam nadzieję, że ten szok cię zniechęci na zawsze do stosunków seksualnych. Muszę przyznać, że przerosłaś moje największe oczekiwania, moja piękna.

Diana szlochała bez łez. W tym momencie rozległ się głos Mawriskiego:

– Już czas.

Diana, półprzytomna, podniosła wzrok. Dwaj mężczyźni, z bronią w ręku, wycofywali się ku kamiennym drzwiom. Diana wrzasnęła:

– Nie! Zaczekajcie!

Czarownicy popatrzyli na nią. Jej matka nie poruszyła się. Diana krzyknęła znowu:

– Chcę poznać wszystko do końca. Jesteście mi to winni!

Sybilla popatrzyła na córkę.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Diana spróbowała ostatni raz skupić się, by odtworzyć kolejność zdarzeń. Miała poczucie, że inaczej rozsypie się w kawałki. Powiedziała:

– Kiedy Luu-Si-Anowie przybyli do Europy, nic nie ułożyło się zgodnie z przewidywaniami.

Wyrodna matka zaśmiała się szyderczo:

– Najdelikatniej mówiąc.

– Thomas próbował wykluczyć cię z rozgrywki, niszcząc twój Luu-Si-Ana.

– Thomas był tchórzem. Tylko tchórzostwem można wytłumaczyć takie pogwałcenie reguł.

Chciał złamać krąg.

– Po wypadku, kiedy zrozumiałaś, że nie ma żadnych szans, by uratować Lucjana, wezwałaś van Kaena. Nawiązałaś z nim kontakt telepatyczny, to dlatego nigdy nie znaleziono żadnego śladu rozmowy telefonicznej.

– To było minimum tego, co mogłam zrobić.

– Wtedy włączył się w sprawę Talich – mówiła dalej Diana. – Postanowił was zlikwidować jedno po drugim...

Głos Sybilli zadrżał z wściekłości:

– Talich zawsze nami manipulował, od samego początku. Wiedział, że pozabijamy innych szamanów. Wiedział, że jedyną szansą uratowania jego kultury, wyłącznie ustnej przecież, jest nas wtajemniczyć. Przez te wszystkie lata byliśmy gwarantami, zbiornikami magii ceweńskiej. Talich musiał tylko czekać na dzień świętego starcia, by nas zwyciężyć i odebrać nam wszystkie moce.

Diana, skupiona na sobie samej, odczuła ogromne zadowolenie: miała wreszcie motyw, w imię którego działał Talich, człowiek pragnący ocalić swój lud. Ale jakieś ziarnko piasku wykoleiło maszynę.

– Jeden fakt się nie zgadza – powiedziała Diana. – Talich nie czekał na walkę, bo przecież zabił van Kaena i Thomasa w Paryżu, a Jochuma w Ulan Bator. Dlaczego?

Przez chwilę wszyscy milczeli, wreszcie czarownica syknęła:

– Odpowiedź jest prosta: to nie Talich zabił szamanów.

– Więc kto?

– Ja.

Diana krzyknęła:

– Kłamiesz! Nie mogłaś zabić Hugona Jochuma!

– Dlaczego?

– Byłam tam, w korytarzu klasztoru. Widziałam, jak zabójca wychodził z pokoju Jochuma.

– I co z tego?

– I właśnie wtedy rozmawiałam z tobą przez telefon, byłaś w Paryżu!

– A skąd wiesz, że byłam w Paryżu? To są te małe cuda techniki, moja droga. Byłam ledwie o parę kroków od ciebie, w pokoju Jochuma.

W Dianę jakby grom strzelił. Zadyszany głos matki. Szum ruchu ulicznego, nakładający się na ruch w Ułan Bator: to były po prostu te same samochody. A potem to niejasne uczucie, na dachu, że już kiedyś przeżywała tę scenę. I nie bez powodu: po szesnastu latach ta sama kobieta napadła na nią po raz drugi. Diana powiedziała złamanym głosem:

– To... to ty zabiłaś Langlois?

– On wykrył istnienie Strażników van Kaena i Thomasa. Myszkował w przeszłości Thomasa i znalazł wśród jego dawnych uczniów niejaką „Sybillę Thiberge”. Od razu wezwał mnie do siebie. U niego w gabinecie poderznięłam mu gardło i ukradłam papiery.

– Ale... A moce? Zabijając tamtych, nie mogłaś ich przejąć...

– Gwiżdżę na moce. Moje jasnowidztwo mi wystarczy. Chcę zostać przy życiu i wiedzieć, że oni nie żyją. To wszystko. Dziś jest nas w kręgu tylko troje – i tajga zdecyduje, kto zostanie absolutnym zwycięzcą.

– Już czas.

Mawriski otworzył ołowiane drzwi – smuga światła ze schodów wpadła do wnętrza: światło dnia. Diana krzyknęła jeszcze:

– Talich! Gdzie on jest?

– Talich nie żyje.

– Od kiedy?

– Talich wpadł na ten sam pomysł co Thomas, tylko wcześniej. Ze wszystkich przeciwników z soboru obawiał się naprawdę jednego: mnie. Chciał mnie wyeliminować z kręgu, wyłączyć z walki. Próbował mnie zaatakować z zaskoczenia, w sierpniu, w okolicach naszego domu w Luberon. Wyczułam jego obecność, zanim jeszcze się zbliżył. Czytałam w jego myślach jak w otwartej książce. I zastosowałam moją tajną broń. – Uśmiechnęła się. – Wiesz, o czym mówię...

Diana przypomniała sobie ostrze ukryte pod językiem matki. Pomyślała o jej niedźwiedzich pocałunkach, tych pieszczotkach językiem, którymi obsypywała ją w dzieciństwie i które już wówczas miały w sobie morderczy ładunek. Wszystko było zapisane z góry. Mawriski podszedł cichaczem do schodów i odwrócił się na skrzypiącym progu.

– Już czas.

– Nie! – zawołała Diana błagalnym, tonem. Zwróciła się do matki:

– Jest jeszcze coś... Coś dla mnie najważniejszego. – Wpatrzyła się w szczupłą sylwetkę w czerwonym czepku. – Kto wypalił znaki na palcach dzieci? Kto wam wyznaczył spotkanie w tym miejscu?

Sybilla wydawała się zdziwiona:

– Ależ... nikt.

– Jest jednak ktoś, kto wypisał datę na ich koniuszkach palców, nie?

– Nikt nie dotykał palców dzieci. Są święte.

Pod stopami Diany otwierała się ostatnia już przepaść. Pytała uparcie:

– Kto wyznaczył datę rozgrywki?

Matka poruszyła przecząco głową.

– Nic nie zrozumiałaś z naszej historii. Weszliśmy w układy z siłami wyższymi.

– Jakimi siłami?

– Z duchami tajgi. Z siłami panującymi nad naszym światem.

– Nie rozumiem.

– To jest tajemnica naszej inicjacji. Duch istniał przed materią. Duch przenika każdy atom, każdą cząsteczkę. Duch jest partyturą wszechświata. Niematerialną siłą, która wykuwa konkretną rzeczywistość.

– Nie rozumiem.

Głos matki był teraz łagodniejszy.

– Pomyśl o palcach Strażników. Pomyśl o anomaliiach fizycznych van Kaena, Thomasa, Jochuma... Pomyśl o raku, który wyskoczył z twego brzucha i przeniósł się do brzucha zwierzątka...

Dianie wszystko skakało przed oczyma. Znów widziała stygmaty badaczy, ich okaleczone ciała: dotąd myślała, że opanowali je sami, siłą obsesji, siłą chorobliwej woli. Teraz wiedziała, że się myliła. Sybilla powtarzała:

– Duch panuje nad ciałem. To jest nasze przekleństwo: jesteśmy osadzeni wewnątrz materii.

I wróciliśmy tu, by dokonać ostatecznego przeistoczenia.

– Jakiego... przeistoczenia?

Sybilla wybuchnęła śmiechem, który rozniósł się echem po ogromnym pierścieniu:

– Nie zrozumiałaś prawa soboru, moje dziecko? Nie zrozumiałaś, że wszystko jest prawdą?

Wysokie trawy zdawały się pieścić szary wiatr swoimi cienkimi koniuszkami, a świt z wolna rozpalał je, jakby wlewał w nie szkarłatny sok. Troje szamanów posuwało się w głąb polany, *alaa*, rozchodząc się zarazem w różne strony, nie spuszczać się z oczu, poruszając się z czujną podejrzliwością i stopniowo tworząc trzy wierzchołki trójkąta równobocznego. Diana z Giovannim zostali na jednej z cementowych podmurówek tokamaku. Przeciwnicy zostawili ich tam, nie obchodziło ich już nic poza walką, którą mieli stoczyć.

Diana próbowała wypatrzeć na równinie kolejno każdą z postaci, ale widziała tylko pochylone łodygi, zielonkawe drzewca, które zdawały się z wolna wsysać tamtych troje, wchłaniać ich, rozpuszczać w sobie. Kiedy byli przeszło sto metrów od siebie, wszystko znieruchomiało nieruchomością kamienia. Chwila oczekiwania w samej tkance świtu.

Troje szamanów rozebrało się. Diana dostrzegła blade ciała, kościste kończyny. Instynktownie skupiła się na swojej matce. Zobaczyła ramiona, krągłe i muskularne, zanurzone w roślinnej fali. Zobaczyła jej białe włosy powiewające na wietrze. Wreszcie zauważyła, że matka kołysze się w rytm ruchu polany. Zasypiała. Osuwała się w ten nieprzejrzysty stan, pośredni, graniczny, będący duchowym pomostem ku światu duchów...

Diana wciąż jeszcze nie chciała pogodzić się z prawdą, ale niemożliwe stało się faktem.

Musnął ją jakiś cień. Podniosła wzrok. Na wysokości dziesięciu metrów unosił się w górze gigantyczny orzeł. Ogromny, pierzasty krzyż, jakby umieszczony na niebie w pozycji drapieżnika na czatach. W następnej sekundzie rozległ się na polanie głęboki ryk, którego niskie tony zdawały się unosić w górę pokłady ziemi. Diana wbiła wzrok w punkt, gdzie matka zachwiała się i zapadła w sen.

Wśród roślinnego labiryntu stał ogromny niedźwiedź. Niedźwiedź brunatny wysoki na ponad dwa metry. Jego brunatna sierść mieniła się w świetle świtu. Garb jego grzbietu przypominał potężny wał forteczny, a czarny, posępny, władczy pysk, w którym tkwiły jeszcze czarniejsze ślepia, był nieprzenikniony. Samica, ustaliła Diana bez wahania. Zwierzę stanęło na tylnych łapach i ryknęło, jakby każda cząsteczka tajgi musiała się teraz liczyć z jego gniewem.

Diana nie odczuwała żadnego strachu, żadnej paniki. Była ponad te uczucia. Odwróciła się do trzeciego wierzchołka trójkąta, tam gdzie wśród traw znikł Paul Sacher. Nie wypatrywała

starego dandysa, tylko zjeżonej szczeciny wilka, *canis lupus campestris*, z gatunku charakterystycznego dla tajgi syberyjskiej.

Nie zobaczyła nic, ale poczuła, jak to jej się często zdarzało podczas wypraw naukowych, szczególną jakość powietrza. Zapach łowów, przesycony głodem i napięciem, zdawał się wypełniać najmniejszą cząstkę chwili. Coś zaszeleściło po jej lewej ręce. Diana dostrzegła wszystko naraz: czarno-białe rozpędzone cielsko, ostry pysk, przecinający trawy, i ślepia, czarne ślepia błyszczące szaleństwem, szybsze, zdawało się, niż samo natarcie.

Diana chwyciła Giovanniego za ramię i ruszyła biegiem, pociągając go za sobą. Pędzili wzdłuż polany, oddalając się od budynków ośrodka. Nagle ziemia osunęła im się spod nóg. Ześlizgiwali się po stromym zboczu, raniąc się o krawędzie kamieni, wreszcie uderzyli o twardy grunt. Diana natychmiast zaczęła macać wokół siebie: zgubiła okulary. Giovanni o kilka metrów dalej był w tym samym położeniu. Ten prosty szczegół poraził ją; dwie nieszczęsne istoty ludzkie, krótkowzroczne, sponiewierane, bezbronne, a przeciw nim przepotężne zwierzęta. Ale kiedy jej ręce chwyciły wreszcie oprawkę, zauważyła, że wilk znikł. Myśliwy zrezygnował, przynajmniej na razie. Giovanni bełkotał, wkładając szkła na nos:

– Ale co się dzieje? Co się dzieje?

Diana już obliczała odległość dzielącą ich od miejsca, gdzie jej matka przekroczyła decydujący próg. Na oko – czterysta metrów, wprost na zachód. Było to ryzykowne, ale innego wyjścia nie miała.

– Zaczekaj tu na mnie – powiedziała rozkazująco. Poszła schylona po zboczu, czepiając się korzeni, by dopomóc sobie we wspinaczce.

– Mowy nie ma – odparł Giovanni, idąc za nią.

Weszli z powrotem na górę i znów zanurzyli się w roślinne fale. Diana nie miała nadzwyczajnej orientacji w terenie, ale wspomnienie niedźwiedzia tkwiło mocno w jej pamięci. Poczłgali się wśród traw do miejsca, w którym dokonało się przeistoczenie. Diana znalazła ubranie matki. Poszperała wokoło i bez trudu znalazła glocka. Kaliber 45. Wyciągnęła magazynek z kolby i policzyła: piętnaście kul, do tego jedna w lufie. Pomyślała o broni dwóch pozostałych przeciwników. Warto po nią iść? Nie: to zbyt niebezpieczne. Bezgłośnie, jak najostrożniej, wrócili tą samą drogą i znów zeszli po zboczu. Diana usiłowała zanalizować sytuację. Było ich troje. Troje drapieżników, kierowanych czystym instynktem łowieckim. Troje zwierząt potężnych i niszczycielskich. Trzy bestie działające instynktownie, czujne, obdarzone

wszystkowiedzącymi receptorami. Doskonale wyregulowane maszyny do walki, świetnie przystosowane do otoczenia. Trzeba raczej powiedzieć: nie były przystosowane do natury, po prostu były naturą. Jej prawa, siły, rytmy stanowiły ich prawa, siłę, rytm. Jej ruch był ich racją bytu. Był ich „bytem”.

Diana zwróciła się do swego towarzysza:

– Giovanni, posłuchaj mnie uważnie. Jeśli mamy wyjść z tego cało, to odtąd nie możemy patrzeć na to, co nas otacza, jak istoty ludzkie, rozumiesz?

– Nie.

– Nie ma jednej puszczy – tłumaczyła dalej. – Jest tyle puszczy, ile gatunków zwierząt. Każde zwierzę pojmuje przestrzeń, dzieli ją, analizuje odpowiednio do swych potrzeb i odczuć. Każde buduje własny świat i nie widzi nic poza nim. W etologii to się nazywa *Umwelt*. Jeśli chcemy ująć z życiem, musimy przyjąć punkt widzenia naszych wrogów. Widzieć *Umwelt* niedźwiedzia, wilka, orła. Bo to są nasze prawdziwe pola bitwy, nie ten pejzaż, który ogarniamy naszymi pięciu ludzkimi zmysłami. Kapujesz?

– Ale... ale... nic nie wiemy o...

Diana nie mogła powściągnąć uśmiechu dumy. Od jak dawna badała te mechanizmy? Do jakiego stopnia przeniknęła te systemy percepcji, strategie bojowe? W parzącym zimnym wietrze zaczęła bez pośpiechu charakteryzować każdego z przeciwników.

ORZEŁ: ptak widzi wszystko. Cylindryczne oko pozwala mu uzyskiwać niezwykle powiększenia. Przelatując sto metrów nad lasem, jest w stanie skupić uwagę na maleńkim gryzoniu do tego stopnia, że zwierzątko zajmuje całą powierzchnię siatkówki. I potrafi w tej samej chwili dokonać innego cudu: wyregulować ostrość widzenia w dwóch różnych kierunkach. Koncentrując się na celu, który ma na wprost siebie, może jednocześnie sprawdzić, co się dzieje pod nim, na osi szponów, żeby przygotować się do ataku.

Wtedy naprawdę przydaje mu się rozpiętość skrzydeł – około trzech metrów. Orzeł spada na swoją ofiarę z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, ale już w jej pobliżu w ułamkach sekundy zwalnia do prędkości idącego zwykłym krokiem człowieka, a wszystko w najzupełniejszej ciszy. Ofiara nawet nie czuje, że umiera. Dziób i szpony wbijają się jej w grzbiet, zanim zdąży choćby się wzdrygnąć.

Jedyny słaby punkt drapieżnika to jego zależność od światła. Ogromna głębokość jego oka

zaciemnia mu pole widzenia i pozwala mu widzieć tylko w pełnym świetle. Drapieżnik zaatakuje zatem w dzień. Kiedy tylko zacznie zapadać zmrok, przestaje walczyć. To słaba pociecha. Bo od teraz aż do zmierzchu nic ani nikt nie umknie jego ostremu wzrokowi.

WILK: dla niego przeciwnie – noc to przestrzeń siły, jego właściwe terytorium. Oczy wilka widzą tylko monochromatycznie, ale dysponują innym atutem: specjalną tkanką na siatkówce, *tapetum lusidum*, dzięki której widzi doskonale nawet w zupełnej ciemności. Ma również nadzwyczajne wyczucie ruchu. Jest w stanie dostrzec z odległości przeszło kilometra ruch ręki, ocenić nawet stopień zdenerwowania przeciwnika. Najmniejszy ślad lęku, słabości, uruchamia jego odruch ataku. Nie licząc tego, że węch pozwala mu w tej samej chwili analizować cząsteczki substancji lotnych charakterystyczne dla potu, a więc i strachu.

Tak: wilk będzie czekał nocy, by zaatakować. Diana powtarzała to w duchu, by dać sobie w ten sposób w myślach trochę czasu. W rzeczywistości niczego nie była pewna. Bo zwierzę już ich ścigało, wyczuło ich lęk przed atakiem. Gwałtowność tego pierwszego ataku dowodziła, że osobnik jest basiosem, przywódcą stada, który nie zawaha się natrzeć znowu przy pierwszej oznace lęku, zmęczenia czy kiedy wyczuje najmniejszą ranę. Diana widziała drżącego ze strachu Giovanniego i rozumiała, że *canis lupus campestris* będzie szedł za nimi przez puszcę jak po wyraźnie wytyczonej ścieżce.

NIEDŹWIEDŹ: nie widzi nic lub prawie nic i słuch też ma nienadzwyczajny. Ma za to niezrównany zmysł powonienia. Powierzchnia śluzówki, którą chwyta zapachy, jest sto razy większa niż u człowieka. Potrafi odnaleźć drogę na odległość przeszło trzystu kilometrów, kierując się wyłącznie węchem, albo nawet kiedy płynie zanurzony w wodzie posuwać się za najlżejszym śladem zapachu, niesionym przez wiatr.

Ale główne niebezpieczeństwo ze strony niedźwiedzia bierze się z czego innego: z jego nadzwyczajnej siły. Jest najsilniejszym zwierzęciem na świecie. Jednym zamachem łapy potrafi złamać stos pacierzowy łośia albo zmiażdżyć kłapięciem szczęk kości karibu. Jest więc wrogiem, którego trzeba unikać za wszelką cenę. To samotnik, tak mało nawykły do zachowań socjalnych, że jego pysk nie zdradza nigdy stanu ducha. Zwierzę potężne, okrutne, bezlitosne, przyzwyczajone do panowania na swoim terytorium, nie boi się żadnego rywala z wyjątkiem swych współbraci. Wiedzą coś o tym samice. Co wiosnę muszą walczyć ze swoim samcem, by

nie pożarł ich małych.

Giovanni słuchał słów Diany. Był blady jak ściana, jakby zdławiony paniką. Ale po tych wszystkich wyjaśnieniach zadał tylko jedno pytanie, tylko jedno go zdziwiło:

– Skąd ty to wszystko wiesz?

Diana miała zaschnięte gardło i podniebienie jakby pokryte piachem.

– Jestem etologiem. Drapieżniki to od dwunastu lat moja specjalność.

Wciąż gapił się na nią nieruchomym wzrokiem. Diana pochyliła się ku niemu.

– Słuchaj mnie uważnie, Giovanni. Na świecie jest nie więcej niż dziesięć osób, które byłyby w stanie wygrzebać się z takiego szamba. Uśmiechnij się: jesteś w towarzystwie jednej z tych dziesięciu.

– Ale... a Cewenowie? Oni... nam nie pomogą?

– Nikt nam nie pomoże. A zwłaszcza nie Cewenowie. To jest święty bój, rozumiesz? Na tej polanie jest tylko dwoje intruzów: to my. I zwierzęta będą się starały przede wszystkim usunąć nas. Dopóki nas nie zniszczą – będą sprzymierzeńcami. Dopiero wtedy, oczyściwszy teren, rzucą się na siebie.

Zaciągnęła zamek anoraka i wstała:

– Muszę znaleźć rzekę. Sprawdzić coś.

W dole zbocze dochodziło do kolejnej połaci lasu. Zsunęli się do pierwszych zarośli, a potem zagłębili między drzewa. Kilka minut później dotarli do pokrytego białą pianą strumienia. Diana przykłękała. W bystrej wodzie dostrzegła srebrno-różowe płomyki łososi. Włoch zapytał:

– Czego szukasz?

– Muszę się zorientować, w jakim kierunku płyną łososie.

– Po co?

– Niedźwiedź instynktownie będzie się posuwał w tym kierunku. Będzie szedł tam, gdzie jest obfitość ryb.

– Jesteś pewna?

– Nie. Nikt nigdy nie jest w stanie przewidzieć reakcji zwierzęcia.

Zwłaszcza, pomyślała Diana, tych tak szczególnych bestii. Ile jest w nich instynktu zwierzęcego? Ile ludzkiego? Co jest z szamana w samym zwierzęciu?

– Giovanni, ty... – szepnęła, odwracając się.

Serce w niej zamarło. Mężczyzna skurczył się wpół, twarz miał kredowobiałą, tors ociekał mu krwią. Orzeł obejmował go swymi ogromnymi skrzydłami. Szpony wczepił w ramiona Włocha, dziobem bił żarłocznie w kark. Diana wyszarpnęła pistolet. Człowiek i ptak razem obrócili się w miejscu. Jedno ze skrzydeł trafiło ją w rękę. Broń upadła kilka metrów dalej. Rzuciła się do glocka. Kiedy znów wycelowała, mężczyzna chwiał się nad brzegiem rzeki, wymachując ramionami. Szukała miejsca, gdzie strzelić, wreszcie wrzasnęła niedorzecznie:

– Opuść ramiona!

Giovanni padł głową naprzód. Ptak nie puszczał go. Nagle wyrwał mu dziobem strzęp ciała. Z otwartej rany popłynął szkarłatny strumień. Diana widziała tylko grzbiet ptaka. Strzelać nie mogła.

Włączyła się w walkę. Wślizgnęła się pod skrzydło drapieżcy, wcisnęła pod pióra, udało jej się umieścić ramię przy bijącym sercu bestii. Wtedy wykręciła rękę z bronią i strzeliła. Ptak wyprężył się. Giovanni ryknął. Diana jeszcze raz pociągnęła za spust.

Wszystko zamarło. Zapadła cisza. W powietrzu z wolna szybowwały czarne lotki. Strzeliła jeszcze dwa razy, czując, jak jej ręka zanurza się w ciepłe rany. Wreszcie orzeł osunął się. Padając, pociągnął za sobą Dianę i Giovanniego. Trzy ciała sturlały się aż na sam brzeg. Usłyszała, że jedno ze skrzydeł uderza ciężko w rzekę, i zrozumiała, że już po wszystkim.

Okrągłe oko drapieżcy patrzyło wprost na nią. Martwe spojrzenie utkwione w celu. Ale szpony ptaka wciąż tkwiły w plecach Włocha. Prąd zaczynał wciągać orła. Diana wsunęła broń za pas i wzięła się do wyciągania rogowych haków. Giovanni już nie reagował. Kiedy skończyła, stwierdziła, że ślady pazurów były płytsze, niż sądziła. Za to rana w szyi była śmiertelna. Krew spływała powolnymi falami. Dianę dusił smutek i obrzydzenie. Ale wstała i znów napięła mięśnie. Nie powinna myśleć o niczym, tylko o walce.

Niepokoilo ją nowe, bliskie niebezpieczeństwo. Zapach krwi, najpewniejsza oznaka słabości, przyciągnie wilka. Trzeba zatamować tę strużkę. Dwadzieścia metrów w górę rzeki zauważyła jakiś obcy element w urzeźbieniu brzegu: drewnianą platformkę. Poprawiła okulary i poszła w kierunku ciemnej płyty: było tam długie na trzy metry zagłębienie, przykryte pięcioma czarnymi belkami.

Zdołała unieść jeden z bali. Rów miał mniej więcej metr głębokości. Jego ścianki były wyłożone ciasno splecionymi gałkami. Zapewne rybacy z Jeziora Białego suszyli tu ryby. Stwierdziła, że to doskonałe schronienie. Wróciła do Włocha. Chwyliła go pod pachy

i pociągnęła. Giovanni zawył. Z twarzą zlaną potem zaczął szybko mamrotać litanie. Diana myślała przez chwilę, że modli się po łacinie. Ale myliła się: etnolog zawodził po prostu w ojczystym języku. Pociągnęła go do kryjówki, starając się nie słyszeć jego krzyków. Niepostrzeżenie tworzyła sobie własny *Umwelt*. Swoją świat percepcji i odruchów, dostosowany do sytuacji, cały skoncentrowany na jednym celu: przetrwać.

Podniosła jeszcze jedno bierwiono, wsunęła się w zagłębienie i wciągnęła za sobą Giovanniego. Znow zasłoniła otwór belkami. Ogarnęła ich ciemność. Tylko bardzo wąskie szpary między balami przepuszczały nieco światła. Idealne miejsce na czekanie. Czekanie na co? Diana nie miała pojęcia. Przynajmniej tu mogła zastanowić się nad nową strategią. Położyła się przy Giovannim, wsunęła mu ramię pod szyję, potem przytuliła go do siebie, jakby był dzieckiem. Drugą ręką pieściła mu twarz, obejmowała, gładziła – po raz pierwszy z własnej woli dotykała ciała mężczyzny. I nie miała już w sercu miejsca na zwykłe obsesje. Szeptala mu wciąż do ucha:

– Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze...

Nagle rozległy się nad nimi lekkie kroki, wtórowało im potężne sapanie. Basior był na górze. Chodził po drewnianych balach, wciskał nos między szpary, wciągał w nozdrza opary krwi.

Diana mocniej objęła Giovanniego. Mówiła wciąż do niego, jak do małego dziecka, starając się zagłuszyć kroki wilka, coraz szybsze, coraz bardziej gorączkowe. Zwierzę szarpało teraz pazurami korę belek o kilka centymetrów od ich twarzy.

Nagle zobaczyła między bierwionami jego biało-czarny pysk, napięty, czujny, łapczywy. Dostrzegła blask zielonych źrenic. Giovanni wybełkotał: „Co to?”. Diana nadal mamrotała miłe słówka, zastanawiając się jednocześnie, jak długo wytrzymają belki: ile czasu upłynie, nim bestia utoruje sobie drogę? „Co to?”. Drgawki wstrząsały ciałem Włocha. Diana, oblepiona jego krwią, przytuliła go z całych sił. Drugą ręką chwyciła glocka.

Strzelać nie mogła. Drewniane belki były za grube, kula by ich nie przebiła. Pociski mogły natomiast odbić się i rykoszetem poranić oboje. Rozległ się nowy dźwięk. Regularny charkot na drugim końcu wgłębienia. Diana wyteżyła wzrok. Wilk drapał ziemię, usiłował wsunąć się w głąb rowu. Za kilka sekund tu będzie. Jego giętkie ciało wedrze się w jamę, a kły rozedrą im skórę.

Nagle przez szparę smuga światła wpadła do wnętrza kryjówki. Wynurzyły się z niej grzebiące gorączkowo pazury bestii.

„Diano, co się dzieje?”. Giovanni próbował podnieść głowę, ale powstrzymała go, kładąc mu rękę na czole. Pocałunek, pieścizotliwe dotknięcie – po czym zebrała się w sobie i poczołgała w stronę otworu, ku posuwającemu się wciąż naprzód wilkowi. Była już ledwie pół metra od przeciwnika. Widziała białe zakończone łapy, pazury, które wciąż ryły, ryły, ryły. Czowała jego odór – ciężki, duszny, groźny. Nigdy żaden zapach nie wydał jej się bardziej odległy od ludzkiego, bardziej obcy jej własnemu zapachowi.

Kiedy była o trzydzieści centymetrów od wylotu, oparła się na łokciach, zacisnęła dłonie na czterdziestcepiątce i kciukami odciągnęła kurek.

Zaczynało się starcie dwóch światów.

Umwelt kontra *Umwelt*.

Wilk nie krył się wcale, odrzucał za siebie pecyny ziemi, nie próbował nawet cofnąć się, nie zachowywał najmniejszych środków ostrożności. Zapach krwi odbierał mu rozum. Diana zobaczyła, jak zbliża się do niej poraniony pysk. Zamknęła oczy i pociągnęła za spust. Poczowała, że trysnęło na nią coś letniego. Otworzyła odruchowo oczy i zobaczyła pod światło rozwaloną mordę. Wycelowała w jedno ze ślepi, odwróciła głowę i strzeliła znów. Poczowała, jak łuska uderza ją w twarz.

Spodziewała się ciosu pazurami, szarpnięcia kłów. Nie stało się nic. Znów zaryzykowała spojrzenie. Dym gazów prochowych opadał. W smudze światła widać było cielsko wilka, z tylnymi łapami wyprężonymi do tyłu, jakby się przeciągał. Bestia leżała nieruchomo. Z odstrzeloną głową.

Diana wypchnęła trupa na zewnątrz, znów zatkała otwór, potem wróciła do Giovanniego. Ucałowała go, szepnęła mu do ucha: „Załatwiliśmy go, załatwiliśmy...”. Wyciągając magazynek, by sprawdzić, ile kul jej zostało, płakała i śmiała się jednocześnie. Powtarzała wciąż: „Załatwiliśmy go, załatwiliśmy...” i myślała, że jak dotąd to naprawdę nie jej wiedza etologiczna ich ratowała.

I wtedy błysnęło słońce.

Wszystko pojawiło się naraz. Niebo. Światło. Zimno. I ukośne cienie belek, wrywanych kolejno ze swych miejsc. Diana wrzasnęła, wypuszczając z ręki pistolet i magazynek. Ale ten wrzask był niczym w porównaniu z rykiem niedźwiedzia, który wyciągnięty na całą wysokość stał nad jamą i rozrzucał ostatnie belki jak zapałki. Zwierzę pochyliło się w stronę rowu, wysunęło czarny pysk i ryknęło znów, jeżąc złotobrazowe futro, rozpuszczając wściekłość na

wiatr.

Diana i Giovanni wcisnęli się w drugi koniec dziury. Zwierzę wciąż stało pochylone, bijąc pazurami powietrze. Giovanni, oparty plecami o ścianę, wyprężył się i zdołał wstać. Diana spojrzała na niego oszołomiona. On chwycił ją za kołnierz i powiedział:

– Spieprzaj. Spieprzaj stąd! Ja i tak jestem załatwiony.

Chwilę potem, zataczając się, szedł w kierunku potwora. Diana była przerażona. Dopiero po paru sekundach zrozumiała, że Giovanni, poczciwy etnolog, młody człowiek o twarzy jak cukierek, poświęca się dla niej.

Zobaczyła, jak utykając, idzie wprost na zwierzę, podczas gdy ona, zapierając się rękami, wydobywała się na wierzch. Równocześnie usłyszała kolejny ryk. Podniosła wzrok. Na drugim końcu rowu łapa niedźwiedzia wyrzucała człowieka o dwa metry dalej. Skulona na brzegu rowu, Diana nie była w stanie uciekać. Nowym wściekłym szarpnięciem drapieżnik rozdarł tors ofiary. Zobaczyła mętnie, jak krwawa struga wypływa z warg jej przyjaciela.

Wrzasnęła: NIE!

Skoczyła znów do rowu, chwyciła glocka, wbiła magazynek w kolbę. Niedźwiedź pożerał twarz Włocha. Diana przebiegła okop. Natężyła się jeszcze raz i oparła obiema stopami na stosie drewna, by znaleźć się na poziomie zwierzęcia.

Niedźwiedź wyprostował się. W kłach trzymał krwawy strzęp ciała. Stała przed nim na wprost, z rozstawionymi nogami, i wczepiła mu się lewą ręką w kark. Prawą wsunęła mu broń w paszczę, czuła palącą przepaść podniebienia i przylepione do niego szczątki ludzkiej twarzy. Nacisnęła spust. Zobaczyła, jak szczyt czaszki bestii rozpada się na Krwawe odłamki. Strzeliła jeszcze raz. Strzępy mózgu wleciały pod niebo. Strzelała, strzelała, strzelała i wciąż naciskała na spust, kiedy jej gest nie powodował już niczego, tylko suche trzaski kurka, zagłuszane rykami zwierzęcia. Wydawało się, że strzela jeszcze, kiedy martwy niedźwiedź szarpnął jej ramię i padając, pociągnął ją za sobą w głąb rzeki.

Epilog

Słońce rozlewało się po pokoju jak ciepłe mleko.

Boazerie gabinetu rzucały czekoladowe błyski, a podłoga lśniła złotem i brązem, jakby pomalowana herbatą. Prawdziwa sceneria pierwszego śniadania, w której unosiło się jeszcze poranne rozczulenie, przesycone snem i nieuchwytnymi odczuciami.

– Nie rozumiem – powtórzyła kobieta. – Chce pani zmienić synowi imię, o to chodzi?

Diana przytaknęła ruchem głowy. Siedziała w gabinecie urzędniczki stanu cywilnego merostwa piątej dzielnicy. Urzędniczka odezwała się znów:

– Nieczęsto dostajemy takie wnioski.

Nie przestawała przyglądać się obandażowanemu ramieniu swej petentki, bliznom na jej twarzy. Wymamrotała, otwierając jakiś skoroszyt:

– Nawet nie wiem, czy to możliwe...

– To dajmy temu spokój.

– Przepraszam? Diana wstała raptownie.

– Mówię, żebyśmy dali temu spokój. Właściwie nie jestem pewna... Zadzwońię do pani.

Zatrzymała się w drzwiach budynku, wdychając mroźne grudniowe powietrze. Przyjrzała się lekkim girlandom lampek, otaczających łukiem plac Panteonu. Podobała jej się ta tracąca myszką kruchość dekoracji gwiazdkowych, kontrastująca z ogromem grobowca.

Poszła w dół ulicą Soufflot i znów pogrążyła się w rozmyślaniach. Od kilku dni żyła z tą obsesją: nadać Lucjanowi imiona dwóch mężczyzn, którzy zginęli w związku ze sprawą kamiennego kręgu. Aż nagle, siedząc przed urzędniczką merostwa, zdała sobie sprawę z niedorzeczności swego pomysłu.

Lucjan nie był marmurową tablicą, na której ryje się nazwiska zmarłych bohaterów. I żeby być szczerą – nie podobały jej się te imiona – ani Patryk, ani Giovanni. A zwłaszcza – nie potrzebowała żadnych symbolicznych działań, żeby pamiętać o przyjaciółach, których utraciła w zamęcie tej historii. Pozostaną w jej pamięci na zawsze, jako jedyne, oprócz Ireny Pandove, niewinne ofiary tokamaku.

Po powrocie do Paryża Diana bez trudu dowiodła swej niewinności w sprawie zabójstwa

Patryka Langlois. Po prawdzie – nigdy jej nie podejrzewano o ten zbrodniczy czyn, podobnie jak nie uważano jej za winną masakry w Fundacji Brunera czy „samobójstwa” Ireny Pandove. Dziwiono się tylko, że uciekła do Włoch, jak twierdziła. Obecnie śledztwo było umorzone. Sędzia śledczy zamknął sprawę dość mętną hipotezą porachunków między zbiegami z krajów komunistycznych na tle badań nuklearnych.

Mimo zniknięcia Sybilli Thiberge nikt nie zorientował się, jak zasadniczą rolę odegrała w całej tej historii. Charles Helikian najpierw zamartwiał się, potem uznał, że żona zbiegła z jakimś kochankiem. Diana widywała go od czasu do czasu. Razem omawiali tajemnicze zniknięcie jej matki. Diana wysuwała hipotezę, że Sybilla gdzieś żyje i ukrywa się. Ta teoria pogrążała mężczyznę w czarnej rozpacz, ale zdaniem Diany to było mniejsze zło: znała inne przepaści, inne prawdy, których nie wyznałaby mu za nic w świecie.

Przeszła przez plac Edmunda Rostanda i znalazła się w Ogrodzie Luksemburskim. Szła wzdłuż cembrowiny centralnego basenu, a dalej schodkami prowadzącymi do teatru marionetek, bufetu, huśtawek. Pod nagimi gałęziami kasztanowców zauważyła kamienny krąg. Pomyślała o tokamaku, o kolistym laboratorium, o siedmiorgu szamanach, którzy zawarli pakt z duchami i zapłacili za to własnymi duszami. Ale to była tylko piaskownica, w której uwijały się dzieci w kolorowych kapturkach. Nagle zobaczyła jego: miał na głowie swoją czapeczkę z polaru i był cały pochłonięty wznoszeniem z piasku najrozmaitszych budowli – tam, fos, zamków.

Schowała się za drzewo i przez mgiełkę swego oddechu przyglądała mu się, po prostu dla własnej przyjemności. Na samym początku listopada Lucjan się przebudził. 22 listopada wyszedł ze szpitala Neckera. W pierwszej połowie grudnia wrócił do swoich ulubionych zabaw. 14 grudnia po raz pierwszy wymówił dwie sylaby, na które czekała z lękiem i nadzieją: „mama”. Diana zrozumiała, że teraz już ostatecznie uwolniła się od przeszłości.

Przysięgła sobie nie myśleć już więcej o okrucieństwie, z którym wypadło jej się zetknąć, o niewiarygodnych doświadczeniach, które wykryła, o posadach świata, które chwiałały się na jej oczach. W miarę jak mijały tygodnie, powstało w niej nowe przekonanie. Idea, która niosła pociechę. Myślała o Jewgenie Talichu, człowieku, który chciał odzyskać moce swego ludu. Diana uważała, że nawiązała z nim coś w rodzaju duchowej więzi. Osiągnęła przez to jakąś jasność, jakąś nieokreśloną wiedzę. Na przekór krwi, na przekór szaleństwu, próba kamiennego kręgu stała się jej wtajemniczeniem. Dzięki niej stanie się dla Lucjana najlepszą z matek. Nawiązała kontakt z rodzinami, które adoptowały innych Strażników, zwłaszcza z rodziną Ireny

Pandove, która zabrała dziecko znad jeziora. Przymknęła sobie, że będzie im doradzała, pomagała, gdyby dzieci, w miarę dorastania, zaczęły zdradzać jakieś dziwne właściwości.

Wyszła ze swej kryjówki i poszła w kierunku piaskownicy. Lucjanem znów opiekowała się tajaska dziewczyna z Instytutu Francja-Azja. Zauważył Dianę i pobiegł jej naprzeciw. Powstrzymała okrzyk, kiedy oparł się całym ciałem o jej zoperowane ramię, ale od razu przytuliła się do jego policzków. Była pewna tylko jednego: wracała teraz do zdrowia i nie było lepszego dla niej lekarstwa niż ta dziecięca bliskość i beztroskie pragnienia Lucjana. Każdy szczegół był dla niej oczyszczeniem. Nawet wielkość jego rączek, stóp, ubranek była dla niej nową tkanką, jakąś szczególną substancją, przezroczystą i lekką.

Nagle wybuchnęła śmiechem i okręciła się wokół siebie razem z dzieckiem, tu, pod koronami parku. Tak, ma przed sobą jedno zadanie: przystosować się do tej polany niewinności, do tego zbocza czułości, które stanowią teraz jedyny krąg jej losu. Przymknęła oczy i widziała już tylko cząsteczki światła.